

Światowy bestseller. Ponad 8 milionów sprzedanych egzemplarzy.

# Zabójczy żart

Powodzenie jednych  
bywa katastrofą drugich.



CAPRICORN  
Media Łazarz

# Peter James



*Fantastyczna opowieść o chciwości,  
uwodzeniu i zdradzie.*

*„Daily Telegraph”*

*„Zabójczy żart” został napisany, by zostać  
bestsellerem. Tak też się stało.*

*„Independent on Sunday”*

*Pierwszorzędny thriller. Chwile grozy  
i zaskakujące zwroty akcji.*

*„The Times”*

Makabryczny żart miał być atrakcją wieczoru kawalerskiego. Nieoczekiwanie, szampańska zabawa zmienia się w krwawą jatkę. Niedoszły pan młody przepada bez wieści. Jego czterech najlepszych przyjaciół ginie w wypadku samochodowym. Do ślubu pozostały trzy dni.

Detektyw Roy Grace – zbliżający się do czterdziestki mężczyzna – ma coraz mniej czasu na rozwikłanie zagadki. Śledztwo, które prowadzi, wykracza poza rutynę policyjnego dochodzenia. Rozumie lepiej niż ktokolwiek inny tragedię narzeczonej zaginionego – jego samego też od dawna dręczy podobny koszmar. Dziewięć lat temu jego żona pewnego dnia wyszła z domu i ślad po niej zaginął.

Jedyny człowiek, który może pomóc odnaleźć Michaela, z sobie tylko znanych powodów, milczy.

Peter James jest popularnym na całym świecie autorem bestsellerów, jest także scenarzystą i producentem wybitnych filmów takich jak „Kupiec wenecki” z Almem Pacino czy „Most przeznaczenia” z Robertem de Niro.

**„Zabójczy żart” otrzymał prestiżowe nagrody:**

Le Prix Coeur Noir 2007 we Francji  
Prix POLAR International Award 2006

[www.wartoczytac.pl](http://www.wartoczytac.pl)

ISBN 978-83-925755-3-5



9 788392 575535

cena 24,90 zł

patronat medialny:



GILDIA.PL



Peter James

# Zabójczy żart

przełożyła  
Joanna Lazar-Chmielowska

**CAPRICORN**  
Media Lazar



Mimo kilku drobnych komplikacji realizacja planu A przebiegała dotąd prawidłowo. Szczęśliwie dla nich, ponieważ tak naprawdę nie przygotowali planu B.

Tego majowego wieczoru o 20.30 zaczęli już wierzyć, że wszystko jakoś się uda. Poprzedniego dnia, także wieczorem, czterej z nich pokonali tę samą trasę, wioząc pustą trumnę i pięć łopat. Tyle że teraz, kiedy zielony transit jechał z nadmierną prędkością wzdłuż wiejskiej drogi hrabstwa Sussex, mgła i padający deszcz utrudniały orientację w terenie.

- Czy już dojechaliśmy? - zapytał siedzący z tyłu Josh.

- Wielki Um Ga mówi: „Gdziekolwiek jadę, tam jestem” - odpowiedział Robbo; prowadził tylko dlatego, że był odrobinę mniej pijany niż pozostali. W trzech pubach, które zaliczyli w ciągu niecałych dwóch godzin, i kolejnych czterech, które były po drodze, ograniczył się do piwa z lemoniadą, chociaż pozwolił też sobie na wypicie kilku kropel gorzkiej sherry - żeby mieć „otwartą” głowę w czasie jazdy - jak wyjaśnił.

- Więc jesteście! - powiedział Josh.

- Zawsze byliśmy.

W ciemności mignął znak drogowy „Uwaga na jelenie”, a po chwili minęli małą, białą chałupkę.

Michael, który leżał z tyłu wana rozwalony na kocu w szkocką kratę, z głową wciśniętą w koło zapasowe, czuł się miło otumaniony.

- Myślę ściśle, bo mam piwo na umyśle - bełkotał.

Gdyby kumał dowcipy na swój temat, pewnie zrozumiałby ze słów kolegów, że coś się szykuje. Zazwyczaj nie pił dużo, ale tego wieczoru zatopił swoje szare komórki w takich ilościach piwa zakrapianego wódką, jakich jeszcze w życiu nie wypił.

Było ich sześciu, kumpli od szczeniackich czasów, a Michaela Harrisona zawsze uważali za swojego przywódcę. Jeśli, jak mówią ludzie, tajemnica powodzenia w życiu polega na wyborze mądrych rodziców, to Michael trafił w samą dziesiątkę. Po matce odziedziczył piękną aparycję, a po ojcu urok osobisty i przedsiębiorczość, i to bez jakichkolwiek genów samozniszczenia.

Kiedy Michael skończył dwanaście lat, ojciec, Tom Harrison, otruł się gazem w garażu, zostawiając w spadku spis dłużników. Chłopiec szybko dorósł i zaczął pomagać matce wiązać koniec z końcem; rozwoził gazety, a kiedy był starszy, w czasie wakacji przyjmował dorywcze prace. Wiedział, jak ciężko zarabia się pieniądze i jak łatwo można je roztrwonić.

Teraz, mając dwadzieścia osiem lat, był inteligentnym, porządnym człowiekiem i nadal liderem paczki kolegów. Jeśli miał jakieś słabe punkty, to należały do nich zbytnia łatwowierność i skłonność do robienia głupich dowcipów. Ale dziś wieczorem przyszła kryska na Matyska.

Tyle tylko, że na razie nie miał o tym błędnego pojęcia.

Odpywał w rozkoszne odurzenie, przywołując jedynie szczęśliwe myśli, które w większości dotyczyły jego narzeczonej Ashley. W ogóle życie wydawało się w porządku. Matka umawiała się na randki z miłym facetem, młodszy brat dostał się właśnie na uniwersytet, młodsza siostra Carly wyjechała w roczną podróż po Australii, a jego interesy szły niewiarygodnie dobrze. Ale najlepsze z tego wszystkiego było to, że za trzy dni miał poślubić kobietę, którą kochał. A raczej uwielbiał.

Jego pokrewna dusza.

Ashley.

Nie zauważył ani leżącej na podłodze łopaty, która grzechotała na każdej nierówności na drodze, ani deszczu bębniącego nad jego głową o dach.

Nie wzbudziły też jego niepokoju zdania wymieniane przez dwóch kolegów siedzących obok niego z tyłu samochodu i fałszywie nucących stary przebój Ro-da Stewarta *I am sailing*. W wozie unosił się smród benzyny.

- Kocham ją - wybełkotał Michael - kocham Ashley.

- To wspaniała kobieta - powiedział Robbo, odwracając głowę od kierownicy; jak zwykle się podlizywał. Taki już był. Niezdarny wobec kobiet, trochę życiowo nieporadny, o rumianej twarzy, rzadkich, prostych włosach, z brzuchem dosłownie rozpychającym koszulkę. Zawsze starał się dopasować do paczki, sprawiając wrażenie osoby potrzebnej. Dziś wieczorem, wyjątkowo, faktycznie był potrzebny.

- Tak, taka jest.

- Zbliżamy się - poinformował Luke.

Robbo zahamował i mrugnął do siedzącego obok Luke'a. Wycieraczki dudniły miarowo, rozmazując deszcz na przedniej szybie.

- To znaczy, ja naprawdę ją kocham. Onaaaa... ie, co mam na myśli?

- Wiemy, co masz na myśli - odparł Pete.

Josh, obejmując jedną ręką Pete'a, łyknął piwa z butelki i podał ją Michaelowi. Piana wylała się na podłogę, Michael głośno czknął. Samochód ostro zahamował.

- Szepaszam.

- Co, u diabła, może się Ashley w tobie podobać? - zapytał kpiąco Josh.

- Mój penis.

- Więc nie chodzi o pieniądze? O twój wygląd czy może urok osobisty?

- Josh, to też jest ważne, ale najważniejszy jest mój fiut.

Van przechylił się gwałtownie, ostro skręcając w prawo, ominął zaporę dla bydła i wjechał na polną drogę. Robbo, widząc głębokie koleiny, skręcił gwałtownie kierownicą. Przez drogę przemknął królik, ginąc w ciemnej ścianie lasu. Nagle W głosie Michaela pojawiły się nuty niepokoju.

- Gdzie jedziemy?
- Do kolejnego baru.
- Okej. Wspaniale. - A chwilę później dodał: - Obiecane Ashley, że nie... nie będę pił za dużo.
- Widzisz - zauważył Pete - jeszcze się nie ożeniłeś, a ona już stawia ci warunki. Przecież wciąż jesteś wolnym człowiekiem. Jeszcze przez trzy dni.
- Trzy i pół - dodał Robbo usłużnie.
- Ale chyba nie zaprosiliście jakichś pańienek? - dopytywał się Michael.
- A co, jesteś napalony? - roześmiał się Robbo.
- Ja jestem wierny.
- Właśnie to sprawdzamy.
- Dupki.

Van zatrzymał się. Robbo zgasił silnik, wyłączając przy okazji Roda Stewarta.

- Przyjechaliśmy! - powiedział - następny wodopój... pub „W rękach troskliwego grabarza”.
- Wolałbym inny... „W ramionach gorącej Tajki” - zachichotał Michael.
- Ona też tu jest.

Ktoś otworzył tylne drzwi vana, ale Michael nawet nie zauważył kto. Niewidzialne ręce przytrzymały go za kostki u nóg, Robbo chwycił jedną jego rękę, a Luke drugą.

- Hej!
- Jesteś ciężkim dupkiem - stęknął Luke.

Chwilę później Michael grzmotnął na mokrą ziemię; jakiś przytłumiony głos w jego głowie zawołał, że ulubiona sportowa marynarka i najlepsze džinsy to nie najlepszy strój na wieczór kawalerski. W głębokich ciemnościach, rozświetlanych jedynie przez czerwone światła stopu i białe światła latarek, w strugach deszczu nie widział zupełnie nic.

- Moje ub... ania...

Kilka minut później, prawie wrywając mu ręce ze stawów, rzucili go do czegoś suchego i wyścielonego białym jedwabiem.



- Hej! - zawołał ponownie.

Z góry patrzyły na niego cztery pijane pyski, szczerzące w uśmiechach zęby. Potem ktoś mu wepchnął do ręki jakieś czasopismo. W świetle latarki dostrzegł rozmazane spojrzenie nagiej rudej kobiety z ogromnym biustem. Na brzuchu położyli mu butelkę whisky, małą włączoną latarkę i radio.

- Co jest!?

W usta wepchnęli mu kawałek obrzydliwego gumowego węża. Potem usłyszał skrobanie i nagle coś zasłoniło mu twarz pochylonych nad nim kumpli, stłumiło wszystkie odgłosy, a jego nozdrza wypełniły się zapachem drewna, nowego materiału i kleju. Przez chwilę poczuł się ciepło i przytulnie, ale zaraz ogarnęła go panika.

- Hej, panowie, no co jest!?

Robbo podniósł śrubokręt, a Pete oświetlał dębową trumnę.

- Ale chyba nie śrubujesz tak do końca? - zaniepokoił się Luke.

- Ależ tak! - odpowiedział Pete.

- Myślicie, że powinniśmy?

- Nic mu nie będzie - zapewnił Robbo. - Ma rurkę do oddychania.

- Myślę, że nie powinniśmy tak przykręcać aż do końca!

- Oczywiście do końca, w przeciwnym razie mógłby się wydostać.

- Hej - zawołał Michael. Ale nikt już go nie słyszał. I on też już nic nie słyszał, z wyjątkiem słabego odgłosu skrobania, który rozlegał się gdzieś ponad nim.

Robbo starannie przykręcił wszystkie cztery śrubki. To była najlepsza, ręcznie wykonana dębową trumna z wytłaczanymi mosiężnymi uchwyty, wypożyczona z salonu pogrzebowego jego wujka, gdzie terminował jako balsamista. Dobrze, masywne, mosiężne śruby. Łatwo się je wkręcało.

Michael spojrział w górę, jego nos prawie dotykał wieka. W świetle latarki zobaczył atlas w kolorze kości słoniowej.

Próbował kopnąć w wieko, ale miał zbyt mało miejsca. Próbował pchać rękami, też się nie powiodło.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje.

- Hej, hej, posłuchajcie. Cierpię na klaustrofobię. To nie jest śmieszne! Hej! - Jego głos wracał do niego dziwnie stłumiony.

Pete podszedł do samochodu i włączył światła. Kilka metrów przed nimi czerniał grób, który wykopali wczoraj; obok przyzma ziemi, przygotowane taśmy, duża płyta blachy falistej i dwie łopaty. Czterej przyjaciele stanęli na krawędzi i spoglądali w dół. Nagle zdali sobie sprawę z tego, że nic w życiu tak naprawdę nie jest takie jak wtedy, kiedy się to przygotowuje -dziura wyglądała na głębszą i ciemniejszą. Prawdziwy grób. W dole odbijało się światło latarki.

- Tam jest woda - powiedział Josh.

- Tylko trochę deszczówki - machnął ręką Robbo.

Josh zmarszczył brwi.

- Tej wody jest za dużo, to nie deszczówka. Pewnie zeszliliśmy poniżej poziomu wód gruntowych.

- Cholera - powiedział Pete. Ten sprzedawca samochodów w salonie BMW, na codzień stosownie ubrany w elegancki garnitur, starannie ostrzyżony, no i zawsze pewny siebie, tym razem miał niewyraźną minę.

- Nie ma sprawy - powiedział Robbo - tylko kilka kropel.

- Czy wykopaliśmy to na odpowiednią głębokość? - zastanawiał się Luke, świeżo upieczony radca prawny i młody żon-koś, powoli akceptujący nowe życiowe obowiązki.

- Przecież to jest grób, no nie? - powiedział Robbo. - Postanowiliśmy wykopać grób.

Josh zezował na gęsto padający deszcz.

- A co będzie, jeśli poziom wody się podniesie?

- Cholera, człowieku - zdenerwował się Robbo. - Wczoraj kopaliśmy, zajęło nam wiele godzin, żeby wykopać te kilka centymetrów. Nie ma się o co martwić.

Zamyślony Josh kiwał głową.

- A co się stanie, jeśli nie będziemy potrafili go stamtąd wyciągnąć?

- Oczywiście, że będziemy potrafili - uspokajał Robbo. - Po prostu odkręcimy wieko.

- Kończmy już z tym - wtrącił się Luke. - Okej?

- Sam sobie na to zasłużył - zapewniał kolegów Pete. - Pamiętasz, co zrobił w czasie twojego wieczoru kawalerskiego, Luke?

Luke z pewnością nigdy tego nie zapomni. Kiedy obudził się z zamroczenia alkoholowego, stwierdził, że jest w wagonie sypialnym pociągu jadącego do Edynburga. W efekcie spóźnił się prawie godzinę na ślub.

Pete także pamiętał dowcip, którego padł ofiarą. Na tydzień przed ślubem znalazł się na wiszącym moście Clifton Gorge, w damskiej bieliźnie z koronkami, ze sztucznym penisem przypiętym do pasa i do tego zakuty w kajdanki; uratowała go brygada straży pożarnej. Obydwa figle były pomysłami Michaela.

- A Mark jak zwykle - sarknął Pete. - Pieprzony dupek. To on w końcu wszystko to zorganizował, a teraz nie ma go tutaj...

- Przyjedzie. Będzie w następnym barze, zna plan.

- Na pewno?

- Dzwonił, że jest w drodze.

- Będzie w knajpie w Leeds. Wspaniale! - ucieszył się Robbo.

- Będzie na nas czekał w pubie Królewski Dąb.

- Cholerny dupek - dodał Luke - ominie go cała ta ciężka robota.

- I ubaw! - przypomniał mu Pete.

- To ma być ubaw? - zdziwił się Luke. - Sterczenie w środku pieprzonego lasu, kiedy leje jak skurczybyk? To jest ubaw? Boże, jaki ty jesteś żałosny! Dobrze będzie, jak potem pomoże nam wyciągnąć Michaela.

Podnieśli trumnę, zataczając się, postawili ją na krawędzi grobu i energicznie zrzucili na taśmy. Zachichotali, słysząc stłumiony głos ze środka: - Au!

Potem rozległo się głośnie walenie.

- Hej! Wystarczy!

Pete wyciągnął z kieszeni płaszcza walkie-talkie i włączył.

- Testujemy! - powiedział. - Testujemy.

- Żart skończony! - krzyczał Michael.

- Uspokój się! Baw się dobrze!

- Wypuście mnie, dupki! Muszę się wysikać!

Pete wyłączył radio i wepchnął je do kieszeni marynarki.

- Więc o co chodzi dokładnie?

- Podniesiemy za taśmy - objaśnił Robbo. - Każdy za jeden koniec.

Pete sięgnął po radio i włączył je.

- Będziemy cię teraz podnosić, Michael! - I znowu rozłączył się.

Ze śmiechem chwycili za taśmy i zaczęli nieporadnie podnosić.

- Raz... dwa... trzy...! - odliczał Robbo.

- O, kurwa, ale to ciężkie! - sapnął Luke.

Powoli, trzęsąc się niczym tonący statek, trumna zanurzyła się w głębokiej dziurze. Kiedy znalazła się na dnie, ledwie mogli ją zobaczyć. Pete zapalił latarkę i do maleńkiej dziury wyciętej w pokrywie wsunęli rurkę do oddychania.

- Hej, Michael, stoi ci? Podoba ci się gazetka?

- W porządku, żart skończony. Teraz mnie wypuście!

- Wybieramy się do klubu na biegun. Fatalnie, że nie możesz pojechać z nami!

Robbo rozłączył się, zanim Michael zdążył odpowiedzieć. Schował radio do kieszeni, podniósł łopatę i rycząc ze śmiechu, zaczął zrzucać ziemię na wierzch trumny. Z głośnym okrzykiem Pete także chwycił łopatę i dołączył do niego. Ciężko pracowali i wkrótce trumny nie było już widać. Mimo to nie

przerywali, a alkohol podsycił ich szaleństwo. Rurka do oddychania była ledwo widoczna ponad ziemią.

- Hej! - krzyknął Luke. - Hej, przestańcie! Im więcej teraz nasypiecie, tym więcej będziemy musieli odgrzebać za dwie godziny.

- To jest grób! - upierał się Robbo. - Tak się robi z grobami, zakrywa się trumnę!

Luke chwycił jego łopatę.

- Wystarczy! - powiedział stanowczo. - Wieczór chcę spędzić na picciu, a nie na cholernym kopaniu, rozumiesz?

Robbo kiwnął głową, nigdy nie chciał nikogo zdenerwować. Pete, który mocno się spocił, odrzucił łopatę na bok.

- Nie sądzę, abym chciał to robić zawodowo.

Rzucili jeszcze na wierzch kawał karbowanej blachy, potem cofnęli się w milczeniu. Deszcz stukał o metal.

- Okej - powiedział Pete. - Zbieramy się. Luke z powątpiewaniem wsadził ręce do kieszeni.

- Jesteśmy pewni tego, co robimy?

- Zgodziliśmy się, że trzeba dać mu nauczkę - przypomniał Robbo.

- A co będzie, jeśli się zakrztusi albo zwymiotuje, albo stanie się jeszcze coś innego?

- Nic mu nie będzie, nie jest aż tak pijany - zawyrokował Josh. - Idziemy.

Josh wgramolił się na tył samochodu, a Pete, Luke i Robbo ścisnęli się z przodu. Jechali ścieżką pół mili z powrotem, a następnie skręcili w prawo, na główną drogę. Pete włączył radio.

- Jak się masz, Michael?

- Chłopaki, posłuchajcie, nie podoba mi się ten żart.

- Naprawdę? - ironizował Robbo. - A nam bardzo!

Luke wyrwał mu radio.

- To się nazywa słodki smak zemsty, Michael!

Wszyscy czterej ryknęli śmiechem. Teraz była kolej Josha.

- Michael, jedziemy do tego fantastycznego klubu, gdzie najpiękniejsze kobiety ślizgają się gołymi tyłkami po murze. Posikasz się, a nie będziesz tam z nami.

Bełkotliwy głos Michaela brzmiał jak głos zawodzącego chłopaczka.

- Czy możemy już przestać? Naprawdę nie podoba mi się to.

Prowadzący samochód Robbo zobaczył znak informujący o robotach drogowych, a ponieważ miał zielone światło, przyspieszył.

Luke krzyczał zza ramienia Josha.

- Hej, Michael, rozluźnij się, wrócimy za kilka godzin!

- Co znaczy za kilka godzin?!

Światło zmieniło się na czerwone, ale nie było czasu, żeby się zatrzymać. Robbo jeszcze bardziej przyspieszył.

- Daj mi to - powiedział. Jedną ręką chwycił radio, a drugą trzymał kierownicę. Wchodzili właśnie w długi zakręt. Roześmiany nacisnął klawisz rozmowy.

- Hej, Michael.

- ROBBO! - wrzasnął Luke.

Reflektory pędziły prosto na nich. Oślepiały.

A potem rozległo się trąbienie klaksonu, przenikliwe, okrutne.

- ROBBOOOOOOOOO! - wrzeszczał Luke.

Robbo w panice nacisnął pedał hamulca i upuścił krótkofalówkę. Kierownica wyskoczyła mu z rąk. Nie wiedział, gdzie uciekać. Po prawej stronie rosły drzewa, po lewej stała koparka, a z przodu oślepiały go światła.

Michaelowi zakręciło się w głowie. Usłyszał krzyk, potem ostry dźwięk, jak gdyby ktoś upuścił krótkofalówkę.

A potem nastąpiła cisza.

Nacisnął klawisz rozmowy.

- Halo?

Tylko trzaski.

- Halo? Chłopaki!

Nadal nic. Skupił wzrok na klawiszu umożliwiającym jednoczesną rozmowę obu rozmówców. Krótkofalówka miała także klawisze włączania i wyłączania, regulator głośności, przełącznik kanałów i małe, wielkości główki od szpilki zielone światełko. Potem usiłował skupić wzrok na białym atłasie wyścielającym wieko, ale nie potrafił się opamiętać; zaczął oddychać coraz szybciej i szybciej. Ogarniała go panika. Na dodatek chciało mu się sikać.

Gdzie był, do cholery? Gdzie byli Josh, Luke, Pete i Robbo? Czy może stali dookoła niego, zaśmiewając się? Czy też naprawdę poszli do pubu?

A potem uczucie paniki zaczęło ustępować, alkohol ponownie zadziałał. Myśli stały się ciężkie jak z ołowiu, oczy zamknęły się i prawie zasypiał. Kiedy otworzył oczy, atłas zaczął rozmazywać się tak jak fala, która zawsze przyprawiała go o chorobę morską. Do góry. I na dół. Do góry. I na dół. Przełknął ślinę, zamknął oczy. Wirował z zawrotną prędkością,

miął wrażenie, że trumna dryfuje, płynąc to w jedną, to w drugą stronę. Nacisk na pęcherz jakby nieco zelżał. I nagle uczucie choroby morskiej nie wydawało się już takie złe. Było przytulnie. Tak sobie płynął. Jak w wielkim łóżku! Zamknął oczy i zapadł w kamienny sen.



Roy Grace siedzący w swoim podstarzałym alfa romeo tkwił w korku drogowym. Było ciemno, deszcz bębnił o dach; ledwie słyszał muzykę, ale postukiwał rytmicznie palcami w kierownicę. Czuł się spięty. Zniecierpliwiony. Przygnębiony.

W ogóle czuł się do dupy.

Jutro miał stawić się w sądzie i wiedział, że to oznacza kłopoty.

Wypił haust wody, zakręcił butelkę i wcisnął ją z powrotem do schowka w drzwiach. „No dalej, no już!”, powiedział, niecierpliwie postukując palcami. Już miał czterdzieści minut spóźnienia na randkę. Nie znosił się spóźniać, uważał, że jest to oznaka grubiaństwa, to tak jakby się powiedziało: „Mój czas jest ważniejszy niż twój, więc możesz sobie poczekać”. Gdyby tylko wyszedł minutę wcześniej z biura, nie spóźniłby się: ktoś inny mógł odebrać telefon i sprawa dwóch punków, którzy wjechali samochodem do sklepu jubilerskiego w Brighton (byli w euforii, Bóg jeden wie dlaczego) stałaby się problemem jednego z jego kolegów, a nie jego. Ale to był właśnie jeden z minusów roboty w policji - przestępcy nie byli uprzejmi trzymać się godzin pracy.

Wiedział, że nie powinien wychodzić dziś wieczorem, ale zostać w domu i szykować się na jutro. Znowu napił się wody. Usta miał suche, spieczone, a ołowiane motyle ćwiczyły salta w jego żołądku.

W ciągu ostatnich kilku lat przyjaciele namówili go parę razy na randkę i zawsze przed wyjściem był kłębkim nerwów. A dzisiaj, co gorsza, nie miał szansy ani odświeżyć się, ani przebrać. Czul się fatalnie.

Jeden z punków strzelił z obrzyna broni myśliwskiej w stronę policjanta, który podszedł zbyt blisko sklepu, ale na szczęście nie za blisko. Roy wielokrotnie już widział efekty takich bliskich strzałów z dwunastki. Można było stracić rękę czy nogę albo mieć dziurę wielkości piłki futbolowej w klatce piersiowej. Tego glineę, inspektora Billa Greena - Grace znał go, kilka razy grali w rugby w tej samej drużynie - ostrzelano z jakichś trzydziestu metrów. Z tej odległości śrut mógł zaledwie obalić bazanta albo królika, ale nie prawie stukilowego faceta w skórzanej kurtce, który w końcu był filarem młyną w rugby. Tak więc Billa Greena można by uznać za szczęściarza - kurtka osłoniła mu ciało, chociaż kilka kulek raniło go w twarz, a jedna w lewe oko.

W tej chwili przestępcy siedzieli już w areszcie; wcześniej zdążyli jeszcze, uciekając, rozbić swego dżipa. Bez wahania aresztował ich za usiłowanie morderstwa i napad z bronią w rękę, ale przerażało go, że coraz częściej przestępcy posługiwali się bronią. W czasach jego ojca zdarzało się to rzadko, a teraz na porządku dziennym była broń w radiowozach policyjnych. Oczywiście Grace nie był mściwy, ale uważał, że każdy strzelający do policjanta lub niewinnej osoby powinien być powieszony.

Korek na drodze nie przesuwiał się. Spojrzał na zegar, na padający deszcz, znów na zegar i na palące się czerwone światła samochodu stojącego przed nim - głupek włączył światła przeciwmgielne, prawie go oślepiając. Potem zerknął na zegarek na przegubie ręki, mając nadzieję, że ten samochodowy źle chodzi. Ale nie. Minęło mnóstwo minut, a oni nie ruszyli się nawet o cal. Samochody jadące z przeciwka też stały. Nagle w lusterku mignęło mu niebieskie światło, potem usłyszał dźwięk syreny. Przejechał samochód policyjny na sygnale, za nim karetka.

I kolejny pędzący samochód, a za nim dwa wozy strażackie.

Cholera. Kilka dni temu jechał tędy i widział roboty drogowe, był więc pewien, że dlatego zrobił się korek, ale teraz zrozumiał, że musiało dojść do wypadku, a obecność wozów strażackich oznaczała, że do poważnego.

Kolejny wóz strażacki, potem kolejna karetka, a za nimi wóz techniczny potrzebny w takich akcjach ratowniczych.

Znowu popatrzył na zegar: 21.15. Trzy kwadransy temu powinien odebrać ją w Tunbridge Wells, czyli jakieś dwa-dzieścia minut drogi stąd.

Terry Miller, świeżo rozwiedziona inspektor w wydziale Grace'a, ciągle go ponaglała, aby odpowiedział na propozycje randek na stronach internetowych. Roy skutecznie się opierał, a potem nagle zaczął odbierać niedwuznaczne e-maile od różnych kobiet. Szybko ustalił, że to Terry Miller wpisała go na stronie internetowej „Ty i twoja randka”, naturalnie nic mu o tym nie mówiąc.

Wciąż nie rozumiał, co go skłoniło do odpowiedzi na jeden z e-maili. Samotność? Ciekawość? Pożądanie? Przez ostatnie osiem lat każdy dzień spędzał statecznie. Czasami próbował pomnieć, kiedy indziej czuł się winny, że nie pamiętał.

Sandy.

Teraz też czuł się absolutnie winny. Choć wyglądała cudownie - w każdym razie na zdjęciu. Podobało mu się także jej imię. Claudie. Francusko brzmiące, miało w sobie coś egzotycznego. A zdjęcie było pikantne! Bursztynowe włosy, ładna buzia, obcisła bluzka wskazująca na zabójcze rozmiary biustu... no i siedziała na brzegu łóżka w minispódniczce podciągniętej niezwykle wysoko.

Tylko raz rozmawiali przez telefon i praktycznie to ona uwodziła go od początku do końca. Bukiet kwiatów, który kupił na stacji benzynowej, leżał teraz obok niego na siedzeniu pasażera. Czerwone róże - dobrze wiedział, że są banalne, ale to był ten jego staroświecki romantyzm. Ludzie mieli rację, potrzebował zmian.

Mógł policzyć na palcach jednej ręki randki, na które się wybrał w ciągu tych ponad ośmiu lat. Tyle że on nie mógł po prostu zaakceptować żadnej innej kobiety. Czy kiedykolwiek któraś dorówna Sandy?

A może to stałoby się właśnie dzisiaj?

Wyłącz te pieprzone światła przeciwmgielne!

Czuł słodki zapach kwiatów. Miał nadzieję, że on też ładnie pachnie.

W lunie świateł samochodu stojącego przed nim spojrzął w lusterko. Uosobienie smutku.

Musisz coś zmienić w życiu.

Łyknął trochę wody.

Za dwa miesiące skończy trzydzieści dziewięć lat. Za dwa miesiące kolejna rocznica. Dwudziestego szóstego lipca minie dziewięć lat, odkąd odeszła Sandy. Właśnie w jego trzydzieste urodziny jakby rozplynęła się w powietrzu. Żadnej wiadomości. Wszystkie jej rzeczy nadal są w domu, wszystkie z wyjątkiem jej torebki.

Po siedmiu latach mógł wystąpić o oficjalne uznanie jej za martwą. Jego matka umierająca w hospicjum na raka, jego siostra, jego najbliżsi przyjaciele i jego psychoanalityk, wszyscy mówili, że powinien tak zrobić.

Nigdy się na to nie zdecyduje.

John Lennon powiedział: „To, co ci się przydarza, dzieje się wtedy, kiedy jesteś zajęty innymi planami”. I to była prawda, do cholery.

Do trzydziestego szóstego roku życia często wyobrażał sobie, że jest z Sandy i mają rodzinę. W jego marzeniach zawsze pojawiała się trójka dzieci, dwóch chłopców i dziewczynka. Weekendy spędzałby z nimi. Rodzinne wakacje. Wyjazdy na plażę. Jednodniowe wycieczki do parków zabawy, wspólne gry. Wieczorne pomaganie w zadaniach domowych. Wszystkie te przyjemne rzeczy, które robił ze swoimi rodzicami.

A potem trawił go niepokój, który nie opuszczał go nawet we śnie. Czy Sandy żyła? Poświęcił osiem lat i dziesięć mie-

sięcy, próbując dowiedzieć się czegoś, i nie zbliżył się do prawdy.

W jego życiu tylko praca miała teraz sens. Nie był w stanie, a może nie chciał próbować zawierać nowej znajomości. Każda kolejna randka okazywała się katastrofą. Czasami miał wrażenie, że jedynym towarzystwem w jego życiu jest złota rybka Marlon - wygrał go podczas zawodów strzeleckich w lunaparku. Tyle że Marlon nie był zbyt kontaktowy. Roy doszedł w końcu do wniosku, że prawdopodobnie dlatego właśnie się lubili.

Czasami wolałby nie być policjantem; miałby mniej absorbującą pracę, którą kończyłby o piątej, potem szedłby do pubu, następnie do domu, gdzie mógłby wyciągnąć nogi przed telewizorem. Normalne życie. Ale to by też mu nie pomogło. Był zbyt uparty, albo może zdeterminowany, pewnie odziedziczył to po ojcu, który przez całe życie bezlitośnie wymagał od niego, aby tropił fakty, tropił prawdę. To geny sprawiły, że znalazł się w policji i wyjątkowo szybko awansował na szefa pionu dochodzeniowo-śledczego. Ale to nie zapewniało mu wewnętrznego spokoju.

Raz jeszcze spojrzął w lusterko i skrzywił się, patrząc na swoje odbicie, na krótko obcięte włosy, na krzywy nos, efekt złamania w czasie bójki, kiedy był jeszcze gliniarzem od bijatyk.

Na pierwszej randce Sandy powiedziała mu, że ma oczy jak Paul Newman. Bardzo mu się to spodobało. Tak jak milion innych rzeczy. Ale najbardziej to, że wszystko w nim kochała bezwarunkowo.

Roy wiedział, że fizycznie jest całkiem przeciętny. Miał metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i ledwie przekroczył minimum wymagane podczas przyjęcia do policji; mimo pociągu do alkoholu, nieudanych prób rzucenia palenia, dzięki ciężkiej pracy w policyjnej siłowni miał jednak niezłą sylwetkę. Do tego codziennie biegał i od czasu do czasu grywał w rugby, zazwyczaj na skrzydle.

Spojrzał na zegarek - 21.20.

Do diabła.

Naprawdę nie chciał zarywać nocy. Nie mógł sobie na to pozwolić. Następnego dnia miał stawić się w sądzie i powinien się solidnie wyspać. Myśl o czekającym przesłuchaniu budziła w nim niepokój.

Nagle zrobiło się bardzo jasno i usłyszał ogłuszający łoskot helikoptera. Po chwili światło przesunęło się do przodu, helikopter zaczął się obniżać.

Wybrał numer na komórce.

- Witam, tu inspektor Grace. Siedzę w korku na drodze A26 na południe od Crowborough, mam wrażenie, że to z powodu wypadku. Czy mógłbym uzyskać jakieś informacje?

Połączono go z biurem centrali operacji.

- Witam pana, nadinspektorze, zdarzył się poważny wypadek. Mamy meldunki o ofiarach śmiertelnych i ludziach, którzy są uwięzieni. Jeszcze przez jakiś czas droga będzie zablokowana, najlepiej byłoby zawrócić i pojechać inną trasą.

Roy Grace podziękował i rozłączył się. Potem wyciągnął notatnik z kieszeni, odszukał numer Claudie i przesłał jej wiadomość. Prawie natychmiast odpisała, żeby się nie martwił i przyjechał wtedy, kiedy będzie mógł.

To też mu się w niej spodobało.

I pozwoliło zapomnieć o jutrze.

## Rozdział

# 4

Przejażdżki takie jak ta nie zdarzają się zbyt często, ale kiedy już się trafią, to są dla Daveya prawdziwą frajdą. Chłopak siedział przypięty pasami na siedzeniu obok ojca. Nagle przemknął obok nich z wyciem syreny samochód policyjny błyskający niebieskimi światłami. Jechał pod prąd, wymijając auta stojące w korku. O rany, to było tak dobre jak przejażdżka w lunaparku, do którego kiedyś ojciec go zabrał.

- Juhu! - pokrzykiwał gromko. Davey jak większość chłopaków był uzależniony od amerykańskich programów telewizyjnych o policjantach i dlatego lubił mówić z amerykańskim akcentem. Czasami udawał, że jest z Nowego Jorku, czasami, że z Missouri, a niekiedy z Miami. Ale zazwyczaj bywał z Los Angeles.

Phil Wheeler, potężny facet z ogromnym brzuchem - od piwa - ubrany w brązowy kombinezon, wytarte buty i czarną jarmułkę, uśmiechał się do syna. Wiele lat temu jego żona przeżyła załamanie i odeszła, pozostawiając mu Daveya. Przez ostatnie siedemnaście lat wychowywał go samotnie.

Wiele godzin spędzali razem w jego samochodzie pomocy drogowej, ozdobionym z obu stron napisem „Powypadkowy serwis Wheelera”. Zatrzymali się przed policyjną barierką chroniącą miejsce wypadku. W blasku reflektorów widać było pokiereszowane przednie zawieszenie vana transita, który nadal był wbity w przedni zderzak ciężarówki z

cementem, reszta samochodu, zmiądzona jak puszka po coli, leżała na boku w połamanym żywopłocie.

Niebieskie światła ślizgały się w poprzek mokrego asfaltu i zielonej krawędzi drogi. Stały tu wozy strażackie, samochody policyjne i karetka, a dookoła tłum ludzi, strażaków i policjantów. Jeden gliniarz zmiatał miotłą szkło z drogi.

Błysnął policyjny aparat fotograficzny. Dwaj policjanci rozciągali taśmę pomiarową. Wszędzie lśniły metal i odłamki szkła. Phil Wheeler dostrzegł wśród rozrzuconych rzeczy jakąś klamrę, jeden adidas, koc, marynarkę.

- Wygląda to na porządną stłuczkę, prawda tato? - Dzisiaj mówił akcentem z Missouri.

- Okropną.

Na przestrzeni lat Phil Wheeler uodpornił się i nic chyba nie było go już w stanie szokować. Oglądał tyle wypadków samochodowych; najbardziej utkwił mu w pamięci obraz biznesmena bez głowy, nadal ubranego w garnitur, koszulę i krawat, uwięzionego za kierownicą czegoś, co kiedyś było ferrari.

Davey, który właśnie skończył dwadzieścia sześć lat, ubrany był w strój New York Yankees, wełnianą kurtkę założoną na koszulę w jaskrawą szachownicę, dżinsy i porządne buty, a na głowie miał bejsbolówkę założoną daszkiem do tyłu. Davey lubił ubierać się tak, jak w telewizji ubierali się Amerykanie. W rozwoju umysłowym zatrzymał się na poziomie sześciolatka, ale fizycznie rozwinął się wspaniale. Jego niezwykła siła często okazywała się przydatna w nagłych wypadkach. Davey potrafił gołymi rękami zgiąć cienką blachę, a pewnego razu podniósł przód samochodu, żeby uwolnić motocykl, który się z nim zderzył.

- Fatalną - dodał Wheeler.

- Sądzę, że są ofiary w ludziach, co tato?

- Mam nadzieję, że nie, Davey.

- Uważam, że mogą być.



Do ich samochodu podszedł policjant z drogówki, w czapce z daszkiem i żółtej odblaskowej kamizelce. Phil otworzył okienko, rozpoznał posterunkowego.

- Dobry wieczór, Brian. Niezły bałagan.
- Zaraz będzie tu dźwig i ściągnie ciężarówkę. A ty mógłbyś zająć się vanem?
- Nie ma sprawy. Co się stało?
- Czołowe zderzenie transita i ciężarówki. Będziemy potrzebowali ciężkiego sprzętu.
- Na pewno to uporządkują.

Davey wziął latarkę i wysiadł z samochodu. Podczas gdy ojciec rozmawiał z jednym z policjantów, oświetlał plamy ropy i pianę na drodze, potem bacznie przyglądał się karetkie pogotowia i zastanawiał się, co też tam w jej środku się dzieje.

Prawie dwie godziny zajęło zebranie wszystkich części transita, załadowanie ich i umocowanie łańcuchami na platformie. Potem ojciec i policjant z drogówki odeszli na bok zapalić papierosa, a Davey poszedł z nimi, bawiąc się zapalniczką. Karetki i większość samochodów odjechała, a ogromny wóz z wysięgnikiem podnosił przód ciężarówki.

Deszcz przestał padać i księżyc świecił pomiędzy chmurami. Ojciec i Brian rozmawiali teraz o wędkowaniu - najlepsza pora na łowienie karpi. Davey czuł się znudzony i chciało mu się sikać, ruszył więc przed siebie, wypatrując nietoperzy na niebie. Lubił nietoperze, myszy, szczury, nornice... Właściwie lubił wszystkie zwierzęta. Zwierzęta nigdy nie śmiały się z niego, tak jak ludzie, kiedy jeszcze chodził do szkoły. Może wybierze się popatrzeć na domki borsuków. Lubił przesiadywać tak w świetle księżycy i obserwować ich zabawy.

Świecąc sobie latarką, przeszedł kilka kroków w stronę krzaków, rozpiął rozporek i obsikał kępkę pokrzyw. Nagle, kiedy kończył, usłyszał gdzieś przed sobą jakiś głos. Przeraził się piekielnie.

- Hej, jest tam kto?

Trzeszczący, bezcielesny głos.

Davey podskoczył.

I znów ten głos:

- Halo?

- Cholera!

Omiótł światłem latarki zarośla, ale nikogo nie zauważył.

- Halo? - odrzyknął. W chwilę później ponownie usłyszał głos.

- Halo? Halo? Josh? Luke? Pete? Robbo?

Davey skierował promień światła w lewo, w prawo, a potem do przodu, przez moment w świetle pojawił się ogon królika i zniknął. To był jakiś dziwny, szeleszczący dźwięk.

- Halo, kto tam jest?

Zaległa cisza. Syknięcie. Trzask. A potem w odległości tylko kilku stóp znów rozległ się głos.

- Halo? Halo? Halo?

Coś błysnęło w krzakach. Uklęknął. Radio z anteną. Podniecony przyjrzał mu się bliżej i stwierdził, że to krótkofalówka.

Była cięższa, niż przypuszczał, zimna i mokra. U dołu zobaczył duży, zielony przycisk z napisem „Mówić”.

Przycisnął więc i powiedział:

- Halo!

Głos od razu odpowiedział:

- Kto tam jest?

W tej samej chwili usłyszał wołanie:

- Davey!

To ojciec.

- W porządku, idę - odrzyknął.

Idąc w stronę drogi, nacisnął klawisz ponownie.

- Mówi Davey! - powiedział. - Kim jesteś?

- DAVEY!

Znowu ojciec.

Zdenerwowany upuścił krótkofalówkę. Walnęła tak mocno, że obudowa pękła, a baterie rozsypały się.

- IDE!

Ukląkł, pozbierał wszystkie kawałki i wepchnął ukradkiem do kieszeni kurtki.

- Idę, tato! - krzyknął. - Muszę się tylko wysikać!

Trzymając rękę w kieszeni, aby ukryć wybrzuszenie, pośpieszył w stronę ciężarówki.

Michael nacisnął klawisz.

- Davey?

Cisza.

Znowu nacisnął.

- Davey? Halo? Davey?

Biało-atłasowa cisza. Przerażająca cisza dosłownie go przygniatała. Próbował poruszyć rękami, ale z równą siłą ściany naciskały na niego. Usiłował wyprostować nogi, ale także napotykały opór. Krótkofalówka leżała na jego pierśsiach, a on bezskutecznie pchał atłasowy dach, który znajdował się w odległości zaledwie kilku centymetrów od jego oczu. To było jak walka z betonową ścianą.

Wówczas chwycił rurkę i usiłował zerknąć przez nią. Kilka razy próbował zagwizdać, ale usłyszał tylko żałosny dźwięk.

Ponownie osłabi. W głowie mu huczało, czuł coraz mocniejsze parcie w pęcherzu.

- Davey! Davey! Muszę się odlać. Davey!

Cisza.

Jako doświadczony żeglarz umiał się posługiwać takimi krótkofalówkami. Postanowił wypróbować inny kanał. Znalazł przełącznik, okazało się jednak, że nie działał. Nacisnął mocniej, bezskutecznie. I nagle zrozumiał dlaczego - był po prostu zaklepany. Nie mógł wybrać kanału 16, międzynarodowego, którego używa się w nagłych wypadkach.

- Hej! Dranie, już wystarczy. No, cieszcie się, doprowadziliście mnie do rozpacz!

Trzymał krótkofalówkę przy uchu i nasłuchiwał.

Nic.

Położył krótkofalówkę na piersiach, a potem powoli, z wielkim trudem, wsunął prawą rękę do kieszeni marynarki i wyciągnął telefon komórkowy. Nacisnął klawisz i telefon zaświecił się. Ucieszył się, ale zaraz okazało się, że nie ma sygnału.

- Cholera!

Przeszukał listę adresową, aż natrafił na numer Marka, kolegi z pracy.

Pomimo braku sygnału wybrał numer.

Cisza.

Próbował jeszcze wybrać numery Robbo, Pete'a, Luke'a, Josha... z każdą chwilą był coraz bardziej zdesperowany.

Ponownie nacisnął klawisz krótkofalówki.

- Chłopaki! Słyszycie mnie? Do jasnej cholery, wiem, że mnie słyszycie!

Nic.

Komórka wskazywała aktualny czas - 23.13.

Unióś lewą rękę tak, aby zobaczyć zegarek - 23.14.

Starał się przypomnieć, o której godzinie ostatni raz patrzył na zegarek.

Minęły dwie godziny. Zamknął oczy. Próbował zrozumieć, co dokładnie się stało. W prawie oślepiającym świetle latarki zobaczył butelkę sterczącą koło szyi i czasopismo. Z trudem przesunął pismo na klatkę piersiową, potem manewrował tak, aż znalazło się przed jego twarzą i wtedy nagle został dosłownie przytłoczony przez ogromne, atrakcyjne piersi - rozmazane, bo zwisały zbyt blisko jego oczu.

Dranie!

Ponownie nacisnął klawisz na krótkofalówce.

- Bardzo śmieszne! A teraz wypuście mnie, proszę!

Żadnej reakcji.

Kim do cholery jest Davey?

W gardle mu zaschło. Musiał się napić wody. Kręciło mu się w głowie. Chciał być w domu, w łóżku z Ashley. Będą razem, już wkrótce. Musi tylko poczekać. Jutro ich dopadnie.

Powróciły mdłości. Zamknął oczy. Płynął. Dryfował. Zapadł w sen.

Na koniec tego gównianego lotu samolot zatrząsł się w ogłuszającym łaskocie i koła grzmotnęły o asfalt. Stało się to dokładnie pięć i pół godziny później, niż przewidywał rozkład. Mark Warren był wyczerpany i miał już wszystkiego dosyć. Pas bezpieczeństwa wrzynał mu się w brzuch, który już i tak cierpiał z powodu zbyt dużej ilości precli i musaki, obrzydliwego dania kuchni greckiej, jakim go raczono. Żałował, że w ogóle jadł. Rzucił raz jeszcze spojrzenie na zdjęcie ferrari 365 zamieszczone w magazynie motoryzacyjnym.

Pożądaj cię, kotku, pomyślał. Tak mocno cię chcę! O tak!

Za oknem błysnęły rozmywające się światła pasa startowego, a potem zabrzmiał czarujący głos pilota. Raz jeszcze przeproszał, tłumacząc spóźnienie mgłą.

Cholerna mgła. Cholerna angielska pogoda. Mark marzył o czerwonym ferrari, domu w Marbella, życiu w słońcu i byciu z kimś, z kim mógłby to wszystko dzielić. O jednej wyjątkowej kobiecie. Jeżeli uda mu się wynegocjować korzystną umowę dotyczącą pewnych nieruchomości, będzie o krok bliżej dwu z tych marzeń - domu i ferrari. Kobieta to był osobny problem. Znużony odpiął pas, spod fotela wygrzebał aktówkę i wepchnął magazyn do środka. Następnie wstał i zbyt zmęczony, żeby martwić się o swój wygląd, rozluźnił krawat i wyjął płaszcz przeciwdeszczowy ze schowka. Potem wmieszał się w tłum pasażerów.

W przeciwieństwie do swojego partnera, który zawsze ubierał się niechlujnie, Mark zwykle przesadnie nawet dbał o swój wygląd. Ale jak na dwudziestoosmiolatka jego ubrania były zbyt staroświecko skrojone i zbyt nieskazitelne; zawsze wyglądały jak zdjęte prosto z wieszaka. Lubił wyobrażać sobie, że świat postrzega go jako biznesmena o szlacheckim pochodzeniu, ale w rzeczywistości wyglądał na kogoś, kto chce po prostu coś sprzedać.

23.48. Włączył komórkę i natychmiast rozległo się ostrzegawcze piknięcie - wyładowana. Wsunął ją do kieszeni. Zrobiło się cholernie późno, o wiele za późno. Wszystko, czego teraz chciał, to pojechać do domu i położyć się do łóżka.

Godzinę później wjechał srebrnym bmw XS do garażu w budynku Van Allen, potem windą pojechał na czwarte piętro i wszedł do mieszkania.

Kupno tego apartamentu nadwreżyło mocno jego finanse, ale dzięki temu stał wyżej w hierarchii świata. Imponujący, nowoczesny budynek stojący od strony nadbrzeża, w którym mieszkało wielu znanych ludzi, to było coś. Jeżeli zamieszkałeś w Van Allen, stawałeś się kimś. Jeśli byłeś kimś, znaczyło, że jesteś bogaty. A Mark zawsze miał tylko jeden cel w życiu - być bogatym.

Światelko poczty głosowej mrugało na niego z daleka, ale postanowił je zignorować na chwilę. Odłożył aktówkę, podłączył komórkę do ładowarki, a następnie podszedł do barku i nalał sobie kilka kropel whisky. Potem podszedł do okna i patrzył na miasto. Widział błyszczące światła Pałacu Pier i atramentową ciemność morza.

Wtem komórka gwałtownie piknęła. Wiadomość. Spojrzał na wyświetlacz - czternaście nowych wiadomości. Cholera!

Pierwsza od Pete'a - o 19.00 pytał go, gdzie się znajduje. Drugą wysłał Robbo o 19.45 - informacja, że przenoszą się do kolejnego pubu, Lamb w Rile. Trzecia o 20.30, od zalanych Luke'a i Josha z Robbo w tle - przemieszczali się do pubu Cock na drodze do Uckfield.



Następne dwie pochodziły od agenta nieruchomości, a dotyczyły ich umowy z Leeds, i od prawnika z firmy.

Szósta, z 23.05, od bardzo roztrzęsionej Ashley. Jej głos wystraszył go; zwykle Ashley była spokojna i opanowana.

I znowu Ashley; tym razem spanikowana. I kolejne dwie, jedna po drugiej, w odstępie dziesięciu minut. Dziesiąta od matki Michaela. Ona też sprawiała wrażenie zrozpaczonej.

- Mark, zostawiłam ci także wiadomość na telefonie stacjonarnym. Proszę, zadzwoń do mnie tak szybko, jak tylko odsluchasz, nieważne o której godzinie.

Mark zatrzymał sekretarkę. Co, do diabła, się działo?

I ponownie telefon od Ashley; wydawała się bliska histerii.

- Mark, zdarzył się straszny wypadek. Pete, Robbo i Luke nie żyją. Josh żyje, jest na OIOM-ie. Nikt nie wie, gdzie jest Michael. O Boże, Mark, zadzwoń do mnie, jak tylko otrzymasz tę wiadomość.

Mark powtórnie odsluchiwał, prawie nie wierząc w jej słowa. Usiadł ciężko na kanapie. O Jezu!

Nalał sobie kolejną, tym razem solidną porcję whisky i podszedł do okna. Gapił się na promenadę, obserwował ruch uliczny, a potem morze. Na horyzoncie widział dwie maleńkie plamki światła - jakiś frachtowiec albo tankowiec.

Gdyby samolot się nie spóźnił, też byłby ofiarą wypadku.

Sączył whisky. Kiedy telefon zadzwonił, spojrzął na wyświetlacz. Numer Ashley. Po czterech dzwonekach wyłączyła się. Chwilę później zadzwoniła komórka. Ashley. Zawahał się, a potem nacisnął przycisk „zakończ” i wysłał wiadomość do poczty głosowej. Wyłączył telefon i usiadł ze szklanką w dłoni.

Kostki lodu brzęczały w szkle. Dłonie mu się trzęsły. Uświadomił sobie, że cały drży. Wstał i włączył muzykę. Mozart zawsze pomagał mu się skupić, a on miał wiele do przemyślenia.

Gapił się na whisky, skupiając spojrzenie na kostkach lodu, jakby go czarowały. Po godzinie sięgnął po telefon i wybrał numer.

Parcie było coraz silniejsze. Ściskając uda, wstrzymując oddech i zaciskając oczy, Michael usiłował odsunąć niebezpieczeństwo zsikania się w spodnie. Nie mógł do tego dopuścić, nie mógł znieść myśli o ich śmiechu, kiedy przyjdą i znajdą go zmoczonego.

Ale sytuacja się pogarszała. Biały atlas wydawał się kurczyć wokół niego, niepokojąco przybliżać do jego twarzy.

W promieniu latarki Michael spojrzał na zegarek - 2.47.

Cholera.

W co oni się bawili? Gdzie byli, do cholery? Szaleli, nie myśląc o nim, w jakimś nocnym klubie?

Wpatrywał się w atlas. W głowie mu huczało, miał wysuszone usta, ból pęcherza rozchodził się po całym ciele. Nie wiedział, jak długo zdoła się jeszcze powstrzymać.

Walił przegubami w wieko i wrzeszczał „Hej! Dranie!”. Bez rezultatu.

Popatrzył na komórkę. Brak sygnału. Mimo to wybrał numer Luke'a. Gwałtowne piknięcie i informacja „Brak sygnału”.

Wtedy zaczął dłużyć przy krótkofalówce. Włączył ją i wołał kolejno przyjaciół, a potem tego, czyj głos słabo pamiętał.

- Davey? Halo, Davey?

Wody. Jego usta były suche, a język obłożony. Czy zostawili mu jakąś wodę? Uniósł lekko głowę i zobaczył błysk butelki. Sławna Whisky Grouse.

Rozczarowany złamał pieczęć, odkręcił nakrętkę i wypił haust. Przez chwilę wspaniałe uczucie płynu w ustach. A potem ogień. Mimo to poczuł się trochę lepiej. Wypił kolejny łyk, potem trzeci.

Zamknął oczy. Ból głowy trochę ustąpił. Pragnienie sika-  
nia także.

- Dranie... - mamrotał.

Ashley, opierająca się o ladę rejestracji OIOM-u szpitala w Sussex, wyglądała jak duch. Jej bezbronność sprawiła jednak, że w oczach Marka była jeszcze piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem.

Skołowany, po nieprzespanej nocy, ale ubrany w elegancki garnitur oraz nieskazitelne, czarne mokasyны marki Gucci, podszedł, objął ją ramieniem i przytulił mocno. Szpitale go przerażały. Zwłaszcza od czasu choroby ojca; ten bliski zawału serca człowiek, zawsze tak silny, wyglądał na szpitalnym łóżku niezwykle żałośnie i beznadziejnie, a na jego twarzy malował się strach.

Przycisnął Ashley mocno. Tuż koło jej głowy, na zielonym ekranie komputera mrugnął kursor.

Ashley trzymała się go kurczowo, jakby był ostatnią deską ratunku.

- Mark, dzięki Bogu, że jesteś.

Jedna z pielęgniarek wypisywała dokumenty, druga rozmawiała przez telefon chyba z krewnym jakiegoś pacjenta.

- To jest okropne - powiedział Mark. - Nie do wiary. Ashley kiwnęła głową, z trudem przełykając ślinę.

- Gdybyś i ty był na tym spotkaniu, też byś...

- Wiem. Nie mogę przestać o tym myśleć. Co z Joshem? Włosy Ashley pachniały świeżością, a w oddechu wyczuł

ślad czosnku. Wczoraj wieczorem dziewczęta miały wieczór panieński gdzieś we włoskiej restauracji.

- Niedobrze. Jest z nim Zoe.

Wskazała palcem. Mark spojrział, po drugiej stronie, daleko, aż na końcu oddziału zobaczył siedzącą żonę Josha. Miała na sobie białą koszulkę, dresową bluzę i rozciągnięte spodnie. Niesforne blond loki zakrywały jej twarz.

- Michael wciąż się nie pojawił. Mark, gdzie on jest? Na pewno musisz wiedzieć.

Pielęgniarka odłożyła słuchawkę, ale telefon natychmiast ponownie zadzwonił.

- Nie mam pojęcia. Zupełnie nie mam pojęcia.

Popatrzyła na niego surowo.

- Ale przecież planowaliście to od tygodni. Lucy powie działa, że zamierzaliście odpłacić mu za te wszystkie kawały, które on zrobił innym na tych waszych idiotycznych wieczorach kawalerskich.

Cofnęła się o krok i odrzuciła włosy z czoła. Mark dostrzegł, że tusz na rzęsach jej się rozmazał; rękawem przecierała oczy.

- Może chłopcy w ostatniej chwili zmienili zdanie - powiedział. - Pewnie, że myśleli o tym, by go upić i wsadzić do samolotu lecącego gdzieś na koniec świata, ale udało mi się ich od tego odwieść - przynajmniej tak mi się wydawało.

Posłała błady uśmiech zrozumienia, a on wzruszył ramionami.

- Wiedziałem, że będziesz się martwić, że zrobiliśmy coś głupiego.

- Strasznie się martwiłam. - Spojrzała na pielęgniarkę i pociągnęła nosem. - Więc gdzie on jest?

- A na pewno nie siedział w samochodzie?

- Z pewnością. Dzwoniłam na policję, a oni powiedzieli, że... powiedzieli... oni... - Zaczęła szlochać.

- Co powiedzieli?

- Że go nie znaleźli.

Szlochała, starając się opanować.

- Mówią, że sprawdzili cały teren dookoła miejsca wypadku i że nie ma żadnych jego śladów. Ze prawdopodobnie śpi gdzieś pijany.

Mark czekał, aż się uspokoi, ale ona cały czas płakała.

- Może to prawda.

Potrząsnęła głową.

- Obiecał mi, że się nie upije.

Mark popatrzył na nią. Po chwili pokiwała ze zrozumieniem głową.

- To był jego wieczór kawalerski, tak? To jest to, co robicie na takich imprezach, prawda? Zalewacie się w trupa.

Mark gapił się na szarą wykładzinę podłogową.

- Chodźmy do Zoe - powiedział wreszcie.

Ashley poszła za nim przez oddział.

Zoe była piękna i szczupła, a dzisiaj wydała się Markowi jeszcze szczuplejsza. Położył rękę na jej ramieniu, czując twardą kość pod delikatnym materiałem.

- Jezu, Zoe, przykro mi.

Zareagowała ledwo widocznym poruszeniem ramion.

- Jak on się czuje? - Mark miał nadzieję, że niepokój w jego głosie brzmiał szczerze.

Zoe popatrzyła na niego. Jej oczy były przenikliwie zimne, a policzki prawie półprzezroczyste, bez makijażu, ze śladami łez.

- Nic więcej nie mogą zrobić. Operowali go, teraz pozostało tylko czekać.

Mark stał, wpatrując się w Josha, w jego zamknięte oczy, w posiniaczoną i pokaleczoną twarz. Rannego podłączono do kroplówki, cienka rurka wsunięta była do jego nosa, a gruba do ust - maszyna ułatwiała mu oddychanie. Spod prześcieradła wychodziły liczne przewody prowadzące do aparatów, a na monitorach wyświetlały się cyferki i diagramy. Jego przyjaciel wyglądał jak obiekt przedziwnych eksperymentów.

Mark obserwował monitory, starając się zrozumieć, co znaczą wyświetlane na nich dane. Starał się przypomnieć sobie to, co mu tłumaczyli lekarze, kiedy stał w takim samym pokoju obok łóżka umierającego ojca - EKG, ciśnienie krwi...

I myślał. Josh zawsze miał wszystko. Bogaci rodzice, dobry wygląd, perspektywy. Miał szczegółowo zaplanowaną przyszłość. Pracował w ubezpieczeniach jako likwidator szkód, potrafił liczyć i bez końca mówił o planach pięcioletnich, dziesięcioletnich, o celach życiowych. Jako pierwszy z paczki ożenił się, a dzieci chciał mieć wcześniej, żeby być jeszcze wystarczająco młody i cieszyć się życiem, kiedy one dorosną. Poślubienie słodkiej, ślicznej, bogatej Zoe, gotowej natychmiast rodzić dzieci, pozwoliło mu realizować jego plan.

Mark rozejrzał się, popatrzył na pielęgniarki, na lekarzy, notując ich miejsca, a potem na kroplówkę Josha. Spojrzał na respiratory, na aparat EKG. Ostrzegawcze sygnalizatory włączyłyby się, gdyby tempo pracy serca spadało zbyt nisko. Lub poziom tlenu we krwi schodził poniżej normy

Gdyby Josh przeżył, byłby to problem; w nocy, kiedy myślał o tym wszystkim, nie mógł zasnąć, a potem przyznał, że tej opcji nie brał pod uwagę.

Roy Grace zawsze uważał, że sala sądowa nr 1 została zaprojektowana tak, by zastraszać i budzić respekt. Nie różniła się właściwie od pozostałych sal w tym budynku, a mimo wszystko takie wywierała wrażenie. Utrzymana była w stylu neoklasycystycznym - wysokie sklepienie, galeria dla widzów, ściany pokryte dębowymi panelami, ciemne dębowe ławki i ława oskarżonych oraz trybuna z balustradą dla świadków.

Sprawie przewodniczył ubrany w perukę sędzia Driscoll. Siedział, drzemiąc, na czerwonym krześle ustawionym pod herbem, a miejsce to wyglądało jak scena teatralna.

Grace stał na miejscu dla świadka, elegancko ubrany w granatowy garnitur, białą koszulę, ciemny krawat, na nogach miał wypolerowane, czarne, sznurowane buty; wyglądał dobrze, ale w głębi duszy nie czuł się pewnie. Był nie tylko niewyspany, ale i nerwy robiły swoje. Trzymając Biblię w ręce, klepał przysięgę; ileż to już razy wypowiadał te słowa.

Ława przysięgłych wyglądała tak, jak zwykle wyglądają ławy przysięgłych - przypominała grupę turystów pozostawionych samym sobie na dworcu autobusowym. Nieuporządkowany tłum ludzi; krzykliwe swetry, rozpięte koszule i marszczone bluzki, a na ich tle dwa rzędy twarzy. Na pulpicie dzbanki z wodą, kubeczki, notatniki i luźne kartki. Za sędzią stały: odtwarzacz wideo, rzutnik i olbrzymi magnetofon. Poniżej stołu sędziowskiego siedziała stenografka.



Galerię zapełniali dziennikarze i widzowie. Nic tak nie przyciąga gapiów, jak proces o morderstwo. A ten proces uznano procesem roku.

Wielki triumf Roya Grace'a.

Siedzący na ławie oskarżonych Suresh Hossain był otyły, miał twarz pokrytą śladami po ospie, przyлизane, szesane do tyłu włosy, miał na sobie brązowy garnitur w białe prążki i fioletowy, atlasowy krawat. Beznamiętnym spojrzeniem obrzucał salę, jak gdyby miejsce należało do niego, a cały ten proces przygotowano wyłącznie dla jego rozrywki. Mułowata szuja, właściciel slumsów. Przez ostatnią dekadę wymykał się policji, ale Roy Grace wsadził go wreszcie za kratki. Za spisek w celu morderstwa. Jego ofiarą był również nieciekawym rywal biznesowy, Raymond Cohen. Gdyby proces przebiegał tak, jak powinien, to Hossaina skazano by na spędzenie za kratkami więcej lat, niż zdołałby przeżyć; przez te lata setki porządnych obywateli Brighton i Hove cieszyłyby się życiem w swoich domach uwolnione od widma tego fagasa, który potrafił każdą godzinę zamienić im w piekło.

Myśli Roya krążyły wokół wczorajszego wieczoru. „Claudine, Claudine, cholerne Lamont”. Przyjechał na randkę spóźniony godzinę i trzy kwadranse. Jej zdjęcie z randkowej strony internetowej, mówiąc delikatnie, było co najmniej od dziesięciu lat nieaktualne; zapomniała też wspomnieć, że nie pije alkoholu, jest weganą i nienawidzi glińiarzy, a interesuje się wyłącznie dziewięcioma ocalonymi kotami.

Grace tymczasem lubił psy. Nie miał nic konkretnego przeciwko kotom, ale nigdy z żadnym nie był tak związany jak z każdym napotkanym psem. Po ponad dwóch godzinach spędzonych w beznadziejnej wegetariańskiej restauracji w Guildford, pouczany i dręczony na temat wolnej duszy kotów, ciemiejącej natury brytyjskich policjantów i ludzi, którzy postrzegają kobiety wyłącznie jako obiekt seksualny, Grace uciekł, i poczuł ogromną ulgę.

A teraz znowu miał być maglowany.

Obróńca Richard Charwell, który zaskoczył wszystkich, wzywając go na świadka, stał teraz w aroganckiej postawie, którą podkreślały szara peruka, czarna toga i zaciśnięte usta skrzywione w grymasie uśmiechu. Grace spotkał się już z nim wcześniej i nie przeżył miłego doświadczenia. W ogóle nie cierpiał prawników. Prawnicy, procesy - wszystko to stanowiło grę. Nigdy nie musieli nigdzie jeździć i narażać życia, łapiąc przestępców. I nie miało dla nich żadnego znaczenia, jaka zbrodnia została popełniona.

- Pan jest Roy Grace, nadinspektor policji z wydziału kryminalnego w Sussex House, Hollingbury, Brighton? - pytał adwokat.

- Tak - odpowiedział Grace. Jego głos, zazwyczaj zdecydowany, zabrzmiał teraz jak rechot.

- I miał pan do czynienia z tą sprawą?

- Tak. - Kolejny zdławiony odgłos z wyschniętych ust.

Na moment zapadła cisza. Charwell panował nad całym sądem. To był doskonały aktor, umiał uzyskać efekt nagłej zmiany, sugerującej, że oto został nowym przyjacielem Roya.

- Inspektorze, zastanawiam się, czy może nam pan pomóc w pewnej sprawie. Czy posiada pan jakąś wiedzę na temat buta, który łączy się z tą sprawą? Brązowy mokasyn z krokodylej skóry ze złotym łańcuszkiem?

Grace patrzył zdumiony przez kilka chwil.

- Tak, posiadam. - I nagle ogarnęła go panika. Nim adwokat zadał kolejne pytanie, przeczuwał już, jak wszystko może się potoczyć.

- Czy może nam pan powiedzieć, od kogo wziął pan ten but?

- Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

- A ja myślę, że pan bardzo dobrze to wie.

Sędzia Driscoll, człowiek porywczy, zdenerwowany tym, że przerwano mu drzemkę, wtrącił się:

- Panie Charwell, proszę przejść do rzeczy. Po całym dniu jeszcze nic nie mamy.

- Oczywiście, wysoki sędzie - odpowiedział adwokat z obłudnym uśmiechem.

A potem ponownie zwrócił się do Grace'a.

- Inspektorze, czy prawdą jest, że zniszczył pan główny dowód rzeczowy w sprawie? To znaczy ten but?

Podniósł but ze stołu, na którym zgromadzone były dowody rzeczowe, i trzymał go niczym sportowe trofeum.

- Nie powiedziałbym, że zniszczyłem - odparł Grace świadomy gry adwokata.

Charwell z namaszczeniem oglądał but.

- Och, rozumiem, więc pana zdaniem to nie miało znaczenia.

I nie czekając na odpowiedź, kontynuował:

- Uważam, że nadużył pan swojej władzy, usuwając część dowodów rzeczowych i zabierając je do amatora czarnej magii.

Odwracając się do sędziego Driscolla, kontynuował:

- Wysoki sędzie, zamierzam przedstawić dowód, że DNA, które uzyskano z tego buta, może być nieprzydatne, ponieważ inspektor Grace spowodował zanieczyszczenie tego głównego dowodu rzeczowego.

Odwrócił się do Grace'a.

- Czy to prawda inspektorze, że dziewiątego marca tego roku zabrał pan but do pani Stempe, uznawanej w Hastings za medium? I cóż, pewnie dowiemy się, że teraz but znajduje się w innym świecie?

- Pani Stempe jest kobietą, którą bardzo cenię - odparł Grace. - Ona...

- Nie interesują nas pańskie opinie, inspektorze, tylko fakty. Ale ciekawość sędziego została już rozbudzona.

- Sądzę, że opinie inspektora są istotne w tej sprawie.

Na moment zapadła cisza, wreszcie Charwell wyraźnie niechętnie kiwnął głową. Grace kontynuował:

- W przeszłości Mary Stempe wielokrotnie już mi pomogła. Trzy lata temu udzieliła mi wskazówek, które umożliwiły zidentyfikowanie mordercy.

A to doprowadziło do jego aresztowania i późniejszego wyroku skazującego.

Zawahał się, świadomy przenikliwych spojrzeń wszystkich obecnych, a potem mówił dalej, zwracając się do adwokata.

- Żeby rozwiać pańskie obawy dotyczące tego dowodu rzeczowego, proszę sprawdzić nagrania, do czego jest pan przecież uprawniony, i przyjrzeć się zabezpieczeniu. Obrona od początku wiedziała o tym dowodzie rzeczowym, który został znaleziony przed domem pana Cohena w noc, kiedy zniknął, i nigdy nie prosiła o jego zbadanie.

- Więc pan, wyższy rangą oficer policji, regularnie korzysta z czarnej magii? Czyż tak, inspektorze Grace?

W sali rozległ się śmiech.

- Nie nazwałbym tego czarną magią - odpowiedział Grace. - Raczej niekonwencjonalnym środkiem pomocy. Policja ma obowiązek skorzystać z wszelkich metod umożliwiających rozwiązanie zagadki.

- Czy to znaczy, że jest pan wyznawcą okultyzmu? Kimś, kto wierzy w siły nadprzyrodzone? - dopytywał się adwokat.

Grace spojrzął na sędziego, który wpatrywał się w niego, jakby to on był podejrzanym w sprawie. Desperacko próbował znaleźć celną odpowiedź; rzucił krótkie spojrzenie na ławę przysięgłych, potem na galerię i nagle coś mu przyszło do głowy. Znowu stawił czoło adwokatowi.

- Czego zażądał ode mnie sąd, nim zacząłem zeznawać? - zapytał adwokata. I zanim ten odpowiedział, Grace mówił dalej: - Złożenia przysięgi na Biblię. A przecież Bóg jest istotą nadprzyrodzoną. Dziwne więc byłoby, że w sądzie, w którym świadkowie przysięgają na istotę nadprzyrodzoną, ja czy ktokolwiek ze zgromadzonych nie wierzy w siły nadprzyrodzone.

- Nie mam więcej pytań - powiedział adwokat.

Wtedy poderwał się oskarżyciel, zwracając się do sędziego.

- Wysoki sędzie, to jest sprawa, którą chciałbym omówić w gabinecie sędziowskim.

- Na razie nie widzę potrzeby - odparł sędzia Driscoll - ale przyznam, że zgrabnie z tego wybrnęliście. Jednakże - spojrzal na Grace'a - mam nadzieję, że pozostałe dowody będą bardziej rzeczowe niż wypowiedzi mistyczki Meg.

I znowu w sali rozległ się śmiech.

Kolejnym świadkiem obrony był egzekutor haraczów dla Suresha Hossaina - Rubiro Valiente. Roy Grace został, żeby posłuchać, jak ten włoski typ spod ciemnej gwiazdy kłamie; na szczęście oskarżyciel bez trudu go zdemaskował. Sąd był tak bardzo poruszony zuchwałością przedstawionych kłamstw, że być może przyćmiło to sprawę buta. Na to przynajmniej liczył.

Niestety, nadzieje te rozwiały się, kiedy późnym popołudniem wyszedł na Lewes High, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i coś zjeść. W poprzek ulicy wisiał transparent lokalnej gazety „Argus”, z którego na cały świat krzyczał napis: **OFICER POLICJI PRZYZNAJE SIĘ DO PRAKTYK OKULTYSTYCZNYCH.**

Nagle poczuł się źle; musiał zapalić i napić się czegoś.

Głód nie znikał, bez względu na to, jak mocno Michael próbował wykreślić go z pamięci. Żołądek przypominał mu o tym ciągłym, nudnym bólem, jakby coś nieustannie drażniło go od wewnątrz. W głowie czuł dziwną lekkość, a dłonie mu drżały. Myślał o jedzeniu, o hamburgerze z frytkami i keczupem, a kiedy starał się odegnąć te wizje, dosłownie czuł zapach homara, a potem kukurydzy z rusztu, grillowanych grzybów z czosnkiem, racuchów zanurzanych w syropie klonowym i kruchego bekonu.

Coraz silniejsze było uczucie, że wieko naciska jego twarz, znowu zaczął panikować, gorączkowo chwycił powietrze. Próbując się opanować, zamknął oczy i wyobrażał sobie, że jest w jakimś ciepłym kraju, na swoim jachcie, na Morzu Śródziemnym. Wokół chlupocze woda, mewy krzyczą nad głową, a on wdycha balsamiczne śródziemnomorskie powietrze. Ale ściany trumny coraz bardziej naciskały. Ścisnęły go. Gorączkowo szukał latarki; leżała na jego pierśsiach. Włączył ją, ale bateria była coraz słabsza. Drżącymi palcami ostrożnie odkręcił zakrętkę whisky, wypił łyk, przepłukując suche, lepkie usta. Panika ustępowała, wracał równomierny oddech.

Zostało mu pół butelki. Łyk na godzinę, tylko raz na godzinę.

Wyłączył latarkę, żeby oszczędzać baterie. Każdy ruch to był wysiłek. Nogi miał sztywne i na przemian to trząsał się

z zimna, to oblewał lepkiem potem. A w głowie mu huczało. Chciał wyjść.

Chciał jeść.

Na szczęście baterie w krótkofalówce były takie same jak te w latarce. Prawdziwy cud. Dłużej będzie miał światło. Jedna dobra wiadomość. Drugą była świadomość, że za godzinę będzie mógł wypić kolejny łyk whisky.

Rutyna pozwalała zapanować nad paniką.

Już raz go uratowała. Pięć lat temu płynął żaglowcem przez Atlantykę, z Chichester na Barbados. Dwadzieścia siedem dni na morzu. Przez piętnaście dni szalał sztorm, wiatr wiał z prędkością powyżej siedmiu stopni, a czasami osiągał nawet jedenaście. Piętnaście dni piekła. Cztery godziny wachty, cztery odpoczynku. Fale rzucały nimi bezlitośnie, a on miał wrażenie, że to nie tylko dzwonią szarpane łańcuchy, klepią szkle o pokład, hałasują w szafkach noże, widelce i talerze, ale że trzeszczą i łomocą wszystkie jego kości. Przeszli przez to dzięki doświadczeniu. Odmierzając każdy dzień godzinami, a potem godziny dobrymi posiłkami. Kawałkami czekolady. Odrobiną alkoholu. Kilkoma stronami powieści. Spojrzeniami na kompas. Zmieniając się przy pompowaniu żęzy.

Rutyna stwarza pewien układ, strukturę, a to daje perspektywę. Ona z kolei horyzont.

I kiedy patrzysz na ten horyzont, czujesz się spokojniejszy.

Teraz odmierzał każdą godzinę łykiem whisky. Zostało mu pół butelki i jego horyzontem była godzina wyświetlana na zegarku. Zegarek kupiła mu Ashley. Longines ze srebrną obwódka i świecącymi rzymskimi cyframi. Był najbardziej klasycznym zegarkiem ze wszystkich, jakie kiedykolwiek posiadał. Ashley miała wspaniały gust. Miała klasę. Wszystko zresztą, co jej dotyczyło, miało klasę - jej długie, brązowe, kręcone włosy, sposób chodzenia, pewność siebie, z jaką rozmawiała, jej klasyczne, piękne rysy. Uwielbiał się z nią pokazywać. Obojętnie gdzie. Wszędzie ludzie się za nią odwracali, gapili. Jezu, jak on to uwielbiał! Było w niej coś wyjątkowego. Niepowtarzalnego.

Tak uważała też jego matka, choć zazwyczaj nie aprobowała przyjaciółek syna. Ale Ashley po prostu podbiła jego matkę, oczarowała ją. To była kolejna rzecz, którą w niej kochał - każdego potrafiła oczarować. Nawet najbardziej marudnego klienta. Zakochał się w niej już pierwszego dnia. Weszła wtedy do biura, które dzielił z Markiem, na rozmowę w sprawie pracy. A teraz, sześć miesięcy później, mieli się pobrać.

Coraz bardziej dokuczalo mu swędzenie w kroczu i w udach. Jak pieluszkowe zapalenie skóry u niemowląt. Dawno już przestał krępować się oddając mocz w spodnie. Minęło dwadzieścia sześć godzin.

Coś musiało się stać, ale nie miał pojęcia co. Dwadzieścia sześć godzin pieprzonego wrzeszczenia do krótkofalówki, wybierania numerów w komórce i wysłuchiwanie tej samej cholernej odpowiedzi: „Brak połączenia”.

Wtorek. Ashley chciała, aby tak urządził wieczór kawalerski, by wszystko poszło dobrze podczas ślubu. „Upijesz się i będziesz czuł się do dupy. Nie chcę, żebyś tak się czuł na ślubie. Zorganizuj to na początku tygodnia, to będziesz miał czas odzyskać siły”.

Odpychał wieko już setki razy. Może dwieście. Może nawet tysiąc. Nieistotne. Próbował też wywiercić dziurę w pokrywie obudową komórki. Krótkofalówka i latarka były plastikowe, nie nadawały się, ale i obudowa okazała się zbyt miękka.

Ponownie włączył krótkofalówkę.

- Halo? Jest tam kto? Halo?

Tylko zakłócenia.

Nagle przyszła mu do głowy przerażająca myśl. A może Ashley była w to zamieszana? Może dlatego tak się upierała, że wieczór kawalerski powinien zorganizować na początku tygodnia, we wtorek? Wtedy mógłby pozostawać zamknięty tutaj - gdziekolwiek „tutaj” się znajdowało - przez całą dobę albo i dłużej, nie sprawiając żadnych problemów?

Na pewno nie. Wiedziała, że cierpi na klaustrofobię, a poza tym nie miała w sobie ani cienia okrucieństwa. Zawsze my ślała o innych ludziach, a nie o sobie.



Zaskoczyła go choćby niezliczonymi prezentami dla jego matki. A wszystkie wyśmienicie dobrane: jej ulubione perfumy, płyta Robbiego Williamsa, wymarzony kaszmirowy sweterek. Skąd to wiedziała? Miała niezwykły talent, dlatego właśnie była tak wyjątkowa.

I uczyniła go najszcześniejszym człowiekiem na świecie.

Światelko latarki świeciło coraz niewyraźniej. Wyłączył ją żeby oszczędzać baterie. Ciemność. Czuł, że znów oddycha szybciej. Co będzie jeśli...?

Jeśli oni nigdy nie wrócą?

Sprawdził, prawie 23.30. Czekał, nasłuchując odgłosów. które powiedziałyby mu, że koledzy wracają.

Jezu, niech no tylko stąd wyjdzie, a już oni tego pożąłują. Znowu spojrzął na zegarek. Zostało 25 minut do północy. Wkrótce się pojawia, lada moment.

Musieli przecież gdzieś się tu znajdować.

Uśmiechnięta Sandy stała nad nim, zasłaniając słońce. Świadomie go prowokowała. Jej blond włosy spływały po obu stronach piegowatej buzi, muskając jego policzki.

- Hej! Muszę przeczytać ten raport - ja...

- Jesteś taki nudny, Grace, zawsze musisz coś czytać! - Pocałowała go w czoło. - Czytać, czytać, czytać, pracować, pracować, pracować. - Znowu pocałowała go w czoło. - Czyja cię w ogóle interesuje?

Ubrana w letnią sukienkę, prezentowała się ponętnie, głęboki dekolt odsłaniał biust. Grace rzucił przelotne spojrzenie na jej długie, opalone nogi i nagle poczuł się bardzo napalony.

Podniósł ręce, objął jej twarz. Przyciągnął Sandy do siebie, popatrzył w jej ufne, niebieskie oczy i poczuł się niesamowicie - intensywnie - głęboko - zakochany.

- Uwielbiam cię - powiedział.

- Naprawdę, Grace? Naprawdę uwielbiasz mnie bardziej niż swoją pracę? - Kokietowała go i kpiąco wydymała wargi.

- Kocham cię bardziej niż wszystko w...

Nagle ciemność. Jakby ktoś odłączył aparaturę utrzymującą pacjenta przy życiu.

- Sandy! - krzyknął, ale dźwięk uwiązł mu w gardle. I Grace usłyszał tylko echo swojego głosu w zimnym, sterylnym powietrzu.

Spojrzał na zegarek - 3.20. Wkrótce świt.

Pocił się, oczy miał szeroko otwarte, a serce łomotało mu w piersiach. Za oknem rozległ się brzęk - jakiś kot albo lis szukający odpadków w śmietniku. Chwilę później dźwięk silnika Diesla - prawdopodobnie sąsiad mieszkający trzy domy dalej, który jeździ na nocnej zmianie taksówką.

Przez kilka chwil leżał nieruchomo. Zamknął oczy, uspokoił oddech, próbował wrócić do snu, trzymając się wspomnień tak mocno, jak to tylko możliwe. Wszystkie sny o Sandy były takie prawdziwe, ale toczące się jakby w innym wymiarze. Gdyby tylko potrafił zlokalizować ten portal, przejść tam, znowu byłiby razem, zadowoleni i szczęśliwi.

Tak cholernie szczęśliwi.

Ogarnęła go ogromna fala smutku, a potem nagle strach. Przypomniał sobie - gazeta. Przeklęty nagłówek we wczorajszej wieczornej gazecie. Wszystko wróciło. O Boże. Co do diabła napiszą poranne gazety? Krytykę mógł znieść, ale nie kpiny. Zetknął się już z policjantami, którzy zajmowali się sprawami nadprzyrodzonymi. Poprzedni szef posterunku, który sam był zaintrygowany swoimi paranormalnymi zdolnościami, ostrzegł go, że ujawnienie takich zainteresowań mogłoby przekreślić jego szanse na awans.

- Wszyscy wiedzą, że jesteś wyjątkowym przypadkiem, bo zaginęła Sandy. Nikt nie ma zamiaru krytykować cię nawet za pakt z diabłem. Każdy z nas zrobiłby to samo, będąc w twojej sytuacji, ale musisz to zachować dla siebie. Nie możesz przenosić tego do pracy.

Czasami myślał, że doszedł już do siebie, bo znowu czuł się silniejszy. A potem przychodziły chwile, kiedy zdawał sobie sprawę z tego, że ledwie posunął się naprzód. Marzył o tym, by objąć ją ramieniem, przytulić się do niej, porozmawiać o problemach. Była zawsze tak pozytywnie nastawiona do życia i taka zmysłna. Pomogła mu, kiedy miał sprawę dyscyplinarną na początku pracy w policji; zarzucano mu przesadne użycie siły wobec bandziora, którego aresztował, a to mogło zakończyć jego karierę.

Dzięki radom Sandy zdołał wyjść obronną ręką. Teraz też wiedziałaby, co powinien robić.

Czasami zastanawiał się, czy Sandy nie próbowała poprzez te sny porozumieć się z nim. Stamtąd. Obojętnie gdzie przebywała.

Jodie, jego siostra, powiedziała, że nadszedł czas, aby pogodził się ze śmiercią Sandy; zastąpił jej głos w automatycznej sekretarce, usunął jej ubrania z sypialni i rzeczy osobiste z łazienki, przestał żyć w domu przekształconym w sanktuarium Sandy. Żeby zaczął wszystko jeszcze raz.

Ale jak on mógł ruszyć w dalszą drogę? A jeżeli Sandy żyła, uwięziona przez jakiegoś maniaka? Musi jej szukać, uaktualniać jej zdjęcia, badawczo przyglądać się wszystkim twarzom na ulicy albo w tłumie. Będzie tak robił aż do...

Aż do...

Zamknięcia sprawy.

Tamtego ranka, kiedy skończył trzydzieści lat, Sandy obudziła go, przynosząc tacę z maleńkim ciasteczkiem z jedną świeczką, kieliszkiem szampana i frywolną kartką urodzinową. Rozpakował prezenty, które dostał od niej, a potem kochali się. Wyjechał z domu jak zwykle o 9.15 i dotarł do biura w Brighton trochę spóźniony, parę minut po 9.30; miał przedstawić sprawę morderstwa. Obiecał wrócić do domu wcześniej, bo planowali uroczystą kolację z jego najlepszym przyjacielem Dickiem Pope'em, również inspektorem, i jego żoną Leslie, którą Sandy dobrze знаła - ale był to zwariowany dzień i wrócił do domu prawie dwie godziny później, niż zamierzał. Nie zastał Sandy.

Najpierw pomyślał, że rozzłościło ją to spóźnienie i po prostu sama gdzieś poszła. W domu panował porządek, wszystko na swoim miejscu, żadnych śladów walki. Nie było jej samochodu i torebki.

Dwadzieścia cztery godziny później odnaleziono samochód stojący na krótkoterminowym parkingu na lotnisku Gatwick.

Sprawdzono też jej konto bankowe; rankiem, w dniu zniknięcia, odnotowano dwie transakcje - jedną na siedem i pół funta w „Boots” i drugą na 16 funtów i 42 pence za benzynę kupioną w Tesco. Nie zabrała ubrań ani żadnych innych swoich rzeczy.

Sąsiedzi z jego cichej ulicy biegnącej tuż nad morzem niczego nie widzieli. Z jednej strony mieszkała grecka rodzina, właściciele kilku kawiarni w mieście, ale oni byli akurat na wakacjach, a z drugiej starsza wdowa, lekko przygłucha, która sypiała, mając telewizor włączony na maksa. Teraz też, o 2.54 nad ranem, słyszał amerykański dramat policyjny: strzały, pisk opon, wycie syren. Ona też niczego nie widziała.

Jedyną osobą, która mogłaby coś zauważyć, była Noreen Grinstead, mieszkająca naprzeciwko. Ta nerwowa starsza pani miała sokoli wzrok i znała problemy wszystkich mieszkańców tej ulicy. Kiedy nie zajmowała się chorym na Alzheimera mężem, Lance'em, zawsze była na dworze przed domem i w żółtych, gumowych rękawiczkach myła ich srebrnego nissana, sprzątała podjazd albo czyściła okna lub cokolwiek jeszcze, co wymagało lub też wcale nie wymagało mycia. Często nawet wyciągała różne rzeczy z domu i czyściła je na podjeździe.

Bardzo mało rzeczy mogło ujść jej uwadze. Ale zniknięcie Sandy, owszem.

Włączył światło, wstał z łóżka i popatrzył na ich zdjęcie stojące na toalecie. Zrobiono je w hotelu w Oksfordzie podczas konferencji na temat odcisków palców i DNA, na kilka miesięcy przed zniknięciem Sandy. On siedział na szeszlunku, w garniturze i krawacie, a Sandy w wieczorowej sukni leżała obok niego; blond loki miała upięte, a twarz rozświetlał promienny uśmiech. Zdjęcie zrobił im jeden z kelnerów.

Pochylił się, pocałował fotkę i poszedł do łazienki. Wstawanie w środku nocy było rezultatem najnowszej mody zdrowotnej, która zalecała picie minimum ośmiu szklanek wody dziennie. Potem, ubrany tylko w podkoszulkę, w której spał, zszedł na dół.

Sandy miała wspaniały gust. Ich dom, zbudowany w latach trzydziestych, był niewielki, jak wszystkie domy na tej ulicy, miał tylko trzy sypialnie (podrabiany styl Tudorów), ale Sandy sprawiła, że wyglądał świetnie. Uwielbiała przeglądać niedzielne dodatki do pism i magazyny mody, pokazywała mu różne projekty. Spędzili razem mnóstwo czasu, zdzierając tapety, wygładzając papierem ściernym podłogi, lakierując i malując.

Sandy zainteresowała się feng shui i zbudowała małe oczko wodne w ogrodzie. W domu porozstawiała świeczki. Kupowała też zdrową żywność. Myślała o wszystkim, pytała o wszystko, wszystko ją interesowało, a on to uwielbiał. To były dobre czasy, kiedy budowali swoją przyszłość, scalali wspólne życie, ustalali wszystkie plany.

Była też wspaniałą ogrodniczką. Rozumiała kwiaty, krzaki, krzewy i drzewa. Wiedziała, kiedy je sadzić i jak przycinać. Grace lubił kosić trawę, ale na tym jego umiejętności się kończyły. Teraz patrząc na zaniedbany ogród czuł się winny i nieraz zastanawiał się, co powiedziałyby Sandy, gdyby tylko wróciła.

Jej samochód nadal stał w garażu. Jak tylko policja go bardzo dokładnie przeszukała, przywiózł go i odstawił; systematycznie podładowywał baterie akumulatora, tak na wszelki wypadek... Z tego samego powodu na podłodze w sypialni stały jej kapcie, w łazience wisiał szlafrok, a szczoteczka do zębów tkwiła w kubeczku.

Czekały na jej powrót.

Rozbudzony nalał odrobinę whisky, potem usiadł w białym fotelu w pomalowanym na biało pokoju z drewnianym parkietem i włączył telewizor. Przeskakiwał z kanału na kanał, ale nic nie zwróciło jego uwagi. Włączył więc muzykę, niecierpliwie przełączając: The Beatles, Miles Davis, Ellis Bextor, by po chwili po prostu wszystko wyłączyć.

W ciszy sięgnął po ulubioną książkę, „Okultystę” Collina Wilsona, jedną z wielu o tematyce paranormalnej, które wypełniały każdą półkę. Sącząc whisky, obojętnie przewrócił kilka kartek; nie mógł się skoncentrować na więcej niż

dwóch akapitach.

Przeklęty adwokat, który w sądzie zagrał mu na nerwach. Przeklęty Richard Charwell. Kawał pompatycznego skurczybyka. Grace zdawał sobie sprawę, że tamten go przechytrzył. Wmanewrował i przechytrzył. I to go naprawdę dotknęło.

Znowu włączył telewizor. W wiadomościach nic nowego. Żadnych skandali politycznych, żadnych terrorystycznych aktów przemocy, żadnego trzęsienia ziemi, żadnej katastrofy lotniczej. Nie życzył nikomu źle, ale miał nadzieję, że coś wypełni poranne nagłówki i fale eteru. Coś innego niż sprawa morderstwa Suresha Hossaina.

Nie miał szczęścia.

Dwa ogólnokrajowe brukowce artykuły na temat morderstwa Suresha Hossaina zamieściły na pierwszych stronach, we wszystkich pozostałych porannych gazetach były one w środku. Ale nie sama sprawa była najważniejsza, tylko komentarze na temat inspektora Roya Grace'a. Kiedy rano stał przed swoją szefową Alison Vosper, czuł się tak, jakby czas cofnął się o trzy dekady - znowu był w szkole i trząśł się przed dyrektorką.

Jeden z kolegów Grace'a nadał Alison przydomek „Numer 27”; taki sam numer miała słodko-kwaśna potrawa w pobliskiej chińskiej restauracji specjalizującej się w daniach na wynos. Alison Vosper była dokładnie taka - i słodka, i kwaśna.

Tego ranka zastępca szefa policji Alison Vosper, „rycząca czterdziestka” o ostrych, choć ładnych rysach, była zdecydowanie bardziej kwaśna. Nawet mocny kwiatowy zapach, który roztaczała wokół siebie, miał zjadliwy odcień. Ubrana, jak przystało na przedstawiciela władzy, w czarny kostium i białą bluzkę, siedziała w swoim gabinecie za wielkim, błyszczącym, palisandrowym biurkiem. Na idealnie uprzątniętym blacie stały tylko kryształowy wazon z trzema purpurowymi tulipanami, oprawiona fotografia męża (oficera policji starszego od niej o kilka lat, ale niższego rangą o trzy stopnie) i dwójki dzieci oraz uchwyt na pióro. Przed nią leżały poranne gazety rozłożone niczym karty do gry.



Grace zawsze zastanawiał się, jak jego zwierzchnicy mogli utrzymywać swoje biurka w takim porządku. Jego życie zawodowe i pracę charakteryzował totalny bałagan. Setki akt ciągnących się bez końca, listy pozostawione bez odpowiedzi, zgubione pióra, bilety, korespondencja wychodząca i przychodząca. Ponieważ jednak chciał awansować, postanowił narzucić sobie dyscyplinę i posiąść umiejętności panowania nad sprawami papierkowymi.

Krążyła plotka, że trzy lata temu Alison Vosper miała raka piersi i przeszła operację. Ale, ponieważ zastępca szefa otoczyła się murem, nikt niczego o niej nie wiedział tak naprawdę. Grace domyślał się, że pod pancierzem bezwzględnego gliniarza kryła się łagodna kobieta i że kiedyś jej złośliwe, brązowe oczy skrzyły się humorem. Miał nawet wrażenie, że usiłowała z nim flirtować. Ale to było kiedyś. Z pewnością nie tego ranka.

Żadnego uścisku dłoni, żadnego powitania, tylko krótkie skiniecie głową, żeby wskazać krzesło naprzeciwko biurka. I ze spojrzeniem, w którym dostrzegł złość, przeszła prosto do tematu.

- Do diabła, co to jest, Roy?
- Przykro mi.
- Przykro?

Kiwnął głową.

- Posłuchaj, to zdanie zostało wyrwane z kontekstu...

Przerwała mu, nie dając szans wytłumaczenia.

- Zdajesz sobie sprawę, że przez to cała sprawa mogła wziąć w łeb?

- Sądzę, że zdołamy to opanować.

- Dziś rano miałam tuzin telefonów z redakcji najróżniejszych pism. Stałeś się pośmiewiskiem, a przez ciebie wyszliśmy na bandę idiotów. Dlaczego to zrobisz?

Grace milczał przez chwilę.

- To naprawdę niezwykła kobieta i wielokrotnie już nam pomogła. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś to odkryje.

Vosper odchyliła się do tyłu i patrzyła na Grace'a, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Wiązałam z tobą wielkie nadzieje. Wystąpiłam o awans... Ręczyłam za ciebie. Wiesz o tym, prawda?

To niezupełnie odpowiada prawdzie, ale spór z nią w tym momencie nie ma sensu.

- Wiem, doceniam to.

Wskazała na gazety.

- I tak to okazujesz? Dając taką plamę?

- Daj spokój Alison, przyszpiliłem Hossaina.

- A teraz dałeś jego obrońcy szansę wygrania sprawy.

- Nie, ten but już zbadali biegli, nim go wziętem. Nie mogą więc argumentować, że wyniki są zafałszowane. Spróbują z czymś wyskoczyć, ale to nie będzie miało istotnego wpływu na sprawę.

Podniosła wypiełgnowane dłonie, a Roy dostrzegł, że paznokcie miała czarne od tuszu gazet.

- Jesteś starszym oficerem, to twoja sprawa. Ale jeśli pozwolisz sobie skompromitować, będzie to miało ogromny wpływ na wyrok. Pomyślałeś o tym?

- Mamy sprawę o morderstwo, ale nie mamy ciała. Wiemy jednak, że Hossain zabił Raymonda Cohena, prawda?

Kiwnęła głową. Dowody, które Grace zgromadził, były przekonujące.

- A bez ciała to zawsze trudno udowodnić. - Wzruszył ramionami. - W przeszłości w takich przypadkach dużo pomogło nam właśnie medium. Wszyscy policjanci korzystają czasami z ich usług. Na przykład Leslie Whittle, prawda?

To była słynna sprawa. W 1975 roku porwano siedemnastoletnią spadkobierczynię sporej fortuny. Po prostu rozplynęła się w powietrzu. Policja nie miała najmniejszej wskazówki, gdzie szukać dziewczyny. Zdesperowani poprosili o pomoc jasnowidza, a ten zaprowadził ich do studzienki kanalizacyjnej, gdzie znaleźli zwłoki dziewczyny.

- Tyle że tamtej sprawy nie można uznać za sukces policji.

- Ale były i inne.

Patrzyła na niego w milczeniu i nagle na jej policzkach pojawiły się dołeczki, jakby delikatniała, chociaż głos pozostał zimny i surowy.

- Na kartce wielkości znaczka pocztowego spisałbyś listę sukcesów, które odnieśliśmy dzięki jasnowidzom.

- To nieprawda i dobrze o tym wiesz.

- Roy, wiem jedno: jesteś inteligentnym facetem. Interesowałeś się rzeczami paranormalnymi i wierzysz w nie. Widziałam książki w twoim biurze i szanuję cię za to, tak jak każdego policjanta, który ma szerokie horyzonty myślowe. Ale mamy obowiązki wobec społeczeństwa. To, co dzieje się za naszymi zamkniętymi drzwiami, to jedno, a nasz wizerunek publiczny, to drugie.

- Ale ludzie wierzą w te rzeczy, Alison. W 1925 roku przeprowadzono badania i okazało się, że czterdzieści trzy procent naukowców wierzy w Boga. Te same badania powtórzono w 1998 i wiesz co, nadal było ich czterdzieści trzy procent. Jedyna zmiana to mniej biologów, a więcej matematyków i fizyków. W zeszłym roku przeprowadzono badania, szukając ludzi, którzy zetknęli się ze zjawiskami paranormalnymi. Było ich dziewięćdziesiąt procent. - Pochylił się do przodu. - Dziewięćdziesiąt procent!

- Roy, ale społeczeństwo chce wierzyć, że policja wydaje pieniądze podatników na rozwiązywanie zbrodni i łapanie przestępców zgodnie z ustalonymi policyjnymi procedurami. Chcą wierzyć, że gorączkowo przeszukujemy kraj, badamy odciski palców i DNA, że mamy laboratoria pełne naukowców, którzy je testują, że przeczesujemy pola, lasy, rzeki, przesłuchujemy świadków. Nie chcą informacji o rozmowach z Madame Arcata, która patrzy w kryształową kulę albo przesuwając talerzyk na cholernej tablicy, której używa podczas seansów spirytystycznych! Nie chcą myśleć, że spędzamy czas, usiłując wezwać na pomoc umarłych. Nie chcą wierzyć, że ich policjanci rozmawiają z duchami niczym Hamlet z duchem ojca. Rozumiesz?

- Rozumiem. Ale nie zgadzam się z tobą. Naszym zadaniem jest wyjaśnienie zbrodni. I w tym celu musimy wykorzystać wszystko, co tylko może nam pomóc.

Potrząsnęła głową.

- Ale musimy pogodzić się z tym, że nigdy nie rozwiążemy wszystkich spraw. Jedyne, co musimy robić, to wzbudzać publiczne zaufanie. Sprawić, żeby ludzie czuli się bezpiecznie w swoich domach i na ulicach.

- To są bzdury i dobrze o tym wiesz! Wiesz także, że możesz manipulować statystykami kryminalnymi, jak tylko chcesz. - Ledwie to powiedział, a już żałował swoich słów.

Posłała mu lodowaty uśmiech.

- Załatw sto milionów funtów od rządu na rok, to wyeliminujemy wszystkie zbrodnie w Sussex. Ale dopóki ich nie mamy, możemy wykorzystać tylko dostępne środki. A te są skromne.

- Pomoc mediów nie jest kosztowna - odparł Grace.

- Kosztowna, jeśli rujnuje naszą wiarygodność. - Spojrzała na gazety. - Jeśli naraża na szwank proces. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

- W każdym razie wystarczająco głośno. - Nie mógł sobie darować złośliwości. Alison irytowała go. To fakt, trudniej mu było zaakceptować na tym stanowisku kobietę niż mężczyznę.

- Pozwól mi wytłumaczyć. Jesteś szczęściarzem, że masz jeszcze robotę. Szef nie jest zadowolony. A dokładniej jest wściekły i ma zamiar odsunąć cię do spraw papierkowych do końca twojej kariery. Czy tego chcesz?

- Nie.

- To wróć do bycia policjantem, a nie czubkiem.

Po raz pierwszy, odkąd wstąpił do policji, Roy Grace zaczął się zastanawiać, czy w ogóle powinien obrać taką drogę. Tyle że już w dzieciństwie tylko o tym marzył, a jako nastolatek nie brał pod uwagę żadnej innej drogi kariery. Jego ojciec, Jack, także był oficerem policji i wielu starszych policjantów dotąd wspominało go z wielkim szacunkiem. Roy zawsze lubił słuchać opowieści ojca na temat pracy, uwielbiał jeździć raz na jakiś czas radiowozem. Życie ojca wydawało mu się wtedy niezwykle, pełne przygód, ciekawsze niż nudne życie wielu innych ludzi. Roy uwielbiał policyjne filmy w telewizji, książki o inspektorach - począwszy od Sherlocka Holmesa, a na Edzie McBainie skończywszy. Miał poza tym prawie fotograficzną pamięć, uwielbiał układać puzzle i był silny fizycznie. No i był przekonany, że spodoba mu się praca w zespole i łączące wszystkich koleżeństwo. Ale w takim dniu jak ten bardziej niż kiedykolwiek zdawał sobie sprawę, że liczyły się nie tylko jego zdolności, a bardziej dostosowywanie się do jakiegoś z góry ustalonego poziomu miernot. W tym dziwnym, współczesnym świecie można było skutecznie walczyć z przestępcami, a mimo to paść ofiarą politycznej poprawności. Jego ostatni awans, dzięki któremu został drugim najmłodszym szefem pionu dochodzeniowo-śledczego policji w Sussex, a który trzy miesiące temu tak go jeszcze podniecał, powoli zamieniał się w kielich goryczy.

Przed wszystkim musiał przenieść się z gwarne go postępu centrum miasta, gdzie mieszkała większość jego przyjaciół, do siedziby wydziału kryminalnego mieszczącej się w dawnej fabryce na obrzeżach miasta. Na emeryturę będzie mógł odejść po trzydziestu latach pracy, a miał za sobą prawie dwadzieścia. Gdyby wytrzymał te dziesięć, byłby ustawiony finansowo, ale nie chciał, jak wielu ludzi tkwić w pracy, której nienawidził, niecierpliwie odmierzając czas. Przynajmniej nie na co dzień.

Ale dzisiaj znalazł się w prawdziwym dołku. Nadszedł dzień próby. Okoliczności się zmieniły. Zgąbiony nad biurkiem gapił się na akta sprawy Suresha Hossaina, ignorując piknięcia kolejnych nadchodzących e-maili. Przeżywał kanpkę. Życie nigdy nie stało w miejscu. Czasami zmiany okazywały się dobre, czasami niezupełnie. Za niecały rok skończy czterdziestkę. Włosy zaczynały mu siwieć.

A jego nowy gabinet był za mały.

Na parapiecie leżały trzy tuziny markowych papierosów, za oknem rozciągał się widok na parking i blok więzienny. Na ścianie za jego plecami wisił drewniany, okrągły zegar, rekwizyt występujący w policyjnym filmie „Bill”; Sandy kupiła mu go na dwudzieste szóste urodziny. A pod zegarem wisił ogromny pstrąg, którego wiele lat temu złowił, będąc w Irlandii. Zegar i ryba stanowiły pretekst do żartów na temat cierpliwości i grubych ryb.

Na ścianie wisiło też kilka oprawionych certyfikatów i zdjęcie grupowe z podpisem „Policja College'u Bramshill. Katedra Przystępności Poważnej i Seryjnej. 1997”, a obok dwa rysunki, przedstawiające go w pokoju policyjnym, narysowane przez kolegę, który wyraźnie minął się z powołaniem. Pod przeciwległą ścianą stały regały z książkami, między innymi kolekcją książek okultystycznych, i szafka na akta.

Niewielkie biurko było okropnie zagracone; stał na nim komputer, leżały sterty dokumentów przychodzących i wychodzących, korespondencja - większość kopert nawet nie-rozerwana, i ostatnie wydanie magazynu z błędem w tytule

„Finger-print Whorld”.

Poza tym w gabinecie znajdowały się też telewizor, odtwarzacz wideo, okrągły stół, cztery krzesła i stopy akt na podłodze. Na stole leżała jego teczka, a obok komórka, dyktafon i dokumenty, które wczoraj zabrał do domu.

Wyrzucił resztę kanapki do kosza. Nie miał apetytu. Sącząc kawę, sprawdził ostatnie e-maile, a potem zalogował się na stronie policji w Sussex i gapił się na listę spraw, które, awansując, dostał w spadku: nierozwiązane morderstwa. Za każdą z nich kryło się około dwudziestu pudeł z aktami, stojących teraz gdzieś na podłodze, upchniętych w jakiejś szafie lub pokrywających się pleśnią w wilgotnym policyjnym garażu na posterunku w pobliżu miejsca, gdzie popełniono zbrodnię. Akta zawierały fotografie, raporty sądowe, dowody rzeczowe, zeznania świadków i wypisy sądowe, wszystko starannie uporządkowane. To była jego nowa praca - powtórne analizowanie nierozwiązanych spraw, wymagające współpracy z wydziałem kryminalnym w miejscu popełnienia zbrodni, szukanie czegokolwiek, co przez ten czas mogło się w tej sprawie zmienić, co mogło uzasadnić wznowienie dochodzenia. Większość spraw znał niemal na pamięć. Sterta tych papierów, zawierających informacje o ofierze i zabójcy, który nadal pozostawał na wolności, uświadamiała mu, że rodzina zabitego nie mogła pozostawić przeszłości w spokoju, dopóki sprawiedliwości nie stało się zadość. Zdawał sobie też sprawę, że dla wielu, zwłaszcza w przypadku spraw sprzed więcej niż trzydziestu lat, był ostatnią nadzieją.

Richard Ventnor, weterynarz pobity na śmierć w swoim gabinecie dwanaście lat temu. Susan Downey, piękna dziewczyna zgwałcona, uduszona i porzucona na cmentarzu parafialnym piętnaście lat temu. Pamela Chisholm, bogata wdowa znaleziona martwa w rozbitym samochodzie, ale z ranami, które nie wskazywały na wypadek samochodowy. Szczątki szkieletu Pratapa Gokhale'a, dziewięcioletniego Hindusa, znalezione pod podłogą mieszkania podejrzanego

pedofila, który po prostu zniknął. Grace pamiętał wiele takich spraw.

Chociaż ofiary dawno już zostały pochowane, w ich sprawach wiele się zmieniło. Pojawiły się testy DNA, dzięki którym wypłynęły nowe dowody i nowi podejrzani. Przeszawała obowiązywać lojalność. Nieoczekiwanie pojawiali się nowi świadkowie. Ludzie rozwodzili się, kłócili; ktoś, kto przed laty za nic nie zeznawałby przeciwko przyjacielowi, teraz zwyczajnie go nienawidził. Dzięki temu można było zdobyć nowe dowody.

Zadzwoił telefon. Pomocnik asystenta pytała, czy będzie rozmawiał z inspektorem. Strasznie go irytowała taka dbałość o zachowanie hierarchii, szczególnie w policji. Jeszcze nie tak dawno nazywali je sekretarkami, a nie cholernymi pomocnikami asystenta. Powiedział, że może łączyć, i chwilę później usłyszał znajomy głos. Glenn Branson, bystry sierżant, z którym już kilka razy pracował, niezwykle ambitny, prawdziwa kopalnia wiedzy. Chyba najbliższy przyjaciel, jakiego miał.

- Roy? Jak się masz? Widziałem cię dzisiaj w gazecie.
- No dobra, daruj sobie. Czego chcesz?
- U mnie wszystko okej, a ty dobrze się czujesz?
- Nie, niedobrze.
- Jesteś teraz zajęty?
- Zależy, co rozumiesz przez słowo „zajęty”.
- Posłuchaj. Pewna kobieta nie daje mi spokoju z powodu swego narzeczonego. Wygląda na to, że jakiś figiel wieczoru kawalerskiego źle się skończył, bo faceta nie ma od wtorkowej nocy.

Grace szybko policzył - teraz było czwartkowe popołudnie.

- Powiesz coś więcej?
- Sądziłem, że siedzisz dzisiaj w sądzie. Dzwoniłem na komórkę, ale była wyłączona.
- Mam dziś przerwę, sędzia zapoznaje się z dowodami obrony.

Jednym z istotnych minusów uczestniczenia w procesie było to, że zabierało wiele czasu. Grace, jako starszy oficer,



musiał nie tylko pojawiać się w sądzie, ale i działać poza nim, a sprawa zanosila się na dobre trzy miesiące. Tak więc większość czasu spędzi na pałętaniu się w tę i z powrotem.

- Czuję, że to nie jest zwykła wiadomość o zaginięciu, chciałbym to z tobą obgadać. Może znajdziesz trochę czasu dziś po południu? - W głosie Glenna Bransona usłyszał prośbę.

Każdemu innemu Grace by odmówił, ale Glenn Branson nigdy nie trwoni czasu na bzdury, a poza tym jest to doskonała wymówka, aby wyjść z biura. Nawet w taką cholerną pogodę.

- Znajdę czas.

- Super. - Zapadła cisza, a potem Glenn zaproponował: - Może spotkamy się w mieszkaniu tego faceta. Sądzę, że to by pomogło, gdybyś zobaczył wszystko osobiście. Załatwię klucz, spotkamy się na miejscu.

Grace spojrział na zegarek, a potem na plan dnia.

- Co powiesz na 17.30? Moglibyśmy potem pójść na drinka.

- To nie zajmie trzech godzin, no, ale rozumiem, że facet w twoim wieku musi nieco zwolnić. Do zobaczenia.

Grace skrzywił się. Nie lubił, gdy przypominano mu zbliżającą się czterdziestkę. To głupi pomysł mieć czterdzieści lat - w takim wieku ludzie zaczynają zastanawiać się nad swoim życiem. Gdzieś czytał, że po czterdziestce życie jest już ukształtowane i wszystko zaczyna toczyć się dobrze. Trzydzieści osiem lat - OK, ale trzydzieści dziewięć - znaczyło to, że coraz bliżej do czterdziestki. A nie tak dawno jeszcze uważał czterdziestolatków za starych. Cholera.

Ponownie spojrział na listę, spraw na monitorze. Czasami czuł się mocniej związany z tymi ludźmi niż ktokolwiek inny. Dwudziesta ofiara morderstwa - od niego zależało, czy odnajdzie zabójcę. Dwadzieścia duchów, które nawiedzały go podczas bezsennych nocy.

Zazwyczaj jeździł służbowym samochodem, ale tym razem zdecydował się na własnego alfa romeo 147. Lubił ten wóz: prawie spartańskie wnętrze, twarde siedzenia, pewność jazdy, dźwięk silnika, poczucie precyzji. To odpowiadało jego naturze.

Wycieraczki rytmicznie przesuwwały się po szybie, opony syczały na mokrym asfalcie, a z radia leciała szalona piosenka Elvisa Costello. Obwodnica prowadziła na wzniesienie, a potem w dół, w kierunku doliny. Przez mgłę i deszcz zobaczył budynki kurortu Brighton i ciągnące się kilometrami przed nim Hove, a za nim komin starej elektrowni w Shoreham i migocący pas szarości, ledwie dający się odróżnić od nieba - kanał La Manche.

Wychował się na tych ulicach, między tutejszymi cwaniaczkami. Jego ojciec z pamięci recytował nazwiska tych, którzy rozprawdzali narkotyki, prowadzili podejrzane salony masażu, handlarzy, którzy sprzedawali kradzione klejnoty, biedaków handlujących, czym się dało.

Kiedyś była to wioska przemysłowców, a potem król Jerzy IV kazał zbudować tu pałac, żeby być bliżej swojej kochanki. Mimo to Brighton nigdy nie zdołało otrząsnąć się z kryminalnej przeszłości ani zamazać reputacji miejsca, w którym można było spędzać podejrzane weekendy. Ale może dzięki temu właśnie Brighton i Hove odróżniały się od innych kurortów w Anglii? Włączył kierunkowskaz i skręcił z obwodnicy.

Glenn Branson czekał przed wejściem. Otulony w grubą kurtkę z kapturem, wysoki, czarny i łysy jak meteor, wyglądał bardziej na handlarza narkotyków niż na gliniarza. Grace uśmiechnęła się - ile razy patrzył na przyjaciela, na jego potężną muskulaturę, tyle razy przypominały mu się słowa pewnego dziennikarza na temat Arnolda Schwarzeneggera, że wygląda jak „prezerwatywa wypełniona orzechami włoskimi”.

- Witaj, Stary Mądry Człowieku - przywitał go Branson.  
- Przestań, jestem tylko siedem lat starszy od ciebie. Kiedy i ty dożyjesz tego wieku, stwierdzisz, że to wcale nie jest śmieszne - z uśmiechem powiedział Grace.

Branson zmarszczył brwi.

- Wyglądasz paskudnie. Naprawdę tak myślę.  
- Rozgłoś mi nie odpowiada.  
- No cóż, nie zauważyłem tego. W końcu kilka kolumn w szmatławcach dziś rano...

- A ty o tym samym, o czym wszyscy pozostali na tej planecie.

- Człowieku, wiesz, od zawsze jesteś okropnie głupi.  
- Głupi?  
- I pewnie już nie zmądrzejesz. Rób tak dalej, a pewnego dnia ktoś cię odstrzeli. Czasami myślę, że jesteś największym bałwanem, jakiego znam.

Otworzył drzwi i weszli do środka budynku.

- Dzięki, naprawdę wiesz, jak człowieka pocieszyć.  
Grace zmarszczył nos. Z zawiązanymi oczami rozpoznałby, że są w starzejącym się budynku - zapach wytartych dywanów, zużytej farby, zapachy kuchenne dochodzące zza drzwi.

- Jak żona? - zapytał, kiedy czekali na windę.  
- Wspaniale.  
- A dzieciaki?  
- Sammy jest kapitalny, a Remi zaczyna nas terroryzować. - Nacisnął przycisk windy.

Po kilku chwilach Grace powiedział:

- To nie było tak, jak to prasa przedstawiła, Glenn.

- Człowieku, wiem, przecież cię znam. Ale prasy to nie interesuje. Oni potrzebują sensacji, a ty byłeś po prostu na tyle głupi, że im to ułatwiłeś.

Wysiedli na szóstym piętrze. Branson otworzył drzwi mieszkania i weszli do środka. Salon, wąska kuchnia z granitowym blatem i okrągłym, stalowym zlewem, dwie sypialnie, z których jedną wykorzystywano jako gabinet - stało tam biurko, a na nim komputer i regały wypełnione książkami.

W mieszkaniu pachniało świeżością. Pomalowane na biało ściany, a skromne, nowoczesne meble wskazywały niewątpliwie wpływy stylu japońskiego: niskie kanapy, reprodukcje na ścianach, telewizor z płaskim ekranem, odtwarzacz DVD i wysokiej jakości sprzęt hi-fi. W sypialni zobaczyli leżący na podłodze materac zastępujący łóżko, szafę, telewizor i dwa niskie stolczki z surowymi, nowoczesnymi lampami. Obok stały adidasy Nike.

Grace i Branson popatrzyli na siebie.

- Niezłe gniazdko - powiedział Grace.

- Mhm - odparł Branson. - „Życie jest piękne”.

Grace spojrział zdumiony.

- Przegapiłem to w kinie, ale oglądałem na kanale Sky. Niewiarygodny film. Widziałeś?

Grace potrząsnął głową.

- Wszystko dzieje się w obozie koncentracyjnym. Ojciec przekonuje swojego dzieciaka, że to po prostu taka gra. Jeśli wygra, dostanie prawdziwy czołg. Mówię ci, bardziej mnie to ruszyło niż „Lista Schindlera” i „Pianista”.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Zastanawiam się, na jakiej planecie ty żyjesz.

Grace spojrział na zdjęcie stojące na stoliku. Przystojny blondyn, dobrze po dwudziestce, w czarnej koszulce i dżinsach obejmował niezwykle atrakcyjną młodą kobietę o długich, ciemnych włosach.

- To on?

- I ona. Michael Harrison i Ashley Harper. Nieźle wyglądają, co?

Nie odrywając wzroku od zdjęcia, Grace kiwnął głową.

- Mają się pobrać w sobotę. Przynajmniej taki jest plan.

- To znaczy?

- To znaczy, jeżeli on się pojawi. Teraz nie wygląda to za dobrze.

- Powiedziałeś, że nie ma go od wtorkowego wieczoru?

Grace popatrzył przez okno na szeroką, smaganą deszczem, zakorkowaną ulicę.

- Co o nim wiesz?

- Miejscowy playboy. Deweloper nieruchomości. Poważny gracz. Jego partner nazywa się Mark Warren. Ostatnio przebudowali stary magazyn w Shoreham Harbour. Trzydzieści dwa mieszkania zostały sprzedane, zanim je ukończono. Działają na tym rynku od siedmiu lat, kilka adaptacji, kilka nowych budowli. Dziewczyna Michaela jest sekretarką. Mądra i naprawdę ładna.

- Myślisz, że uciekł?

Branson potrząsnął głową.

- Nie.

Grace podniósł zdjęcie i bliżej mu się przyjrzał.

- Do diabła, sam bym się z nią ożenił.

- I o to chodzi.

Grace zmarszczył czoło.

- Przepraszam, chyba nie łąpię, ale mam za sobą długi dzień.

- Ożeniłbyś się z nią! Gdybym był singlem, też bym się ożenił. Każdy przy zdrowych zmysłach gotów by to zrobić.

- Jest naprawdę śliczna.

- O tak, śliczna.

Grace spojrzął na niego bezmyślnie.

Udając zirytowanego, Branson westchnął:

- Jezus, tracisz w tym wszystkim rozeznanie, czy co?

- Może tak? A o co ci chodzi?

- Chodzi mi o to, że gdybyś to ty miał poślubić tego kociaka w sobotę, uciekłybyś?

- Nie, chyba że byłbym świrem.

- Więc jeśli on nie uciekł, to gdzie jest?

Grace myślał przez chwilę.

- Przez telefon mówiłeś, że coś mogło pójść nie tak podczas wieczoru kawalerskiego?

- Tak mówiła jego narzeczona. Zresztą i mnie przyszło to do głowy. Podczas wieczorów kawalerskich ludzie robią różne głupie rzeczy. Tego, że nie pokazał się wczoraj, nie uznałbym za dziwne, ale przez dwie noce?

- Bał się? Jakaś inna dziewczyna?

- Wszystko możliwe. Ale chciałbym ci coś pokazać.

Grace poszedł za nim do salonu. Branson usiadł przed komputerem i zaczął stukać w klawiaturę. Był geniuszem komputerowym. Grace sam miał umysł ścisły i całkiem dobrze nadążał za większością współczesnych technologii, ale Branson był o lata świetlne przed nim.

Na ekranie pojawiło się polecenie wpisania hasła. Branson klepał wściekle, po kilku sekundach na ekranie pojawiły się dane.

- Jak to zrobiłeś? - zdziwił się Grace. - Skąd znałeś hasło?

Branson spojrzął z ukosa.

- Nie było hasła. Większość ludzi, widząc polecenie wpisania hasła, stara się jakieś wpisać. Ale po co mu hasło w prywatnym komputerze?

- Jestem pod wrażeniem.

- Chcę, żebyś bliżej się temu przypatrzył.

Grace siadł przed ekranem.

Tylko kilka kilometrów dalej Mark Warren też garbił się przy komputerze. Zegar na płaskim ekranie wskazywał 18.10. Zwykle wysprzątane biurko, które przez ostatnie siedem lat dzielił z Michaeliem, było zasypane stertą dokumentów.

Lokale na trzecim piętrze w wąskiej, pięciokondygnacyjnej szeregowej miejskiej posiadłości, utrzymanej w stylu regencji, położone niedaleko stacji Brighton, stanowiły ich pierwsze wspólne przedsięwzięcie. Oprócz biura, w którym właśnie teraz przebywał, znajdowały się sala konferencyjna dla klientów, recepcja i mała kuchnia. Wszystko umeblowane nowocześnie, ale funkcjonalne. Na ścianach wisiały zdjęcia trzech kolejnych jachtów, które do nich należały i dzięki którym można było prześledzić ich sukcesy - od pierwszej łodzi Nicholson 27 przez imponującą Contessę 33 aż po niewątpliwie ekskluzywną Oyster 42, ich ostatnią zabawkę.

Można było zobaczyć tu także fotografie ich inwestycji: magazyn w dzielnicy portowej w Shoreham, który przekształcili, otrzymując trzydzieści dwa apartamenty, stary hotel w Kemp Town, który zamienili na dziesięć mieszkań i dwa domy, przerobione z dawnych stajen, oraz ich ostatnie, najbardziej ambitne przedsięwzięcie, czyli plan terenu o powierzchni pięciu akrów, na którym mieli zbudować zamknięte osiedle.

Po dwóch bezsennych nocach ledwie patrzył na oczy. Aby choć na chwilę odpocząć od komputera, Mark wyjrzał

przez okno. Naprzeciwko stały kasyno i sklep z dywanami. W słoneczne dni można stąd było obserwować piękne dziewczęta spacerujące po ulicy, teraz jednak lał deszcz, ludzie kryli się pod parasolami lub biegli, chowając twarze w podniesione kołnierze płaszczy. Zresztą Mark nie miał nastroju, by myśleć o czymkolwiek innym poza sprawą, którą miał do załatwienia.

Co kilka minut w ciągu całego dnia wybierał numer komórki Michaela, ale za każdym razem włączała się poczta głosowa. Jeśli telefon nie był wyłączony albo nie wyczerpała się bateria, oznaczało to, że Michael wciąż leżał gdzieś pod ziemią. Licząc od momentu wypadku, musieli zakopać go około 21.00. Czyli około czterdziestu pięciu godzin temu.

Zadzwoił telefon. Mark podniósł słuchawkę, próbując opanować nerwowe drzenie głosu.

- Nieruchomości, słucham?

- Halo, dzwonię w sprawie osiedla Ashdown Fields. Czy ma pan jakieś prospekty i cennik? - zapytał męski głos.

- Niestety, jeszcze nie. Będzie za kilka tygodni. Ale jest trochę informacji na naszej stronie internetowej. Aha, już je pan sprawdził. Gdyby zechciał pan zostawić swoje nazwisko, na pewno prześlemy panu materiały.

Zwykle cieszył się, kiedy tak wcześnie pytano o mieszkania, ale w tej chwili ceny były ostatnią rzeczą, o jakiej myślał. Najważniejsze to nie ulec panice. Przeczytał wystarczająco dużo kryminałów, widział wystarczająco dużo filmów, by wiedzieć, że wpadali ci, którzy panikowali.

Wykasować e-maile.

Skrzynka odbiorcza. Wysyłanie. Kosz. I pozostałe foldery.

Całkowite skasowanie listów było niemożliwe, zostaną gdzieś w cybernetycznej przestrzeni, ale z pewnością nikt tam ich szukać nie będzie. A może?

Wklepywał hasło za hasłem, wyszukując według tematów. Michael. Wieczór kawalerski. Josh. Pete. Robbo. Luke. Ashley. Plany! Operacja zemsta! Sprawdził każdy e-mail, wykasował wszystkie, które tego wymagały. Ukrył wszystkie bazy.



Josh walczył o życie, był w stanie krytycznym, z uszkodzonym mózgiem. Jeśli przeżyje, będzie rośliną. Mark przełknął ślinę, w gardle mu zaschło. Znal Josha, odkąd skończyli trzynaście lat i chodzili do szkoły Varndean. Luke i Michael oczywiście też. Pete i Robbo dołączyli później, pewnej nocy jako nastolatkwie spotkali się w pubie w Brighton, kompletnie zalani. Josh, tak jak Mark, był metodyczny i ambitny. I do tego przystojny. Zawsze otaczał go wianuszek kobiet, podobnie jak Michaela. Niektórym ludziom los zawsze sprzyjał, a inni, tacy jak on, musieli o wszystko walczyć. Ale nawet mając dwadzieścia osiem lat, Mark widział wystarczająco dużo w życiu, żeby wiedzieć, że nic nie trwa wiecznie. Trzeba cierpliwie, czekać na właściwy moment, a prędzej czy później dostanie się wielką szansę. Tak jak w przyrodzie. Najwięksi drapieżcy są też najbardziej cierpliwi.

Mark nigdy nie zapomniał pewnego filmu przyrodniczego, który widział w telewizji. Pokazano jaskinię w południowej Afryce zamieszkaną przez tysiące nietoperzy. Żyjący na dnie jaskini mikroorganizm żywił się odchodami nietoperza; mikroorganizm został zjedzony przez czerwia, tego z kolei pożarł chrząszcz, sam stając się ofiarą pająka. Na końcu nietoperz połknął pająka. Doskonały łańcuch pokarmowy. Nietoperz był najszcześniejszy, jedyne, co musiał zrobić, to gównu. A potem tylko czekał.

Zadzwoiła komórka. Trzeci raz tego popołudnia i chyba setny dzisiejszego dnia dzwoniła matka Michaela. Zachował się tak uprzejmie i przyjaźnie jak zawsze. Powiedział, że nadal nie było wiadomości od Michaela. To okropne, ale naprawdę nie miał pojęcia, co się z nim stało. Mieli przecież prosty plan - zrobić rundkę po pubach, a teraz nie mógł sobie wyobrazić, gdzie Michael się podział.

- Myślisz, że mógłby być z jakąś inną kobietą? - Nieśmiało, ale poważnie zapytała Gili Harrison.

Zawsze dobrze ją rozumiał, przynajmniej na tyle, na ile to było możliwe. Jej mąż popełnił samobójstwo, nim on i Michael się spotkali.

Michael twierdził, że wtedy właśnie matka zamknęła się w swojej skorupie i nigdy już z niej nie wyszła. Mark widział jej wcześniejsze zdjęcia, prawdziwa piękność. Ale teraz trudno to było dostrzec - miała siwe włosy, pomarszczoną i pożółkłą twarz i żadnych oznak życia.

- Wszystko jest możliwe pani Harrison - odpowiedział. Starannie dobierał słowa. - Ale przecież Mark uwielbia Ashley.

- To urocza dziewczyna.

- Rzeczywiście jest najlepszą sekretarką, jaką kiedykolwiek mieliśmy. - Bawił się myszką, poruszając kursorem dookoła ekranu. - Ale wie pani, co czasami może zrobić alkohol.

Natychmiast pożałował tych słów. Czyż Michael nie powiedział kiedyś, że jego ojciec był pijany, kiedy się zabił?

Nastała długa cisza, a potem ona powiedziała bardzo łagodnie:

- Sądzę, że miał dość czasu, żeby wytrzeźwieć. Michael jest dobrym i lojalnym człowiekiem. Wiele mógłby zrobić po pijanemu, ale z pewnością nigdy nie skrzywdziłby Ashley. Coś musiało mu się stać, inaczej zadzwoniłby. Znam mojego syna. - Zawahała się. - Ashley jest w okropnym stanie. Zaopiekujesz się nią?

- Oczywiście.

I znów cisza.

- Jak się czuje Josh?

- Bez zmian. Zoe jest z nim w szpitalu. Posiedzę przy nim, jak tylko skończę pracę w biurze.

- Zadzwonisz, jeśli czegoś się dowiesz?

- Oczywiście.

Odłożył słuchawkę, oblany zimnym potem. O cholera, pomyślał. O cholera, cholera, cholera.

Glenn Branson pożegnał się z inspektorem i wsiadł do służbowego samochodu, niebieskiego vauxhalla, który śmierdział dezynfekcją - widać ktoś albo niedawno tu rzygał, albo krwawił. Dojechał do posterunku policji w Brighton, zaparkował i wszedł wejściem od tyłu, a potem kamiennymi schodami na górę do biura, które dzielił z innymi inspektorami.

18.20; jego zmiana praktycznie kończyła się codziennie o 18.00, ale przejęli ostatnio ogromny transport narkotyków i był zawalony pracą papierkową; miał pozwolenie na nadgodziny, a poza tym potrzebował dodatkowej gotówki. Ale dzisiaj zdecydował się pracować tylko do 19.00, bo Ari wybierała się na kolejny kurs samodoskonalenia. W poniedziałki chodziła na popołudniowe zajęcia z literatury angielskiej, a w czwartki z architektury. Odkąd urodziła się ich córka Remi, wpadła w przerażenie, widząc braki w swej edukacji, i wystraszyła się, że nie będzie umiała odpowiadać na pytania dzieci, kiedy dorosną.

Większość komputerów była wprawdzie wyłączona, ale każdy pusty boks wyglądał, jakby jego użytkownik opuścił go w pośpiechu i wkrótce miał wrócić. W pracy pozostali jeszcze dwaj koledzy - Nick Nicholl, niespełna trzydziestoletni, wysoki jak tyka, gorliwy inspektor i doskonały gracz futbolowy oraz trzydziestopięcioletnia Bella Moy, o radośnej buzi pod burzą brązowych włosów.

Nikt nie zareagował na jego przyjście. Przeszedł obok Nicka, skupionego na wypełnianiu formularza - miał zaciśnięte usta niczym dzieciak, który po raz pierwszy wypełnia test pisemny. Bella z kolei wpatrzona była w ekran komputera, a lewą ręką automatycznie wyjmowała ciasteczka ze stojącego na biurku pudełka i wkładała je do ust. Mimo że jadła wyjątkowo dużo, ciągle miała szczupłą sylwetkę.

Usiadł przy biurku i zobaczył, że miga światelko telefonu; jakaś wiadomość. Z fotografii uśmiechali się do niego: żona, jego ośmioletni syn Sammy i trzyletnia Remi.

Spojrzał na zegarek, musiał kontrolować czas. Ari wściekała się, kiedy spóźniał się i musiała opuścić początek zajęć. Zresztą nie miał nic aż tak pilnego, by zrezygnować z zabawy z dziećmi. I wtedy zadzwonił telefon.

Jakaś kobieta chciała się z nim koniecznie zobaczyć. Czy miałby coś przeciwko temu, żeby zamienić z nią słówko? Pozostali byli zajęci.

- No dobra, a ja nie jestem zajęty? - zapytał recepcjonistkę z irytacją. - Czego ona chce?

- Chodzi o wtorkowy wypadek, o tego zaginionego pana młodego.

Natychmiast złagodniał.

- W porządku. Zejdę.

Ashley Harper, mimo że niezwykle blada, okazała się tak piękna w rzeczywistości, jak na zdjęciu, które oglądał wcześniej w mieszkaniu Michaela Harrisona. Ubrana była w najmodniejsze dzinsy, a w rękę trzymała kosztowną torebkę. Zaprowadził ją do pokoju rozmów, poczęstował kawą, zamknął drzwi i usiadł naprzeciwko. Pomieszczenie, jak wszystkie te do przesłuchań, było małe, bez okna, ze ścianami w brunatnozielonym kolorze, na podłodze leżała bura wykładzina, na niej stały metalowe krzesła i stół. Zalatywało zatechłym smrodem papierosów.

Postawiła torebkę na podłodze. Z pięknych, szarych oczu spoglądających z poblądłej twarzy wyzierał ciężki jak ołów smutek.

Pukle brązowych włosów spadały na czoło i spływały falami wokół twarzy i na ramiona. Zwrócił też uwagę na jej pięknie pomalowane paznokcie. Wyglądała tak idealnie, że aż go to zdziwiło. Ludzie w jej sytuacji zwykle nie dbają o wygląd, a ona - przeciwnie - jakby chciała na siebie zwrócić uwagę. Jednak dobrze wiedział, że z kobietami to nie takie proste. Kiedyś Ari dała mu książkę „Mężczyźni są z Marsa, a kobiety z Wenus”, dzięki temu lepiej rozumiał przepaść pomiędzy płciami.

- Jest pan wyjątkowo twardym człowiekiem, skoro pan to wytrzymuje - powiedziała, odrzucając głowę do tyłu i błyskawicznym ruchem ręki odgarniając włosy z twarzy. - Zostawiłam cztery wiadomości.

- No cóż, przepraszam. Dwóch ludzi jest chorych, a dwaj pozostali wyjechali. Ale proszę wierzyć, że rozumiem, jak się pani czuje.

- Naprawdę? Ma pan pojęcie, jak ja się czuję? W sobotę ma się odbyć ślub, a we wtorek mój narzeczonzy zaginął. Mamy zarezerwowany kościół, jestem umówiona z krawcową, zaprosiliśmy dwustu gości, codziennie dostarczają prezenty ślubne. Ma pan pojęcie, jak ja się czuję? - Łzy spłynęły jej po policzkach. Pociągnęła nosem, szukała po omacku w torebce, wreszcie wyciągnęła chusteczkę.

- No dobra, przepraszam. Od rana pracowałem nad sprawą Michaela.

- I co? - Delikatnie osuszyła łzy.

- Obawiam się, że nic jeszcze nie wiem. - Nie była to całkiem prawda, ale chciał usłyszeć, jak zareaguje.

- A co dokładnie robicie, panowie?

- Jak powiedziałem dziś rano przez telefon, zwykle, jeśli ktoś zaginie...

Przerwała mu.

- Na miłość boską, to nie jest zwykłe zniknięcie. Michael zaginął we wtorkowy wieczór. Zazwyczaj dzwonił do mnie pięć, dziesięć razy dziennie. A tu minęły dwa dni. Dwa cholerne dni, na miłość boską!

Branson uważnie obserwował jej twarz, licząc, że może z czymś się zdradzi, ale nic nie dostrzegł. Po prostu młoda kobieta, zdenerwowana brakiem wiadomości o ukochanym. A może doskonała aktorka?

- Proszę mnie posłuchać. Zwykle dwa dni nieobecności to nie powód do wszczęcia dochodzenia. Ale zgadzam się, w tej sytuacji to jest dziwne.

- Coś musiało mu się stać. To nie jest normalna sytuacja. Jego koledzy musieli mu coś zrobić, zamknęli go gdzieś, wysłali dokądś, do diabła, nie wiem, co mu zrobili. Ja... - Opuściła głowę, jakby chciała ukryć łzy. Znow ostrożnie otarła oczy.

Glenn był poruszony. Z pewnością niczego nie wiedziała i nadszedł odpowiedni moment, żeby jej powiedzieć.

- Robimy wszystko, żeby odnaleźć Michaela.

- Na przykład? Co robicie?

- Przeszukaliśmy teren wokół miejsca wypadku. Nasi ludzie ciągle tam są. Widzi pani, czasem ofiary wypadku są zupełnie zdezorientowane i nie wiedzą, co się stało i gdzie są. Wszystkie patrole policji zostały poinformowane. Lotniska i porty...

Przerwała mu.

- Pan sądzi, że on uciekł? Jezu! Dlaczego miałby to zrobić?

Zdecydował się w tym momencie wykorzystać technikę, której nauczył go Roy Grace, pozwalająca ona sprawdzić, czy ktoś kłamie. Zapytał:

- Co jadła pani dziś na lunch?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Co jadłam dziś na lunch?

- Tak. - Bacznie obserwował jej oczy. Poruszyły się w prawą stronę. Fala odpowiedzialna za pamięć.

Mózg ludzki podzielony jest na dwie półkule. Jedna to magazyn pamięci długotrwałej, w drugiej zachodzą procesy twórcze. Kiedy zadajemy pytanie, gałki oczne prawie zawsze kierują się w stronę odpowiedniej półkuli.

Kiedy ludzie mówią prawdę, ich oczy przesuwają się w stronę półkuli z pamięcią, a kiedy kłamią - w przeciwną. Branson nauczył się rozpoznawać te reakcje.

- W ogóle nie jadłam dzisiaj lunchu.

Uznał, że nadszedł czas, by jej powiedzieć.

- Co pani wie o interesach, w których uczestniczył pani narzeczony, panno Harper?

- Byłam jego sekretarką przez sześć miesięcy, więc o niewielu sprawach mogłam nie wiedzieć.

- Więc wie pani o firmie na Kajmanach?

Na jej twarzy pojawiło się zdziwienie, ale oczy zwróciły się w lewą stronę. Kłamała.

- Na Kajmanach?

- On i jego partner - zrobił pauzę i zajrzał do notesu - Mark Warren. Czy wie pani, jaka to była firma? Międzynarodowe Nieruchomości?

Patrzyła w milczeniu.

- Międzynarodowe Nieruchomości? - odezwała się jak echo.

- Tak.

- Nie, nic na ten temat nie wiem.

Kiwnął głową.

- W porządku.

Ton jej głosu zmienił się subtelnie. Dzięki naukom Roya wiedział, co to znaczyło.

- Proszę powiedzieć mi o tym coś więcej.

- Niewiele więcej wiem, miałem nadzieję, że to pani coś mi powie.

Jej oczy znów zwróciły się w lewą stronę.

- Nic nie wiem. Przykro mi.

- Tak czy inaczej to prawdopodobnie nie ma znaczenia - powiedział. - Któż nie chciałby ominąć płacenia podatków?

- Michael jest sprytny. To mądry biznesmen. I z pewnością nie zrobiłby niczego nielegalnego.

- Nie sugeruję tego, panno Harper. Próbuję pokazać, że być może nie zna pani tak do końca mężczyzny, którego ma pani poślubić. To wszystko.

- To znaczy?

Bezradnie rozłożył ręce. Była 18.55. Powinien już wyjść.

- To niekoniecznie musi coś znaczyć. Chociaż niczego nie można lekceważyć. - Uśmiechnął się do niej.

Ale nie odpowiedziała mu uśmiechem.



Na przedmieściach Lewes, w barakowozie stojącym obok domu, Davey oglądał amerykański film „Prawo i porządek”. Jego ulubiony bohater, detektyw Reynaldo Curtis, trzymał właśnie oprycha za gardło.

- Już po tobie, kapujesz koleś? - warknął Reynaldo Curtis.

Davey ubrany był w powypychane džinsy, a na głowie miał bejsbolówkę. Leżał na starej kanapie, chrupał tabliczkę czekolady i wrzeszczał:

- No, koleś! Już po tobie, kapujesz!

Wokół kanapy, na starym dywanie, na półkach i stole wałały się resztki hamburgerów i frytek. Tu właśnie Davey „pracował” z ojcem.

Sięgnął teraz po krótkofalówkę, którą znalazł tamtej nocy. Chciał ją naprawić, ale jeszcze mu się nie udało. Leniwie podniósł główną część i przyglądał się jej. Obudowa była pęknięta, dlatego wypadły z niej dwie baterie. Naprawdę miał zamiar to wszystko poskładać, ale jakoś zapomniał. O wielu rzeczach zapominał. Tak szybko, jak pojawiały się w jego głowie, tak samo szybko odchodziły.

Pewne rzeczy.

Życie było jak puzzle, w których zawsze brakowało paru części. Istotnych części. A teraz miał cztery kawałki takiej

układanki - pęknięte pudełko, dwie baterie i coś, co wyglądało jak wieczko.

Dokończył czekoladę, wylizał papiererek, a potem rzucił go na podłogę.

- Kapujesz, koleś? - rzucił do wyimaginowanego przeciwnika. Pochylił się do przodu, podniósł pudełko po hamburgerze i pogrzebał palcem w resztkę keczupu.

- Tak. Już po tobie.

Śmiał się sam do siebie. Przerwa na reklamy. Jakiś facet opowiadał coś o współczynniku budowania społeczeństwa. Coraz bardziej zniecierpliwiony Davey pokrzykiwał:

- No dalej, wracajmy do programu.

Tymczasem zaczęła się kolejna reklama: po dywanie rączkowało dziecko mówiące głębokim, męskim głosem. Davey patrzył przez chwilę jak zaczarowany - ciekawe, jak dziecko mogło nauczyć się tak mówić. Ale po chwili znów spojrzał na krótkofalówkę. Fajna była ta teleskopowa antena. Wyciągnął ją tak daleko, jak tylko się dało, a potem znowu schował.

- A kuku! - powiedział. I znowu: - A kuku!

Skierował antenę na ekran telewizora i podziwiał jej długość. Zaczął z niej celować jak z karabinu; w tym momencie reklamy się skończyły.

Spojrzał na nowy zegarek, który dostał wczoraj od ojca. Na urodziny. Był mu potrzebny do mierzenia czasu na zawodach samochodowych. Miał mnóstwo przycisków, mógł nawet wybrać numer telefonu, który wyświetlał się na monitorze. Jeszcze nie do końca wiedział, do czego są przyciski, ale ojciec obiecał pomóc mu w przeczytaniu instrukcji obsługi, powiedział, że wytłumaczy trudne słowa. Zegarka potrzebował na sobotę, kiedy miało rozegrać się Grand Prix Monaco, sprzęt musiał być na czas gotowy.

Rozległo się pukanie, a potem drzwi się uchyliły. Zobaczył ojca, który na głowie miał czapkę z nausznikami, a ubrany był w starą, zniszczoną wiatrówkę i kalosze.

- Za pięć minut, Davey.

- Uhm. Oglądam „Prawo i porządek”. Może być za piętnaście?

Najpierw wyczuł zapach dymu papierosowego, a potem czerwony, jarzący się punkcik. To ojciec się zaciągnął.

- Jeśli chcesz iść na zajęcia, musimy wyjść za pięć minut. Widziałeś już wszystkie odcinki, jakie zostały kiedykolwiek nakręcone.

Davey podniósł palec do ust i skrzywił się, udając rozpacz. Phil Wheeler wycofał się z pokoju.

- Pięć minut - powtórzył, zamykając drzwi.

- Dziesięć! - krzyknął Davey, usiłując mówić z amerykańskim akcentem.

Davey spojrzął na krótkofalówkę i pomyślał, że nieźle byłoby zabrać ją ze sobą na polowanie. Przyjrzał się przegródce na baterie, szukając oznakowania, w którą stronę powinny być ułożone, potem je wcisnął. Nacisnął jeden z dwóch przycisków. Cisza. Drugi. Natychmiast rozległy się trzaski.

Trzymał krótkofalówkę przy uchu i nasłuchiwał. Tylko zakłócenia. I nagle męski głos odezwał się tak głośno, jakby facet znajdował się obok niego.

- Halo?

Zaskoczony Davey upuścił krótkofalówkę.

- Halo? Halo?

Davey gapił się na podłogę, promieniejąc z zachwytu. A potem znowu usłyszał pukanie do drzwi i głos ojca.

- Mam twoją broń, chodźmy!

Nagle przestraszył się, że ojciec będzie zły, widząc krótkofalówkę, bo powtarzał, że nie wolno niczego zabierać z miejsca kraksy. Przykucnął, nacisnął drugi przycisk i syknął ze swoim amerykańskim akcentem: - Przykro mi, nie mogę teraz gadać. Już po tobie, kapujesz koles?

Potem wepchnął krótkofalówkę pod kanapę i wyszedł z pokoju, zostawiając włączony telewizor i detektywa Reynaldo Curtisa, który już bez niego musiał dalej zmagać się z przestępcami.

- Hej! Halo! Halo! Halo!

Cisza.

- Hej, proszę, pomóż mi!

Michael szlochał, gorączkowo stukając w przycisk.

- Proszę, pomóż mi, proszę, pomóż mi!

Tylko trzaski.

„Przykro mi, nie mogę gadać, już po tobie, kapujesz koleś?”

Dziwny głos, jakby jakiś marny aktorzyzna grający amerykańskiego gangstera. Czy to też należało do zgrywu? Na suche, spękane usta spływały mu łzy i przez moment rozkoszował się tą odrobiną wilgoci. Popatrzył na zegarek. 8.50. Ile jeszcze miał trwać ten koszmar? Jak mogli to zrobić? Z pewnością Ashley i jego matka, wszyscy zresztą, musieli już dopaść chłopaków. Był przecież tu na dole...

Nagle ogarnęła go panika. Czy to 8.50 rano, czy wieczorem?

Pilnował każdej mijającej godziny i z pewnością nie straciłby aż dwunastu. Teraz więc był wieczór, noc, a nie jutrzejszy poranek.

Prawie czterdzieści osiem godzin.

Co, do diabła, wszyscy robicie?

Wsparł się na rękach i wypchnął ciało do góry, próbując doprowadzić do przepływu krwi przez zdrętwiałe plecy. Bo-

łały go skulone ramiona, każdy centymetr ciała cierpiał z powodu odwodnienia i braku ruchu. Wiedział, jak poważne jest to niebezpieczeństwo, w końcu był żeglarzem. Głowa dosłownie mu pękała. Usiłował rozmasować skronie kciukami, ale po chwili wracał ból równie okropny, jak wcześniej.

- Na Boga, żenię się w sobotę, wy darnie! Wypuście mnie stąd! - krzyczał tak głośno, jak tylko mógł, a potem walił w wieko i ściany rękami i nogami.

Imbecyle. Jutro jest piątek. Dzień przed ślubem. Ma odebrać garnitur i ostrzyć się. A w sobotę wieczorem wyjeżdżają na miesiąc miodowy do Tajlandii; czeka go jeszcze mnóstwo roboty w biurze przed urlopem. No i musi napisać swoją mowę ślubną.

- No dalej, chłopaki, jest tyle rzeczy, które muszę zrobić! Teraz mi odpłaciliście. Za całe to gówno, które wam urządziłem. Odpłaciliście mi pięknym za nadobne. Chwila triumfu!

Głowa opadła mu na podpórkę. Odszukał latarkę i włączył ją na kilka sekund. Miał wrażenie, że biały atlas jest jeszcze bliżej niego. Jakby trumna, czy cokolwiek to było, systematycznie się kurczyła. Uchwycił rurkę zwisającą przed jego twarzą, zmrużył oczy i wyteżył wzrok, usiłując coś zobaczyć. Potem sprawdził, czy naciskał odpowiedni przycisk krótkofalówki. Najpierw nasłuchiwał, potem zaczął wołać. Odpowiedziała mu cisza.

Poczuł głód. Nagle przed oczami stanęła mu kuchnia w domu mamy i stojąca na gazie patelnia wypełniona parówkami, jajkami, bekonem, pomidorami. A wszystko to trzasnęło, strzelało i syczało. Czuł ten upojny zapach. Cholera, pachniał też chleb, który obsmażał się na innej patelni, i fasola z puszki.

O Jezusie, jestem taki głodny.

Z trudem odpędził myśli o jedzeniu, bo ból był nie do wytrzymania. Jakby kwasy żołądkowe pożerały go od wewnątrz.

Nagle przypomniał sobie coś, co kiedyś czytał: o żabach czy ropuchach, nie potrafił sobie dokładnie teraz przypomnieć, które nosiły swój płód w żołądku, zamiast w łonie. A kwasy żołądkowe nie robiły krzywdy maluchom.

Co sprawia, że ludzie nie trawią własnych żołądków? Jego mózg pracował teraz na podwyższonych obrotach, okazało się, że pamięta mnóstwo rzeczy.

Kilka lat temu czytał coś na temat rytmu całodobowego: wszystkie organizmy żywe mają dwudziestoczworogodzinny cykl. Z wyjątkiem ludzi, nasz przeciętny cykl wynosi dwadzieścia pięć i trzy czwarte godziny. Przeprowadzono testy, które polegały na umieszczeniu ludzi w ciemności, bez zegarów. Zawsze myśleli, że przebywali tam krócej, niż rzeczywistość miało to miejsce.

Wspaniale, mógłbym być teraz jednym z ich pieprzonych szczurów laboratoryjnych.

Wargi miał tak spierzchnięte, że najmniejszy ruch wywoływał potworny ból.

Znów włączył latarkę i popatrzył na rowek, który wyżłobił w drewnie nad głową. Wziął skórzany pasek i ponownie zaczął pocierać rogiem metalowej sprzączki, walcząc z twardym drewnem tekowym; wiedział wystarczająco dużo o drewnie, żeby je rozpoznać. Zaciskał oczy przed drobinami trocin. Sprzączka stawała się coraz bardziej gorąca, wreszcie przerwał, aby się ochłodziła.

„Przykro mi, nie mogę gadać, już po tobie, kapujesz koleś?”

Michael zmarszczył brwi. Do kogo, do diabła, należał ten głos z kiepskim amerykańskim akcentem?

Jak któryś z nich mógł pomyśleć, że to jest śmieszne? I co, do diabła, powiedzieli Ashley? A jego matce?

Znów przestał skrobać, był zbyt zmęczony. Wiedział jednak, że musi to kontynuować. To odwodnienie sprawia, że traci siły. Ale musi. Musi wydostać się z tego cholernego pudła. Wydostać się i dorwać tych drani. A potem będzie piekło rewanzu.

Usiłował skrobać jeszcze kilka minut, aż do chwili, kiedy zupełnie już nie dawał rady. Jego dłoń opadła, a napięte mięśnie szyi rozluźniły się.

Zasnął.

Wcześniej nadchodził zmierzch. Mark zaparkował samochód tuż za przystankiem autobusowym, niedaleko ulicy, a potem czekał kilka chwil. Szeroka ulica, jezdnia błyszcząca w ulewnym deszczu. Cisza. Nie dostrzegł nikogo, kto mógłby zwrócić na niego uwagę.

Nasunął na twarz czapkę, postawił kołnierz kurtki i pobiegł w kierunku mieszkania Michaela, rzucając okiem na wszystkie zaparkowane samochody, patrząc, czy w którymś nie siedzi ktoś w ciemnościach. Michael zawsze powtarzał, że Mark jest drobiazgowy. Dziś pewnie użyłby słów, których Mark nienawidził: że jest chorobliwie pedantyczny.

Ale Mark wiedział, że to prawda. Tyle że dzięki temu właśnie ich firma odnosiła takie sukcesy. To on odwał prawdziwą robotę. Jego zadaniem było szczegółowe analizowanie każdego punktu kosztorysów, aktualizowanie strony internetowej, zatwierdzanie zakupów, pilnowanie terminów i obniżanie cen do ostatniego pensa. Michael tymczasem więcej czasu spędzał, objijając się i uganiając za kobietami; w ogóle rzadko coś traktował poważnie. Mark wiedział, że sukces w interesach odnieśli tylko dzięki niemu, ale Michael nadal posiadał większość akcji. Po prostu dlatego, że miał więcej gotówki, kiedy zaczęli.

Na tablicy domofonu były czterdzieści dwa przyciski. Wybrał pierwszy lepszy, było nie na piętrze, na którym mieszkał Michael. Nikt nie odpowiedział.



Nacisnął więc kolejny, z nazwiskiem Maranello.

Po kilku chwilach odezwał się skrzeczący męski głos z mocnym włoskim akcentem.

- Halo? Słucham? Halo?
- Przesyłka - krzyknął Mark.
- Jaka przesyłka?
- FedEx. Z Ameryki dla pana Maranello.
- Co takiego? Przesyłka? Ja - nie - ja - nie...

Chwila ciszy, a potem ostry dźwięk elektrycznego zatrzaśku.

Mark pchnął drzwi. Skierował się prosto do windy, wjechał na szóste piętro, a potem poszedł korytarzem w kierunku mieszkania Michaela. Wiedział, że Michael trzyma dodatkowy klucz pod wycieraczką na wypadek, gdyby zatrzasnął drzwi, będąc na zewnątrz, co raz mu się zdarzyło; był wtedy pijany i nagi. Na szczęście klucz nadal tam leżał. Na wszelki wypadek zadzwonił do drzwi i czekał, obserwując korytarz; bał się, że ktoś mógłby go zobaczyć. Potem otworzył drzwi, wślizgnął się do środka i szybko zamknął za sobą. Włączył małą latarkę. Okna apartamentu Michaela wychodziły prosto na ulicę, naprzeciwko był apartamentowiec i prawdopodobnie nic by się nie stało, gdyby zapalił światło, ale nie chciał ryzykować. Ktoś mógł przecież obserwować mieszkanie. Zdjął przemoczony płaszcz i czapkę, powiesił je na wieszaku, a potem czekał przez kilka chwil, nerwowo nasłuchując. Od sąsiadów dobiegała rytmiczna muzyka z włączonego zbyt głośno telewizora. Po chwili zaczął poszukiwania.

Najpierw poszedł do salonu, światło z części kuchennej oświetlało resztę pomieszczenia. Popatrzył na stertę brudnych naczyń na kredensie, na rozpoczętą butelkę Chianti z korkiem wepchniętym do środka. Na stoliku do kawy leżał pilot do telewizora, stała częściowo wypalona świeczka i leżała sterta magazynów - „GQ”, „FHM”, „Yachts and Yachting”. Niepokojąco pulsowało czerwone światelko automatycznej sekretarki. Odsłuchiwał wiadomości. Jedna, pozostawiona godzinę temu, była od matki Michaela, poznał jej nerwowo głos.

- Halo, Michael, sprawdzam na wypadek, gdybyś już wrócił.

Kolejna była od Ashley; jej głos brzmiał tak, jakby rozmawiała przez komórkę z miejsca o fatalnym zasięgu.

- Michael, kochanie, dzwonię, żeby sprawdzić, czy może przypadkiem wróciłeś. Proszę, proszę zadzwoń do mnie, kiedy wrócisz. Tak bardzo cię kocham.

Następna od przedstawiciela Barclays Bank, który stałym klientom proponował pożyczkę.

Mark wysłuchał kolejnych wiadomości, ale nie było nic interesującego. Potem sprawdził dwie kanapy, krzesła, boki stołu, a wreszcie wszedł do gabinetu. Rozejrzył się. Na biurku stały komputer, klawiatura, bezprzewodowa mysz, fluorescencyjna podkładka, przycisk do papieru w kształcie serca, kalkulator, ładowarka do komórki i czarny pojemnik z piórami i ołówkami. Nie znalazł tam tego, czego szukał. Nie było tego też na regałach ani w zabałaganionej sypialni Michaela.

Cholera.

Cholera. Cholera. Cholera.

Wszedł ostrożnie z mieszkania, zszedł po schodach przeciwpożarowych i skierował się w stronę tylnego wyjścia przy parkingu. Zła wiadomość, pomyślał sobie. To naprawdę zła wiadomość.

Kwadrans później jechał już bmw stromą ulicą wzdłuż ciągnącego się kilometrami kompleksu Szpitala Hrabstwa Sussex. Wjechał na parking przed oddziałem ostrego dyżuru, przebiegł obok kilku karetek, które czekały na wyjazd, i wszedł do jasno oświetlonej poczekalni, w której był już poprzedniego dnia. Minął dziesiątki ludzi siedzących potulnie na plastikowych krzesłach pod napisem „Czas oczekiwania - trzy godziny”, przeszedł korytarzem do windy i wjechał na czwarte piętro. Potem szedł za znakami na OIOM; zapach środków dezynfekujących drażnił mu nozdrza. Skręcił za róg, przeszedł obok automatu do napojów, automatu telefonicznego i wreszcie zobaczył dyżurkę. Jedna z pielęgniarek

rozmawiała przez telefon, a druga tłumaczyła coś roztrzęsionej starszej kobiecie.

Przeszedł przez cały oddział, minął cztery łóżka i skierował się tam, gdzie wczorajszej nocy leżał Josh. Był pewien, że zobaczy Zoe, tymczasem na łóżku leżał jakiś pomarszczony stary człowiek o rozczochranych, siwych włosach, zapadniętych oczach i policzkach z plamami wątrobowymi, z podłączonymi rurkami; obok stał respirator.

Mark rozejrzał się, ale nie było ani śladu Josha. Przeraził się, że stan kumpla poprawił się i przeniesiono go na inny oddział. Poszedł do dyżurki i zwrócił się do pielęgniarki rozmawiającej przez telefon, pulchnej kobiety w wieku około trzydziestu lat, o pogodnym spojrzeniu i krótko obciętych włosach. Na plakietce widniały jej dane: „Marigold Watts, pielęgniarka”. Sądząc ze słów, rozmawiała z chłopakiem.

Czekał niecierpliwie, przestępując z nogi na nogę, próbując uchwycić jej spojrzenie, ale wydawała się bardziej zainteresowana czymś innym.

- Chińszczyzna, owszem, lubię chińszczyznę. Kaczkę po pekińsku. Nie pamiętam już, gdzie podają kaczkę po pekińsku z naleśnikami i...

Wreszcie go zauważyła.

- Słuchaj, muszę kończyć. Ja też cię kocham.

Odwróciła się do Marka z uśmiechem.

- Tak, w czym mogę pomóc?

- Josh Walker. - Wskazał w poprzek oddziału. - Wczoraj tam był. Zastanawiam się, na jaki oddział został przeniesiony.

Jej twarz skamieniała, głos zmienił się i nagle zaczęła ostrzej.

- Czy pan jest krewnym?

- Nie, jestem jego partnerem w interesach. - Mark postanowił nic więcej nie mówić.

- Przykro mi, informacji możemy udzielać tylko krewnym.

- Nie może mi pani po prostu powiedzieć, gdzie został przeniesiony?

Zabrzączał dzwonek. Spojrzała. Nad jednym z łóżek paliła się czerwona lampka.

- Muszę iść - powiedziała. - Przepraszam.

I popędziła korytarzem.

Mark wyciągnął komórkę, ale w tej samej chwili dostrzegł ogromny napis „Używanie telefonów komórkowych surowo zabronione”.

Wrócił do windy i zjechał na parter.

Dosłownie przerażony biegł przez labirynt korytarzy, aż dotarł do głównego wejścia.

Kiedy tylko doszedł do recepcji, usłyszał głośny, histeryczny głos i zobaczył Zoe. Była potargana i zapłakana.

- Ty i twój kumpel Michael, i wszystkie wasze cholernie głupie dowcipy - krzyczała. - Wy głupi, cholernie niedojrzali durnie.

Przez kilka chwil patrzyła na niego w milczeniu, a potem padła w jego ramiona, rozpaczliwie płacząc.

- On nie żyje, Mark. Właśnie umarł. Jest martwy. Josh jest martwy. O Boże, on nie żyje, proszę, pomóż mi, co ja mam robić?

Mark objął ją ramieniem.

- Ja, ja myślałem, że z nim wszystko w porządku, że wyliże się z tego - mówił bez przekonania.

- Powiedzieli, że nic już nie mogli dla niego zrobić. Powiedzieli, że gdyby żył, byłby rośliną. O Boże, o Boże, proszę, pomóż mi Mark. Co ja mam powiedzieć? Jak powiem dzieciom, że ich ojciec nigdy nie przyjdzie do domu? Co im powiem?

- Może napijesz się herbaty?

Przetykając łzy, krzyknęła:

- Nie chcę żadnej pieprzonej herbaty! Chcę mojego Josha! O Boże, zabrali go do kostnicy. O Chryste, co ja mam robić?

Mark stał w milczeniu, mocno obejmując ją i głaszcząc po plecach. Miał nadzieję, do diabła, że nie zauważyła ulgi malującej się na jego twarzy.

Michael obudził się otumaniony, próbował wstać, ale tylko uderzył się boleśnie. Z płaczem, bezskutecznie starał się poruszyć rękami, potem zaczął się szarpać i rzucać w panice.

- Wypuście mnie stąd! - krzyczał. Łapczywie łapał ustami powietrze, pocił się i drżał jednocześnie.

- Och, proszę, wypuście mnie!

Jego głos biegł jednak donikąd. Był tak samo uwięziony, jak on.

Jego dłonie szukały po omacku latarki, wreszcie znalazł ją, włączył i przerażony patrzył na ściany swojego więzienia, potem na zegarek. Była 11.15.

Noc?

Jutro?

Noc. To musi być noc. Czwartkowa noc.

Strużki potu spływały po jego ciele, tworząc pod nim kałużę. Kałuża? Sięgnął ręką, poświecił latarką. Woda.

Cholera, cał wody.

Nie było innej możliwości. Niemożliwe, żeby aż tak bardzo się pocił.

Dwa cholerne całe wody.

Znowu sięgnął ręką, trzymając mały palec do góry, niczym wskaźnik. Poziom wody znowu się podniósł. Złożył dłoń w miseczkę, nabrał wody i pił chciwie, nie zwracając uwagi na słony, błotnisty smak. Pił i pił, i miał wrażenie,

że z każdą chwilą był bardziej spragniony.

Kiedy jednak wody coraz bardziej przybywało, chwycił sprzączkę paska i desperacko zaczął trzeć wieko. W ciągu kilku minut sprzączka stała się tak gorąca, że aż paliła go w palce.

Cholera.

Sięgnął po butelkę whisky. Pozostało jeszcze trzy czwarte zawartości. Uderzył butelką w drewno ponad nim, ale nic się nie stało. Spróbował jeszcze raz, usłyszał przytłumiony łośkot i odłamał się cienki kawałek szkła. Szkoda marnować resztę. Uniósł głowę, przechylił butelkę i przełknął łyk palącego płynu. Dobry, bardzo dobry. Położył głowę, przyłożył butelkę do ust i pozwolił, aby płyn powoli lał się, a on tylko przełykał, przełykał, przełykał, aż się zakrztusił.

Po chwili miał trudności ze skupieniem się, kręciło mu się w głowie. Pozostało już niewiele whisky. Tak około...

Nagle nad jego głową rozległ się grzmot, a potem trumna poruszyła się!

I zaraz kolejny grzmot.

Jakby odgłos kroków.

Miał wrażenie, że ktoś stoi na wieku trumny akurat nad jego głową!

Nadzieja poruszyła każdy nerw jego ciała. O Jezu Chryste, nareszcie mnie stąd wyciągnął.

- W porządku gnoje! - krzyczał, ale jego głos był słabszy, niż się spodziewał. Wziął oddech, usłyszał kolejny grzmot nad nim. Cholera, nareszcie!

- Do cholery, czemu się nie pośpieszycie?

Cisza.

Walnął pięścią w wieko, bełkocąc:

- Hej! Do cholery, czemu się nie pośpieszycie? Josh? Luke? Pete? Robbo? Macie pojęcie, jak długo tu siedzę? To wcale nie jest śmieszne, to naprawdę nie jest aż tak śmieszne. Słyszycie?

Cisza.

Michael nasłuchiwał.

Czyżby tylko mu się wydawało?

- Halo! Hej, halo!

Cisza.

Nie ma mowy, żeby miał omamy. Słyszał przecież odgłos kroków. A może to jakieś zwierzę? Nie, to były cięższe kroki. Z pewnością człowieka.

Pukał butelką, a potem pięściami.

Nagle, bardzo cicho, jak gdyby na pokazie magii, rurka do oddychania zaczęła się unosić i wreszcie zniknęła, a przez otwór wpadło kilka grudek ziemi.

Mark ledwo widział. Panika sprawiła, że czerwona mgła przestroniła mu wszystko. I ten głos Michaela. Cholerny, stłumiony głos Michaela. Boże! Czuł się uwieczony w mrocznym kręgu drzew, które zamykały się wokół niego. Wydało mu się, że zza konarów dostrzega zarysy opuszczonego cmentarzyska. Ponure nagrobne krzyże wyciągały do niego sterczące ramiona. Nagle poruszyły się i zaczęły iść w jego stronę. O Jezu! Rzucił się do samochodu. Przypomniawszy sobie o łopacie nadal tkwiącej w grobie. Zawrócił z najwyższym trudem i wyrwał ją z ziemi.

W ciemnościach i zacinającym deszczu zatrzasnął drzwi bmw i usiłował wepchnąć kluczyk do stacyjki. Buty miał ciężkie i lepkie od błota, woda spływała mu z czapki na twarz. Ręką ubraną w rękawiczkę przekręcił kluczyk i przednie światła zapaliły się. Ich oślepiający blask rozproszył mrok i wymazał upiorne majaki. Majaki? Nie miał ochoty sprawdzać.

Cały rozdygotany włączył silnik i wyjechał na drogę.

Zastanawiał się gorączkowo. W ciągu najbliższego miesiąca nie zaczęły się tu żadne prace budowlane, nadal toczyły się dyskusje, analizowano projekty. Mało prawdopodobne więc, by ktoś tu przychodził.

Kilka minut później, na zakręcie, przednie światła wydobyły rząd wieńców ułożonych na poboczu drogi. Żołądek podszedł mu do gardła. Mocno ścisnął kierownicę.



Kręciło mu się w głowie, próbował za wszelką cenę skoncentrować się i myśleć jasno. Wjechał w kolejny zakręt, stanowczo za szybko. W panice ostro zahamował. Zbyt ostro. Poczłwał gwałtowne wibrowanie, potem usłyszał stuknięcie; rurka do oddychania, którą rzucił na sąsiedni fotel, spadła na podłogę.

Pokonał zakręt i zjechał na bok. Włączył przycisk nawigacji satelitarnej, po kilku chwilach sztucznie brzmiący kobiecy głos poinformował: „Trwa kalkulowanie trasy”.

Dwadzieścia pięć minut później zatrzymał samochód obok moła należącego do opuszczonego klubu jachtowego. Wziął latarkę, wysiadł i stanął w ciemnościach, nasłuchując. Jedynym dźwiękiem był klekot trzaskającego takielunku na wietrze. Nigdzie żadnych świateł. W budynku klubowym panowała cisza. Spojrzał na zegarek. Było dziesięć minut po północy.

Wziął leżącą na podłodze samochodu rurkę do oddychania, wyjął z bagażnika dwie łopaty i poszedł na koniec moła. Tu właśnie, na tym niewielkim zbiorniku wodnym on i Michael jako dzieci zaczęli swą przygodę żeglarską, stąd ruszyli z czasem na ocean. Doskonale pamiętał, że na końcu moła było dwadzieścia stóp głębokości. Trochę mało, ale powinno wystarczyć. Wrzucił do czarnej jak atrament, pomarszczonej wody rurkę, potem łopaty i obserwował, jak znikają. Potem zdjął buty i też je wrzucił.

Wrócił do samochodu, założył mokasyny i nagle poczuł się bardzo znużony. Jechał powoli, ostrożnie, aby nie namierzyły go radary i żeby nie zwrócić na siebie uwagi żadnego patrolu policyjnego.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobi rano, będzie wyjazd do myjni samochodowej niedaleko stacji Hove. Tam zawsze panował ruch, korzystali z niej często przejezdni kierowcy, więc brudne samochody nie zwracały niczyjej uwagi. No i zawsze była tam kolejka, dlatego z pewnością nikt nie zapamięta jego oblepionego błotem bmw.

Grace zaciągnął się gęstym dymem, ziewnął, potem mocniej chwycił zębami koniec cygara, jakby to mu pomogło w skupieniu i podniósł szybko pięć kart ze stołu nakrytego pomiętym, zielonym obrusem. Na środku stołu, obok małej kupki żetonów za pięćdziesiąt funtów, leżały przewrócone butelki whisky, kieliszki, sterta pieniędzy i dwie do granic wytrzymałości zapełnione popielniczki. A między tym wszystkim wałały się okruchy czipsów i resztki kanapek. W pokoju panował zaduch, a za oknem padał deszcz i wiał porywisty wiatr od kanału La Manche.

Spojrzał na zegarek, była 12.38, minęło południe. Zgodnie z tradycją ich cotygodniowych czwartkowych nocy pokerowych, ostatnia kolejka rozpoczęła się pół godziny po północy, a potem były jeszcze dwie następne.

Ta noc nie była dla niego dobra, mimo że założył przynoszące mu szczęście turkusowe skarpetki i niebieską koszulę w paski. Dostawał kiepskie karty, wykonał kilka złych sprawdzeń i kosztownych blefów. Cała ta gra zesła - tak jak i wszystko inne w tym tygodniu - na psy. Już sto pięćdziesiąt funtów straty, a ostatnia kolejka była często najbardziej bezwzględna.

Zerknął na karty, a potem znów na twarze kolegów i nagle troszkę się ożywił. Trójka na dziesiątkach. Pierwsza przyzwoita karta z ręki w ciągu ostatnich dwóch godzin. Chociaż nie bezpieczna. Zbyt dobra, żeby nie wejść do gry,

ale też niepokojąco zachęcająca do nadmiernego ryzyka. Bob Thorton był przeciwnikiem trudnym do odgadnięcia. Potężny, energiczny mężczyzna po siedemdziesiątce, o twarzy przypominającej jastrzębia i dłoniach pokrytych plamami wątrobowymi. Ubrany był w zielony rozpinany sweter, koszulę w szkocką kratę, odpiętą teraz pod szyją, sztruksowe spodnie i tenisówki. Najstarszy w gronie najzagorzalszych dziesięciu graczy, przychodził w każdy czwartek, rok w rok; uczestnicy kolejno zapraszali grających do siebie.

Ich pokerowe spotkania zaczęły się na długo przed tym, zanim Grace wstąpił do policji. Bob niejednokrotnie opowiadał, że kiedy się przyłączył, był najmłodszym graczem. Grace zastanawiał się, myśląc o swoich nadchodzących trzydziestych dziewiątych urodzinach, czy podobnie jak Bob skończy pewnego dnia jako najstarszy pierdoła w grupie. Ale wiek niósł ze sobą pewne korzyści. Bob jako gracz potrafił ostro przygwoździć, był trudny do odgadnięcia oraz przebiegły i agresywny. Grace nie pamiętał, żeby Bob kiedykolwiek wracał do domu splukany. Obserwował go, jak kulił ramiona, kiedy sprawdzał i przekładał karty, trzymając je blisko piersi, jak przyglądał się im uważnie przez okulary. Potem otworzył i zamknął usta, przesunął językiem po wargach jak wąż i Grace już wiedział, że na wejściu Bobowi nie dopisało szczęście.

Tom Allen, trzydziestoczteroletni inspektor z Brighton, o poważnej, młodzieńczej twarzy okolonej burzą kręconych włosów, ubrany w sweter i koszulkę, z kamienną twarzą przyglądał się swoim kartom. Jego też trudno było rozgryźć. Obok siedział Chris Croke, gliniarz z drogówki, który na motorze patrolował ruch uliczny. Szczupły, doskonale zbudowany, miał krótkie blond włosy, niebieskie oczy i niezwykły urok osobisty, dzięki czemu był wytrawnym pożeraczem serc kobiecych, taki bardziej playboy niż glina. Dzisiaj to on właśnie gościł graczy w swoim eleganckim apartamencie na piątym piętrze w najbardziej szpanerskim

apartamentowcu w Brighton. Zazwyczaj gliniarz prowadzący tak wystawne życie budził podejrzenia Grace'a, ale w tym przypadku wszyscy wiedzieli, że żona Chrisa odziedziczyła ogromną fortunę.

Croke zatrzymał ją ponoć kiedyś za przekroczenie prędkości, a teraz chwalił się, że mimo mandatu go poślubiła. Nieistotne, jaka była prawda, ważne, że to już historia, małżeństwo bowiem definitywnie się rozpadło, ponieważ ona w końcu zmęczyła się jego nieregularnymi godzinami pracy.

Croke był lekkomyślny i nieprzewidywalny. Mimo siedmiu lat wspólnego grania Grace miał trudności z rozszyfrowaniem języka jego ciała. Wydawało się, że nie dba o to, czy wygra, czy przegra; trudno było wyczuć, co ma w kartach.

Grace przeniósł spojrzenie na Trevora Cartera, cichego, łysego informatyka z policji w Brighton. Ubrany w szarą koszulę z podwiniętymi rękawami i wygniecione brązowe spodnie, w niemodnych olbrzymich okularach, Carter był wręcz skąpy i grał tak, jak gdyby dobrobyt jego czwórki dzieci miał zależeć właśnie od tych kart. Rzadko blefował, rzadko podnosił stawkę, rzadko kończył grę sukcesem. Ale łatwo go było rozgryźć, bo zdradzał go nerwowy tik prawego oka - gwarantowany znak, że ma dobre karty. Teraz także powieka mu drżała.

Na końcu zerknął na Geoffa Panone'a. Ten trzydziestoletni inspektor od narkotyków miał na sobie czarną koszulkę, białe dżinsy i sandały. Czarne włosy sięgały mu prawie do ramion, w uchu połyskiwał złoty kolczyk, a w ustach tkwiło ogromne cygaro. Obserwując go, Grace zorientował się, że zawsze kiedy dostał dobre karty, przekładał je z ręki do ręki. Teraz właśnie tak robił.

- Twoja kolej - powiedział Bob Thorton do Grace'a.

Maksymalną stawkę wyznaczała wartość puli na stole. Nikt nie mógł iść wyżej, co było rozsądnym limitem. Każdy z sześciu graczy wszedł do puli za trzy funty, to określilo stawkę otwarcia. Nie chcąc zdradzać siły swoich kart, a jednocześnie zachęcić pozostałych do gry, Grace postawił ostrożnie jednego funta. Wszyscy tak zaczęli, aż do

momentu, kiedy Trevor Carter podniósł stawkę do trzech funtów.

Geoff przebił go o dwa funty. Bob Thorton zawahał się przez chwilę, a to upewniło Grace'a, że nie miał dobrych kart. Może więc w tym ostatnim rozdaniu miał jeszcze szansę. Postanowił pomóc przeznaczeniu i podwyższył o jeszcze trzy. Spojrzeli na niego. Wiedzieli, że miał za sobą ciężką noc, zdradzał go wyraz twarzy. Ale było już za późno, żeby cokolwiek zmienić.

Tom rzucił karty i potrząsnął głową. Chris wahał się przez moment, potem dorzucił pięć funtów. Trevor i Geoff wyrównali stawkę i Bob Thorton poszedł w ich ślady.

- Ile kart?- Bob zapytał Grace'a.

Zmieniając dwie, pokazałby, że ma na ręce trójkę. Ale jednocześnie mógłby zwiększyć swoją szansę na karetę. Podjął decyzję i zmienił tylko jedną, odrzucając trójkę trefl, zachował siódemkę pik. Dostał siódemkę kier.

Serce mu podskoczyło. Miał fula! Nie najmocniejszego, ale to już było coś. Dziesiątki na siódmkach. Teraz mógł zacząć prawdziwą grę.

Podniecony postawił maksymalną stawkę. Z konsternacją zdał sobie sprawę, że podniósł za wysoko, gdyż każdy następny z graczy kolejno się wycofał. Ale odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył, jak Trevor Carter dorzuca i przebija.

Zdecydowanym ruchem wyciągnął portfel i znów podwoił pulę. Trevor przebił go kilka razy z rzędu, aż Grace przestał nad sobą panować i wyłuskał kilka pozostałych banknotów i powiedział - sprawdzam. Zaciągając się nerwowo cygarem, obserwował Cartera wykładającego swoje karty.

O cholera! Cholera, poker - siódemka, ósemka, dziewiątka, dziesiątka, walet. Nokaut.

- O w mordę! - wykrzyknął Croke.

- Nieźle rozegrane - dodał Bob Thorton. - O mój Boże, to było rewelacyjne.

- Dostałem go z ręki - wykrztusił bliski ekstazy Trevor Carter. - Tak po prostu.

Grace poczuł się podwójnie zmęczony. Taka ręka zdarza się raz na milion. Niemożliwe do przewidzenia. Powinien jednak założyć, że Trevor nie blefuje i sprawdzić go wcześniej.

- Sądzę, że musisz popracować jeszcze nad swymi nadprzyrodzonymi zdolnościami - roześmiał się Croke.

Wybuchnęli śmiechem.

- Odwalcie się! - odparował Grace, starając się nie okazać, jak bardzo był zdołowany. Alison Vosper miała rację. Ludzie śmiali się z niego. Teraz to tylko przyjacielskie żarty, ale nie do końca. Jeśli nie będzie ostrożniejszy, może to oznaczać koniec kariery. Boczny tor.

W tym rozdaniu dostał w plecy trzysta funtów. Tym samym przegrana urosła do czterystu czterdziestu dwóch funtów i pięćdziesięciu pensów.

Zjechał windą na parking samochodowy, a cały czas był tak zły na siebie i kolegów, że właściwie nie zwrócił uwagi na parkujące obok bmw pokryte smugami błota.

- O rany!

Przemoczony do suchej nitki Davey otworzył drzwi barakowozu, wkroczył dumnie do środka i kopnięciem zamknął je za sobą.

- No hej! - zawołał do telewizora, który jak zawsze był włączony. Popatrzył chwilę na ekran, sprawdzając, który z jego przyjaciół akurat się na nim pojawił, a woda ściekała mu z czapki, sztormiaka i zabłoconych kaloszy, tworząc kałuże na wykładzinie. Akurat James Spader rozmawiał z jakąś dziewczyną, ale Davey jej nie rozpoznał.

- Szkoda czasu, większość z nich to cholerne pasożyty. Kapujesz koleś? - powiedział do Jamesa Spadera swoim najlepszym południowym akcentem, przeciągając samogłoski.

Spader jak zwykle zignorował go i dalej rozmawiał z dziewczyną. Davey podniósł pilota i skierował go w stronę telewizora.

- W porządku, też cię nie potrzebuję, już po tobie. - I zaczął zmieniać kanały: dwóch kłócących się facetów, których nie znał. Kliknięcie.

Siedzący w mercedesie James Gandolfino rozmawiał z elegancką kobietą o długich, czarnych włosach.

Davey skakał z kanału na kanał, ale nikt nie wyglądał na zainteresowanego rozmową z nim, więc poszedł w stronę lodówki.

- Koleś, podaj mi piwo z tego minibaru - burknął, wyciągając colę. Otworzył puszkę jedną ręką, wypił połowę,

potem usiadł na łóżku i poczekał, aż mu się odbije. Zegarek wskazywał 2.21.

Zupełnie nic chciało mu się spać. Chciał z kimś porozmawiać, opowiedzieć o tych wszystkich królikach, które on i jego ojciec ustrzelili dziś wieczorem.

- To jest to - powiedział i znowu czknął. Potem sprawdził kieszenie sztormiaka, wyciągnął kilka nabojęw, odwiesił kurtkę na haku drzwi. Siedział na krawędzi kanapy, tak jak Flint w jednym filmie, powoli ściągnął kalosze i odrzucił je na podłogę.

Gładził wyjęte z kieszeni naboje.

- Mają twoje nazwisko - poinformował Seana Penna, który akurat mówił z ekranu. Ale Sean Penn też nie był w nastroju, żeby z nim rozmawiać.

I nagle Davey przypomniał sobie. Ktoś na pewno chciał z nim pogadać. Ukłękł na podłodze, sięgnął pod łóżko, a potem maksymalnie wyciągnął antenę. I gotowe!

Nacisnął przycisk „słucham”. Rozległy się trzaski. Spróbował więc nacisnąć przycisk „mów”.



Michael, całkiem już rozbudzony, płakał. Nie wiedział, co robić, czuł się kompletnie bezradny. Minęła 2.00 w nocy, zbliżał się piątkowy ranek, a jutro miał się zenić. Miał jeszcze milion rzeczy do zrobienia.

Kto, do cholery, zabrał mu rurkę do oddychania? Może borsuk zabrał ją do swojej kryjówki? Tylko co borsuk robiłby z gumową rurką? Poza tym odgłosy kroków były zbyt ciężkie. Z pewnością to człowiek.

Kto?

Dlaczego?

Gdzie była Ashley, jego ukochana, cudowna, opiekuńcza Ashley? Co sobie teraz myśli, co przychodzi jej do głowy?

Wciąż wierzył, że nagle obudzi się z tego koszmaru i zobaczy leżącą obok Ashley.

Nagle usłyszał ostry, surowy, ale wyraźny trzask. Krótkofalówka!

I głos z typowym południowym akcentem mówiący:

- Nie masz pojęcia, ile szkód oni wyrządzili. Co? Masz jakiś pomysł?

Michael gorączkowo grzebał w ciemnościach, szukając latarki. Głos kontynuował:

- Wiesz, bo wielu ludzi nie ma pojęcia. Palanci prowadzą cholerne rozmowy na temat ochrony środowiska, ale oni nic nie wiedzą, kapujesz koleś?

Michael znalazł latarkę, w jej świetle włączył krótkofalówkę.

- Halo? - zawołał. - Halo?
- Ha, ha, mówię do ciebie! Założę się, że nie masz pojęcia, co nie?
- Halo, kim jesteś?
- Hej, gościu, nie musisz się martwić, jak się nazywam, Rzecz w tym, że pięć cholernych królików zje tyle samo trawy, co jedna owca. Rozumiesz.

Zaskoczony Michael ścisnął krótkofalówkę i zastanawiał się, czy to przypadkiem nie halucynacje. O co, do diabła, chodzi?

- Czy mogę rozmawiać z Markiem? Albo Joshem? Lukiem? Lub Pete'em? Z Robbo?

Zapadła cisza.

- Halo - wołał Michael. - Jesteś tam?
- Mój przyjacielu, nigdzie się nie wybieram.
- Kim jesteś?
- Może jestem Człowiekiem Bez Imienia.
- Posłuchaj, ten żart trwa zbyt długo. Cholernie zbyt długo. Proszę, wypuść mnie stąd.
- Byłbyś pod wrażeniem dwustu królików, co nie?

Michael gapił się na krótkofalówkę. Czy rozmawiał z szaleńcem? Czy to ten lunatyk, który wyciągnął rurkę do oddychania? Próbował myśleć logicznie.

- Posłuchaj - powiedział - koledzy zrobili mi dowcip i wsadzili mnie tutaj. Czy możesz mnie stąd wydostać, proszę?

- Jesteś jakimś gównianym koleśkiem? - spytał amerykański głos.

Zastanawiając się, czy to może część gry, Michael odpowiedział:

- Masz mnie, jestem gównianym koleśkiem.
- Co myślisz o dwustu królikach?
- A co chcesz, żebym myślał?
- Wiesz co, koleś, chcę, żebyś sądził, że każde dwieście mieszcuchów niszczy dwieście królików i to jest część zachowania takich koleśków. Kapujesz koleś?

- Kapuję - powiedział Michael. - I zupełnie się z tobą zgadzam.

- W porządku, nadajemy na tych samych falach, to jest okej.

- Pewnie, że jest w porządku.

- Ale nie chcesz być jeszcze bardziej w porządku, co koleś?

- Pewnie. - Michael starał się wprawić go w dobry humor. - Więc może mógłbyś podnieść wieko i pogadaliśmy sobie o tym?

- Teraz jestem trochę zmęczony. Rozumiesz, idę się położyć. Pozwól mi się zdrzemnąć, wiesz, co mam na myśli?

Michael przeraził się:

- Hej, nie rób tego, porozmawiajmy. Opowiedz mi więcej o tych królikach. Masz jakieś imię?

- Mówiłem ci już, jestem Człowiekiem Bez Imienia.

- Dobrze Człowieku Bez Imienia. Masz może dwie tabletki panadolu, boli mnie głowa.

- Panadolu?

- Tak.

Słyszał tylko trzaski zakłóceń.

- Halo? Jesteś tam jeszcze?

Słysząc było chichot.

- Panadol?

- No tak, ale proszę, wypuść mnie stąd.

Po kolejnej chwili ciszy głos powiedział:

- Ale to zależy, gdzie to jest?

- Jestem w przeklętej trumnie.

- Robisz sobie ze mnie jaja.

- Bez jaj.

Ponowny chichot.

- Bez jaj, Sherlocku?

- Tak! Bez ściemy, Sherlocku.

- Muszę teraz iść, jest późno. Chwila drzemki!

- Hej, proszę, poczekaj, proszę...

Ale krótkofalówka milczała.

W gasnącym świetle latarki Michael zobaczył, że w ciągu ostatniej godziny poziom wody znacznie się podniósł. Sprawdził. Godzinę temu dosięgała kostki palca wskazującego. Teraz całkowicie pokrywała jego dłoń.

Roy Grace ubrany był w koszulę z krótkim rękawem i ciemny krawat, miał poluzowany kołnierzyk. Przeczytał odebranego SMS-a:

Nie mogę przestać myśleć o Tobie! Claudine  
Claudine?

Siedział w swoim gabinecie przed komputerem, który co chwila odzywał się, sygnalizując nadejście kolejnych e-maili. Ledwie minęła 9.00, a on czuł się zmęczony jak pies, potwornie bolała go głowa i było mu zimno. Na dworze padało, a w pokoju panował lodowaty przeciąg. Przez kilka chwil patrzył na spływające deszczem szyby, gapił się na pustą uliczkę, a potem sięgnął po wodę mineralną, którą kupił na stacji benzynowej, jadąc do biura. Przetrzęsął szufladę biurka i wyciągnął opakowanie panadolu. Połknął dwie tabletki, a potem sprawdził, o której przysłano wiadomość - 2.14 nad ranem.

Claudine.

O Boże. Nagle sobie przypomniał.

Randka z węganką, która nienawidzi policjantów. Kobieta była koszmarna, a wieczór okazał się katastrofą.

Rozważał właśnie, czy odpowiedzieć, czy też skasować wiadomość, kiedy do pokoju wszedł Branson ubrany w elegancki brązowy garnitur, szeroki krawat i pasujące kolorystycznie buty. W jednej ręce trzymał dwa kubeczki z kawą, a w drugiej dwie papierowe torby.

- Sie ma chłopie! - Jak zwykle przywitał go z werwą i opadł na krzesło naprzeciwko biurka. Potem postawił przed Grace'em kubeczki i papierowe torby. - Widzę, że chociaż koszuli nie przegrałeś.

- Bardzo śmieszne.

- A co, wygrałeś wczoraj?

- Nie, spieprzyłem. - Grace wciąż czuł wściekłość z powodu przegranej. Czteryście dwadzieścia funtów. Nie chodziło o pieniądze, ale nienawidził przegrywać, zwłaszcza w taki sposób.

- Wyglądasz jak gówno.

- Dzięki.

- Nie, naprawdę tak myślę. Wyglądasz jak gówno.

- Miło z twojej strony, że przyszedłeś, żeby mi to powiedzieć.

- Widziałeś kiedyś film „Cincinnati Kid”?

- Nie pamiętam.

- Steve McQueen. Był wykończony grą w karty. I to wspaniałe zakończenie, powinieneś pamiętać - dzieciak na ulicy proponuje mu zakład, a on rzuca w jego stronę ostatnią monetę.

Branson zdjął wieczko z kubeczka, wylewając kilka kropel kawy na biurko, następnie wyciągnął migdałowego rogalika, rozsypując cukier puder:

- Chcesz kawałek? - Wyciągnął rękę z rogalikiem.

Grace potrząsnął głową.

- Powinieneś jeść coś bardziej odpowiedniego na śniadanie.

- Och, naprawdę? Żeby wyglądać tak jak ty? A co ty ja-dłeś? Jakąś paszę treściwą?

Grace pokazał opakowanie panadolu.

- Tego mi teraz potrzeba. Ale co ty tu robisz?

- Za dziesięć minut mam spotkanie z szefem. Zostałem oddelegowany do komisji w sprawie narkotyków.

- Szczęściarz.

- Wszystko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę. Czy nie tak mi radziłeś? Być widocznym dla szefów?

- Pojętny z ciebie uczeń, jestem pod wrażeniem.
- Ale tak naprawdę przyszedłem z innego powodu, stary.
- Branson wyciągnął z drugiej torby kartkę urodzinową i położył ją przed Grace'em. - Zbieram podpisy od wszystkich, to kartka dla Mandy.

Mandy Walker pracowała teraz w Brighton w wydziale do spraw nieletnich, ale kiedyś ona, Grace i Brandon pracowali razem.

- Odchodzi? - zapytał Grace.

Branson kiwnął głową, a potem gestem pokazał jej odmienny stan.

- Właściwie to myślałem, że pójdziesz dzisiaj do sądu.
- Sprawę odroczone do poniedziałku. - Grace podpisał się obok tuzina innych nazwisk na kartce; nagle miło zapachniały mu kawa i ciastka. Sięgnął więc po rogalika i ugryzł kawałek. Żuł wolno, delektując się i przyglądając krawatowi Bransona, od geometrycznych wzorów dostał niemal zawrotu głowy, więc odwrócił wzrok.

- Roy - powiedział Branson. - Chodzi mi o to mieszkanie, które oglądaliśmy w środę.

- Tamto, do którego pojechaliśmy?
- Jest coś, czego nie rozumiem. Potrzebna mi twoja pomoc, masz kilka minut?

- A mam inne wyjście?

Ignorując go, Branson powiedział:

- Chodzi o to, że - ugryzł kawałek rogalika, a cukier puder i okruszyny spadały mu na garnitur i krawat - pięciu mężczyzn na wieczorze kawalerskim. No i...

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Eleonor Hodgson, która przyniosła jakieś papiery. Jak zawsze była sztywna i jakby trochę zdenerwowana; miała starannie ułożone czarne włosy i taki trochę staroświecki wyraz twarzy. Teraz także nerwowo spoglądała na krawat Glenna Bransona.

- Dzień dobry, Roy - powiedziała - dzień dobry, Branson.

- Jak leci? - odparł Glenn.

Położyła dokumenty na biurku.

- Mam kilka raportów z medycyny sądowej z Huntington. Jeden jest dla pana.
- Tommy Lytle?
- Tak. Mam też rozkład dnia i przygotowane dla pana notatki na spotkanie w sprawie budżetu o jedenastej.
- Dzięki.

Kiedy wyszła, szybko posegregował akta, na samej górze położył raport z Huntington; Huntington w Cambridge było jedną z placówek medycyny sądowej, z którą współpracowała policja w Sussex, a sprawa Tommy'ego Lytle'a należała do najstarszych ze spraw, którymi zajmował się teraz Grace. Trzydzieści siedem lat temu w pewne lutowe popołudnie jedenastoletni Tommy wyszedł ze szkoły i nigdy więcej go nie widziano. Nie dotarł do domu. Jedynym tropem był van morris minor, którego zapamiętał świadek i w przytomności umysłu zapisał numer rejestracyjny. Właścicielem okazał się dziwny samotnik, w przeszłości notowany w związku z jakąś sprawą na tle seksualnym, ale tym razem nie udało się go powiązać ze zniknięciem chłopca. I nagle, dwa miesiące temu, zupełnie przez przypadek pojawił się ten sam van - Grace zatrzymał jego nowego właściciela za jazdę po pijanemu.

W ciągu trzydziestu siedmiu lat medycyna sądowa poczyniła znaczne postępy. Nowoczesne testy DNA pozwalały na wskazanie sprawcy nawet po bardzo wielu latach i to na podstawie jednego włosa albo włókienka z ubrania mniejszego od główki od szpilki.

Teraz mieli samochód, a podejrzany wtedy mężczyzna był nadal na wolności. Tak więc pracownicy medycyny sądowej skupili się na badaniu śladów w vanie.

Pomimo sympatii dla Bransona Grace dosłownie nie mógł się doczekać, kiedy przyjaciel wyjdzie, by zająć do raportu. Gdyby rozwiązał zagadkę zniknięcia Tommy'ego Lytle'a, byłaby to najstarsza zaległa sprawa, jaką rozwiązano w tym kraju.

Pochłaniając resztki rogalika, Branson kontynuował:



- Pięciu gości podczas wieczoru kawalerskiego, tak? Pan młody jest prawdziwym dowcipnisiem, każdemu z nich wykręcił w przeszłości jakiś numer - jednego palanta na przykład przykuto kajdankami do siedzenia w nocnym pociągu jadącym do Edynburga, gdy on tymczasem miał się żenić następnego ranka w Brighton.

- Przyjemniaczek - orzekł Grace.

- Tak, niezły dowcip. Więc... Spójrzmy, co mamy: pięciu z nich wyruszyło w drogę i gdzieś po drodze zgubili pana młodego, Michaela Harrisona. Potem mieli wypadek samochodowy, w którym trzech z nich zginęło, czwarty był w śpiączce, ale zmarł wczoraj wieczorem. Michael zniknął. Teraz jest piątek rano, a on ma się żenić za dwadzieścia cztery godziny.

Branson pociągnął łyk kawy, potem wstał i zrobił kilka kroków. Zatrzymał się i przez chwilę patrzył na kartkę, na której niebieskim atramentem zrobiony był jakiś szkic. Odwrócił kartkę, wziął pióro i zaczął rysować.

- Mamy Michaela Harrisona. - Imię obrysował kółkiem.

- Mamy czterech kumpli, którzy nie żyją - narysował drugie kółko - mamy narzeczoną Ashley Harper - trzecie kółko - partnera w interesach Marka Warrena - czwarte kółko - i...

Grace spojrział na niego pytająco.

- Mamy coś, co znaleźliśmy wczoraj w komputerze?

- Rachunek bankowy na Kajmanach.

Branson usiadł.

- Ale mówiłeś, że partner w interesach nie był obecny na tym wieczorze kawalerskim - powiedział Grace.

Branson zawsze podziwiał wyjątkową pamięć Grace'a.

- Owszem.

- Ponieważ jego samolot się spóźnił.

- No właśnie.

- Ciekawe, jak on to tłumaczy? Gdzie jego zdaniem pojechał Michael Harrison? Czy zwiął na Kajmany?

- Roy, widziałeś tę jego panienkę. Ustaliliśmy, że żaden facet przy zdrowych zmysłach nie porzuciłby jej i nie uciekł. Na jej widok można co najwyżej paść trupem.

No i jest też mądra. Ale... - Branson zacisnął usta.

- Ale co?  
- Ale kłamie. Sprawdziłem mowę jej ciała. Wykorzystałem ten twój sposób na sprawdzanie oczu. Zapytałem ją, czy wie coś na temat Kajmanów, a ona odpowiedziała, że nic. Ale kłamała.

- Prawdopodobnie starała się chronić tyłek swojego szeffa i narzeczonego. - Dźwięk oznaczający odebranie nowego e-maila na moment zdekoncentrował Grace'a. - A co ty o tym wszystkim sądzisz?

- Widziałbym następujące scenariusze: koledzy postanowili mu odpuścić i zostawili go gdzieś związanego. Lub przydarzył mu się wypadek. Albo stchórzył i uciekł. Albo Kajmany odgrywają tu jakąś rolę.

Grace kliknął, żeby otworzyć pierwszy e-mail, przesłany jako pilny - od Alison Vosper; pytała, czy może spotkać się z nią o 12.30. Nie przerywając rozmowy z Bransonem, potwierdził, że będzie.

- Ten kumpel od interesów, Mark Warren, wiedział, że coś planowali, na przykład przywiązanie do drzewa albo coś innego. Panna Harper stwierdziła, że wiedział o ich planach, ale nie wiedział, co konkretnie mieli zrobić.

- Sprawdziłeś knajpy, w których byli?
- Zaplanowałem to na dzisiaj.
- Nagrania z kamer?
- Zacznę od tego.
- A sprawdziłeś tego vana?

Z grymasu, jaki pojawił się na twarzy Bransona, Grace odczytał coś, czego nie powinien.

- Do diabła, dlaczego? Czy nie to powinieneś zrobić przede wszystkim?

- No cóż, masz rację. Jeszcze niezupełnie włączyłem się do tej sprawy.

- Zrobiłeś pełną prezentację?

- No, jego zdjęcie puszczono w obieg dzisiaj rano. Został też oficjalnie zarejestrowany jako zaginiony.

Grace miał wrażenie, że okryła go ciemna chmura. Zaginione osoby. Ile razy słyszał te słowa, czuł przerażenie. Wszystko znów do niego wracało. Pomyślał o tej kobiecie, Ashley. Jutro miał się odbyć ślub, a jej mężczyzna zaginął. Jak musi się teraz czuć?

- Glenn, mówiłeś, że ten facet jest dowcipnisiem. A może to kolejny jego żart i on po prostu wróci z uśmiechem na ustach?

- Z czterema martwymi kumplami? Musiałyby być naprawdę chore. - Branson spojrzął na zegarek. - Co robisz w porze lunchu?

- Jeśli nie zadzwoni Julia Roberts, to raczej nic. Och, Numer 27 nie zatrzyma mnie dłużej niż pół godziny.

- W jakim sosie dziś uroczą Alison Vosper?

Grace rzucił mu zimne spojrzenie.

- Bardziej gorzkim niż słodkim.

- Myślałeś kiedyś, żeby pobzykać się z nią?

- Tak, przez nanosekundę, a być może jeszcze krócej.

- To mógłby być dobry ruch na drodze do kariery.

- Sądzę, że są lepsze.

- Na przykład?

- Nie bzykać jej.

- Widziałeś kiedykolwiek Susan Sarandon w filmie „Miła księżycowego światła”?

- Nie pamiętam.

- Ona przypomina mi właśnie Susan Sarandon z tego filmu. Był niezły. Więc może pojechałbyś ze mną na parking dla odholowanych samochodów, pogadaliśmy po drodze? Kupię ci duże piwo i kanapkę, fantastyczna wyżerka.

- Lunch na parkingu dla odholowanych aut? O rany, to tylko dowód na to, co pomyślałem, kiedy zobaczyłem ten twój krawat. Naprawdę masz niepowtarzalny styl.

Woda wciąż się podnosiła, Michael obliczył, że cał na trzy godziny. Teraz była dokładnie poniżej jego uszu. Drżał z zimna, miał chyba gorączkę.

Przez noc szaleńczo pracował, piłując drewno kawałkiem szkła. W tej chwili miał już ostatnie krople whisky, a ręce potwornie go bolały. Zdołał zrobić głębokie wycięcie w pokrywie, ale nadal nie przebił się na drugą stronę.

Narzucił sobie tempo - dwie godziny pracy, półtorej na odpoczynek, zupełnie jakby żeglował. Ale przegrywał. Woda podnosiła się szybciej, niż on pracował. Głowa znajdzie się pod wodą, zanim dziura będzie wystarczająco duża.

Co piętnaście minut naciskał klawisz krótkofalówki, za każdym razem jednak w odpowiedzi słyszał tylko trzaski.

Był piątek, 11.03.

Gorączkowo tarł, a okruchy szkła sypały mu się na twarz. Kiedy zabraknie szkła, pozostanie mu jeszcze sprzączka od paska. A co potem? Soczewka latarki? Baterie? Telefon komórkowy?

Ostry trzask krótkofalówki, a potem ten udawany amerykański akcent:

- Sie ma koleś? Jak leci?

Michael nacisnął przycisk „mów”.

- Davey? - zapytał. - Czy to ty?

- Właśnie oglądam wiadomości w telewizji - powiedział Davey. - Pokazują wrak auta, który oglądaliśmy z ojcem we

wtorek! Chłopie, to był wypadek! Wszyscy zginęli, a jeden facet jest zaginiony.

Michael mocno ścisnął krótkofalówkę.

- Co to było Davey? Co to za samochód?
- Ford transit. Chłopie, on nadawał się tylko do kasacji.
- Powiedz mi coś więcej, Davey.
- Jeden facet sterczał prosto z przedniej szyby, nie miał połowy głowy. Chryste, można było zobaczyć jego wylewający się mózg. Nie do uratowania. Tylko jeden przeżył, ale też zmarł.

Michael zaczął drżeć.

- A ten facet, który zaginał, wiesz, kto to jest?
- Aha!
- Powiedz mi.
- Muszę wyjść na chwilkę, pomóc tacie.
- Davey, posłuchaj mnie, to chyba ja jestem tym facetem.

- Nabierasz mnie?
- Jak on się nazywa, Davey?
- Och, nie wiem. Właśnie mówią, że miał się jutro żenić.

Michael zamknął oczy. Och nie, o Boże, o nie.

- Davey, czy ten wypadek zdarzył się... no ten samochód... o dziewiątej w czwartek wieczorem?

- Coś koło tego.

Michael trzymał krótkofalówkę blisko ust.

- Davey, to ja jestem tym zaginionym facetem! Jestem gościem, który jutro miał się ożenić!

- Żartujesz?

- Nie, Davey. Posłuchaj mnie uważnie.

- Muszę iść, porozmawiamy później.

Michael krzyczał:

- DAVEY, NIE ODCHODŹ, PROSZĘ, JESTEŚ JEDYNA OSOBA, KTÓRA MOŻE MNIE URATOWAĆ.

Nastąpiła cisza, tylko trzaski potwierdzały obecność Daveya po drugiej stronie.

- Davey?

- Muszę teraz iść, kapujesz koleś?

- Davey, potrzebuję twojej pomocy. Jesteś jedyną osobą na świecie, która może mi pomóc. Chcesz mi pomóc?

Znowu długa cisza, a potem:

- Mówiłeś, że jak się nazywałeś?

- Michael Harrison.

- Właśnie podali twoje nazwisko w telewizji.

- Masz samochód, Davey? Umiesz prowadzić?

- Tata ma trucka.

- Mogę porozmawiać z twoim tatą?

- Och, nie wiem. Jest bardzo zajęty. Rozumiesz, wychodzimy, żeby przyholować tego wraka.

Michael gorączkowo myślał, jak dotrzeć do tamtego.

- Davey, chcesz być bohaterem? Chcesz występować w telewizji?

Głos zachichotał.

- Ja w telewizji? Jak gwiazda filmowa?

- Tak, możesz być gwiazdą filmową! Tylko przyprowadź ojca, żeby porozmawiał ze mną, a ja mu powiem, że możesz zostać gwiazdą filmową. Dlaczego nie pójdziesz po niego? Co o tym myślisz?

- Nie wiem.

- Davey, proszę, idź po swojego ojca.

- Ale jest problem. Mój tata nie wie, że ja mam krótkofalówkę, byłby bardzo wściekły na mnie, gdyby wiedział, że ją mam.

Chcąc go przekonać, Michael powiedział:

- Myślę, że byłby z ciebie dumny, gdyby wiedział, że jesteś bohaterem.

- Tak sądzisz?

- Tak sądzę.

- Teraz musimy już iść. Do zobaczenia! Bez odbioru!

Krótkofalówka ponownie zamilkła.

Błagając z całego serca, Michael krzyczał:

- Davey, proszę cię, nie opuszczaj mnie, proszę, zawołaj swojego tatę, proszę cię, Davey!

Ale Davey już poszedł.

Ashley siedziała w starym, głębokim fotelu w niewielkim salonie parterowego domu matki Michaela i przez zamglone od łez oczy patrzyła na talerz herbatników na stolyczku do kawy, potem na stojące na kominku kolorowe zdjęcie dwunastoletniego Michaela na rowerze, a wreszcie na widoczną przez siatkowe zasłony ulicę smaganą deszczem i majaczące w oddali boisko sportowe poniżej toru wyścigów samochodowych w Brighton.

- O drugiej przychodzi krawcowa - powiedziała. - Jak myślisz, co powinnam zrobić?

Wypiła łyk kawy, a potem otarła delikatnie oczy chusteczką. Bobo, maleńki pies Gili Harrison, śmieszny shiatsu z kokardką na głowie, spoglądał na Ashley, popiskując o herbatnika. Pogłaskała go delikatnie.

Naprzeciwko niej siedziała Gili Harrison, ubrana w rozciągnięty biały T-shirt, spodnie dresowe i białe adidasy. Cienka smuga dymu ciągnęła się od papierosa. Na palcu, obok cienkiej złotej obrączki ślubnej lśnił diament pierścionka zaręczynowego, jednak zbyt duży, żeby był prawdziwy. Tenisowa opaska luźno wisiała na przegubie.

Mówiła szorstkim głosem z wyraźnym akcentem z Sussex, tak jak zwykle, kiedy była zdenerwowana.

- To dobry chłopak. Nigdy w swoim życiu nie zawiódł nikogo. Tak zresztą powiedziałam temu policjantowi, który

tu przyszedł. To nie w jego stylu, nie w stylu Michaela. - Potrząsnęła głową i mocno zaciągnęła się papierosem. - On po prostu lubi żarty. - Gorzko roześmiała się. - Kiedy był dzieckiem, zawsze dał nam nieźle popalić w Boże Narodzenie. Ale to nie w jego stylu, Ashley.

- Wiem.

- Coś musiało mu się stać. Tamci musieli mu coś zrobić. Albo miał jakiś wypadek. Na pewno nie uciekł od ciebie. Był tu w niedzielę wieczorem, piliśmy herbatę, mówił, jak bardzo cię kocha i jak jest szczęśliwy. Błogosławiłam go. Opowiadał mi o domu, który znaleźliście na wsi i który zamierzacie kupić, o wszystkich waszych planach. - Kolejny raz się zaciągnęła, a potem zakaszła. - To zaradny chłopiec. Odkąd jego ojciec... - Zaciśnięła usta i Ashley widziała, jak było jej ciężko. - Odkąd jego ojciec... mówił ci?

Ashley kiwnęła głową.

- Wtedy zajął jego miejsce. Nie poradziłabym sobie bez Michaela. Zawsze był taki silny. Był opoką dla mnie i dla Carly... polubisz Carly. Posłał jej pieniądze na bilet, żeby mogła przylecieć z Australii na ślub. Tak mu jestem wdzięczna. Powinna za chwilę przyjechać. Kilka godzin temu dzwoniła do mnie z lotniska. - Potrząsnęła głową w rozpaczy.

Ashley uśmiechnęła się do niej.

- Poznałam ją. Zanim wyjechała do Australii, przyszła do naszego biura.

- To taka dobra dziewczyna.

- Jeśli jest twoją córką, musi taka być!

Gili Harrison pochylała się do przodu i zgasiła papierosa.

- Wiesz co, Ashley, Michael przez całe życie ciężko pracował. Jako dziecko roznosił gazety, pomagał mnie i Carly. Potem założył ten interes z Markiem. Nikt go nie doceniał. Mark jest dobrym chłopcem, ale...

- Ale co?

Gili potrząsnęła głową.

- Powiedz?



- Znam Marka od dziecka. Michael i on byli nierozłączni. Ale Mark zawsze wisiał na nim. Czasami myślę, że Mark był trochę zazdrosny o niego.

- Myślałam, że tworzyli zgrany zespół - powiedziała Ashley.

Gili wyciągnęła kolejnego papierosa i wetknęła do ust.

- Zawsze mówiłam, żeby uważał na Marka, ale Michael jest naiwny, zbyt łatwo wierzy ludziom.

- O czym ty mówisz?

Wyciągnęła tanią, plastikową zapalniczkę i zapaliła papierosa.

- Masz dobry wpływ na Michaela. Przecież nie masz wątpliwości, że jest w porządku, prawda?

Bobo zaczęła znowu skomleć o herbatnika. Ignorując go, Ashley odpowiedziała:

- Michael jest silny. Jest w porządku i ma się dobrze.

- Wierzę, że tak jest. - Rzuciła spojrzenie na stojący w rogu pokoju telefon. - Jest w porządku. Niedługo zadzwoni. Ci biedni chłopcy. Michael tak ich lubił. Nie mogę w to uwierzyć...

- Ja też nie mogę.

- Masz umówione spotkanie z krawcową, kochanie. Nie powinnaś tego odkładać. Życie toczy się dalej. Michael przecież wróci, wierzysz w to, prawda?

Po krótkiej chwili wahania Ashley odpowiedziała:

- Oczywiście, że wierzę.

- Potem porozmawiamy.

Ashley wstała, podeszła do przyszłej teściowej i mocno ją przytuliła.

- Wszystko będzie dobrze.

- Jesteś najlepszą rzeczą, jaka mu się w życiu przydarzyła. Jesteś wspaniałą osobą, Ashley. Byłam, taka szczęśliwa, kiedy Michael powiedział mi, że... że... że ty, że wy oboje...

Ashley pocałowała ją w czoło.

Grace z zaciśniętymi ustami kurczowo trzymał się fotela pędzącego forda i przez zalewaną deszczem szybę nerwowo obserwował rozwijającą się przed nimi wiejską drogę. Nieświadomy obaw swojego pasażera Glenn Branson ściał kilka kolejnych zakrętów, dumnie demonstrując umiejętności nabyte podczas ostatniego policyjnego kursu szybkiej jazdy.

- Nieźle to robię, co nie?

- Owszem - odpowiedział Grace, postanawiając nie wdać się w dyskusję, by nie dekoncentrować Bransona, a tym samym zwiększyć szansę na dłuższe życie ich obu. Pochylił się do przodu i ściszył radio.

- Jay-Z - wyjaśnił Branson. - Jest fantastyczny, prawda?

- Fantastyczny.

Wjeżdżali w długi zakręt w prawo.

- Tłumaczyli, że trzeba mocno trzymać się lewej strony, by mieć dobry widok. Nieźła wskazówka, prawda?

Zbliżał się zakręt w lewo, a zdaniem Grace'a jechali zbyt szybko.

- Nieźła - powiedział, wydobywając głos gdzieś z głębi.

Pokonali zakręt i mknęli dalej.

- Czy ty się boisz?

- Tylko trochę.

- No nie, przecież to w twoim stylu. Pamiętasz film „Bullitt”?

- Steve McQueen? Lubisz go, prawda?

- Wspaniały! Najlepszy pościg samochodowy w filmach.
- Ale kończy się fatalnym wypadkiem.
- Ale film jest wspaniały - orzekł Branson.

Sandy zwykle jeździła zbyt szybko. To był oczywiście dowód jej lekkomyślności. Zawsze bał się, że pewnego dnia dojdzie do tragedii. Tymczasem w ciągu siedmiu lat, kiedy byli razem, nie miała ani jednej stłuczki lub nawet zadrapania samochodu.

Na szczęście dostrzegł wysoki siatkowy płot, a nad nim napis: BOLNEY - PARKING ODHOLOWANYCH SAMOCHODÓW. Branson ostro zahamował i wjechał na ogromny, nowoczesny plac składowy.

Wyciągnęli parasol i kryjąc się pod nim, podeszli do baru. Zadzwonili. Otworzył im otyły mężczyzna z tłustymi włosami, ubrany w niebieski kombinezon roboczy i brudny T-shirt; w wytatuowanej ręce trzymał nadgryzioną kanapkę.

- Inspektor Branson i inspektor Grace - powiedział Branson. - Dzwoniłem wcześniej.

Facet tępo patrzył na nich przez chwilę, potem w przebłyску zrozumienia wznioł oczy.

- Chodzi o tego transita, co?
- No - odpowiedział Branson.
- Białego? Tego, którego dostarczono we wtorek?
- O tego właśnie.
- Stoi na placu.

Podpisali jakieś papiery, a potem poszli za nim przez barak i bocznymi drzwiami wyszli na ogrodzony plac, cały zastawiony wrakami. Kilka z nich przykrytych było brezentowymi pokrowcami, ale większość po prostu mokła na deszczu.

Grace trzymał parasol wysoko, żeby niczego nie zasłaniać. Rozejrzał się: spalony doszczętnie van marki Rentokil, mało prawdopodobne, że ktoś przeżył, potwornie zgniecione sportowe porsche i toyota sedan z obciętym dachem.

To miejsce zawsze go przerażało. Grace nigdy wprawdzie nie pracował w drogówce, ale często zjawiał się z racji swej pracy na miejscach wypadków i zawsze robiło to na nim

wrażenie. To mogło spotkać każdego. Mogłeś wybrać się na wycieczkę, szczęśliwy, snujący plany, a tu, nawet nie z twojej winy, samochód zamieniał się we wrak, miażdżąc ciebie. Mógłbyś się nawet spalić żywcem.

Wzdrygnął się. Wszystkie samochody, które tutaj kończyły swój żywot, wcześniej uczestniczyły w poważnych wypadkach, a przetrzymywano je do chwili, kiedy oficerowie śledczy do spraw wypadków drogowych albo kryminalni zdobyli wszystkie potrzebne informacje. Potem wraki szły na złom.

Mężczyzna w kombinezonie wskazał im stertę pokręconego białego złomu - część dachu była zerwana, brakowało przedniej szyby, reszta zupełnie nie przypominała samochodu.

- To ten.

Gapili się w milczeniu. Grace nie mógł skupić myśli, wyobrażając sobie ten prawdziwy horror. Obeszli wrak. Grace popatrzył na koła oblepione błotem, na grubą warstwę błota na progach i na lakierze; deszcz powoli je obmywał.

Starając się utrzymać parasol nad głową Bransona, sięgnął do wygiętych drzwi od strony kierowcy i wtedy poczuł mdły odór rozkładającej się krwi. Nieważne, ile razy tego doświadczył, zawsze było to okropne. Zapach śmierci.

Wstrzymując oddech, obciągnął materiał pokrowca. Kierownica była odcięta, a fotel kierowcy wygięty do tyłu. Plamy krwi widniały na przednim siedzeniu, na podłodze, wszędzie.

Starając się nie dotykać zaplamionych miejsc, wsunął się do środka. Silnik przebił się przez podłogę, pedały podniesione były wysoko, w nienormalnej pozycji. Otworzył schowek i wyciągnął papiery - dokumenty, kwity parkingowe, kilka rachunków za benzynę i kilka niepodpisanych kaset magnetofonowych. Kasety podał Glennowi.

- Przesłuchamy to.

Branson schował je do kieszeni.

Grace przeszedł na tył vana, a Branson otworzył tylne drzwi, żeby wpuścić więcej światła. Roy patrzył na pusty plastikowy kanister, na zapasową oponę i kwit parkingowy

w plastikowej torebce; na kwicie była data sprzed kilku dni przed wypadkiem. Leżał też pojedynczy lewy adidas i elegancka marynarka. Sprawdził kieszenie i wyjął paczkę papierosów, plastikową zapalniczkę i odcinek z pralni chemicznej z Brighton. Branson wszystko to zapakował.

Grace starannie rozejrzał się, sprawdzając, czy przypadkiem czegoś nie pominął. Wsunął się z wraku, schronił się pod parasolem i zapytał Bransona:

- Do kogo należał van?
  - Do przedsiębiorstwa pogrzebowego Houlihan's. Jeden z facetów, którzy zginęli, tam pracował. To firma jego wuja.
  - Cztery pogrzeby. Powinni dostać niezłą zniżkę - powiedział Grace ponuro.
  - Czasami jesteś świrem, wiesz o tym?
- Ignorując słowa przyjaciela, Grace chwilę się zastanawiał.
- Rozmawiałeś z kimś z tej firmy?
  - Wczoraj po południu z Seanem Houlihanem, właścicielem. Jest nieźle wkurzony, zresztą możesz to sobie wyobrazić. Powiedział mi, że jego bratanek był pracowitym chłopakiem, bardzo uczynnym.
  - Jak oni wszyscy? A wóz wziął za jego zgodą?
- Branson potrząsnął głową.
- Nie. Ale powiedział, że to nie w jego stylu.
- Roy Grace znów chwilę myślał.
- A zazwyczaj do czego służył ten van?
  - Przewozili nim zwłoki. Ze szpitali, hospicjów, domów opieki społecznej, czyli takich miejsc, w których karawan robił złe wrażenie. Jesteś głodny?
  - Byłem, zanim tu przyjechałem.

Dziesięć minut później siedzieli przy chwiejącym się stole w kącie opustoszałego pubu i czekali na zamówione jedzenie. Grace trzymał dużego guinnessa, a Branson dietetyczną colę. Był to autentyczny, stary, wiejski pub z ogromnym kominem, obok którego leżała sterta drewna, a na ścianie wisiały stare narzędzia rolnicze. Grace lubił takie lokale, miały wyjątkowy klimat.

- Sprawdziłeś jego bilingi?

- Powiniennem dostać informacje dziś po południu - odpowiedział Branson.

- Panowie zamawiali?

Obok stolika stanęła kelnerka z tacą; stek i ziemniaki dla niego, grillowana ryba i sałatka dla Bransona.

Grace delikatnie przekroił mięso, a zapach sosu pieczeniowego podrażnił mu nozdrza.

- To jest sposób na zawał serca - skarcił go Branson. - Wiesz, co to jest łój? Tłuszcz wołowy. Obrzydlistwo.

Nakładając musztardę na talerz, Grace powiedział:

- Nie chodzi o to, co jesz. Chodzi o to, że się martwisz tym, co jesz. To twoje martwienie się jest zabójcą.

Branson włożył do ust kawałek ryby, a Grace kontynuował:

- Czytałem, że poziom rtęci w wodach morskich jest niebezpiecznie wysoki. Nie powinieneś więc jeść ryb częściej niż raz w tygodniu.

Branson przeżuwał coraz wolniej, wyraźnie zaniepokojony.

- Gdzie o tym czytałeś?

- Chyba w „Nature”. To najbardziej szanowane pismo naukowe na świecie. - Grace uśmiechnęła się, wyraźnie delektując się wyrazem twarzy kolegi.

- Cholera, jem ryby prawie codziennie. Mówisz - rtęć?

- Cóż, skończysz jako termometr.

- To wcale nie jest śmieszne, przynajmniej moim zdaniem. - Przerwały mu dwa ostre piknięcia.

Grace wyciągnął komórkę z kieszeni i wpatrywał się w ekran.

Dlaczego nie odpowiedziałeś na moją wiadomość, Duży Chłopcze? Claudine

- Boże, jeszcze tego mi brakowało. Pieprzona, napalona cizia.

Branson uniósł wysoko brwi.

- Zdrowe, białe mięseczko. Zero cholesterolu. Bierz, zanim wystygnie.

- Raczej cykoria. Może zdrowa, ale średnio smaczna. Jest weganką. Poza tym miałem na myśli „napaloną cizię” z tego starego filmu z Glenn Close.

- „Fatalne zauroczenie”? Michael Douglas i Anne Archer w 1987. Świetny film, puszczały w niedzielę na stacji Sky.

W tej samej chwili zadzwoniła komórka Bransona.

- Glenn Branson. Co? To świetnie, będę za godzinę.

Popatrzył na Grace'a:

- Mamy bilingi rozmów Michaela Harrisona. Pójdiesz ze mną?

Grace zastanawiał się chwilę, potem sprawdził w notatniku - miał wolne popołudnie. Planował wprawdzie przejrzeć papiery związane ze sprawą Suresha Hossaina, o które prosiła Alison Vosper, potem chciał przeczytać raport na temat Tommy'ego Lytle'a, ale ta sprawa czekała trzydzieści siedem lat, więc jeden dzień niczego nie zmieni. Za to zniknięcie Michaela Harrisona było zdecydowanie ważniejsze. Szkoda tylko, że nie znał wszystkich zamieszanych w to osób, na

przykład jego narzeczonej. Wiedział, jaki ból sprawia zniknięcie ukochanej osoby i gdyby tylko mógł, chętnie by ją wsparł.

- Oczywiście, że pójdę.

Branson zjadł sałatkę, rybę pozostawiając nietkniętą, podczas gdy Grace zjadała się stekiem.

- Kiedyś czytałem - opowiadał Bransonowi - że Francuzi piją więcej czerwonego wina niż Anglicy, a mimo to żyją dłużej. Japończycy jedzą więcej ryb niż Anglicy, piją mniej wina, a też żyją dłużej. Niemcy jedzą więcej czerwonego mięsa, piją więcej piwa i też żyją dłużej. Wiesz, jaki morał jest z tej opowieści?

- Nie.

- Nie chodzi o to, co jesz i pijesz, to mówienie po angielsku cię zabija.

Branson roześmiał się.

- Nie wiem, dlaczego cię lubię.

- No to teraz chodźmy szukać Michaela Harrisona. Żebyś mógł zastrzeżenie rozkoszować się weekendem.

Branson wysączył resztkę coli.

- Zawiera aspartam - powiedział Grace, patrząc z dezaprobatą na jego szklankę. - Czytałem, że wywołuje liszaj rumieniowaty.

- Liszaj rumieniowaty?

- Jest gorszy niż rtęć.

- Dzięki, Duży Chłopcze.

- Czyżbyś był zazdrosny?

Kiedy weszli do podniszczonego, sześciopiętrowego budynku, w którym mieścił się posterunek policji w Brighton, Grace'a ogarnęła nostalgia. Był to podobno najbardziej zapracowany posterunek w Anglii, ale on ciągle wspominał czasy, kiedy tu przebywał. To tu panował ten gwar, za którym tęsknił z cichego, zaściankowego budynku szefostwa na przedmieściach. Wspinali się po kamiennych schodach; na niebieskich ścianach wisały znajome gazetki i ogłoszenia. Grace poczuł się jak u siebie.



Dotarli na trzecie piętro, gdzie mieściło się jego stare biuro, a potem na czwarte, mijając olbrzymi napis SKALA WYKRYWALNOŚCI ZBRODNI NA MARZEC 2004 WYNOŚI 27,8%. Wreszcie weszli do długiego, wąskiego pokoju, w którym zorganizowano miejsce pracy nad sprawą Michaela Harrisona. Stało tam sześć biur, a na każdym komputer. Rozpoznał dwóch inspektorów, Nicka Nicholla i doktor Bellę Moy. Na stojaku umieszczono grafik wydziału do zadań specjalnych, na przeciwległej ścianie wisiały czysta, biała tablica i plan Sussex, upstrzony kolorowymi pinetkami.

- Kawy? - zaproponował Branson.
- Na razie dziękuję.

Zatrzymali się przy biurku Belli, zarzuconym stertą papierów, pomiędzy którymi dostrzegł paczkę cukierków. Wskazując na papiery, powiedziała:

- Mam zapis rozmów Michaela Harrisona od wtorku rano do dziewiątej dzisiaj rano. Myślę też, że byłoby dobrze poprosić o informacje z czterech pozostałych sieci telefonii.
- Dobra myśl. - Branson był pod wrażeniem.

Bella wskazała na ekran komputera, na którym widniała mapa.

- Zrobiłam plan wszystkich masztów telefonii komórkowej: Orange, Vodafone oraz T-mobile. Orange i T-mobile działają na wyższej częstotliwości niż Vodafone, którego używał Michael. Ostatni sygnał z jego komórki pochodził ze stacji wojskowej przy przekaźniku na Pippingford Park przy drodze A22. Ale odkryłam, że nie możemy tego traktować jako wskazówki, bo jeśli sieć jest przeładowana, to wysyła sygnał do następnej stacji.

Daleko zajdziesz, młoda damo, pomyślał Grace. Przyglądając się mapie, zapytał:

- A jaka jest odległość pomiędzy przekaźnikami?
- W miastach około pięciuset metrów, ale poza nimi nawet do kilku mil.

Z doświadczenia Grace wiedział, że sieci telefonii komórkowej używają przekaźników radiowych jako punktów nawigacyjnych. Komórki, nawet te wyłączone, w stałych odstępach czasu wysyłają sygnały do najbliższego przekaźnika. Dzięki tej informacji odtworzenie ruchów posiadacza telefonu komórkowego stawało się prostą sprawą. Ale, oczywiście, było to o wiele prostsze w miastach.

Bella podeszła do wiszącej na ścianie mapy Sussex i wskazała na niebieską pinezkę wbitą w centrum Brighton, otoczoną zielonymi, purpurowymi, żółtymi i białymi pinezkami.

- Telefon Michaela Harrisona zaznaczyłam niebieskimi pinezkami. Komórki czterech pozostałych kolegów mają inne kolory.

Grace podążał za jej palcem.

- Jak łatwo można zauważyć, od 19.00 do 21.00 pięć pinezek, to jest właściciele komórek, przebywa ze sobą.

Namierzono trzy różne lokalizacje.

- W każdym z tych miejsc jest pub - wyjaśniła. - Ale tu zaczyna się coś interesującego. - Wskazała miejsce leżące kilka mil na północ od Brighton. - Tu są wszystkie, a potem mamy tylko cztery. O, tutaj.

- Zielona, purpurowa, żółta i biała. Rzeczywiście, nie ma niebieskiej - zauważył Branson.

- Właśnie - stwierdziła.

- A jaki był następny ruch niebieskiej?

- Żaden.

- Więc musieli się rozdzielić - stwierdził Grace. - Około 20.45?

- Jeśli nie zgubił gdzieś swojej komórki.

- Oczywiście. Więc mówimy o rozmowach w promieniu pięciu do piętnastu mil na północ od Brighton? - próbował uściślić Glenn Branson.

- Czy jego telefon nadal wysyła sygnały? - zapytał Grace, lekko rozkojarzony bystrością i urodą Belli; znał ją wcześniej, ale nigdy tak naprawdę nie zwrócił na nią uwagi.

Miała miłą buzię i naprawdę duże piersi, czyli coś, co zawsze go podniecało. Odpędził jednak te myśli i wrócił do sprawy. Chociaż nie, rzucił jeszcze krótkie spojrzenie na jej rękę - tylko szafirowa obrączka, ale na palcu, na którym nosi się obrączkę ślubną. Zapamiętał.

- Ostatni sygnał został odebrany o godzinie 20.45 we wtorek. Od tego czasu brak sygnału.

- Co o tym sądzisz, Bella? - zapytał Grace.

Myślała chwilę, koncentrując na nim swoje skupione, niebieskie oczy, ale z jej spojrzenia odczytał tylko szacunek wobec przełożonego, nic więcej.

- Rozmawiałam ze specem z firmy telekomunikacyjnej. Powiedział, że telefon jest wyłączony lub od wtorkowego wieczora znajduje się w miejscu poza zasięgiem.

Grace kiwnął głową.

- Ten Michael Harrison jest ambitnym i zapracowanym biznesmenem. Z tego, co mówią ludzie, miał się jutro rano ożenić z piękną kobietą. Dwadzieścia minut przed fatalnym wypadkiem samochodowym, w którym zginęło czterech jego kumpli, jego telefon zamilkł. W ciągu ostatniego roku przesyłał ukradkiem pieniądze z konta swojej firmy na konto bankowe na Kajmanach - milion funtów. A jego partner w interesach, który powinien być obecny na tym wieczorze kawalerskim, z jakichś powodów tam nie dotarł. Czy tak?

- Tak - potwierdził Branson.

- Więc albo nie żyje, albo sprytnie zniknął.

- Musimy sprawdzić teren, z którego doszedł ostatni sygnał. Pójść do wszystkich pubów, w których mógł przebywać Michael. Porozmawiać ze wszystkimi, którzy go znali.

- A potem?

- Przede wszystkim fakty, Glenn. Najpierw zbierzmy wszystkie fakty. Jeśli nie doprowadzą nas do niego, wtedy zaczniemy spekulować.

Zadzwoił telefon na biurku Belli. Podniosła słuchawkę i prawie natychmiast wyraz jej twarzy się zmienił.

- Jest pan pewien? - zapytała. - Od wtorku? Nie ma pan pewności, czy to był wtorek? Nikt inny nie mógł jej zabrać?  
- A po kilku chwilach powiedziała: - Nie, zgadzam się. Dziękuję, to może być istotne. Proszę mi podać swój numer telefonu.

Grace obserwował ją, kiedy zapisywała, domyślił się po numerze - Sean Houlihan.

- Dziękuję, panie Houlihan, bardzo dziękuję, odezwiemy się do pana.

Odłożyła słuchawkę i popatrzyła na Grace'a, a potem na Bransona.

- To pan Houlihan, właściciel firmy pogrzebowej, w której pracował Robert Houlihan, jego bratanek. Właśnie odkryli, że brakuje im jednej trumny.

- Brakuje im trumny? - zdziwił się Glenn Branson.

- To chyba raczej dziwna kradzież, prawda? - powiedziała Bella.

Grace milczał przez chwilę; jego uwagę rozproszyła mucha latająca po pokoju. Cóż, na podłodze leżały akta i dowody rzeczowe przesłane z medycyny sądowej, a ubrania poplamione krwią i inne rzeczy to magnes dla much.

- Ten Robert Houlihan pożyczył już vana z zakładu pogrzebowego bez pozwolenia. Tak więc wydaje się, że i trumnę wziął bez wiedzy właściciela. - Popatrzył pytająco na Bransona, potem na Bellę i w końcu na Nicka Nicholla. - Chyba chodzi o jakiegoś chorego psikusa?

- Sugerujesz, że kumple wsadzili go do trumny? - zapytał Glenn Branson.

- A masz lepszą teorię?

Branson uśmiechnął się nerwowo.

- Mieliśmy zająć się faktami, co nie?

Grace popatrzył na Bellę i ponownie pomyślał, że jest bardzo atrakcyjna.

- Czy pracownicy Houlihana są pewni, że trumnę zabrano? Może po prostu się zawieruszyła?

- Ludzie mogą zgubić klucze do drzwi wejściowych, ale nie sądzę, żeby mogli zapodziać gdzieś trumnę - powiedział Branson trochę żartobliwie.

Bella przerwała mu:

- On nie ma wątpliwości. To była najdroższa trumna, importowana z Indii, zrobiona z drewna tekowego. Taka, która przetrwa setki lat, tyle, że ta miała wadę, wypaczone drewno, czy coś takiego. Nie była szczelna, dlatego składał reklamację w fabryce.

- Nie mogę uwierzyć, że importujemy trumny z Indii! Nie mamy stolarzy w Anglii? - zdziwił się Branson.

Grace patrzył na mapę.

- To duża powierzchnia.

- Jak długo ktoś mógłby przeżyć w trumnie? - zapytała Bella.

- To zależy, jak ją zamknięto. Jaki był dostęp powietrza, czy miał wodę, jedzenie. Bez powietrza niezbyt długo. Kilka godzin, może dzień - odpowiedział Grace.

- Minęły trzy dni - przypomniał Branson.

Tak, ale Grace czytał o ofierze trzęsienia ziemi w Turcji, którą odratowano z ruin po dwunastu dniach.

- Jeżeli jest dostęp powietrza, to tydzień, a może i dłużej - powiedział. - Musimy założyć, że jeżeli rzeczywiście zrobili mu tak cholernie głupi kawał, to musieli zadbać o dopływ powietrza. Jeśli nie, to szukamy już ciała. - Popatrzył na kolegów. - Zapewne rozmawiałeś z Markiem Warrenem, tym jego partnerem w interesach?

- Miał też być jego świadkiem na ślubie - wtrącił Nicholl. - Stwierdził, że nie ma pojęcia, co się stało. Mieli włóczyć się po pubach, ale on utknął w korku i nie dojechał do nich.

Grace zmarszczył brwi, spojrzął na zegarek w pełni świadom, że czas nieubłaganie mija.

- Co innego włóczyć się po pubach, a co innego zabierać ze sobą trumnę. Nie decydujesz się chyba wziąć trumny ze sobą pod wpływem impulsu, prawda? - Popatrzył na nich wymownie.

- Czy ktoś rozmawiał z ich dziewczynami, żonami?

- Rozmawiałam - odpowiedziała Bella. - Tylko że to dość trudne, ponieważ są w szoku. Ale jedna z nich była

raczej wściekła. Zoe... - Wzięła notatnik i przewróciła kilka stron. - Zoe Walker, wdowa po Joshu. Powiedziała, że Michael zawsze robił im głupie kawały i z pewnością oni planowali zemstę.

- A świadek pana młodego nie wiedział niby o niczym? Nie kupuję tego - stwierdził Grace.

- Jestem przekonany, że nie wiedział. Miałby jakieś powody, żeby kłamać? - rzekł Nicholl.

Choć Grace zawsze był za tym, żeby dawać młodym szansę wykazania się, naiwność młodego inspektora go zmartwiła. Postanowił jednak pomyśleć o tym później.

- To cholernie wielki obszar do przeszukania - powiedział Branson. - Do tego zalesiony; tysiące osób mogłyby go przeszukiwać.

- Więc musimy go zawęzić. - Grace wziął z biurka Belli flamaster i narysował na mapie niebieskie kółko. Potem odwrócił się do Nicholla. - Nick, potrzebna jest nam lista knajp, które są na tym terenie. To jest punkt, od którego musimy zacząć. - Odwrócił się do Bransona. - Masz zdjęcia tych facetów z vana?

- Tak.

- Dobry chłopak. Dwa komplety?

- Tuzin kompletów.

- Podzielimy się pubami, Branson i ja weźmiemy jedną połowę, a wy drugą. Zobaczą, czy dałoby się załatwić helikopter, żeby przyjrzeć się temu terenowi z góry, chociaż, jeśli jest bardzo gęsto zalesiony, łatwiej dostrzec coś z ziemi.

Godzinę później Glenn Branson zatrzymał samochód przed pubem Głowa Króla przy Ringmer Road. Podeszli do drzwi, nad którymi widniał napis „Właściciel: John i Margaret Hobbs”. Wewnątrz było pusto; pachniało środkiem do czyszczenia mebli i zwietrzałym piwem. W kącie, obok planszy do rzutek świecił automat do gry.

- Halo? - krzyknął Branson. - Halo?

Grace przechylił się przez kontuar i zobaczył otwartą kłapę do piwnicy, w której świeciła się słaba żarówka.

- Halo? Jest tam kto?  
- Będę za chwilę - odpowiedział jakiś ochryply głos. Po-  
tem rozległ się loskot i nagle ujrzeli beczkę trzymaną przez  
wielkie, brudne ręce. Wreszcie pojawiła się głowa - potężny  
mężczyzna o czerwonej twarzy w białej koszulce i dżinsach  
obficie się pocił. Był to prawdziwy olbrzym, a nos miał złama-  
ny jak były bokser.

- Tak, panowie?

Branson pokazał legitymację.

- Inspektor Branson i inspektor Grace z posterunku poli-  
cji w Sussex. Szukamy właściciela, pana Hobbsa.

- Znaleźliście go - sapnął, gapiąc się na nich nieufnie.

- Czy mógłby pan rzucić okiem na te fotografie? Czy  
rozpoznaje pan którąś z tych twarzy. Być może byli tutaj we  
wtorek wieczorem? - Branson położył zdjęcia na kontuarze.

John Hobbs przypatrywał się fotografii, a potem potrzą-  
snął głową.

- Nie, nigdy ich nie widziałem.

- Czy pracował pan we wtorek wieczorem? - zapytał  
Grace.

- Jestem tutaj każdego pięprzonego dnia siedem dni w  
tygodniu. Dzięki wam.

- Dzięki nam? - zdziwił się Grace.

- Wydziałowi ruchu drogowego. Nie jest łatwo prowa-  
dzić wiejski pub, kiedy wasi kumple z drogówki ciągle  
sprawdzają alkomatem wszystkich moich klientów.

Ignorując komentarz, Grace upewniał się:

- Jest pan pewien, że ich nie rozpoznaje?

- W ciągu tygodnia przychodzi tu niewielu ludzi. Z pew-  
nością bym ich zauważył. A są jakieś powody, dla który  
powinienem ich rozpoznać?

To była jedna z tych chwil, kiedy Grace nie lubił kolegów  
z drogówki. Dla większości ludzi jedynym ich kontaktem ze  
stróżami prawa stanowiło zatrzymanie z powodu przekro-  
czenia prędkości lub konieczność dmuchania w alkomat, w



rezultacie, zamiast postrzegać policjantów jako przyjaciół i obrońców, uważali ich za wrogów.

- Ogląda pan telewizję? Czyta lokalną prasę? - zapytał Grace.

- Nie, jestem zbyt zajęty. Czy to zbrodnia?

- Czterech z tych koleśi nie żyje - powiedział Glenn Branson, wkurzony zachowaniem faceta. - Zginęli w wypadku samochodowym we wtorek wieczorem.

- A wy przyszlście tutaj, dwóch tajnych mądrali, żeby oskarżyć biednego, cholernego właściciela baru, że wlał w nich alkohol?

- Tego nie powiedziałem - odparł Grace - Nie jestem tu po to. Szukamy tego faceta. Był wtedy z nimi. - Pokazał zdjęcie Michaela Harrisona.

Właściciel potrząsnął głową.

- Nie było go tu - powiedział.

Branson rozejrzał się po lokalu i zapytał:

- Ma pan zainstalowane kamery?

- Żartuje pan? Jakbym miał na to forszę. Wiecie, jaką ja mam kamerę? - Pokazał na swoje oczy. - Taką. Otrzymałem ją za darmo, kiedy się urodziłem. A teraz, jeśli pozwolicie, muszę zmienić beczkę.

Żaden z nich nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

Michael trząsł się. Coś peźzło mu we włosach, powoli zbliżając się do jego czoła. Pewnie pajak. W panice upuścił klamrę paska, wykonywał gwałtowne ruchy rękami, przeszukując włosy. Przerażliwie zimne palce krwawiły od skrobania wieka trumny. A potem to coś było na jego twarzy, przeszło mu przez policzek, usta, brodę.

- Jezu, wyciągnijcie mnie, skurwiele!

Obiema rękami bił się po twarzy, a potem poczuł coś małego i lepkiego. Cokolwiek to było, już nie żyje.

Zawsze lubił wszelkie zwierzątka, ale nie pajaki. Jako dziecko czytał w lokalnej gazecie o właścicielu pewnego sklepu warzywnego, którego ukąsiła tarantula ukryta w kiści bananów.

Światło latarki dawało teraz ciemne, żółte światło. Głowę musiał trzymać uniesioną, bo woda zalewała mu policzki, dostawała się do oczu i ust. Chwilę wcześniej coś ugryzło go w kostkę u nogi.

Żarówka na moment zgasła. Potrząsnął latarką, przez kilka sekund jeszcze się jarzyła.

Marzył. Rozgrzewał się tylko wtedy, kiedy skrobał wieko. Ale nie poddał się. Musiał, musiał zdążyć przed wodą. Usiłował o tym nie myśleć, ale nie potrafił. Woda podnosiła się, zakrywała już nogi i część klatki piersiowej. Jedną ręką trzymał jak najwyżej krótkofalówkę, ratując ją przed zatopieniem.

Był coraz bardziej zrozpaczony. Ciągłe brzmiały mu w uszach słowa Daveya.

„Jeden facet sterczał prosto z przedniej szyby, nie miał połowy głowy. Chryste, można było zobaczyć jego wylewający się mózg. Nie do uratowania. Tylko jeden przeżył, ale też zmarł”.

Samochód roztrzaskany w miejscu i czasie, które by pasowały. Pete, Luke, Josh, Robbo - czy naprawdę są martwi? I dlatego nikt go nie wyciągnął? Ale Mark musiał przecież wiedzieć, co planują, miał być jego świadkiem, na miłość boską! Z pewnością Mark nic o tym nie wiedział, a teraz robi wszystko, by go uratować. A jeśli nie, jeśli jemu też coś się stało? Jeśli nie, pomyślał posępnie, jemu także musiało się coś stać. Może dołączył do nich w pubie i był wtedy z nimi w samochodzie?

Była 16.10, piątek. Starał się wyobrazić, co się teraz działo. Co robiła Ashley? Jego matka? Czy przygotowania do ślubu szły zgodnie z planem?

Podniósł głowę i krzyknął po raz kolejny: „Pomocy! Pomóżcie mi! Pomocy!”.

Nic, tylko paraliżująca cisza.

Muszę stąd wyjść.

Nagle usłyszał trzask i przez chwilę myślał, że to drewno wieka się kruszy, a potem nastąpił znajomy syk zakłóceń.

- Davey?

- Hej, kolego, właśnie wróciliśmy. To był prawdziwy wrak, chłopie! Nie chciałbyś być w tym aucie, mówię ci. Dwie godziny zajęło im wyciągnięcie kierowcy, wyglądał fatalnie. Ale lepiej niż ta kobieta w tym innym samochodzie, mimo wszystko. Kapujesz koleś?

- Tak, kapuję. - Michael starał się dopasować do jego poczucia humoru.

- Mówię, że ona nie żyje. Wiesz co mam na myśli?

- Nie żyje? Tak, rozumiem.

- Nie rozumiesz, koleś. Ona jeszcze żyła, ale nie przeżyje. Znam się na tym. Wiesz co, powiem ci coś!

- Davey, czy ten wrak, który widziałeś we wtorek wieczorem... pamiętasz, ilu ludzi było tam w środku?

Po kilku chwilach ciszy Davey stwierdził:

- Czekaj, liczę karetki. Przy ciężkich wypadkach przyjeżdża jedna karetka do jednej osoby. Jedna wyjeżdżała, kiedy przyjechaliśmy, a jedna nadal tam stała.

- Davey, może znasz przypadkiem nazwiska ofiar? Prawie natychmiast, ku zdziwieniu Michaela, Davey wyklepał:

- Josh Walker, Luke Gearing, Peter Waring, Robert Houlihan.

- Masz dobrą pamięć, Davey - pochwalił Michael. - A czy był tam ktoś jeszcze? Ktoś o nazwisku Mark Warren?

Davey zaśmiał się:

- Nigdy nie zapominam nazwisk. Gdyby Mark Warren był w tym wraku, wiedziałbym o tym. Pamiętam każde nazwisko, które usłyszałam, pamiętam, gdzie je usłyszałam i o której godzinie. Zapamiętałam ich już całą kupę.

- Musiałeś być dobry z historii w szkole.

- Może - odpowiedział wymijająco.

Michael zwalczył pokusę, żeby wydrzeć się na niego, i zapytał:

- Pamiętasz, gdzie ten wypadek miał miejsce?

- Na drodze A26, dwa i pół mili na południe od Crowborough.

Michael dostrzegł promyk nadziei.

- Myślę, że nie jestem daleko od tego miejsca. Czy umiesz prowadzić, Davey?

- Masz na myśli auto?

- No, dokładnie to mam na myśli.

- Sądzę, że to zależy od tego, jak zdefiniujesz prowadzenie.

Michael zamknął oczy na kilka chwil. Musi być jakiś sposób na porozumienie się z tym gościem. Tylko jaki?

- Davey, potrzebuję twojej pomocy, naprawdę bardzo potrzebuję. Czy lubisz gry?

- Masz na myśli gry komputerowe? No! Masz PlayStation-2?

- Nie, nie mam przy sobie.

- A może moglibyśmy połączyć się on-line?

Woda wlała się do ust Michaela. Wypluł ją w panice. Chryste, podnosiła się coraz szybciej.

- Davey, jeśli podam ci numer telefonu, zadzwonisz w moim imieniu? Powiesz komuś, gdzie jestem. Czy mógłbyś zadzwonić do kogoś, kiedy ze mną rozmawiasz?

- Ale mamy tu w Houston pewien problem.

- Jaki problem?

- Telefon jest w domu mojego taty. On nie wie, że ja mam krótkofalówkę, nie powinienem jej mieć. To przecież jest nasz sekret.

- W porządku, umiem dotrzymywać tajemnic.

- Mój tata byłby na mnie bardzo wściekły.

- Nie sądzisz, że byłby bardziej zły, gdyby wiedział, że mogłeś uratować mi życie, a pozwoliłeś mi umrzeć?

- W porządku, nie powiem nikomu.

Znów woda chlupnęła do ust Michaela; brudna, błotnista, słonawa. Wypluł ją. Ręce, ramiona i mięśnie szyi bolały go od trzymania głowy ponad poziomem wznoszącej się wody.

- Davey, umrę, jeśli mi nie pomożesz. Możesz być bohaterem. Chcesz być bohaterem?

- Muszę już iść - powiedział Davey. - Muszę znaleźć tatę, on mnie potrzebuje.

Michael nie wytrzymał i krzyknął:

- Nie! Davey, nigdzie, do cholery, nie pójdziesz. Musisz mi pomóc. DO CHOLERY, MUSISZ MI POMÓC.

Zapadła cisza, tym razem na dłużej i Michael przeraził się, że przesadził.

- Davey? - zapytał bardziej uprzejmie. - Jesteś tam jeszcze, Davey?

- Jestem tu cały czas. - Głos Daveya zmienił się. Nagle stał się potulny, brzmiał jak głos małego chłopca, który przeprasza.

- Davey, dam ci numer telefonu. Możesz go zapisać i zadzwonić? Powiesz im, że muszą skontaktować się ze mną przez twoją krótkofalówkę i że to jest bardzo, bardzo pilne. Zrobisz to dla mnie?

- Zrobię. Powiem im, że to jest bardzo, bardzo ważne.

Michael podał mu numer. Davey powiedział, że zadzwoni i odezwie się do niego ponownie.

Po pięciu długich minutach męczarni rozległ się jego głos.

- Odezwała się poczta głosowa - powiedział.

Michael zacisnął ręce.

- Zostawiłeś wiadomość?

- Nie. Nie mówiłeś, że mam tak zrobić.

Właścicielką pubu U Zakonników w Uckfield była wysoka, czerwona na twarzy kobieta dobrze po czterdziestce; miała potargane blond włosy i wyglądała tak, jakby przesłuchiowano ją już kilka razy. Miłym uśmiechem pozdrowiła Grace'a i Bransona i bacznie przyjrzała się fotografiom.

- Aha - powiedziała - byli tutaj, cała piątka. Niech po myślę... Około ósmej we wtorek.

- Jest pani pewna? - zapytał Glenn Branson.

Pokazała na zdjęcie Michaela.

- Ten wyglądał na trochę zdenerwowanego, ale był miłutki. - Potem wskazała na zdjęcie Josha. - A ten kupował drinki. Zamówił kolejkę piwa, a potem whisky. A ten facet - ponownie wskazała na Michaela - powiedział mi, że żeni się w sobotę. Powiedział też, że jestem najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział i że gdyby spotkał mnie wcześniej, to ożeniłby się ze mną.

Uśmiechnęła się do Bransona, a potem zalotnie do Grace. Widać było, że umie rozmawiać z policją. Bez wątpienia miała w kieszeni lokalny wydział policji, mogli więc sporo się dowiedzieć.

- Czy przypadkiem słyszała może pani, jakie mieli plany? - zapytał Grace.

- Nie, złotko. Ale doskonale się bawili. Siedzieli w tamtym rogu - wskazała na stół stojący we wnęce. - Byłam zajęta, nie zwracałam za bardzo na nich uwagi, bo jeden z moich

stałych klientów opowiadał mi o problemach małżeńskich. Wiedziecie, jak to jest.

- Jasne - powiedział Grace.

- Więc nie wie pani, gdzie pojechali potem? - dopytywał się Branson.

Potrząsnęła głową.

- Wyglądało na to, że robili rundę po lokalach. Wypili drinki i wyszli.

- Czy ma pani zainstalowane kamery?

Posłała kolejny zalotny uśmiech do Grace'a.

- Nie, złotko. Przykro mi.

Kiedy wychodzili z pubu, kryjąc się pod parasolami przed deszczem, Grace usłyszała w oddali dźwięk helikoptera. Spojrzała w górę, ale nic nie zobaczyła. Wsiadł do samochodu i zadzwonił do Belli i Nicka.

- Co u was?

- Nic - powiedział Nick. - Zostały nam jeszcze dwa puby. A co u was?

- Mamy jeszcze trzy.

Branson włączył silnik.

- Trochę stara, ale apetyczna dupcia - powiedział do Grace. - Miała na ciebie chrapkę.

- Dzięki - odpowiedział Grace. - Zostawię ją tobie.

- A le ja jestem szczęśliwie żonaty.

Roy Grace spojrział na swoją komórkę, na SMS-y od Claudine, weganki z Guildford, która nienawidzi policjantów.

- Masz szczęście - powiedział. - Wydaje mi się, że połowa niezamężnych kobiet jest nienormalna.

Chwilę milczał, a potem stwierdził:

- Ten wypadek zdarzył się krótko po dziewiątej. To mógł być ostatni pub, do którego wstąpili, zanim wsadzili go do trumny.

- Może zdążyli jeszcze wpaść do jednego.

Zajrzeli do trzech następnych pubów, ale nikt ich tam nie pamiętał. Za to Nick i Bella znaleźli jeszcze jednego właści-



ciela pubu, który ich rozpoznał. Wyszli od niego o 20.30 i wszyscy byli podobno bardzo pijani. Pub był w odległości pięciu mil. Grace czuł przygnębienie. Nadal nie byli w stanie określić bliżej miejsca, gdzie Michael Harrison mógł zostać zakopany.

- Powinniśmy pogadać z tym jego partnerem w interesach - zdecydował Grace. - Jeśli miał być jego świadkiem, to musi coś wiedzieć. Nie sądzisz?

- Sądzę, że powinniśmy zarządzić przeszukanie tego terenu.

- Ale musimy zawęzić jakoś obszar.

Branson ruszył.

- Jakiś czas temu powiedziałeś mi, że znasz faceta, który zajmuje się radiestezją?

Grace spojrział zdziwiony.

- Tak?

- Pamiętasz, jak się nazywał? Mówiłeś, że potrafi znaleźć zgubione rzeczy, machając wahadełkiem nad mapą.

- Myślałem, że w to nie wierzysz? Jesteś jednym z tych, którzy zawsze mi powtarzają, że to idiotyzm. A teraz sugerujesz, że mam znaleźć kogoś takiego?

- To desperacja, Roy. Nie wiem, co jeszcze możemy zrobić.

- Będziemy kontynuować to, co robimy.

- Ale może warto spróbować.

Grace uśmiechnął się.

- Myślałem, że jesteś wielkim sceptykiem.

- Bo jestem. Ale mamy gościa, który powinien jutro o 14.00 stanąć przed ołtarzem, i zostały nam - sprawdził zegarek - tylko dwadzieścia dwie godziny, żeby go znaleźć. I mamy około pięćdziesięciu mil kwadratowych lasu do przeszukania. Za cztery godziny zrobi się ciemno. I co powiesz?

Grace wierzył, że Harry Frame potrafiłby pomóc, ale po środowych wydarzeniach w sądzie nie był pewien, czy chce ryzykować. Gdyby Alison Vosper dowiedziała się o tym...

- Martwisz się, co powie szefowa? - Branson odgadł jego rozterki.
- Jak będziesz w moim wieku, też będziesz się martwić o pracę.
- Pomyślę o tym za jakieś trzydzieści lat.

Mały, szeregowy domek, w którym mieszkała Ashley Harper, stał w dzielnicy należącej kiedyś do średniej klasy pracującej, a teraz modnej i drogiej, prawdziwej enklawy dla singli. Świadczyły o tym choćby samochody zaparkowane na ulicach i wytworne drzwi wejściowe.

Grace i Branson wysiedli z samochodu, przeszli obok golfa GTI, kabrioletu renault i zadzwonili do mieszkania numer 119, przed którym stało zaparkowane srebrne audi TT.

Drzwi otworzyła piękna kobieta po dwudziestce. Na widok Bransona uśmiechnęła się.

- Dzień dobry - powiedział Branson. - To mój kolega, inspektor Grace. Możemy chwilę porozmawiać?

- Oczywiście. Macie jakieś wiadomości?

Mieszkanie zaskoczyło Grace'a, weszli bowiem do oazy minimalizmu. Biały dywan, białe meble, srebrzyste żaluzje, na ścianie duża reprodukcja Jacka Vettriano, przedstawiająca czterech gości w pięknych garniturach i migające kolorowe światelka sprzętu nagłaśniającego. Wskazówki zegara ściennego pokazywały 6.20.

Zaproponowała im coś do picia. Branson poprosił o wodę mineralną - podała mu ją w pięknej szklance, zaś Grace otrzymał czarną kawę w eleganckim kubku.

- W trzech pubach rozpoznano pani narzeczonego, był tam we wtorek wieczorem. Było z nim czterech kumpli,

tych, których pani zna. Ale nie wiemy, co się potem z nimi działo. Wiemy tylko, że byli pijani.

- Przecież Michael nie pije - powiedziała ponuro; w rękę trzymała duży kieliszek czerwonego wina.

- Proszę opowiedzieć mi coś o Michaelu - poprosił Grace, obserwując ją w skupieniu.

- A co chciałbyś wiedzieć?

- Cokolwiek. Jak go pani poznała?

Uśmiechnęła się, ale natychmiast spoważniała.

- Przyszłam do jego firmy na rozmowę kwalifikacyjną. Michael i jego partner w interesach...

- Mark Warren? - przerwał Grace.

Zawahała się tylko przez sekundę, ale Grace to zauważył.

- Tak.

- Gdzie pani przedtem pracowała?

- W handlu nieruchomościami w Toronto, w Kanadzie. Wróciłam do Anglii krótko przed tym, jak dostałam tę pracę.

- Wróciła pani?

- Pochodzę z Anglii. - Uśmiechnęła się.

- A w jakiej firmie w Toronto pracowała pani?

- Zna pan Toronto? - zapytała, trochę zdziwiona.

- Spędziłem tydzień w tamtejszej policji jakieś dziesięć lat temu. W laboratorium wydziału kryminalnego.

- Aha. To była mała firma należąca do korporacji Eton.

Grace kiwnął głową.

- Więc Michael Harrison i Mark Warren zatrudnili panią?

- W listopadzie zeszłego roku.

- I?

- To była wspaniała praca, dobrze płatna, mogłam się sporo nauczyć na temat handlu nieruchomościami. Wydawali się miłymi facetami, a ja - oblała się rumieńcem - uważałam, że Michael jest bardzo atrakcyjny. Chociaż byłam pewna, że jest żonaty albo ma dziewczynę.

- Proszę mi wybaczyć, ale kiedy zostaliście parą?

- Bardzo szybko, w ciągu kilku miesięcy. Ale trzymaliśmy to w tajemnicy, żeby Mark się nie dowiedział. Michael uważał, że Mark może poczuć się niezręcznie, wiedząc o naszym romansie.

Grace ponownie kiwnął głową.

- Kiedy więc Mark dowiedział się o was?

Oblała się rumieńcem.

- Pewnego dnia wcześniej wrócił do biura, nie spodziewaliśmy się go.

Grace uśmiechnął się. Nie miał wątpliwości, że była wyjątkowo wrażliwa, a mężczyźni czują się w obowiązku chronić takie kobiety. On też tak się czuł, a znał ją zaledwie od kilku minut.

- I co było potem?

- Czuliśmy się trochę niezręcznie. Powiedziałam Michaelowi, że powinnam odejść, ale przekonał mnie, żebym została.

- A Mark?

Wzdrygnęła się lekko, a mięśnie jej twarzy stężyły na moment.

- Zachował się bez zarzutu.

- Więc nie miało to wpływu na wasze układy w pracy?

- Nie.

Obserwując bacznie jej oczy, Grace zapytał:

- Wiedziała pani, że prowadzili jakieś interesy na Kajmanach?

Spojrzała na Bransona, potem na Grace'a.

- Nie, nie wiedziałam.

- Czy Michael kiedykolwiek mówił pani, że on i Mark mają jakieś ulgi podatkowe?

Wyraz złości, który pojawił się na jej twarzy, zaskoczył Grace'a.

- O co chodzi? Jesteście z policji czy z Urzędu Skarbowego?

- Jeśli chce pani nam pomóc odnaleźć narzeczonego, musi pani pomóc nam go poznać. Proszę powiedzieć wszystko, nawet te rzeczy, o których pani sądzi, że są nieistotne.

- Po prostu chcę, żebyście go znaleźli. Żywego.

- Narzeczony nie rozmawiał z panią na temat wieczoru kawalerskiego? - zapytał Grace, wspominając swój wieczór kawalerski; zostawił wtedy Sandy szczegółową trasę i to ona wybawiła go rankiem następnego dnia, kiedy kumple porzucili go na ulicy w Brighton kompletnie nagiego, jedynie w skarpetkach.

Potrząsnęła głową.

- Mieli wypić kilka piw, to wszystko, co mi powiedział.

- Co zamierza pani zrobić, jeśli nie wróci na ślub? - zapytał Branson.

Łzy spłynęły jej po policzkach. Wyszła z pokoju i wróciła, trzymając w ręku chusteczkę do nosa, którą ocierała co chwila oczy. Potem zaczęła szlochać.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Proszę, odnajdźcie go, tak bardzo go kocham. Nie zniosę tego.

Grace czekał, aż się uspokoi. Obserwując jej oczy, zapytał;

- Była pani ich sekretarką. Czy Mark Warren nie powiedział pani, co planowali?

- Tylko tyle, że to męska noc. Ja też miałam swój wieczór panieński. To wszystko.

- Pani wie, że Michael miał opinię kawalarza? - zapytał Grace.

- Michael miał po prostu wspaniałe poczucie humoru, i za to także go kochałam.

- Czy pani coś wie o trumnie?

Zamarła, a kieliszek z winem niebezpiecznie przechylił się w jej ręku.

- Trumna? Co pan ma na myśli?

Branson wyjaśnił i dodał:

- Zna pani Roberta Houlihana?

- Spotkałam go kilka razy. Taki trochę nieudacznik.

- Naprawdę?

- Tak przynajmniej mówił Michael. Włączył się z nimi, ale tak naprawdę nie należał do ich paczki.

- Ale widać był wystarczająco zaprzyjaźniony, skoro został zaproszony na wieczór kawalerski? - upierał się Branson.

- Michael był po prostu uprzejmy. Chyba uznał, że wypada go zaprosić. Może dlatego, że pozostali kumple mieli być świadkami, a Robbo nie.

Grace napił się wody.

- Nigdy nie pokłóciła się pani z Michaeliem? Nie przychodzi pani na myśl nic, co mogłoby sprawić, że stchórzył?

- Chryste - powiedziała. - Nie. Absolutnie nic. Ja, on...

- Gdzie zaplanowaliście miesiąc miodowy? - pytał Grace.

- Na Malediwach. Michael zarezerwował fantastyczne miejsce, on kocha wodę, łodzie, nurkowanie. Tam jest jak w raj.

- Mamy helikopter, możemy oddelegować setkę specjalnie wyszkolonych policjantów i jeśli nie wróci dziś wieczorem, rozpoczniemy poszukiwania na terenie, gdzie ostatnio był widziany. Ale nie chcę kosztownej akcji tylko po to, żeby znaleźć go opalającego się na Kajmanach, i to dzięki wykiwaniu brytyjskiego fiskusa. Czy to jasne?

Pokiwała głową.

- Doskonale - powiedziała z rozgoryczeniem. - Więć chodzi o pieniądze, a nie o odnalezienie Michaela.

- Nie - zaprzeczył Grace łagodniejszym tonem. - Nie chodzi o pieniądze. Mam zgodę na opracowanie planu poszukiwań.

- Proszę, zaczynajcie już teraz szukać. - Zgarbiona, przez łzy patrzyła na kieliszek wina. - Rozpoznałam pana. Był o panu artykuł w gazecie. Próbowali pana ośmieszyć za to, że kontaktował się pan z medium, prawda?

- Tak.

- A ja wierzę w te rzeczy. Czy zna pan kogoś takiego? Czy ci ludzie nie potrafią zlokalizować zaginionych?

Grace rzucił spojrzenie na Bransona, a potem na Ashley.

- Potrafią.

- Czy nie mógłby pan pójść do kogoś takiego albo kogoś mi polecić?

Grace myślał chwilę.

- Czy ma pani coś, co należy do Michaela? - Czuł świdrujące spojrzenie Glenna Bransona.
  - Na przykład co?
  - Cokolwiek. Jakiś przedmiot. Coś z ubrania. Z biżuterii.
- Coś, co pozwoliłoby na nawiązanie z nim kontaktu.
- Mogę coś znaleźć. Proszę dać mi kilka minut.
  - Nie ma sprawy.



- Urwałeś się z choinki? - zapytał Branson, kiedy wyszli z domu Ashley.

Trzymając bransoletę, którą dała mu Ashley, Grace powiedział:

- Tak uważasz?

- No, nie myślałem, że sam ją o to poprosisz.

- A co, myślałeś, że sami coś zwiniemy bez jej wiedzy?

- Pożyczymy. Chłopie, żyjesz niebezpiecznie. A co będzie, jeśli ona powie o tym w prasie?

- Prosiłeś mnie o pomoc. Branson spojrzał na niego z ukosa.

- Co o niej sądzisz?

- Wie więcej, niż nam powiedziała.

- Więc próbuje chronić jego tyłek?

Grace obrócił bransoletę w dłoni; trzy zespolone cienkie, miedziane obręcze, każda zakończona małym półkolem.

- Tak myślisz?

- A ty znowu swoje. Jak zwykle odpowiadasz pytaniem na pytanie.

Grace przez chwilę zastanawiał się. Myślał o wizycie w domu Ashley Harper, jej lęku, odpowiedziach na kolejne pytania. Dziewiętnaście lat pracy w policji wiele go nauczyło. A przede wszystkim tego, że prawda nie zawsze jest oczywista. Ashley Harper wiedziała więcej, niż powiedziała.

Być może chodziło o te machlojki podatkowe, ale czuł, że to nie wszystko.

Dwadzieścia minut później parkowali już na promenadzie Kemp Town, biegnącej wzdłuż plaży nad kanałem La Manche.

Deszcz wciąż padał i poza szarą smugą pozostawioną na horyzoncie przez jakiś statek, morze było puste. Mijał ich nieprzerwany sznur samochodów. Po prawej stronie widzieli Pałac Pier i jego białe kopuły.

Marine Parade, szeroki bulwar ciągnący się milę od pięknych fasad budynków w stylu regencji, tętnił życiem. Sześcioletni budynek Van Allen był jednym z najnowocześniejszych w tej okolicy. Nacisnęli dzwonek domofonu i po chwili odezwał się chrapliwy głos.

- Halo?  
- Mark Warren? - zapytał Glenn Branson.  
- Tak, a kto pyta?  
- Policja. Chcielibyśmy porozmawiać na temat Michaela Harrisona.

- Oczywiście. Proszę wejść na czwarte piętro. - Potem rozległo się ostre brzęczenie. Grace otworzył drzwi frontowe.

- Dziwny zbieg okoliczności - powiedział do Bransona, wchodząc do windy. - Byłem tu wczoraj wieczorem, graliśmy w pokera.

- Kto z twoich znajomych tu mieszka?  
- Chris Coke.  
- Chris Coke, ten palant z drogowki?  
- Jest w porządku.  
- W jaki sposób stać go na takie mieszkanie?  
- Za małżeńskie pieniądze albo raczej za pieniądze rozwodowe. Miał bogatą żonę i dobrego prawnika.  
- Sprytny gnojek.

Wysiedli na czwartym piętrze. Po luksusowym, niebieskim dywanie dotarli do drzwi apartamentu 407. Branson nacisnął dzwonek. Otworzył im mężczyzna około trzydziestki, ubrany w białą, elegancką koszulę, prążkowane

spodnie od garnituru i czarne mokasyny. Na szyi miał złoty łańcuch.

- Proszę wejść, panowie.

Grace popatrzył zaskoczony. Facet wydał mu się znajomy. Widział go już gdzieś. I to niedawno. Ale gdzie? Gdzie, do cholery, go widział?

Branson pokazał legitymację, ale Mark Warren ledwo na nią spojrział. Szli za nim korytarzem do ogromnego otwartego salonu, w którym stały dwie czerwone kanapy i długi, wąski, czarny stół z laki, tworzący granicę pomiędzy kuchnią a jadalnią.

Miejsce przypominało Grace'owi mieszkanie Ashley Harper; urządzone było w podobnym, minimalistycznym stylu, ale czuło się tu znacznie większe pieniądze. W jednym rogu salonu stała afrykańska maska na wysokim, czarnym postumencie, na ścianach wisiały bez wątplenia cenne obrazy abstrakcyjne. Włączony płaski telewizor był teraz wyciszony.

- Czy mogę podać coś do picia? - zapytał Mark Warren, nerwowo wykręcając dłonie.

Grace uważnie go obserwował, słuchał, w jaki sposób mówi. Od tego człowieka wyraźnie bił niepokój. I chyba zdziwił się ich wizytą. Zastanawiał się, co go czeka. Tak właśnie reagowali ci, którzy przeżyli jakąś tragedię. Nie umieli sobie poradzić z poczuciem winy. Grace wiedział o tym z doświadczenia.

- Dziękujemy - powiedział Branson - nie chcemy panu zajmować czasu. Tylko kilka pytań.

- Czy macie jakieś wiadomości o Michaelu?

Grace powiedział o intensywnych poszukiwaniach w pubach i o zaginionej trumnie. W reakcji Marka było coś, co włączyło w głowie Grace'a alarm. Cichy, ale uporczywy alarm.

- Nie mogę uwierzyć, że mogli zrobić coś takiego. Ukraść trumnę? - powiedział Mark Warren.

- Powinien pan o tym wiedzieć - wtrącił się Grace. - Czy to nie do obowiązków świadka należy organizowanie wieczoru kawalerskiego?

- Tak przynajmniej piszą w Internecie - odparował Mark Warren.

Grace zmarszczył brwi.

- Więc nie był pan zaangażowany w ich plany? W żaden sposób?

Mark zmieszał się, potem zaczął mówić jakoś nieskładnie, szybko jednak zapanował nad sobą.

- Ja, nie... to znaczy, chcę powiedzieć... Rozumiecie, my, Luke, chcieliśmy zorganizować jakiś striptiz, ale to jest trochę staromodne, więc chcieliśmy coś bardziej oryginalnego.

- Żeby odplącić się Michaelowi za jego kawały?

Ponownie się zmieszał.

- Owszem, mówiliśmy o tym.

- Ale nie rozmawialiście o trumnie? - Roy Grace mierzył go wzrokiem.

- Absolutnie nie. - Oburzenie w jego głosie brzmiało szczerze.

- Trumna z drewna tekowego - podsuwał Grace.

- Nie wiem nic o żadnej trumnie.

- Mówi pan, że miał być świadkiem, a nic pan nie wie o planach na wieczór kawalerski?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Mark Warren patrzył długo na każdego z nich, w końcu odezwał się:

- Nie wiem.

- Nie kupuję tego - odparł Grace. - Przykro mi, ale nie kupuję tego. - W oczach Marka dostrzegł błysk gniewu.

- Oskarżacie mnie o kłamstwo? Przepraszam, panowie, ale nasze spotkanie dobiegło końca. Muszę się skontaktować z moim adwokatem.

- To ważniejsze niż znalezienie przyjaciela? - Grace obserwował go bacznie. - Przecież miał się jutro żenić. Ma pan tego świadomość?

- Jestem jego świadkiem.

I nagle Grace przypomniał sobie, gdzie już go widział.

- Jakim samochodem jeździ pan, Mark?

- Bmw.
- Jakim modelem?
- X5.
- To dżip, prawda? Z napędem na cztery koła?
- Tak, zgadza się.

Grace pokiwał głową. Nic więcej nie powiedział, ale w jego mózgu kotłowały się myśli.

Kiedy czekali na windę, Branson obserwował drzwi wejściowe do mieszkania Marka Warrena, a kiedy upewnił się, że są zamknięte, zapytał:

- O co chodzi z tym jego samochodem?

Weszli do windy i Grace nacisnął przycisk z napisem B. Był tak zamyślony, że nie odpowiedział. Branson obserwował go.

- Coś nie tak z tym gościem? Wyczytałeś to?

Grace nadal milczał.

- Powiniennem nacisnąć przycisk G, bo tam jedziemy.

Wyszli na parking. Było tu sucho i unosił się lekki zapach oleju silnikowego. Minęli ferrari, jaguara sedana, sportową wersję mazdy, małego sedana forda, a potem kilka pustych miejsc i zatrzymali się przed błyszczącym, srebrnym dziełem bmw. Grace uważnie przyglądał się samochodowi. Kropelki deszczu nadal widoczne były na lakierze.

- Czadowa maszyna, co nie? - stwierdził Branson. - Ale mało miejsca z tyłu. Więcej jest w range roverach czy Cayenne.

Grace przyglądał się tymczasem kołom, potem klęknął i popatrzył na próg drzwi.

- Kiedy byłem tutaj wczoraj wieczorem - zaczął - około pierwszej w nocy, przyjechało akurat to bmw, całe ubłoczone. Zwróciłem na to uwagę, bo rzadko w centrum Brighton widzi się brudnego, sportowego dzipa. Zwykle takimi jeżdżą mamusie, które robią zakupy.

- Jesteś pewien, że to ten samochód?
- Grace postukał się palcem po głowie.
- Numer rejestracyjny.
  - No tak, ta twoja fotograficzna pamięć. Nadal działa, mimo tak zaawansowanego wieku...
  - Nadal.
  - Więc co o tym sądzisz?
  - A ty?
  - Zaginiona trumna. Las. Zabłocony dziup. Świadek pana młodego, który jako jedyny przeżył i chce przede wszystkim skontaktować się ze swoim adwokatem. No i do tego rachunek bankowy na Kajmanach. Coś tu śmierdzi.
  - I to bardzo.
  - To co teraz?
- Grace wyciągnął z kieszeni miedzianą bransoletę.
- Następne będzie to.
  - Naprawdę?
  - A masz lepszy pomysł?
  - Wezwać Marka Warrena na przesłuchanie.
- Grace potrząsnął głową.
- To sprytny gość. Musimy być sprytniejsi.
  - A wizyta u faceta z wahadką jest sprytniejsza?
  - Zaufaj mi.

Nie wolno ci zasnąć. Tylko tak przeżyjesz. Wychłodzenie sprawia, że jesteś śpiący, jeśli zaśniesz, wpadniesz w śpiączkę, a potem umrzesz.

Michael trząsał się jakby w delirium. Było mu zimno, bardzo, bardzo zimno, ale słyszał głos Ashley, która szeptała mu do ucha, żeby podniósł się, dotknął jej. Co chwila woda wlewała mu się do ust, a on ją wypluwał. Twarz miał mocno przyciśniętą do wieka trumny. Latarka nie działała, próbował trzymać krótkofalówkę nad wodą, ale ręka tak bardzo go bolała, że dłużej już nie mógł. Do tylnej kieszeni spodni wcisnął bezużyteczną komórkę; było mu wprawdzie niewygodnie, ale dzięki temu uniósł się odrobinę wyżej. Tyle że obojętne, co zrobi, bo i tak się to stanie. Umrze. Nie wiedział, ile życia mu jeszcze zostało, ale z pewnością niewiele.

- Ashley - powiedział słabo. - Ashley, kochanie.

Woda znów wypełniła mu usta.

Futurałem latarki rył rowek w wieku trumny i myślał o jutrzejszym ślubie. Matka pokazała mu sukienkę, którą sobie z tej okazji kupiła, a także kapelusz, buty i nową torebkę. Pragnęła sprawić mu przyjemność, chciała, żeby wiedział, że będzie dobrze wyglądać podczas tak ważnego dla niego dnia. Przypomniał sobie telefon od siostry z Australii; była taka podekscytowana, że zapłaciła za jej bilet. Carly pewnie już jest razem z mamą i przygotowują się.



Szyja bolała go coraz bardziej, nie wiedział, jak długo jeszcze wytrzyma; co kilka minut musiał się odprężyć, zanurzyć, wstrzymać oddech, pozwolić, by woda obmyła mu twarz, a potem wypchnąć się znów do góry. Wkrótce nie będzie to możliwe.

Płakał zawiedziony i przerażony, walił w wieko, naciskał przycisk na krótkofalówce i krzyczał:

- Davey! Davey! Hej, Davey!

Znów wypłuł wodę.

Każda częśćka jego ciała drżała.

Słyszał tylko zakłócenia.

Zęby szczykały mu, przełknął łyk błotnistej wody, a potem kolejny.

Proszę, och, proszę, niech ktoś... proszę, proszę, och, proszę, pomóż mi.

Starał się uspokoić, przypomnieć sobie tekst przygotowanej przemowy. Podziękowanie druhom. Toasty. Musi wspomnieć o rodzicach, a zakończyć toastem dla druhen. Powiedzieć coś śmiesznego. Znał doskonały dowcip, który Pete mu sprzedał. O parze, która wybrała się na miesiąc miodowy i...

Miesiąc miodowy.

Wszystko było zarezerwowane. Jutro o dziewiątej wieczorem mieli samolot na Malediwy. W pierwszej klasie - dla Ashley wszystko co najlepsze, na pewno się ucieszy.

Och, wypuście mnie stąd, idioci! Spóźnię się na ślub i miesiąc miodowy. No dalej! Już!

Zegar na desce rozdzielczej forda wskazywał 7.13, kiedy Branson i Grace jechali ulicą wzdłuż eleganckich domów Kemp Town, później otwartą drogą nad klifami obok olbrzymiego neogotyckiego budynku szkoły dla dziewcząt, a następnie obok schroniska dla niewidomych św. Dunstana. Ciągle padało i wiał wiatr. Branson włączył radio, zagłuszając trzaski policyjnego nadajnika i kołysał się do muzyki zespołu Scissor Sisters.

Grace wytrzymał to chwilę, ale potem ściszył muzykę.

- Co z tobą, chłopcze, to dobry zespół - zawołał Branson.

- Wyśmienity.

- Nie bądź dziwakiem. Musisz się trochę ukulturalnić.

- A ty będziesz moim guru od kultury, co?

Branson spojrzął na niego spod oka.

- Powinieneś być też twoim guru w sprawie ubrań. Powinieneś pójść do dobrego fryzjera, bo wyglądasz tak staroświecko.

- I czuję się staroświecko - odpowiedział. - Zaprosiłeś mnie na lunch. Właśnie minął czas popołudniowej herbatki, zbliża się kolacja. W takim tempie będziemy śniadanie jeść razem.

- Kiedy ostatnio żyłeś prawdziwym życiem? - Nim dookończył te słowa, już ich żałował; przez twarz Grace'a przemknął skurcz bólu.

- Przepraszam, chłopie - powiedział.

Minęli zadbaną wioskę, potem wzniesienie, za którym była kolejna górką, minęli ciągnące się bez ładu i składu podmiejskie powojenne domy w Saltdean, a potem Peacehaven.

- Skręć w następną w lewo - powiedział Grace, kierując Bransona poprzez labirynt uliczek, przy których tłoczyły się parterowe domy. Wreszcie zaparkowali przy małym, odrapanym domku. W strugach deszczu pobiegli w stronę małej werandy i zadzwonili do drzwi. Otworzył im niewysoki, ale dobrze zbudowany mężczyzna po siedemdziesiątce; ubrany był w drelichowe spodnie i bluzę miał kozią bródkę i szare, długie włosy związane w ogon. Na jego szyi wisiał na złotym łańcuchu okazały medalion ze staroegipskim krzyżem. Przywitał się z nimi wylewnie, a mówił śmiesznie cienkim głosem. Trzymał rękę Grace'a i patrzył na niego jak na przyjaciela, którego długo nie widział.

- Inspektor Grace! Jak miło pana znowu widzieć.

- A to mój przyjaciel inspektor Branson. Glenn to jest Harry Frame.

Harry Frame uściśnął rękę Bransona z siłą, która przeczyła jego wiekowi, zielone oczy patrzyły przenikliwie.

- Z przyjemnością witam pana, proszę wejść, proszę do środka.

Szli za nim wąskim korytarzem, który oświetlała słaba żarówka ukryta w lampionie w morskie wzory. Półki na ścianach zapchane były statkami w butelkach. W ponurym trzy-pokojowym mieszkaniu stały meble nakryte pokrowcami, wyłączony telewizor, a przy oknie okrągły, dębowy stół z czterema krzesłami. Branson dostrzegł też tandetną reprodukcję na ścianie, przedstawiającą domek Anne Hathaway i motto: „Umysł, raz poszerzony, już nigdy nie powróci do swojej pierwotnej formy”.

- Herbaty?

- Chętnie - powiedział Grace.

Branson zerknął na Grace'a.

- Poproszę.

Harry Frame szybko wyszedł z pokoju. Branson przyglądał się stojącej na stole świeczce w szklanym świeczniku, potem spojrzał na Grace'a, jakby pytając „Co to jest, do cholery?”. W odpowiedzi Grace uśmiechnął się. Miej cierpliwość.

Po kilku minutach do pokoju weszła uśmiechnięta, przysadzista kobieta o siwych włosach, ubrana w robiony na drutach golf, brązowe spodnie z poliestru i markowe, nowe adidas. Niosła tacę, na której stały trzy kubki i talerzyk z ciasteczkami.

- Witam cię, Roy - familiarnie pozdrowiła Grace'a, a potem, z błyskiem w oku, zwróciła się do Bransona: - Jestem Maxime. Ta, Która Musi Być Posłuszna!

- Miło mi panią poznać. Jestem inspektor Branson.

Za nią wszedł jej mąż, trzymając w ręku mapę.

Grace podniósł kubek z zieloną herbatą. Widział pełne powątpiewania spojrzenie Bransona.

- Więc panowie - zaczął Harry, siadając naprzeciwko nich - ktoś zaginął?

- Michael Harrison - wyjaśnił Grace.

- Ten młody człowiek, o którym pisano w gazetach? Okropna sprawa, ten wypadek. Wszyscy ci młodzi zostaną wezwani.

- Zostaną wezwani.? - zdziwił się Branson.

- Oczywiście, ich dusze będą potrzebne.

Branson wymownie spojrzał na Grace'a, ale ten udał, że tego nie widzi. Frame odsunął na bok talerz i świecznik i rozłożył wojskową mapę wschodniej części hrabstwa Sussex.

Branson sięgnął po herbatnika. Grace wyłowił z kieszeni bransoletę i podał ją medium.

- Prosięś, żeby przynieść coś, co należy do zaginionej osoby.

Frame mocno ścisnął bransoletkę w dłoni i zamknął oczy.

Policjanci wpatrywali się w niego. Siedział tak dobrą minutę, a w końcu odezwał się:

- Mhm. O tak, mhm. - Potem otworzył oczy i patrzył na Grace'a i Bransona, jakby zdziwiony ich obecnością. Nachylił się nad mapą i wyciągnął z kieszeni spodni sznurek, na którym umocowany był ołowiany ciężarek.

- Sprawdźmy, co znajdziemy - powiedział. - Tak, no właśnie, sprawdźmy. Smakuje wam herbata?

Grace wypił łyk. Była gorąca i gorzka.

- Doskonała - powiedział.

Branson z obowiązku też przełknął łyk.

- Dobra - orzekł.

Harry Frame rozpromienił się zadowolony.

- Teraz, teraz... - Wyciągnął ręce nad stołem, ukrył twarz w dłoniach, jak gdyby się modlił, i zaczął coś mruzczyć. Grace starał się unikać wzroku Bransona.

- Jarummmmm - mówił Frame do siebie. - Jarummmmm. Brnnnn. Jarummmmm.

Potem usiadł wyprostowany, trzymając sznurek między palcem wskazującym a kciukiem. Ciężarek zaczął huśtać się jak wahadło. Frame zacisnął usta w skupieniu, a wahadełko coraz energiczniej bujało się po okręgu, powoli przesuując się nad mapą.

- Uckfield? Crowborough? Ashdown Forest?

Pokiwali potakująco głowami, ale Harry Frame zaprzeczył.

- Przykro mi, ale na tym obszarze nic nie zobaczyłem. Spróbuję na innej mapie.

- Jesteśmy pewni, że musi być gdzieś na tym terenie, Harry - powiedział Grace.

Frame przecząco pokiwał głową.

- Nie, wahadełko wyraźnie nie zareagowało. Musimy zerknąć szerzej.

Grace czuł kpiące spojrzenia Bransona. Gapili się na mapę wschodniego i zachodniego hrabstwa Sussex. Wahadełko huśtało się w wąskim łuku niedaleko Brighton.

- Jest tutaj - zamruczał Frame.

- Brighton? Nie sądzę - odparł Grace.

Frame rozpostarł kolejną mapę, na której zaznaczone były ulice Brighton, i ustawił wahadełko ponad nią. W ciągu kilku minut zakreśliło małe kółko nad Kemp Town.

- Tak. To jest miejsce, w którym go znajdziecie.

Grace popatrzył na Bransona, domyślając się, co tamten myśli.

- Mylisz się, Harry - powiedział.
- Nie sądzę, Roy. W tym miejscu jest wasz człowiek.

Grace potrząsnął głową.

- Byliśmy właśnie na Kemp Town, rozmawialiśmy z jego współnikiem. Nie masz żadnych wątpliwości?

Harry Frame podniósł bransoletę.

- To jest jego bransoleta? Michaela Harrisona?

- Tak.

- W takim razie on tam jest. Moje wahadełko nigdy się nie myli.

- Możesz nam wskazać adres? - zapytał Branson.

- Nie, nie mogę. Dom jest nieprzejrzysty. Ale tam musicie szukać, tam go znajdziecie.

- Pieprzony dziwak - powiedział Branson, kiedy opuścili już dom Harry'ego Frame'a.

Grace pograżył się w myślach i dłuższą chwilę milczał. Deszcz przestał w końcu padać i promienie popołudniowego słońca przebijały przez sieć szarych chmur wiszących nad morzem.

- Podsumujmy. Jak na razie on ma rację.

- Chodźmy się napić i coś zjeść - powiedział Branson. - Jeszcze padnę z głodu.

Zegar wskazywał 20.31.

- Dobry pomysł.

Glenn zadzwonił do żony; Grace usłyszał tylko koniec burzliwej rozmowy, a potem Branson rozłączył się bez słowa.

- Jest nieźle wkurzona.

Grace uśmiechnął się tylko, wiedział, że tak jest lepiej; po co wygłaszać komentarze na temat czyjeś sytuacji domowej.

Kilka chwil później siedzieli już w barze Odpoczynek Borsuka, Grace trzymał szklaneczkę z solidną porcją whisky, a Branson poprosił o duże piwo, nie zważając na to, że prowadzi.

- Zgłosiłem się do wojska - zaczął Branson - żeby zrobić karierę, żeby moje dzieci były ze mnie dumne. Cholera. Później, kiedy byłem bramkarzem w klubie, życie toczyło się normalnie. Kapałem Sammy'ego, kładłem go do łóżka i miałem czas, żeby mu poczytać, nim wyszedłem do pracy. Chcesz wiedzieć, co Ari powiedziała?

- Co? - Grace studiował menu.  
- Powiedziała, że Sammy i Remi płaczą, ponieważ obiecałem im, że będę w domu i przeczytam im jakąś bajkę wieczorem.

- Więc jedź do domu - powiedział Grace ze zrozumieniem.

Branson osuszył kufel i zamówił następny.

- Nie mogę tego zrobić, przecież wiesz, że nie mogę. To nie jest cholerna robota od dziewiątej do siedemnastej. Nie mogę po prostu wyjść z biura, jak jakiś urzędas. Jestem to winny Ashley Harper i Michaelowi Harrisonowi. Prawda?

- Musisz się nauczyć, kiedy pora odpuścić - poradził Grace.

- Na serio? Więc kiedy dokładnie powinienem odpuścić? Grace sączył whisky. Była dobra. Najpierw palące uczucie w przetyku, a potem w żołądku. Podniósł szklankę w stronę barmana i zamówił jeszcze raz podwójną, a potem położył banknot dwudziestofuntowy i poprosił o rozmienienie na drobne do automatu. Od kilku lat nie palił, ale tego wieczoru papieros był mu po prostu potrzebny. Automat wypluł paczkę Silk Cut. Rozdarł celofan i poprosił barmana o ogień. Potem głęboko, cudownie zaciągnął się. Nie pamiętał, że papieros może aż tak smakować.

- Myślałem, że rzuciłeś palenie - zauważył Branson.

- Bo rzuciłem.

Dostał nowego drinka i stuknął się z Bransonem.

- Ty nie masz normalnego życia, a ja swoje niszcę. Witam na drodze policyjnej kariery.

Branson pokiwał głową.

- Ten twój przyjaciel Harry Frame jest dziwnym gościem. Co za czubek!

- Pamiętasz Abigail Matthews?

- To dziecko, sprawa sprzed kilku lat? Miała osiem lat, co nie?

- Zgadza się.



- Porwana sprzed domu rodziców. Znalazłeś ją w skrzyni w hangarze na lotnisku Gatwick.

- Nigeryjka. Sprzedana holenderskiej mafii, która zajmowała się handlem dziećmi. Wykorzystywanie seksualne.

- Świetna robota. Czy nie z tego powodu tak szybko awansowałeś?

- Tak. Tyle że nigdy nikomu nie powiedziałem prawdy, jak ją znalazłem. Nigdy nikomu nie powiedziałem, ponieważ...

- Ponieważ?

- To nie była świetna, detektywistyczna robota, Glenn. To Harry Frame ją znalazł swoim wahadełkiem, rozumiesz?

Branson milczał przez chwilę.

- To dlatego tak mu wierzysz.

- W innych sprawach też miał rację, ale nigdy nie trąbiłem na jego temat. Alison Vosper i jej kołesie nie lubią niczego, co nie mieści się w ramach ich myślenia. Chcesz zrobić karierę w policji, to musisz stosować się do reguł gry. Musisz się dostosować, rozumiesz? W rzeczywistości nie musisz grać, jak ci każą, byle myśleli, że tak robisz. - Drugą whisky wysuszył szybciej, niż zamierzał. - Zamówmy jakieś żarcie.

Branson zamówił krewetki, a Grace niezdrowy stek, sadzone jajka i frytki. Potem zapalił kolejnego papierosa i zamówił kolejne drinki.

- To co teraz zrobimy, Stary Mądry Człowieku?

Grace zmrużył oczy.

- Możemy się rozbić - zasugerował.

- Tyle że to nie pomoże nam w znalezieniu Michaela, prawda? A może coś ominąłem...?

- Nic nie ominąłeś, przynajmniej ja niczego nie zauważyłem. Ale teraz jest... - Grace sprawdził zegarek - 20.30. Możemy wybrać się do Ashdown Forest z łopata i latarką, ale nie jestem pewny, czy to coś da.

- Musi być coś, co przeoczyliśmy.

- Zawsze jest to coś, Glenn. Tylko nieliczni mają dar odkrywania przypadkowych zdarzeń w naszym fachu.

- Masz na myśli szczęście?
- Znasz ten stary dowcip o graczu w golfa?
- Przypomnij mi.
- Gracz mówi: „To bardzo dziwna rzecz... im więcej ćwiczę, tym mam większe szczęście”.

Branson uśmiechnął się.

- Więc może za mało ćwiczymy?
- Sądę, że trenowaliśmy wystarczająco dużo. Jutro jest wielki dzień. Jeśli pan Michael Harrison urzęduje dowcip nad dowcipami, jutro nadejdzie chwila prawdy.
- A jeśli nie?
- To przejdziemy do planu B.
- A na czym on polega?
- Nie mam pojęcia. - Grace zmrużył oczy i popatrzył na niego przez szklanę. - Jesteśmy umówieni w porze lunchu. Pamiętasz?

Kiedy zadzwonił telefon, Ashley, ubrana w biały, frotywy szlafrok, siedziała zgarbiona na łóżku i oglądała powtórkę serialu „Seks w wielkim mieście”. Poderwała się, niemal rozlewając wino; spojrzała na zegar - 23.29. Późno. Nerwowo podniosła słuchawkę, prawie nie oddychała.

- Słucham?

- Ashley? Kochanie, mam nadzieję, że cię nie obudziłam?

Odstawiła kieliszek na toaletkę, wyciszyła telewizor. To była Gili Harrison, matka Michaela.

- Nie - odpowiedziała. - Zupełnie nie mogę spać, od wtorku nie zmrużyłam oka. Za chwilę wezmę tabletkę, którą lekarz mi przepisał. Powiedział, że zwali mnie z nóg. - W tle słyszała szczekanie Bobo.

- Ashley, powinnaś to jeszcze raz przemyśleć. Naprawdę sądzę, że trzeba odwołać przyjęcie.

Ashley wzięła głęboki oddech.

- Gili, rozmawialiśmy już wczoraj na ten temat, i dzisiaj. Nie zwrócą ani pensa, jeśli odwołamy tak późno. A przecież niektórzy goście przyjadą z daleka, na przykład mój wujek z Kanady. Ten, który ma mnie prowadzić do ołtarza.

- Jest bardzo miły - zauważyła Gili. - Biedny człowiek, przejechał taki szmat drogi.

- Bardzo mnie kocha - powiedziała Ashley. - Wziął tydzień urlopu, żeby tylko być na poniedziałkowej próbie.

- Gdzie się zatrzymał?  
- W Londynie, w hotelu Lanesborough. Zawsze zatrzymuje się w najlepszych. - Na chwilę zamilkła. - Oczywiście, mówiłam mu, co się stało, ale powiedział, że i tak przyjedzie, żeby mnie wspierać. Odwołałam moje koleżanki z Kanady, ale cztery z nich już przyjechały, także przyjaciel z Londynu przekonałam, żeby nie przyjeżdżali. Ale telefon cały czas dzwonił.

- U mnie też.

- Problem polega na tym, że Michael zaprosił kolegów i przyjaciół z Anglii i Europy. Próbowałam skontaktować się z tymi, z którymi się dało, Mark też próbował, ale niektórzy już są i musimy się nimi zaopiekować. I nadal myślę, że Michael...

- Kochanie, nie teraz.

- Gili, Michael robił swoim kumplom, którzy mieli się żenić, najwymyślniejsze dowcipy. Dwóch mało się nie spóźniło do kościoła, i to właśnie przez niego. Michael może więc być gdzieś nawet blisko, ale zamknięty albo związany, i nie wie, co tu się dzieje. Może wciąż planuje i stara się to wszystko rozwiązać.

- Jesteś kochana, ale jak się będziesz czuła, jeżeli będziesz czekała w kościele, a on nie przyjdzie? Musisz pogodzić się z tym, że coś się stało. Kochanie, cztery osoby nie żyją. Michael, jeśli żyje, musiał o tym słyszeć.

Ashley zaczęła łkać. Przez kilka chwil szlochała niepokieszona, ocierając oczy chusteczką, a potem mocno pociągając nosem, powiedziała:

- Cholernie się staram, ale nic nie rozumiem. Ja po prostu... modlę się, żeby on wrócił. Za każdym razem, kiedy dzwoni telefon, myślę, że to on, rozumiesz? A potem on będzie się śmiał i tłumaczył, że to wszystko to tylko głupi żart.

- Michael jest dobry - powiedziała Gili. - Nigdy przecież nie był okrutny, a to jest zbyt okrutne. Nie zrobiłby tego, to nie w jego stylu.

Zapadła cisza, którą w końcu przerwała Ashley.

- Dobrze się czujesz?
- Oprócz tego, że szalenie martwię się o Michaela, czuję się dobrze. No i przyjechała Carly.
- Przyjechała?
- Kilka godzin temu.
- Powinnam przyjść do kościoła i przywitać się ze wszystkimi. Wiesz, o co mi chodzi; ci ludzie przyjadą z daleka, musimy być w kościele, żeby spotkać się z nimi i zaproponować przekąskę. A poza tym wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby Michael przyjechał, a nas nie było?
- Zrozumiałby, że odwołałaś ślub z szacunku dla jego zmarłych kolegów.

Szlochając mocniej, Ashley powiedziała:

- Proszę cię, Gili, chodźmy do kościoła i zobaczymy, co będzie.
- Weź teraz tabletkę i prześpij się, kochanie.
- Zadzwoń do ciebie rano.
- Dobrze. Wstanę wcześniej.
- Dzięki za telefon.
- Dobranoc.
- Dobranoc! - odpowiedziała Ashley.

Odłożyła słuchawkę. Z trudem panowała nad emocjami, energia dosłownie ją rozsadzała. Odwróciła się, a między połami szlafroka ukazały się jej piersi, spojrzała na Marka, który leżał obok niej nagi.

- Głupia krowa, niczego się nie domyśla.
- Jej usta wykrzywiły się w złośliwym uśmiechu.
- Nie domyśla się!

Objęła go i namiętnie pocałowała, najpierw w usta, a potem powoli, celebując tortury pieszczot, przesuwając się w dół ciała.

Pocił się pod kołdrą. Było za gorąco, stanowczo za gorąco, ledwie mógł oddychać. Strużki wody spływały mu po twarzy, rękach, nogach i plecach. Zrzucił kołdrę, chciał usiąść, ale poczuł paraliżujące uderzenie w czaszkę i ponownie zatonął.

Plusk.

O Jezu.

Otaczała go woda. Miał wrażenie, że zalewa go też od wewnątrz, jak gdyby krew w jego żyłach stopniowo zastępowana była przez wodę. Szukał jakiegoś słowa, żeby to określić, ale zawsze w ostatniej chwili wymykało mu się niczym mydło z rąk w wannie.

Było mu zimno. Chwilę temu gorąco nie do zniesienia, a teraz zimno. Potwornie zimno. Zęby mu szczękały, wybijając słowa: zimno-zimno-zimno. Głowa mu pękała.

- Tylko sprawdzę, czy nie ma paracetamolu w łazience - oświadczył ciszy, która odpowiedziała milczeniem. - To nie potrwa długo. Tylko wyskoczę do apteki.

Kilka godzin temu niespodzianie głód ustąpił, ale teraz wrócił z jeszcze większą siłą. Żołądek był dosłownie wypalony, jak gdyby kwasy przeżarły go, szukając czegoś do strawienia. Usta miał spieczone. Nabrał dłonią trochę wody i przełknął, ale picie wymagało wielkiego wysiłku.

Osmoza!

OSMOZA! W wybuchu radosnego uniesienia wykrzykiwał to słowo w różnych tonacjach: Osmoza! Znalazłem! Osmoza! I nagle znowu ogarnęło go zimno, a potem oblał pot.

- Ktoś wyłączył termostat! - krzyczał w ciemnościach. - Na litość boską, ugotujemy się tu na dole, myślicie, że jesteśmy homarami?

Roześmiał się ze swych słów. W tej chwili wieko trumny zaczęło się unosić. Powoli, miarowo, bez hałasu, aż mógł zobaczyć nocne niebo ożywione kometami. W promieniu światła powoli wirowały pyłki; na horyzoncie jaśniały gwiazdy. Potem zobaczył twarz płynącą w poprzek światła, przez wirujący pył. To była Ashley. Jak gdyby patrzył na nią z dna basenu, a ona unosiła się nad nim twarzą w dół.

Potem kolejna twarz - matki. Następnie Carly, jego młodszej siostry. A w końcu zobaczył twarz ojca; ojciec był w brązowym, eleganckim garniturze, beżowej koszuli i czerwonym, jedwabnym krawacie. Tak jak Michael go zapamiętał. Tylko w jaki sposób jego ojciec mógł być w basenie, skoro ubranie miał suche.

- Umierasz, synu - powiedział Tom Harrison. - Wkrótce będziesz z nami.

- Nie sędzę, żebym był już gotowy, tato.

Ojciec uśmiechnął się drwiąco.

- W tym problem synu, a kto jest gotowy?

- Znalazłem słowo, którego szukałem. Osmoza.

- To dobre słowo, synu.

- Jak się masz, tato?

- To wspaniale tu być, synu. Wspaniale. Można zarobić dużo pieniędzy. Nie musisz oszukiwać, próbując ukryć pieniądze na Kajmanach. To, co zarobisz, to masz, rozumiesz?

- Tak, tato...

Ale to nie ojciec mówił do niego, to przecież głos wielbego Sompinga, strasznego zarozumialca; był już po pięćdziesiątce, miał siwe, falujące włosy i brodę, która częściowo kryła jego rumiane policzki, dowód wieloletniego chłania.

- Spóźnisz się i to bardzo, Michael, jeśli nie wydobędziesz się stąd. Przecież wiesz, że jeżeli nie przyjdiesz do kościoła przed zachodem słońca, nie udzielę ci ślubu?

- Ja nie... ja...

Uniósł się, chcąc chwycić księdza za rękę, ale tylko grzmotnął głową w wieko.

Ciemność.

Plusk wody, kiedy tylko się poruszył.

Nagle coś zwróciło jego uwagę. Sprawdził, woda sięgała tylko do policzków.

- Zupełnie jakbym miał na sobie krawat - powiedział. - Czy można mieć krawat z wody?

I znów chwyciły go dreszcze. Mocno przyciskał ręce do piersi, tak że łokcie uciskały mu żebra. Stopy drżały, oddech był szybszy, coraz szybszy.

Umrę. Umrę tutaj samotny w dniu ślubu. Idą po mnie duchy, idą na dół do tej trumny i...

Zakrył twarz dłońmi. Nie pamiętał, kiedy ostatnio się modlił, pewnie dawno temu, chyba wtedy, kiedy zmarł ojciec. Śmierć Toma Harrisona była ostatecznym potwierdzeniem, że Boga nie ma. Ale teraz powróciły słowa modlitwy i zaczął je szeptać w dłonie, jakby nie chciał, żeby ktoś go słyszał.

Trzask zakłóceń przerwał jego skupienie, a potem wybuch muzyki country i wreszcie głos:

- Dzień dobry, witam fanów sportu, tu stacja Buffalo, przekazujemy najnowsze wiadomości sportowe i prognozę pogody w ten deszczowy „ole” sobotni poranek! A teraz, wczoraj wieczorem w rozgrywkach...

Michael gorączkowo wyszarpywał krótkofalówkę. Spadła mu na piersi, a potem do wody. O cholera. Nie, o cholera, cholera, cholera!

Wyłowił ją, potrząsnął, odnalazł przycisk i nacisnął.

- Davey? Davey, czy to ty?

Kolejny syk i trzask.



- Hej, gościu! Gościu, którego koledzy byli w tym wraku we wtorek, co?
- Tak.
- Hej, dobrze się z tobą rozmawia.
- Davey, naprawdę potrzebuję, żebyś zrobił coś dla mnie. Potem mógłbyś dać wielkie ogłoszenie w stacji radiowej.
- To zależy od tego, jakie inne wiadomości są tego dnia - stwierdził Davey lekceważąco.
- W porządku. - Michael opanował nagły gniew na tego głupka. - Potrzebuję cię. Poproś kogoś, z kim mógłbym porozmawiać przez twoją krótkofalówkę, albo poproś ojca, żeby mnie stąd wy dostał.
- Ale to zależy, czy jesteś na terenie, który znamy, rozumiesz?
- Rozumiem, Davey. Dokładnie rozumiem, co mówisz.

Odrężeni leżeli nago w łóżku. Dookoła palił się tuzin pachnących świec i sęczył się śpiew Nory Jones. Ashley zapaliła papierosa, a potem podała go Markowi do ust. Zaciągnął się głęboko.

- Gili ma rację - powiedział. - Sądzę, że nie powinnaś iść do kościoła, a już z pewnością nie powinnaś pojawiać się na przyjęciu.

Ashley energicznie potrząsnęła głową.

- Ależ powinniśmy. Nie rozumiesz? Pojawię się w kościele. - Przerwała, żeby się zaciągnąć, a potem powoli wydmuchiwała dym, delektując się nim. - Wszyscy mnie zobaczą, taką biedną, porzuconą narzeczoną i będą mi współczuć.

- Nie jestem pewny, czy to dobry krok. To może się obrócić przeciw nam.

- W jaki sposób?

- No, mogą pomyśleć, że nie jesteś wrażliwa, że nie szanujesz Pete'a, Luke'a, Robbo i Josha. Oboje powinniśmy być teraz widziani jako ci, którzy się przejmują.

- Przecież byliśmy w kontakcie z ich rodzinami, wysłaliśmy kondolencje i wszystko robimy tak, jak należy. Przez trzy ostatnie dni omawialiśmy ślub. My się z niczym nie kryjemy! Bez względu na wszystko musimy przecież zapłacić tej cholernej obsłudze cateringowej, więc równie dobrze możemy zatroszczyć się o tych gości, którzy zadali sobie trud i przyjechali.

Pewnie nie będzie ich zbyt wielu, ale tyle możemy dla nich zrobić.

Mark wziął papierosa z jej ręki i mocno się zaciągnął.

- Ashley, tłumaczyłaś mi to przez trzy dni, nie przyjmowałaś moich argumentów. Myślę, że to olbrzymi błąd.

- Zaufaj mi - powiedziała, rzucając mu wściekle spojrzenie. - Nie wymiękaj teraz.

- Chryste, nie wymiękam, tylko...

- Chcesz zrezygnować, bo się boisz?

- Nie boję się.

- No, dalej partnerze, bądź silny!

- Ależ ja jestem silny.

Zsunęła się w dół wzdłuż jego ciała i wtuliła twarz w jego włosy łonowe. Na policzku poczuła wiotkiego penisa.

- Ale coś takiego to chyba nie dowód siły - powiedziała figlarnie.

Grace zaczął weekend tak, jak lubił, porannym sześcimiłowym biegiem. Znowu mocno padało, ale to nie miało znaczenia. Czapkę z daszkiem zsunął nisko na twarz, ubrany był w dres i nowe adidas. Wzmocniony dobrym, szybkim tempem, zapomniał o deszczu i o wszystkich swoich troskach. Głęboko oddychał.

Minął starszego mężczyznę spacerującego z pudłem na smyczy, potem minęli go dwaj rowerzyści w obcisłych kombinezonach. Trwał odpływ. Kilku wędkarzy kopało w poszukiwaniu robaków na przynętę.

Biegi promenadą, czując smak soli na ustach, potem schodami na plażę, na której rybacy zostawiali swoje łodzie, wyciągając je daleko, żeby były bezpieczne przed najwyższymi falami. Pamiętał nazwy kilku - Daisy Lee, Belle of Brighton, Sammy - pachniały farbą, smołowanymi linami i rozkładającymi się rybami. Mijał zamknięte kafejki, salony gier automatycznych, galerie sztuki, a następnie pobiegł pod kolumnami Pałacu Pier, gdzie siedemnaście lat temu on i Sandy pocałowali się pierwszy raz. Był już trochę zmęczony, ale postanowił dobiec do klifów przy Black Rock.

Nagle rozległo się piknięcie komórki, sygnał nadejścia wiadomości.

Zatrzymał się i spojrzał na ekran.

Nie możesz droczyć się z dziewczyną w taki sposób, Duży Chłopcze. Claudine

Jeżu! Zostaw mnie w spokoju. Spędziłaś cały wieczór, atakując mnie za to, że jestem gliną, a teraz doprowadzasz mnie do szalu. Jego jedyna internetowa randka okazała się niewypałem. Czy one wszystkie były takie jak Claudine? Agresywne, samotne kobiety ze zwolnionym hamulcem? Pewnie nie, przecież muszą gdzieś istnieć jakieś normalne. A może nie?

Schował komórkę i biegł dalej. Wiedział, że powinien odpowiedzieć, ale może lepiej będzie nadal ją ignorować. Co miałby powiedzieć? Spieprzaj i przestań mi się naprzykrzać? Było miło cię spotkać, ale postanowiłem zostać gejem?

Ostatecznie postanowił, że wyśle jej potem SMS-a, taki standardowy tekst tchórza: Przykro mi, ale nie jestem jeszcze gotowy na związek.

Myślam wrócił do pracy, do góry papierów, która wydawała się rosnąć i rosnąć: handel młodymi dziewczętami z Nigerii, sprawa Suresha Hossaina, sprawa małego Thomasa Lyle'a, a teraz zniknięcie Michaela Harrisona.

Zwłaszcza ta ostatnia go dręczyła. W nocy zbudziła go pewna myśl i ciągle nie dawała mu spokoju.

Zawrócił. Czuł, że palą go płuca, bołą nogi. Był bardzo zmęczony, dobiegł prawie do budynku Van Allen. Schodami wbiegł na promenadę, poczekał, aż uda mu się przemknąć między samochodami i pobiegł w dół wąską uliczką wzdłuż ściany. Zatrzymał się przy wejściu do podziemnego parkingu. Los widać mu sprzyjał, bo wkrótce brama otworzyła się i wyjechało jakieś ciemnoniebieskie porsche. Zanim brama się zamknęła, wślizgnął się do środka; nie musiał moknąć na deszczu.

Powietrze przesycone było zapachem oleju silnikowego. Biegł w dół, minął czerwone ferrari, które dobrze zapamiętał, oraz kilka innych aut, także wcześniej widzianych, aż zatrzymał się przed świecącym, wymyłym terenowym bmw X5.

Sprawdził numer rejestracyjny - W 796 LDY. Rozejrzał się dookoła - pusto. Podszedł bliżej, klęknął przy przednim

kole, potem położył się na plecy i ostrożnie wślizgnął pod wóz. Wnętrze kola pokryte było błotem. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, a potem zdrapał na nią kilka kawałków suchego błota. Zawinął je i schował do kieszeni. Wysunął się spod dżipa, podszedł do wejścia i pomachał ręką w stronę światełka w podczerwieni. Z głośnym brzękiem i terkotem drzwi się otworzyły.

Wyszedł, rozejrzał się w prawo i lewo i ruszył biegiem w kierunku domu.

O 9.30, po odświeżającym prysznicu i pożywным śniadaniu, na które złożyły się jajecznicca i grillowane „zdrowe” pomidory (zdrowa żywność była jego ostatnim kaprysem), usiadł przy biurku przed komputerem i wybrał domowy numer Glenna Bransona. Chusteczka z ziemią zdrapaną z samochodu Marka Warrena leżała obok, schowana do małej, plastikowej torebki.

Odebrała Ari. Chociaż Grace i Branson od pierwszej chwili polubili się, z Ari było trudniej. Często podejrzewała, że samotny Grace usiłuje zwieść jej męża na manowce.

Przez lata Grace ciężko pracował, żeby ją pozyskać; zawsze pamiętał o urodzinach ich dzieci, posyłał kartki i dawał hojne prezenty, jej przynosił kwiaty i bywały chwile, kiedy myślał, że zrobił jakiś postęp. Ale dziś rano nie łudził się. Nie sprawiała wrażenia ucieszonej faktem, że dzwoni.

- Cześć, Roy - zaczęła bez ceremonii. - Chcesz rozmawiać z Glennem?

Nie, właściwie to chcę rozmawiać z Człowiekiem na Księżycu, miał ochotę powiedzieć, ale się powstrzymał. Zapytał za to trochę niepewnie:

- A jest gdzieś w pobliżu?

- Raczej się spieszymy - odpowiedziała. W tle słyszał krzyk dzieci, a potem znów głos Ari: - Sammy! Twoja kolej już była, teraz oddaj to siostrze!

W końcu odezwał się Branson.

- Hej, Stary Mądry Człowieku, wcześniej dziś wstałeś.
- Bardzo śmieszne. Co mówiłeś, że dzisiaj robisz?
- Przyjęcie urodzinowe w Solihull z okazji trzydziestki siostry Ari. Muszę wybierać - ratowanie Michaela Harrisona albo ratowanie mojego małżeństwa. Co ty byś wybrał?
- Ratuj małżeństwo. I bądź wdzięczny swoim smutnym, starym przyjaciołom, którzy nie mają prawdziwego życia i mogą spędzać weekendy, odwalając robotę za ciebie.
- Jestem wdzięczny. A co ty robisz?
- Idę na ślub.
- Ależ jesteś uczuciowy. Cylinder? Frak? Wszystko wyprane i wyprasowane?
- Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że jesteś wredny?
- Żona, której prawie już nie mam.

Grace poczuł ukłucie bólu. Wiedział, że Glenn nie miał zamiaru sprawić mu przykrości, ale jego słowa zabolowały. Bo Glenn każdej nocy, nawet jeśli było zbyt późno i groziło to awanturą, wracał jednak do domu, do kochających dzieci i pięknej, cieplej kobiety czekającej na niego w łóżku. Ludzie, którzy to posiadali, nie byli w stanie zrozumieć, co to znaczy żyć samotnie.

Samotność.

Samotność mogła być gównem.

Była gównem.

Grace miał już tego dosyć, ale nie wiedział, co zrobić. A jeśli kogoś znajdzie, zakocha się i podejmie decyzję, a Sandy nagle wróci? Co wtedy?

Dobrze wiedział, że to się nigdy nie stanie, ale pewna część jego serca nie chciała tego słuchać; jak winylowa płyta, która zaciniała się w tym samym miejscu. Raz czy dwa razy w roku, kiedy miał dołek, szedł do medium, próbował nawiązać z nią kontakt albo przynajmniej uzyskać jakąś wskazówkę, co mogło jej się przydarzyć, ale Sandy pozostawała nieuchwytna. Jak negatyw zdjęć.



Życzył Bransonowi miłego weekendu, zazdroszcząc mu jego życia, wymagającej żony, uroczych dzieci i cholernej normalności. Pozmywał po śniadaniu, spojrzął przez kuchenne okno na Noreen Grinstead, która po drugiej stronie ulicy myła właśnie srebrnego nissana. Ubrana w brązowy kombinezon i fartuch, na rękach miała jak zawsze żółte, gumowe rękawice, a na głowie plastikowy kapelusz chroniący przed deszczem. Czarno-biały kot przebiegł jezdnią. W radiu John Peel w programie „Home Truths” przeprowadzał wywiad z kobietą, której rodzice przez całe jej dzieciństwo nie zamienili ze sobą słowa.

Siedemnaście lat w policji nauczyło go nie lekceważyć żadnych dziwactw.

Wrócił do biurka, wybrał numer posterunku w Brighton i zapytał, czy mógłby rozmawiać z jakimś śledczym. Chwilę później połączono go z Joe Tindallem, człowiekiem, którego wyjątkowo cenił. Tindall, niski, drobny, o rzadkich, sztywnych włosach i w okularach na nosie, przypominał raczej jakiegoś szalonego profesora. Zanim związał się z policją, przez siedem lat pracował jako archeolog w Muzeum Brytyjskim, był też ekspertem sądowym. Z nim właśnie Grace pracował przy sprawie Tommy'ego Lytle'a.

- Hej, Joe! Nie masz wolnego weekendu?

- Sie ma! Muszę zrobić testy balistyczne, bo je spieprzyli. I muszę zająć się sprawą tej środowej napaści, więc sam rozumiesz.

Grace przypomniał sobie, że w środę w nocy zadźgano nożem jakiegoś faceta w Brighton. Nie było jeszcze wiadomo, czy to napad, czy może sprzeczka pomiędzy kochankami gejami.

- Joe, potrzebna mi twoja pomoc. Mam próbkę ziemi, którą zdrapałem z podejrzanego samochodu. Jak szybko mógłbym się dowiedzieć, z której części Sussex pochodzi? I z jaką dokładnością?

- A o jaką dokładność ci chodzi?

- Kilku metrów kwadratowych.

- Bardzo śmieszne, Roy.
- Wcale nie żartuję.
- Masz próbkę z podejrzanego obszaru? Mogę zrobić te-  
sty i zobaczymy, czy odpowiadają. Mamy kredę, glinę, żwir  
i piasek z Sussex.
- Podejrany obszar to Ashdown Forest.
- Tam przeważają piasek i glina. Możemy dopasować  
pyłki, skamieliny, nasiona, pozostałości zwierzęce, trawę,  
wodę i wiele innych rzeczy. Do jakiego obszaru mamy się  
ograniczyć?
- No, kilku kilometrów.
- Lepiej, ale w Anglii znalazłoby się parę miejsc, które  
będzie można dopasować do tego w Ashdown Forest.
- Jak długo zajęłoby ci sprawdzenie próbki?
- Kilka tygodni. I potrzebowałbym olbrzymiego zespołu  
i niezłego budżetu.
- Ale mógłbyś to zrobić?
- Mając nieograniczone źródła i wystarczającą ilość cza-  
su, mógłbym bardzo dokładnie określić obszar.
- Jak mały?
- To zależy. Być może nawet kilkumetrowy.
- Dzięki. Będziesz w biurze jeszcze przez chwilę? Zaraz  
ci dostarczę.
- Przez cały dzień, Roy, i prawdopodobnie całą noc.

Godzinę później, ubrany w niebieski garnitur, białą koszulę i jasny krawat Grace jechał ciągnącym się kilometrami górzystym Hollingbury, przemysłowym osiedlem na obrzeżach Brighton. Wreszcie dojechał do niskiego budynku należącego do wydziału kryminalnego w Sussex.

Początkowo mieściła się tu fabryka, potem gmach kupiła policja. Mimo remontu bardziej przypominał on jakiś supermodny hotel. Na szczęście tablice informowały przechodniów, co się w nim mieści.

Grace zaparkował między policyjnymi wozami, podszedł do tylnego wejścia, okazał legitymację i wszedł do budynku. Idąc po schodach wyłożonych wykładziną, mijał wiszące na ścianach, ozdobnie rozwieszane stare pałki policyjne, popatrzył też na dwie duże tablice ze zdjęciami pracowników i informacjami, kto jest kim na tym posterunku.

Znał ich wszystkich: Iana Steela i Martina Pollinsa z wydziału śledczego, Davida Seidela i Kim Ballard z zapobiegania przestępczości, Willa Grahama i Christophera Derriotta z wydziału wsparcia naukowego, Jamesa Simpsona z operacyjnego, Terrinę Clifton-Moore z sekcji do spraw rodzinnych i wszystkich pozostałych.

Szedł korytarzem, w mijanych przeszklonych pokojach widział niezliczone biurka, ale przy kilku tylko siedzieli dziś pracownicy.

Minął gabinet naczelnika Gary'ego Westona, szefa tego wydziału. Przy następnych drzwiach ponownie okazał legitymację i drzwi automatycznie się otworzyły. Na beżowych ścianach kolejnego korytarza wisiały tablice z instrukcjami: „Schemat najczęstszych motywów”, „Postępowanie w przypadku morderstwa” i „Ocena miejsca zbrodni”.

Lubił takie nowoczesne wnętrza. Przeważnie pracował w starych budynkach, które przypominały raczej nory dzikich królików, dlatego cieszyło go, że policja, której poświęcił swoje życie, nadała za upływającym czasem i idee XXI wieku nie są jej obce. Chociaż i ten budynek miał wadę - wszyscy narzekali na brak stołówki...

Mijał kolejne biura, wciągając w nozdrza znany zapach, charakterystyczny dla takich miejsc - ciężki i mdły fetor rozkładających się ciał ludzkich. Otaczał niczym niewidzialna mgła, przenikając do porów skóry, głęboko do nosa, płuc i wnikał we włosy i ubrania.

Zanim otworzył kolejne drzwi, zobaczył, że w studiu fotograficznym także pracowano: na stole, pod ostro świecąca lampą leżała hawajska koszula, rozdarta i mocno zakrwawiona. Obok dostrzegł plastikowe torby, a w nich spodnie i parę żółtobrązowych mokasynów. W pierwszej chwili nie poznał mężczyzny w białym dresie, dopiero po chwili zorientował się, że to Joe Tindall, który jednak w ciągu tych kilku miesięcy całkiem się zmienił. Zniknęły gdzieś włosy w stylu szalonego profesora i ogromne niczym żółwia skorupa okulary. Miał teraz ogoloną głowę, małą bródkę i modne, prostokątne okulary z niebieskimi szklami. Przypominał bardziej diler narkotyków niż naukowca.

- Czyżby nowa kobieta w twoim życiu? - zapytał, wchodząc do gabinetu.

Tindall spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Roy, dobrze cię widzieć! Tak, a kto ci to powiedział? Grace roześmiała się. Brakowało mu jeszcze tylko kolczyka.

- Młoda?

- Właściwie tak, ale skąd o niej wiesz?

Grace nadal się uśmiechał.

- I chce, żebyś też wyglądał młodo, prawda?

Tindall zrozumiał nagle i uśmiechnął się zażenowany.

- To mnie zabije, Roy. Trzy razy w nocy i to w każdą noc.

- Próbujesz trzy razy, czy trzy razy odnosisz sukces?

- Och, odwal się. - Obrzucił Grace'a spojrzeniem. - A ty co, jesteś zbyt elegancki, jak na sobotę. Jakaś gorąca randka?

- Ślub.

- Gratulacje, a kim jest szczęśliwa wybranka?

- Mam przecucie, że nie jest aż tak szczęśliwa. - Grace wyjął z kieszeni małą, plastikową torebkę z ziemią z samochodu Marka Warrena i położył ją obok koszuli. - Musisz zrobić wszystko, co w twojej mocy.

- Zawsze chcesz, żebym zrobił wszystko, co w ludzkiej mocy. Wszyscy tego chcą.

- Nieprawda Joe. Kiedy dałem ci dowody w sprawie Tommy'ego Lytle'a, powiedziałem, że masz tyle czasu, ile potrzebujesz. Teraz jest inaczej. Zaginął facet i od tego, jak szybko dasz odpowiedź, zależy, czy przeżyje.

Joe Tindall wziął torebkę i przypatrzył się jej zawartości. Delikatnie potrząsnął, cały czas obserwując.

- Dość piaszczysta - zawyrokował.

- Mówi ci to coś?

- Wspominałeś Ashdown Forest? To może być ziemia stamtąd.

- Może?

- Cóż, Zjednoczone Królestwo pogrążone jest po kolana w piaszczystej ziemi. Piaszczysta gleba jest w Ashdown Forest, ale także w milionach innych miejsc.

- Interesuje mnie teren o powierzchni dwa metry długości i metr szerokości.

- Zupełnie jak grób.

- Bo to jest grób.

Joe Tindall kiwnął głową, jeszcze dokładniej przyglądając się próbce.

- Chcesz, żebym zlokalizował grób znajdujący się gdzieś w lesie w Ashdown Forest na podstawie takiego małego woreczka z ziemią?

- Łąpiesz, o co mi chodzi.

Tindall zdjął na chwilę okulary, jak gdyby miało mu to ułatwić widzenie, a potem nałożył je z powrotem.

- Umowa jest taka, Roy. Ty znajdziesz grób, a ja zrobię analizę i powiem, czy ta ziemia pasuje, czy nie.

- Wolałbym, żeby było odwrotnie.

- Rozumiem. Ale myślisz, że kim jestem? Davidem Blaine'em? Derrenem Brownem? Jakimś magicznym sposobem znajdę grób w lesie o powierzchni dziesięciu hektarów?

- A masz z tym jakiś problem?

- Właściwie tak. Mam z tym problem.

Kilka godzin później Grace zbliżał się do kościoła Wszystkich Świętych we wsi Patcham, gdzie na 14.00, czyli dokładnie za czterdzieści pięć minut, zaplanowany był ślub.

To był jego ulubiony kościół. Klasyczny, niewielki, z małą wieżą i pięknymi witrażami za ołtarzem. Obok na zarośniętym cmentarzu były stare nagrobki.

Deszcz zelżał. Siedząc w samochodzie zaparkowanym niedaleko wejścia do kościoła, miał doskonały widok; mógł obserwować wszystkich przybywających. Na razie poza nim nie było nikogo. Na mokrym asfalcie dostrzegł kilka płatków konfetti, prawdopodobnie z wcześniejszego ślubu.

Obserwował starszą kobietę w płaszczu przeciwdeszczowym z kapturem, która taszczyła kosz z zakupami i co chwila przystawała, żeby zamienić kilka słów z wysokim mężczyzną prowadzącym pieska na smyczy.

Podjechał mały niebieski ford focus, z którego wysiadł mężczyzna obwieszony aparatami fotograficznymi. Grace obserwował go i zastanawiał się, czy był to zatrudniony fotograf, czy też ktoś z prasy. Kilka chwil później zaparkował za nim mały, brązowy samochód; młody człowiek w kurcie trzymał charakterystyczny dziennikarski notatnik. Obydwaj mężczyźni pozdrowili się i zaczęli gawędzić.

Po dziesięciu minutach Grace dostrzegł srebrne terenowe bmw. Przez przyciemnione szyby nie widać było, kto siedzi

w środku, ale rozpoznał numer rejestracyjny wozu Marka Warrena. Chwilę później istotnie wysiadł Warren ubrany w ciemny płaszcz przeciwdeszczowy i pobiegł do głównego wejścia kościoła. Ledwie zniknął za drzwiami, a już wracał do samochodu.

Potem zatrzymała się taksówka, którą przyjechał wysoki mężczyzna o siwych włosach, ubrany w czarny frak z czerwonym goździkiem w butonierce, w rękę trzymał szary cylinder. On także poszedł w stronę kościoła. Taksówkarz nie odjechał, widać kazano mu czekać. Wreszcie zajechało srebrne audi. Grace pamiętał, że takie właśnie stało przed domem Ashley Harper.

Otworzyły się drzwi od strony kierowcy i wyłoniła się Ashley trzymająca parasolkę. Ubrana była w piękną suknię, a włosy miała upięte do góry. Od strony pasażera wysiadła starsza kobieta w niebieskiej sukience z białymi wykończeniami; siwe włosy miała starannie ułożone. Ashley pomałała w stronę bmw, a potem, kryjąc się pod parasolką razem ze starszą panią, zniknęła w kościele. Mark Warren poszedł za nimi.

Wreszcie o 13.55 Grace zobaczył zbliżającego się pastora i zdecydował, że nadszedł czas, aby i on się ruszył. Wysiadł, obciągając kurtkę, a wtedy podbiegł do niego młody człowiek z notatnikiem. Miał może ze dwadzieścia lat, ostre rysy twarzy, a na sobie szary, tandetny garnitur. Spod luźno związanego krawata widać było guzik koszuli.

- Inspektor Grace, prawda? - zapytał, żując gumę.

Grace mierzył go wzrokiem, jak zawsze ostrożny.

- A ty?

- Kevin Spinella z gazety „Argus”. Tak tylko zastanawiam się, czy ma pan jakieś nowe informacje w sprawie Michaela Harrisona?

- Obawiam się, że jeszcze nic. Czekamy. Może pojawi się na ślubie.

Dziennikarz spojrział na zegarek.

- Spóźnia się trochę, prawda?



- Nie byłby pierwszym panem młodym, który się spóźnił. - Grace uśmiechnął się i swobodnie minął reportera.

Idąc za nim, dziennikarz pytał:

- Jak pan sądzi, czy Michael Harrison w ogóle jeszcze żyje?

Grace zatrzymał się na chwilę:

- To śledztwo w sprawie osoby zaginionej.

- Ale to się może zmienić, prawda?

- Nie mam nic więcej do powiedzenia. - Grace otworzył drzwi i wszedł do ciemnego przedsiionka.

Wchodząc do kościoła, zawsze miał pewne wątpliwości. Czy tak jak większość ludzi powinien uklęknąć, czy po prostu usiąść w ławce, licząc na to, że Bóg, w którego chyba już nie wierzył, sam odgadnie jego uczucia. Przez długi czas po zniknięciu Sandy modlił się o jej powrót. Sandy była osobą niewierzącą, a on, nie otrzymując od Boga żadnych odpowiedzi na swoje modlitwy, także odsunął się od wiary. I nie umiał się już modlić.

Wróć mi Sandy, wtedy będę się modlił całym sercem do Ciebie. Ale nie wcześniej, dobrze, Panie Boże?

Minął odstawione na bok ociekające parasole i wszedł do środka. Poczuł znajomy zapach kadzideł i rozgrzanego wosku. Nie czuł natomiast woni kwiatów, których było tu przecież mnóstwo.

Kilkanaście osób stało w milczeniu jak statyści filmowi czekający tylko na znak reżysera, żeby się poruszyć. Grace dołączył do grupy. Kiwnął głową w stronę stojącej w pobliżu Ashley; kurczowo ścisnęła ramię wysokiego mężczyzny w czarnym fraku, zapewne ojca. Obok stała starsza kobieta, która przyjechała razem z nią, a kawałek dalej Mark Warren. Grace zdał sobie nagle sprawę, że wszyscy patrzą na niego. Łamiącym się głosem Ashley podziękowała mu, że przyszedł, i przedstawiła go najpierw matce Michaela, potem mężczyźnie, którego wziął za jej ojca, a który okazał się wujkiem.

- Dobrze pana widzieć, inspektorze - powiedział serdecznie Bradley Cunningham.

- Z którego stanu pan pochodzi, zupełnie nie rozpoznaję akcentu - zapytał Grace.

- Jestem Kanadyjczykiem z Ontario.

- O, przepraszam.

- Nic się nie stało, wy, Brytyjczycy, często się tak mylicie.

- Cóż, pan pewnie też miałby problem z rozpoznaniem akcentu z poszczególnych regionów Brytanii.

- Z pewnością.

Grace uśmiechnął się, podziwiając jego frak.

- To przyjemność widzieć kogoś tak odpowiednio ubranego na ślub.

- Ale te spodnie mnie wykończą - szepnął Cunningham.

- Strój jest z wypożyczalni, ale chyba dali mi nieodpowiedni rozmiar. - Nagle jego twarz stała się poważna. - Ale tutaj sytuacja jest chyba zła?

- Tak - powiedział Grace. - Okropna.

W tej chwili przerwała im Ashley. Przedstawiła Grace'a wielobnemu Sompingowi, niskiemu człowieczkowi z brodą, który sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

- Mówiłem pannie Haper, że powinniśmy w ogóle odwołać uroczystość - powiedział pastor. - To bez sensu tak cierpieć. No i co z gośćmi?

- On przyjdzie - wychlipała Ashley. - Przyjdzie, wiem, że przyjdzie. - Błagalnie spojrzała na Grace'a. - Proszę mi powiedzieć, że Michael jest w drodze.

Grace patrzył na pannę młodą, zrozpaczoną i drżącą i najchętniej by ją po prostu przytulił. Jak wielobny mógł ją jeszcze denerwować.

- Może rzeczywiście Michael Harrison jeszcze przyjdzie.

- To powinien się pośpieszyć - stwierdził pastor. - O czwartej mam kolejny ślub.

- Myślałem, że to jest kościół, a nie supermarket - warknął Grace wściekły.

Wielebny Somping próbował bezskutecznie spiorunować Grace'a wzrokiem, a kiedy nie odniosło to skutku, powiedział na swoją obronę:

- Pracuję dla Boga, to on mi przedstawia swój harmonogram.

Grace bez wahania wycodził przez zęby:

- Niech więc pastor poprosi teraz swojego szefa, żeby przywołał tu pana młodego. I to migiem.

O 14.20, zupełnie zresztą niepotrzebnie, jeśli wziąć pod uwagę niewielu w końcu gości, wielebny Somping wspiał się na ambonę, oparł dłonie na drewnianej poręczy, pochylił się do przodu z wyrazem niezwyklej powagi na twarzy i obwieścił:

- Zostałem poproszony przez pannę Ashley Harper i matkę pana młodego, panią Gillian Harrison, żeby poinformować was, że ślub jest odłożony na czas nieokreślony, do momentu, kiedy zjawi się Michael Harrison. Coś, co powinno być okazją do radości, połączenie się dwojga kochających się ludzi w obecności Boga, zostało odwołane z powodu nieobecności Michaela. Nikt z nas nie wie, co się z nim stało, ale nasze myśli i modlitwy są z nim, z jego rodziną i narzeczoną.

Przerwał, patrząc wyzywająco na ludzi, zanim zaczął mówić dalej:

- Panna Harper i pani Harrison zasugerowały, że choć ślub się nie odbył, powinniście cieszyć się poczęstunkiem, który jest przygotowany w Sali Królowej Marii w restauracji Brighton Pavilion. Będą wdzięczne, jeśli zechcą państwo dołączyć do nich po modlitwie, którą zmówimy za szczęśliwy powrót Michaela.

Rozpoczął krótką, szybką modlitwę. Kiedy skończył, ktoś otworzył drzwi kościoła i ludzie ruszyli do wyjścia.

Grace obserwował wychodzących. Już wkrótce niektórzy z nich spotkają się na pogrzebach. I to czterech. Miał nadzieję, że brak Michaela nie oznacza, że odbędzie się i piąty.

Ale nie mieli żadnych śladów, co właściwie było złym znakiem. Jeszcze kilka minut temu wierzyli, że Michael Harrison zrobił tylko dowcip - teraz nie mieli już wątpliwości. Ale coś jeszcze go niepokoiło.

Godzinę później w Sali Królowej Marii nie było słyhać szumu radosnego przyjęcia, ciszę przerywały jedynie pojedyncze, szeptem rzucane słowa. Przygotowano dwadzieścia pięknie nakrytych i udekorowanych orchideami stołów dla dwustu osób, ale tylko przy kilku siedzieli goście. Obsługiwali ich kelnerzy i kelnerki, za bufetem stali kucharze w białych fartuchach i nakryciach głowy. Na oddzielnym stole królował wielopoziomowy tort weselny - niezręczne przypomnienie powodu, dla którego wszyscy się tu znaleźli.

Grace, który także był zaproszony przez Ashley, spóźnił się, ponieważ rozmawiał przez telefon na temat powiększenia ich zespołu. Bella zaproponowała pewną nowicjuszkę, Emmę Jane Boutwood, którą wysoko ceniła. Grace zgodził się, by to ona właśnie dołączyła.

Podczas przyjęcia Grace uważnie obserwował Ashley i Marka Warrena. Oczy Ashley pełne były łez, ale wyraźnie starała się dzielnie trzymać. Obok niej siedział jakiś młody mężczyzna, a dalej kobieta, której Grace nie widział w kościele. Zresztą zjawiono się jeszcze kilka osób, widać powiadomionych przez Ashley, że przyjęcie się odbędzie.

- On przyjdzie. - Grace usłyszał jej głos. - Musi być jakiś powód, że go nie ma. - A po chwili przez łzy dodała: - Czy dzień ślubu nie powinien być najszcześniejszym dniem w życiu?

Przy drugim stole siedzieli matka Michaela i Bradley Cunningham, wujek Ashley. Grace chwilę go obserwował, ale przerwał mu Mark Warren, który nagle podszedł z pustym kieliszkiem w rękę i zabełkotał.

- Inspektor Grace?

- Nadinspektor - poprawił go Grace.
- Szepaszam, nie wiedziałem, że pan awansował.
- Bo nie awansowałem, panie Warren.

Mark cofnął się, potem znów podszedł, przyglądając mu się bacznie; alkohol sprawił, iż zezował. Grace dostrzegł zaniepokojone spojrzenie Ashley.

- Szy nie możeż zostawić tej młodej damy w spokoju? Masz pojęcie, przez co ona przeszła?

- Dlatego tu jestem - odpowiedział Grace spokojnie.
- Nie powinien cię tu być, masz znaleźć Michaela, a nie zreć tutaj na cudzy koszt.

- Mark! - ostrzegła go Ashley.

- Pieprzyć to. - Mark pochylił się do Grace'a. - Co, do cholery, robisz w związku z tą sprawą?

- Wystarczająco dużo. - Grace starał się za wszelką cenę zachować spokój.

- Pijesz? Przecież prowadzisz samochód?

- To jest woda mineralna.

Mark zerknął podejrzliwie na szklanke Grace'a.

- Mark, idź się przejść - powiedziała Ashley, podchodząc do nich.

Grace zarejestrował ostry ton w jej głosie. Coś było nie w porządku, ale nie potrafił stwierdzić co. Nieoczekiwanie Mark klepnął go w ramię.

- Wiesz, jaki jest twój problem? Nie możesz odpuścić, prawda?

- Dlaczego tak myślisz?

Głupkowato uśmiechając się, Mark Warren mówił coraz głośniejsze.

- No, dalej. Nie lubisz bogatych, co nie? Masz wszystko w dupie. Jesteś zbyt zajęty łapaniem na radar i organizowaniem blokad dla kierowców. Dlaczego miałbyś zawracać sobie dupę jakimś palantem, ofiarą dowcipu wieczoru kawalerskiego, który się nie udał, co? Skoro możesz zarabiać grubą kasę, łapiąc kierowców?

Grace ściszył głos, prawie szeptał, wiedział, że w ten sposób zmusi Marka Warrena do zniżenia głosu.

- Panie Warren, nie mam żadnych powiązań z drogówką. Jestem tutaj, żeby pomóc.

Mark pochylił się, usiłując go usłyszeć.

- Szepczam, nie słyszałem. Co powiedziałeś?

Nadal ścisząc głos, Grace ciągnął:

- Kiedy byłem w szkole policyjnej, szykowaliśmy się do defilady i inspekcji. Wypolerowałem klamrę paska, lśniła jak lustro. Dowódca kazał mi zdjąć pasek, uniósł go do góry i pokazał wszystkim. Tyle że nie wypolerowałem całego paska i było mi wstyd. Ale to czegoś mnie nauczyło - często nie to jest ważne, co widzimy. - Spojrzał na Marka zagadkowo.

- So dokładnie miałeś na myśli?

- Niech się pan nad tym dobrze zastanowi. A następnym razem lepiej wyszoruje swoje bmw.

Grace podniósł się od stołu i wyszedł.

Deszcz znowu bębnił o szyby samochodu. Grace był tak mocno zamyślony, że minęło kilka chwil, nim zauważył kwit parkingowy wetknięty za wycieraczkę.

Dranie.

Wysiadł i wziął kwitek; trzydzieści funtów dopłaty za pięć dodatkowych minut. Niech szefowa to jakoś załatwi. Krzywiąc się, zmiął papierek i wyrzucił.

Wrócił myślami do Marka Warrena. Pięć lat temu przeszedł dwutygodniowy kurs psychologii sądowej, zbyt krótki, aby zrobić z niego eksperta, ale wystarczająco długi, by nauczył się cenić swój instynkt i odczytywać mowę ciała. A język ciała Marka Warrena mówił coś dziwnego.

Mark Warren stracił czterech przyjaciół. Jego partner w interesach zaginął albo też już nie żył, powinien więc być w szoku, przerażony, zagubiony. Ale nie wściekły. To nie był czas na wściekłość.

No i ta reakcja na uwagę o myciu samochodu. Wyraźnie go to zdenerwowało.

Nie wiem, co knujesz Marku Warrenie, ale moim zadaniem jest to odkryć.

Wyjął telefon, wybrał numer i czekał. Był pewien, że w sobotnie popołudnie odezwie się automatyczna sekretarka, a tymczasem odezwał się kobiecy głos. Delikatny i ciepły. Skąd u niej taki głos?



- Zakład Pogrzebowy Brighton i Hove, słucham.
- Cleo, to ja, Roy Grace.
- Hej Roy, jak się masz? - Teraz głos Cleo Morley brzmiał radośnie.
- Dzięki, w porządku. Pracujesz w sobotnie popołudnie? To robi wrażenie.
- Umarli nie wiedzą, jaki jest dzień. - Zawahała się, ale dodała: - Nie sądzę, że żywi bardziej się o to troszczą. W każdym razie większość z nich.
- Większość z nich?
- Wydaje mi się, że większość ludzi tak naprawdę nie wie, jaki jest dzień tygodnia. Sprawiają tylko wrażenie, że wiedzą. Nie sądzisz?
- To są zbyt trudne filozoficzne rozważania, jak na deszczowe sobotnie popołudnie.
- No wiesz, kończę przecież filozofię, więc muszę z kimś potrenować. Ale nie doszukuj się w tym zbyt wiele.
- Grace uśmiechnął się.
- No to, jak się masz?
- W porządku.
- Zabrzmiało jakoś smutno.
- Nigdy nie czułam się lepiej, Roy. Jestem zmęczona, to wszystko. Siedzę tutaj sama przez cały dzień, mamy za mało pracowników, a Doug jest na wakacjach.
- Posłuchaj, czy ci faceci, którzy zginęli w wypadku we wtorkowy wieczór, są jeszcze w kostnicy?
- Tak. I jest też Josh Walker.
- Ten, który zmarł w szpitalu?
- Tak.
- Muszę ich zobaczyć. Czy mógłbym teraz?
- Cóż, nigdzie się nie wybierają.
- Grace lubił taki czarny humor.
- Będę w ciągu pięciu minut.

Ruch na drodze w sobotnie popołudnie był większy, niż się spodziewał, minęło więc prawie dwadzieścia minut, zanim wjechał na obwodnicę, skręcił w prawo i mijając napis „Brighton i Hove - Zakład Pogrzebowy”, przejechał przez kutą, żelazną bramę. Brama zawsze była otwarta, całą dobę, jakby dając do zrozumienia, że dla umarłych czas nie istnieje.

Grace znał to miejsce aż za dobrze. Długi, szary, jednopiętrowy budynek z zadaszonym podjazdem dla samochodów. Przystanek w tej ostatniej podróży ludzi, którzy zmarli nagle z niewyjaśnionych przyczyn albo zginęli w jakichś tragicznych okolicznościach.

Ale sekcja zwłok była ostatecznym upokorzeniem. Człowiek, który jeszcze dzień lub dwa wcześniej spacerował, rozmawiał, czytał, uprawiał miłość lub robił cokolwiek innego, teraz był krojony i patroszony jak świnia na rzeźniczym stole.

Nie chciał myśleć o tym, ale nie mógł przestać. Widział zbyt wiele martwych ciał i wiedział, co się z nimi dzieje. Najpierw zdejmują skalp, potem odcinają wierzch czaszki, wyjmują mózg i kroją go na kawałki. Potem rozcinają klatkę piersiową, wyjmują organy wewnętrzne, kroją je, ważą, a kawałki wysyłają do analizy. Potem wszystko wpychają do białej, plastikowej torby i zaszywają w środku zwłok, jak podroby w kurczaku.

Zaparkował za małym, niebieskim wozem sportowym, który najprawdopodobniej należał do Cleo, i w strugach deszczu podbiegł do drzwi frontowych. Kilka chwil później otworzyła mu uśmiechnięta Cleo Morley. Zawsze, kiedy ją widział, zastanawiał się, co ona tu robi. Była niezwykle atrakcyjna, młoda, miała długie blond włosy. Z takim wyglądem mogłaby zostać modelką lub aktorką, a z jej inteligencją mogłaby zrobić karierę naukową, tymczasem wybrała zielony fartuch, białe kalosze i przyjmowanie zmarłych, przygotowywanie ich do sekcji zwłok, potem mycie i rozmowy z rodzinami, które przyszły zidentyfikować ciała. I przez większość czasu pracowała sama.

W nozdrza uderzył go jak zawsze mdlący, słodki odór środków dezynfekcyjnych. Skręcili w lewo i poszli wąskim korytarzem do biura zakładu pogrzebowego. Był to mały pokój pomalowany na różowo. Dywan na podłodze też miał różowy kolor. Przed biurkiem stały krzesła dla petentów, a na blacie obok trzech telefonów leżała sterta małych, brązowych kopert z wydrukowanym napisem PRZEDMIOTY OSOBISTEGO UŻYTKU i olbrzymia księga DZIENNIK DOMU POGRZEBOWEGO.

Na ścianie umocowana była przeglądarka do przezroczy i wisiało kilka oprawionych certyfikatów z nazwiskiem Cleo. System kamer telewizyjnych umożliwiał stałą obserwację najważniejszych miejsc w budynku i przed wejściem.

- Masz ochotę na filiżankę herbaty, Roy?

Jej jasne oczy patrzyły na niego o ułamek za długo, niż wymagało tego pytanie. Śmiejące się oczy. Niewiarygodnie ciepłe oczy.

- Z przyjemnością napiję się herbaty.

- Angielska, earl grey, darjeeling, chińska, rumiankowa, miętowa, zielona?

- Myślałem, że to kostnica, a nie kawiarnia.

Uśmiechnęła się.

- Mamy też kawę. Z ekspresu, z mlekiem, kolumbijską, mokrą...

Podniósł rękę.

- Herbata będzie idealna.

- Z tłustym mlekiem, odtuszczonym, a może bez mleka, z cytryną...

Podniósł obydwie ręce.

- Z takim, jakie masz otwarte. Joe jeszcze nie przyszedł?

Poprosił Joe Tindalla, żeby także tu się zjawił.

- Jeszcze nie. Chcesz na niego zaczekać?

- Tak, powinniśmy.

Włączyła czajnik i zniknęła w pokoju naprzeciwko. Po chwili wróciła, niosąc zielony fartuch, kalosze, maskę na

twarz i białe, lateksowe rękawiczki. Podała mu to wszystko. Kiedy ubierał się, zaparzyła herbatę i otworzyła puszkę z herbatnikami. Wziął jeden i z przyjemnością zjadł.

- Zawsze jest tu robota, ale w tym tygodniu mieliśmy aż dziesięć przyjęć. Eastbourne miał przysłać kogoś z ich zakładu, ale też są bardzo zajęci. Pewnie przyślą pod koniec maja.

Grace zawiązał tasiemki maski, która zwisała mu teraz pod brodą. Ci młodzi ludzie zmarli na tyle niedawno, że nie będzie się jeszcze czuło woni rozkładu, wiedział to z doświadczenia.

- Były tu już rodziny tych czterech gości?

Kiwnęła głową. A potem zapytała:

- A ten zaginiony pan młody odnalazł się?

- Właśnie wróciłem z tego odwołanego ślubu - wyjaśnił Grace.

- A już myślałam, że ubrałeś się dlatego, że jest sobota.

- Nie, a przyszedłem tu z powodu zaginionego pana młodego.

Uniosła brwi, ale nic nie powiedziała.

- Coś szczególnego cię interesuje? Mam kopie raportów patologów z biura koronera.

- Wszystko, co chcę zobaczyć, to ich paznokcie. Ale czekam na Joe.

Pierwszy szedł Joe Tindall, za nim Cleo, a na końcu Grace, obserwujący jej blond włosy, tak bardzo niepasujące do tego zielonego fartucha. Weszli do wielkiej sali, w której stały dwa stalowe stoły; jeden przymocowany na stałe, a drugi na kółkach. Był tu też hydrauliczny podnośnik i pod ścianą rząd lodówek z drzwiami od podłogi do sufitu. Ściany wyłożono szarymi kafelkami, a na podłodze biegły rowki odprowadzające do kratki kanalizacyjnej. Wzdłuż jednej ściany ciągnął się rząd umywalek, pod nimi leżały żółte węże. Wzdłuż drugiej ściany biała szeroki blat, na niej leżała metalowa deska do krojenia, a w szklanej gablocie narzędzia oraz kilka paczek baterii. Na tablicy wyszczególniono nazwiska zmarłych, a przy każdym zapisano dane dotyczące ich mózgow, płuc, serca, wątroby, nerek i śledziony. Na samym dole widniało nazwisko: Adrian Penny.

Cloe powiedziała:

- To motocyklista. Wyprzedzał ciężarówkę i nie zauważył stalowego pręta, który wystawał z jednej strony. Uciał temu biednemu smarkaczowi głowę równiutko.
- Jak, do diabła, nadal możesz być jeszcze przy zdrowych zmysłach? - zapytał Grace.
- A kto powiedział, że jestem?
- Nie wiem, jak można wykonywać taką robotę.
- To nie martwi ludzie krzywdzą innych, Roy, tylko żywi.

- Racja.

Ciekawe, co sądzi na temat duchów. Uznał jednak, że nie czas i miejsce, żeby ją o to pytać.

W sali było zimno, słyszał było buczenie systemu chłodzenia.

- Jakies specjalne życzenia? Kogo chcielibyście zobaczyć pierwszego?

- Chciałbym zobaczyć ich wszystkich.

Cleo podeszła do drzwi lodówki oznaczonych numerem 4 i pociągnęła je. Poczł podmuch lodowatego powietrza. Na każdej z czterech metalowych ruchomych półek widać było zakryte plastikową płachtą ciało.

Cleo podsunęła podnośnik, podkręciła i wyciągnęła najwyższą półkę. Odrzuciła prześcieradło, odkrywając otyłego białego mężczyznę. Miał rzadkie i proste włosy, a całe ciało i twarz pokryte były siniakami i ranami. Szeroko otwarte oczy nawet teraz wyrażały przerażenie. Skurczony członek bezwładnie leżał w gęstych włosach łonowych niczym jakiś gryzoń, który zapadł w sen zimowy. Grace spojrział na przywieszkę umocowaną na jego dużym palcu u nogi: Robert Houlihan.

Pochylił się, oglądając dłonie mężczyzny. Były olbrzymie, szorstkie, o bardzo brudnych paznokciach.

- Masz tu gdzieś ich ubrania?

- Tak.

- To dobrze - powiedział Grace i poprosił Tindalla, żeby pobrał zawartość spod paznokci.

Tindall sięgnął na półkę po odpowiednie narzędzie, potem poprosił Cleo o torebki na próbki. Ostrożnie wydrapał część brudu z każdego paznokcia i starannie podpisał torebki.

Dłonie Luke'a Gearinga były strasznie pokiereszowane w wyniku wypadku, ale pod paznokciami, ogryzionymi niemal do żywego, nie znaleźli nic. Także dłonie Josha Walkera były czyste. Ale ręce Petera Waringa brudne. Tindall pobrał próbki spod paznokci i także zapakował.

Następnie ostrożnie obejrzeni ubrania ofiar: błoto na butach i na ubraniach Roberta Houlihana i Petera Waringa. Tindall zapakował wszystkie te rzeczy osobno.

- Zabierasz je teraz do laboratorium? - zapytał Grace.  
- Planowałem wrócić do domu i pożyć trochę, zanim weekend się skończy.

- Przykro mi bardzo, Joe, ale to naprawdę wyjątkowo pilne.

- Wspaniale! Więc mam odwołać wyjście na koncert U2, chociaż za każdy bilet zapłaciłem pięćdziesiąt cholernych funtów? Mam też odwołać randkę i wyciągnąć śpiwór z szafy w biurze?

- U2? Czy twoja żona jest naprawdę taka młoda?

- Tak, przecież dobrze wiesz, Grace. I jest bardzo wymagająca.

- Widzę, że stawką jest twoje życie.

Tindall był naprawdę wściekły.

- Ale zwrócisz mi forszę za bilety.

- To nie moja sprawa, Joe.

- A czyja?

- Glenna Bransona.

- A gdzie, do cholery, on teraz jest?

- Na przyjęciu urodzinowym w Solihull.

- Robi się coraz lepiej.

Joe zdjął i wyrzucił do kosza fartuch ochronny.

- Życzę ci miłego, palanciego wieczoru, Roy. Następnym razem zepsuj komuś innemu plany weekendowe.

- Przyjdę i dotrzymam ci towarzystwa.

- Nie zawracaj sobie głowy.

Tindall trzasnął drzwiami, a kilka chwil później rozległ się wściekły warkot silnika samochodowego. Ekspert nie zdążył jeszcze odjechać, gdy Grace zauważył, że plastikowa torba zawierająca dowody pozostała na stole. Chciał nawet wybiec na parking, ale zdecydował, że sam mu ją zawiezie i postara się go uspokoić. Rozumiał jego wściekłość, też złościłby się w podobnej sytuacji.

Wrócili do pokoju, gdzie Grace poczęstował się kolejnym herbatnikiem i dopił resztki zimnej herbaty, potem Cleo odprowadziła go do drzwi. Już na progu odwrócił się do niej.

- O której kończysz dziś pracę?
- Za jakąś godzinę, jeśli będę miała szczęście. No i jeśli nikt nie umrze po południu.

Grace wpatrywał się w nią. Wyglądała niewiarygodnie uroczo. Nagle zauważył, że na jej palcach nie ma żadnego pierścionka. Tyle że mogła je zdjąć do pracy.

- Ja... zastanawiałem się, no wiesz, to znaczy, czy masz jakieś plany na wieczór?

Jej oczy zapłonęły.

- Właściwie to mam filmową randkę - odpowiedziała. A potem dodała: - Z przyjaciółką, która odchorowuje rozwód.

Nagle opuściła go pewność siebie.

- Nie wiem, czy masz męża albo chłopaka, ja...
- Nie mam nikogo - odpowiedziała i posłała mu długie, przyjazne, wyraźnie wyczekujące spojrzenie.
- Może chciałabyś czasem wybrać się ze mną wieczorem na drinka?

Jej usta powoli rozkwitły w szerokim uśmiechu.

- Bardzo bym chciała.

Szedł w kierunku auta, zupełnie nieświadom deszczu. A kiedy już usiadł, Cleo zawołała za nim:

- Roy! Myślę, że o czymś zapomniałeś!

Odwrócił się i zobaczył, że dziewczyna trzyma w ręku torbę z próbkami.



- Ty idioto - mówiła Ashley do Marka leżącego bezwładnie na siedzeniu limuzyny. - Dlaczego, do cholery, byłeś taki agresywny wobec tego gliniarza? - Pochyliła się do przodu i sprawdziła, czy szyba oddzielająca ich od szofera jest zamknięta.

Mark przesuwiał rękę po jej nodze, coraz wyżej pod ślubną suknię. Odepchnęła go.

- Zachowuj się! - syknęła.

- Przecież to dupek.

- Odbiło ci. O czym, do diabła, myślałeś, kiedy gadałeś mu o radarach i mandatach?

Mark spojrzał na nią zezem.

- Chciałem go zdekoncentrować.

Zbliżali się do budynku Van Allen, była 17.30.

- Co to znaczy, zdekoncentrować?

- Przecież nie mógłbym być taki nieuprzejmy, gdybym miał coś do ukrycia, no nie?

- A co on miał na myśli, mówiąc o myciu twojego bmw?

- Nie mam pojęcia.

- Musisz wiedzieć, o co mu chodziło.

Nagle pstryknął interkom i usłyszeli głos kierowcy.

- Do głównego wejścia?

- ...ak - czknął Mark, a potem odwrócił się do Ashley. - Chcesz wejść na drinka?

- Nie wiem, czego chcę. W tej chwili mogłabym cię zabić.
- Ale to niezła zagadka z tym myciem.
- To ty musisz ją rozwiązać, a poza tym wszystkiego o mało nie schrzaniłeś.

Mark wytoczył się z samochodu, prawie padając twarzą na chodnik, na szczęście uratowała go pewna ręka Ashley. Kilku przechodniów zaczęło się gapić, ale nie zwracała na nich uwagi. Zależało jej tylko na zaprowadzeniu Marka do domu, nim zrobi coś, o co można by go oskarżyć.

Odprawiła kierowcę i pomogła dojść Markowi do drzwi wejściowych. Stał, gapiąc się zaczerwienionymi oczami na domofon, a potem usiłował wstukać kod. Kilka minut później byli już w jego apartamencie. Mark zamknął drzwi i przesunął zatrask.

- Nie mogę tu zostać, Mark - powiedziała.

Zaczął ją obmacywać przez ubranie, ale go odepchnęła.

- Napijemy się kawy, a potem wytłumaczysz mi, co ten inspektor miał na myśli, mówiąc o myciu twojego wozu.

Mark gapił się na nią, na białą suknię ślubną, na welon, a potem nagle chwycił ją i pocałował prosto w usta. Nie broniła się, oddała mu pocałunek, chociaż bez entuzjazmu, potem go odsunęła.

- Mówiłam, że nie mogę zostać. Muszę iść do matki Michaela, odgrywać rolę pogrążonej w żalu panny młodej albo jakąkolwiek inną pieprzoną rolę. Boże, co za popołudnie. Co za koszmar.

Mark zatoczył się do kuchni, otworzył szafkę i wyciągnął puszkę kawy. Popatrzył, odstawił ją z powrotem do szafki, otworzył lodówkę i wyciągnął butelkę szampana.

- Myślę, że powinniśmy wznieść toast. To w końcu dzień twojego ślubu.

- To nie jest zabawne, a ty już dość wypiełeś.

Z butelką w rękę Mark opadł na sofę, a potem poklepał leżącą obok poduszkę, zapraszając Ashley, by siadła obok niego. Przez moment wahała się, potem usiadła na drugim końcu sofy, najdalej jak to było możliwe od Marka.

Zerwała z głowy welon i zrzuciła buty.

- Mark, chcę wiedzieć, co Grace miał na myśli, mówiąc, że powinieneś dokładniej umyć swój wóz.

- Nie mam pojęcia.

Milczała.

- Kochasz mnie? - zapytał bełkotliwie.

Potrząsnęła głową i wstała.

- Tak, kocham cię. Nie wiem teraz dlaczego, ale tak. A matka Michaela czeka na mnie, żebym wróciła i wyplakiwała za nim oczy, i to w tej chwili powinnam zrobić. I zrobię.

- Najpierw się napijmy.

- Chryste, Mark.

Wstał z sofy, zatoczył się w jej kierunku i objął ją. Zaczął ją całować po szyi.

- Wiesz, że gdyby nie ten wypadek, byłoby już po ślubie. Teraz byłabyś panią Harrison.

Kiwnęła głową rozmarzona.

Patrzył jej w oczy.

- Byłabyś teraz w drodze do Londynu. Dziś wieczorem kochałabyś się z nim, prawda?

- Zwykle to się robi w noc poślubną.

- I jakbyś się czuła?

Ujmując jego twarz w dłonie, powiedziała:

- Wyobrażałabym sobie, że to jesteś ty.

- Jak daleko byś się posunęła? Seks oralny?

Odepchnęła go.

- Mark!

- Zrobiłabyś to?

- Nie ma mowy.

- No dalej!

- Mark, mieliśmy umowę.

Chwycił butelkę, wyciągnął z gablotki dwa kieliszki, a potem otworzył szampana. Podał jej kieliszek.

Wzięła go, ociągając się, potem trąciła się z nim.

- Przecież wszystko zaplanowaliśmy - powiedziała.
- To był plan A. A teraz przeszliśmy do planu B. - Wypił potężny łyk. - I co w tym złego?
- Po pierwsze, jesteś pijany. Po drugie, nie zostaną już panią Harrison, a to znaczy, że nie będę miała praw do połowy dochodów firmy.
- Tak naprawdę to on miał dwie trzecie – stwierdził Mark.

- Więc?
- Zgodnie z naszą umową i polisą ubezpieczeniową naszego przyjaciela wszystko przechodzi na mnie.
- Pod warunkiem że on nie żyje.
- O co ci chodzi?
- Zatkałeś tę dziurę, prawda? Użyłeś superglue, jak ci poradziłam?

Kręcąc się, odpowiedział:

- Tak, naturalnie.

Patrzyła na niego, dosłownie przewiercając go wzrokiem.

- Upewniłeś się?
- Tak. Wieko było przykręcone. Wyciągnąłem rurkę i zepchnąłem na wierzch pewnie z tonę ziemi. Gdyby żył, skontaktowałby się, prawda?

Spojrzała na niego jakoś tak dziwnie.

- Chcesz, żebym poszedł i wbił mu jeszcze osinowy kołek w serce?

Wypiła trochę szampana, potem podeszła do wieży stereo i popatrzyła na stojak z płytami CD.

- Jak bardzo mnie kochasz?
- Jak bardzo? Bardziej, niż umiałbym to wyrazić słowami.

Wyciągnęła płytę, włożyła do odtwarzacza i włączyła.

Rozległy się dźwięki „Love is all around”. Odstawiła kieliszek, podeszła do Marka i objęła go, zachęcając do tańca. Potem wyszeptala mu prosto do ucha:

- Skoro mnie kochasz, to zawsze mówisz mi prawdę, tak?

Tańczyli przez chwilę, nim odpowiedział:

- Jest coś, co mnie od kilku dni martwi.

- A co?
  - Wiesz, że ja i Michael używamy palmtopów do odbierania e-maili, kiedy jesteśmy poza biurem. Pilnowałem się, żeby nie wysyłać do niego e-maili w czasie wieczoru kawalerskiego, ale sądzę, że się wygłupiłem.
  - O co ci chodzi?
  - Myślę, że przez przypadek posłałem mu jeden. A on miał chyba palmtop przy sobie.
- Odsunęła się od niego, przesywając go wzrokiem.
- Mówisz, że miał go przy sobie?
  - Możliwe.
  - Jak to „możliwe”?
  - Nie mogłem go znaleźć ani w biurze, ani w jego mieszkaniu.
  - Więc ma go ze sobą w tym grobie?
  - Być może.
  - Być może?
- Mark kiwnął głową.
- Więc lepiej się upewnij, Mark.
- Gapił się na nią w milczeniu.
- Mówię ci to dlatego, że...
  - Że co?
  - Że to może być ryzykowne.
  - Lepiej będzie, jak go odnajdziesz.
  - Dopóki nikt nie znajdzie Michaela, jesteśmy kryci.
- Ashley usiadła na sofie i wypita trochę szampana.
- Nie wierzę własnym uszom. Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?
  - Myślałem...
  - Co?
- Mark usiadł obok niej i próbował stuknąć się kieliszkiem.
- Ashley energicznie odsunęła się.
- Lepiej go odzyskaj - powiedziała. - Mówię ci to choler nie wyraźnie. Najlepiej jeszcze dziś wieczorem. Rozumiesz?

Grace włączył telefon głośnomówiący i zadzwonił do Glena Bransona na komórkę.

- Jak jest w Solihull? - zapytał.
- Leje jak skurczybyk. Jak jest w Brighton?
- Leje jak skurczybyk.
- A siostra Ari ma migrenę.
- Więc zapowiada się świetne przyjęcie urodzinowe.
- Zwinąłem dla nas furę ciasteczek. A jak tam ślub?
- Trochę jak twoje przyjęcie urodzinowe. Gospodarz się nie pojawił.
- Nie dziwi mnie to. Powiedz, ilu krewnych Ashley Harper przyjechało?
- Widziałem tylko jednego, jakiegoś wujka.
- A sprawdziłeś konto bankowe i karty kredytowe Michaela Harrisona?
- Cały czas sprawdzają. Na razie nic nie mamy. A w ostatnich godzinach nic nowego się nie wydarzyło?
- Jeszcze raz nad całym tym terenem latał helikopter, ale niczego nie zarejestrowano. Nicholl i Moy pracują przez weekend. Rozpowszechniają zdjęcia Michaela w prasie i zbierając wszystkie ślady, przygotowują dokumentację filmową podejrzanego obszaru. Powstał cały zespół ludzi. Musimy podjąć decyzję o rozpoczęciu poszukiwań na pełną skalę. Aha, miałem drobną scysję z Markiem Warrenem.

- Opowiedz mi o tym.
  - Nic specjalnego, ale sądzę, że coś wie. Trzeba go jakoś sprawdzić. I jeszcze jedno. Myślę, że powinniśmy bliżej przypatrzeć się tej ich firmie, a także sprawdzić polisę ubezpieczeniową.
  - Już nad tym pracujemy. Kazałem też sprawdzić tamtą firmę na Kajmanach. A co sądzisz o Ashley?
  - Właściwie nie jestem pewien - powiedział Grace. - Wygląda dosyć przekonująco, ale sądzę, że musimy się jej przyjrzeć. A wiesz coś ciekawego na jej temat?
  - Zastanawia mnie ten brak krewnych? Widziałeś, kiedyś film „Fatalny romans” z Lindą Fiorentino?
  - Nie pamiętam.
  - Bill Pullman też tam grał.
  - Nie brzmi znajomo.
  - Grała też w filmie „Faceci w czerni”.
  - Dobrze, ale co masz na myśli?
  - Warto również zobaczyć „Fatalne zauroczenie”. Była tam taka drapieżna kobieta. Ponura historia. No więc ona trochę mi przypomina Ashley.
  - Dobrze, obejrzę.
  - Sam powiedz, ilu znasz dwudziestosiedmiolatek, którzy nie mają krewnych? Masz dwadzieścia parę lat, wychodzisz za mąż, przed tobą najwspanialszy dzień w życiu i jesteś w stanie zaprosić tylko jednego krewnego?
  - Może jest sierotą.
  - Może. Trzeba sprawdzić jej przeszłość.
  - Porozmawiam z matką Michaela, musi coś wiedzieć o swojej przyszłej synowej.
  - Moja wiedziała więcej na temat Ari niż ja, zanim się pobraliśmy.
  - No właśnie - potwierdził Grace.
- Dziesięć minut później szedł już korytarzem w wydziale kryminalnym, niosąc torbę z próbkami pobranymi w kostnicy. Zatrzymał się przed tablicą, na której przypięty był diagram

„Najczęstsze motywy przestępstw”. Znał je niemal na pamięć:

SEKS, ZAZDROŚĆ, RASIZM, GNIEW/STRACH, ROZBÓJ, CHEĆ WŁADZY, CHEĆ UTRZYMANIA POZIOMU ŻYCIA, ZYSK, DŁUGI, HOMOFOBIA, NIE-NAWIŚĆ, ZEMSTA, ZABURZENIA PSYCHICZNE.

Podszedł do następnej tablicy: ETAPY SZYBKIEGO ROZWIĄZYWANIA SPRAW: 1. IDENTYFIKACJA PODEJRZANYCH. 2. WYKORZYSTYWANIE INFORMACJI. 3. USTALENIA MEDYCZYNY SĄDOWEJ 4. WSZCZĘCIE DOCHODZENIA. 5. USTALENIE ŚWIADKÓW. 6. ZEBRANIE INFORMACJI O OFIARACH. 7. USTALENIE MOŻLIWYCH MOTYWÓW. 8. NAWIĄZANIE WSPÓŁPRACY Z MEDIAMI. 9. PRZEPROWADZENIE SEKCJI ZWŁOK. 10. PRZESŁUCHANIE ŚWIADKÓW. 11. PODJĘCIE INNYCH ROZSTRZYGAJĄCYCH ZADAŃ.

Jakie motywy kryją się za zniknięciem Michaela Harrisona? Aura pewnej tajemniczości, która otaczała Ashley, intrygowała. Media, pomyślał. Warto byłoby puścić tę historię w obieg. Podsunąć trop dziennikarzom. Przynajmniej raz mogą się na coś przydać. Postanowił, że na początek zadzwoni do dziennikarza z gazety „Argus”.

Joe Tindall czekał na niego w pokoju dosłownie zarzuconym torebkami zawierającymi dowody rzeczowe.

- Dzięki - powiedział, odbierając od Grace'a zapomnianą torbę; jego głos nadal był mało przyjazny, ale trochę już się uspokoił.

Wyciągnął woreczki z ziemią, a potem torby z ubraniami. Większość z nich była mocno poplamiona krwią i zaczynały śmierdzieć.

- Chcesz, żeby sprawdzić, czy próbki pobrane spod paznokci i z butów ofiar pasują do próbki ziemi, którą przyniosłeś wcześniej?



- Tak, tej z podejrzanego samochodu. Jak szybko będzie to wiadomo?

- Takimi badaniami zajmuje się Hilary Flowers.

- Pracowałem już z nią, jest dobra. - Uśmiechnął się Grace.

- Jest geniuszem. Dostałem od niej kilka ekspertyz wykonanych na podstawie pyłków pobranych z nosów ofiar. Ale ona jest droga.

Grace pokręcił głową z dezaprobatą. Na początku, kiedy tylko zaczął pracę w policji, sami musieli wszystko robić. Teraz badania trzeba zlecać prywatnym firmom i najważniejsze stają się koszty.

- Jak szybko ona pracuje?

- Zwykle około dwóch tygodni.

- Nie mamy dwóch tygodni. Mówimy o kimś, kto prawdopodobnie został żywcem pogrzebany. Liczy się każda godzina.

Tindall spojrzął na zegarek.

- Jest sobota 18.20. Musiałbyś mieć po prostu szczęście.

- Podniósł słuchawkę i wybrał numer.

Grace z niepokojem obserwował jego twarz. Po chwili Tindall pokiwał głową i wyszeptał: „Poczta głosowa”.

Zostawił jej wiadomość, prosząc, żeby jak najszybciej odzwoniła.

- To wszystko, co mogę zrobić, Roy. Jeżeli coś te próbki łączy, to ona to znajdzie. Pyłki, larwy owadów, skamieliny, skład ziemi.

- Nie masz nikogo innego?

Joe Tindall ponownie popatrzył na zegarek.

- Jest sobota wieczór, Roy. Jeżeli teraz wyjdę i pojedę na łąb na szyję, być może zdążę jeszcze na drugą połowę koncertu U2, a później pobzykam się. Myślę, że gdybyś nawet znalazł kogoś, kto mógłby przebadać te próbki, to też miałby już plany, na ten wieczór.

- Ten pochowany żywcem facet też miał plany na dzisiaj, Joe. Miał się ożenić.

- A to pech.
  - Łatwo ci to mówić.
  - Nie chciałem, żeby tak zabrzmiało, ale przepracowałem już w tym tygodniu sto dziesięć godzin.
  - Witaj w klubie.
  - Nie mogę nic więcej zrobić, Roy. Znasz mnie i wiesz, że gdybym mógł ci jakoś pomóc, zrobiłbym to. Gdyby był w Anglii ktoś jeszcze, kto mógłby zrobić dla nas te analizy dziś wieczorem, to wsiadłbym do auta i sam mu zawiózł te próbki. Ale nie znam nikogo innego. Wiem tylko o Hilary. Dam ci jej numer i po prostu dzwoń. To wszystko.
- Grace zapisał numer telefonu Hilary Flowers.

Wsiadał właśnie do samochodu, kiedy telefon piknął, oznajmiając SMS-a.

A kto mówi o bliższym związku? Miałam na myśli tylko seks.

Grace potrząsnął głową, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zrozumie kobiety. We wtorek wieczorem Claudine była po prostu nieuprzejma, a teraz, w odpowiedzi na jego poranną wiadomość, chce się z nim przespać?

A najgorsze z tego wszystkiego, że on także miał na to ochotę. Pierwszy raz od lat. Claudine może nie była pięknoscią, ale jednak kobietą z krwi i kości. Biorąc pod uwagę wizję kolejnej samotnej nocy, wyjazd do Guilford i seks z nienawidzącą policjantów weganką nawet kuśił.

Ale pokusa nie była zbyt silna. Zwłaszcza że w tej chwili jego głowa była pełna prozaicznych myśli na temat tego, czego potrzebował, by odnaleźć Michaela Harrisona.

Krótko po 19.00 szedł w towarzystwie Lindy Buckley, umundurowanej policjantki, schludną dróżką frontowego ogrodu Gillian Harrison. Na dźwięk dzwonka rozległo się głośne ujadanie. Kilka chwil później drzwi otworzyły się i mały, biały pies z różową kokardką na łebku ruszył prosto w kierunku jego butów.

- Bobo! Wracaj! Bobo! - zawołała kobieta, którą poznał w kościele.

Okazał legitymację służbową.

- Pani Harrison, prawda? Inspektor Grace z wydziału policji w Brighton, a to oficer Buckley z wydziału do spraw współpracy z rodzinami. Byliśmy umówieni z panią i panną Harper.

Była boso, ale miała na sobie elegancką, niebieską sukienkę z białymi wykończeniami i starannie ułożone srebrnoblonde włosy. Uśmiechnęła się lekko do policjantki, a potem z obawą spozjrzała na Grace'a, któremu natychmiast zrobiło się jej żal.

- Tak, pamiętam pana. Był pan na przyjęciu dziś po południu.

- Czy możemy chwilę porozmawiać?

Z jej oczu popłynęły łzy, rozmazując tusz.

- Znalazł go pan? Znalazł pan mojego syna?

Potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie. Przykro mi.

Po kilku chwilach wahania powiedziała:

- Zechcą państwo wejść?

- Dziękujemy.

Weszli do małego salonu, Grace usiadł na wskazanym przez nią fotelu, w pobliżu wygasłego kominka.

- Mogę podać coś do picia? Kieliszek wina? Kawę?

- Wystarczy szklanka wody.

- A ja dziękuję - powiedziała Linda Buckley. - Czy mógłbym pani w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję, ale to miło z pani strony.

Kiedy wyszła, Grace rozejrzał się dookoła. Na ścianie wisiały dwie reprodukcje obrazów, obok ogromne zdjęcie przedstawiające Michaela Harrisona we fraku i Ashley Harper w długiej, wieczorowej sukni. Inne zdjęcie ukazywało Michaela Harrisona jako chłopca - był w krótkich spodniach i siedział na rowerze. Obok fotografia Gili Harrison i chyba jej męża, dostrzegł bowiem podobieństwo między Micha-elem i tym wysokim, przystojnym mężczyzną o długich, brązowych włosach. Sądząc po stroju, zdjęcie zrobiono w połowie lat siedemdziesiątych.

Giłl Harrison wróciła ze szklanką wody w jednej ręce i kieliszkiem wina w drugiej. Podała szklankę Grace'owi i usiadła naprzeciwko niego.

- Przykro mi z powodu dzisiejszego dnia, pani Harrison. Musiało to pani sprawić dotkliwy ból.

W tym momencie do pokoju weszła młoda opalona kobieta o twarzy przypominającej trochę dziób ptaka. Miała długie, opadające w nieładzie blond włosy, a ubrana była w koszulkę bez rękawów i džinsy. Na wargach i w uszach miała liczne kolczyki.

- To Carly, moja córka. Carly, to inspektor Grace z wydziału kryminalnego, a to oficer Buckley. Carly przyleciała aż z Australii na ślub.

- Widziałem panią na przyjęciu, ale nie mieliśmy okazji porozmawiać - powiedział Grace.

- Miło mi panią poznać. - Linda Buckley skłoniła głowę. Carly usiadła na sofie obok matki i opiekuńczo objęła ją ramieniem.

- Gdzie pani mieszka w Australii? - zapytał Grace uprzejmym tonem.

- W Darwin.

- Nie byłem tam, znam za to Sydney.

- Chciałam odwołać przyjęcie - Gili Harrison zwróciła się do Grace'a - ale Ashley nalegała. Czuła się...

- To głupia krowa - oznajmiła Carly.

- Carly!

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała Carly. - Wszyscy myślą, że ona jest... A teraz jeszcze robi się na słodziutką lalkę Barbie, słodko trzepocącą rzęsami, ale moim zdaniem to wyrachowana zdzira.

- Carly!

Carly pocałowała matkę w policzek.

- Przykro mi, mamó, ale ona taka jest. - Popatrzyła na Grace'a. - Czy w takiej sytuacji upierałby się pan przy przyjęciu?

Grace uważnie obserwował je obie, zanim odpowiedział.

- Nie wiem. Sądzę, że była między młotem i kowadłem.
- Mój brat to najwspanialszy facet na świecie. Serio.
- Chyba nie lubisz Ashley. - To była szansa dowiedzenia się czegoś więcej.
- Nie, nie lubię jej.
- Dlaczego?
- A ja uważam, że jest uroczą dziewczyną! - wtrąciła Gili Harrison.
- Gówno tam, mamó! Ty po prostu za wszelką cenę chciałabyś mieć wnuki. Jesteś po prostu zadowolona, że Michael nie jest gejem.
- Carly, to nie jest miłe, co mówisz.
- Ale to prawda. A Ashley jest królową wyrachowanej manipulacji.

Grace poczuł dreszcz podniecenia, ale starał się tego nie okazać.

- Proszę jej nie słuchać - przerwała Gili Harrison. - Jest zmęczona i rozchwyana emocjonalnie z powodu długiej podróży samolotem.
- Gówno prawda - zaprzeczyła Carly. - To kobieta, która naciąga mężczyznę na pieniądze.
- Jak dobrze ją znasz? - spytał Grace.
- Spotkałam ją raz, i to o jeden raz za dużo - stwierdziła Carly.
- Uważam, że jest zachwycającą dziewczyną —upierała się Gili. - Jest inteligentna, lubi ognisko domowe, można z nią porozmawiać. Była bardzo dobra dla mnie.
- A znacie jej rodzinę?
- Biedne dziecko nie ma rodziny, poza tym uroczym wujkiem z Kanady - wyjaśniła Gili. - Jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miała trzy latka. To było w Szkocji, podczas wakacji. Ludzie, którzy ją adoptowali, okazali się bezwzględnymi despotami. Najpierw mieszkała w Londynie, a potem w Australii. Jej przybrany ojciec kilkakrotnie próbował ją zgwałcić; była wtedy nastolatką.

Opuściła ich, kiedy miała szesnaście lat, i wyjechała do Kanady, do Toronto, gdzie zaopiekowali się nią wujek i ciocia. Ciocia zmarła niedawno, jeśli dobrze pamiętam, i Ashley bardzo to przeżyła. Sądzę, że to byli jedyni ludzie, którzy okazali jej dobroć. Musiała sama o siebie dbać. Naprawdę ją podziwiam.

- Phi! - fuknęła Carly.

- O co chodzi? - Grace był ciekawy.

- Sądzę, że nie była szczerą, kiedy ją poznałam. A dzisiaj jeszcze mniej. Nie umiem tego wyjaśnić, ale ona z pewnością nie kocha mojego brata. Wiem to. Za wszelką cenę chciała go poślubić, a to nie to samo, co kochać. Gdyby naprawdę go kochała, nigdy nie zgodziłaby się na tę dzisiejszą farsę. Byłaby zbyt zdenerwowana.

Grace patrzył na nią z rosnącym zaciekawieniem.

- Rozumie pan? - ciągnęła Carly. - Mówię jako kobieta. Może kobieta zmęczona zbyt długim lotem, jak sugeruje moja mama, ale kobieta. Troskliwa kobieta, która kocha swojego brata. W przeciwieństwie do tej jego narzeczonej - dziwki z piekła rodem.

- Carly!

- Ach, odczep się mamó.

Krótko po wyjściu Ashley, która wciąż była na niego zła, Mark włączył telewizję, licząc, że uda mu się trafić na wiadomości lokalne. Próbował też złapać wiadomości radiowe, ale zbyt późno włączył odbiornik.

Przebrał się w dżinsy, tenisówki, sweter i lekką kurtkę, naciągnął bejsbolówkę nisko na czoło. Dygotał ze zdenerwowania i przedawkowania kofeiny; wypił dwie mocne kawy, żeby otrzeźwieć, a teraz kończył właśnie trzecią. Odstawił filiżankę i podszedł do drzwi wyjściowych, kiedy zadzwonił telefon.

Spojrzał na wyświetlacz: numer prywatny. Chwilę się wahał, ale odebrał.

- Mówi Kevin Spinella z gazety „Argus”. Chciałbym rozmawiać z panem Markiem Warrenem.

Mark cicho zaklął. Gdyby myślał bardziej trzeźwo, odpowiedziałby pewnie, że Mark Warren wyszedł, a tymczasem odezwał się:

- Przy telefonie.

- Dobry wieczór, panie Warren. Przepraszam, że niepokoję w sobotni wieczór, ale dzwonię w sprawie pańskiego wspólnika Michaela Harrisona. Byłem dzisiaj w kościele Wszystkich Świętych w Patcham, gdzie miał się odbyć ślub. Pan miał być świadkiem... Nie chciałem się wtedy narzucać, ale czy mógłbym zamienić z panem kilka słów teraz?

- Mhm... tak... tak, oczywiście.



- Rozumiem, że Michael Harrison zniknął podczas wieczoru kawalerskiego, wtedy, kiedy zdarzył się ten okropny wypadek. Ale jestem ciekawy, dlaczego pana wtedy nie było?

- Na wieczorze kawalerskim?

- Owszem.

- Oczywiście, powinienem być - zaczął spokojnie Mark. Starał się mówić łagodnie, w sposób jak najbardziej naturalny. - Nie było mnie po prostu w mieście, byłem na północy kraju w sprawach biznesowych. Wszystko zaplanowałem tak, żeby wrócić na czas, ale mój lot opóźnił się z powodu mgły.

- A gdzie pan był?

- W Leeds.

- Ach, właśnie. Takie rzeczy zdarzają się, to jeden z problemów tego kraju.

- No właśnie! - W głosie dziennikarza Mark wyczuł serdeczność i zrozumienie.

- Wiem z informacji policyjnych, że nie miał pan pojęcia, co było planowane na ten wieczór kawalerski. Czy to prawda?

Mark milczał przez chwilę. Ostrożnie.

- Nie, to niezupełnie tak. Planowaliśmy powłóczyć się po pubach.

- Powłóczyć się po pubach! No tak! Ale czy to nie świadek organizuje wieczór kawalerski?

- Na ogół tak.

- Ale pan tego nie zrobił?

Mark próbował się skupić, w głowie włączyły mu się dzwonki alarmowe.

- Ależ planowałem, ale Michael nie chciał niczego specjalnego, chciał tylko powłóczyć się po knajpach z przyjaciółmi. A ja miałem do nich dołączyć.

- A co dokładnie pan planował?

- My... no cóż... mieliśmy zamiar robić to, co zwykle, rozumie pan. Połazić po barach, upić Michaela, a potem odstawić go do domu. Chciałem wypożyczyć minibusa z kierowcą, który nie piłby alkoholu, żeby potem wszystkich nas

porozwoził do domów, ale jeden z kumpli powiedział, że ma możliwość wypożyczenia vana i może nie pić, więc się zgodziliśmy.

- A gdzie w tym planie miejsce dla trumny?

Cholera. Mark czuł się tak, jakby pogrążał się w bagnie.

- Trumny?

- Domyślałam się, że to pan zorganizował trumnę?

- Nic nie wiem o żadnej trumnie! - wykrzyknął. - To coś nowego. - Starał się, by zabrzmiało to wiarygodnie, więc powtórzył raz jeszcze: - Trumna?

- A więc pana zdaniem przyjaciele zorganizowali ją podczas pańskiej nieobecności? - dopytywał się dziennikarz.

- Oczywiście. Tak musieli zrobić. Jeden z nich, Robert Houlihan, pracuje... pracował u swojego wujka w zakładzie pogrzebowym, ale nigdy nie rozmawialiśmy na temat trumny. Skąd pan wie o trumnie?

- To informacje z policji, która uważa, że nim zdarzył się ten wypadek, w vanie była trumna. Może domyśla się pan, co mogło przydarzyć się Michaelowi Harrisonowi?

- Nie, nie mam pojęcia. Jestem dosłownie wytracony z równowagi.

- Wczoraj rozmawiałem z wdową po jednym z pańskich przyjaciół, z panią Zoe Walker. Powiedziała, że planowaliście zemstę na Michaelu Harrisonie, ponieważ on regularnie robił wam różne numery. Może trumna ma z tym coś wspólnego?

- Jak już wcześniej mówiłem, nic nie wiem na temat trumny. Może ten pomysł zrodził się w ostatniej chwili.

- A pana zdaniem koledzy mogli włożyć Michaela Harrisona do trumny? Czy możliwe, że teraz gdzieś tam czeka na pomoc?

Mark gorączkowo myślał.

- No, wie pan, jak to jest, kiedy faceci się upijają. Czasami robią szalone rzeczy.

- Sam to przeżyłem.

Zachichotali i Mark poczuł ulgę.

- No to dziękuję za czas, który mi pan poświęcił. Gdyby czegoś się pan dowiedział, czy byłby pan uprzejmy, żeby dać mi znać? Zostawię mój numer telefonu.

- Oczywiście - odpowiedział, rozglądając się za piórem.

Kilka minut później, stojąc już w windzie, analizował rozmowę. Miał nadzieję, że nie powiedział niczego głupiego. Dobrze wiedział, jak zareagowałaby Ashley, gdyby widziała go zapisującego numer telefonu tego dziennikarza. Byłaby wściekła, że w ogóle z nim rozmawiał. Ale co miał zrobić?

Wyjeżdżając z parkingu, ostrożnie włączył się w natężony ruch uliczny. Pamiętał, że nie może przekroczyć prędkości. Zatrzymanie przez policję było ostatnią rzeczą, której by sobie życzył.

Dwadzieścia minut później dojechał do centrum ogrodniczego na obrzeżach Newhaven, w odległości dziesięciu mil od jego apartamentu. Mieli zaraz zamykać, biegiem więc ruszył przez sklep i kupił łopatę, śrubokręt, młotek, dłuto, małą latarkę, gumowe rękawiczki ogrodowe i gumowce. O ósmej siedział już w samochodzie. Niebo było zadziwiająco jasne i minie sporo czasu, zanim kompletnie się ściemni.

Miał więc około dwóch godzin.

Wiedział, że powinien coś zjeść, ale miał ściśnięty żołądek. Pomyślał o burgerze. A może coś chińskiego albo hinduskiego? Na nic nie miał ochoty. Ashley była na niego zła, nigdy wcześniej nie widział jej takiej wściekłej i to go przerażało. Miał wrażenie, że coś między nimi pękło. Musiał to naprawić, a jedynym sposobem było udobruchanie jej. Musiał zrobić to, co kazała. Coś, co powinien zrobić już kilka dni temu.

Chciał zadzwonić do niej, powiedzieć, jak ją kocha, i usłyszeć, że ona też. Ale nie zrobił tego, nie teraz, jeszcze nie teraz. Miała rację, że była na niego zła. Zachował się jak idiota, niemal wszystko zepsuł. Chryste, czemu tak głupio zachował się wobec tego gliny?

Zapalił silnik i włączył radio. Ósma wieczór. Wiadomości stacji lokalnej. Najpierw informacje ze świata, w większości

złe wiadomości z Iraku, potem coś na temat Tony'ego Blaira i UE. I nagle zeszytywniał - radosny głos prezentera oznajmił: „Policja w Sussex przyspiesza tempo poszukiwań Michaela Harrisona. Jego narzeczona, Ashley Harper, i liczni goście byli zaskoczeni, że jednak nie pojawił się w kościele Wszystkich Świętych w Patcham na swoim ślubie. W ten sposób potwierdziły się podejrzenia, że stało się z nim coś złego podczas wieczoru kawalerskiego. Niestety, czterej z jego przyjaciół nie żyją. Inspektor Grace z wydziału kryminalnego policji Sussex, który prowadzi dochodzenie, powiedział dziś rano, że policja traktuje tę sprawę jako wyjątkową”.

W tej chwili rozległ się głos inspektora Grace'a:

„Sądzimy, że Michael Harrison stał się ofiarą dowcipu, który, niestety, zakończył się tragicznie. Jeśli ktokolwiek ma jakieś informacje na temat wydarzeń, które rozegrały się w tej okolicy we wtorkowy wieczór, prosimy o pilny kontakt z policją w Sussex”.

Świat zawirował Markowi w oczach, w uszach zaczął narastać przenikliwy dźwięk. Ścisnął nozdrza i usiłował wypchnąć powietrze; uszy odblokowały się. Dłonie miał mokre od potu, nagle zdał sobie sprawę, że cały jest już mokry; po plecach dosłownie ciekły mu strużki.

Oddychaj głęboko, powtarzał sobie. Był to doskonały sposób na stres. Ashley nauczyła go tego, kiedy denerwował się rozmową ze szczególnie przebiegłym klientem.

Siedział więc w samochodzie, słuchał bicia serca i głęboko oddychał.

Przez długą chwilę.

Był sobotni wieczór, godzina 20.20. Normalni ludzie siedzieli w domach lub mile spędzali czas w towarzystwie, a Roy Grace, który teraz oficjalnie dowodził śledztwem, wchodził właśnie do budynku policji.

Kilka chwil po wyjściu z domu Gili Harrison Grace podjął decyzję, aby zmienić status śledztwa w sprawie Michaela Harrisona. Wiązało się to z dodatkowymi kosztami i zakłóceniami czasu pracy; przede wszystkim będzie musiał przekonać do swej decyzji szefa i Alison Vosper. Bez wątpienia czekały go ciężkie chwile.

Nick Nicholl i Bella Moy, których sobotnie plany legły w gruzach, byli już w drodze razem z nową w ich zespole Emmą-Jane Boutwood, a wieźli ze sobą wszystko, czym dysponował ich posterunek; nie było tego dużo.

Szedł po zielonym dywanie między biurkami, przy których pracowali policjanci pomagający oficerom biura kryminalnego; każdy z oficerów miał swój własny gabinet z tabliczką na drzwiach.

Po lewej stronie widział gabinet Gary'ego Westona. Przeszli razem długą drogę, zostali partnerami, kiedy Roy dołączył do wydziału kryminalnego; był wtedy nowicjuszem, ale i Weston nie miał większego doświadczenia. Mieli po tyle samo lat i Grace czasami z zazdrością zastanawiał się, jak Gary osiągnął tak błyskawiczny awans, a bez wątpienia czekały go jeszcze wyższe stanowiska.

W głębi serca znalazł jednak odpowiedź. Gary Weston nie był lepszym policjantem, nie miał większej wiedzy. On po prostu był lepszym zwierzęciem politycznym. Nie miał o to pretensji do swojego byłego partnera, ale sam nie mógłby zachowywać się tak jak on.

O 20.30 w sobotnią noc nie było w biurze nawet śladu Gary'ego. Cóż, szef wiedział, jak łączyć obowiązki domowe z przyjemnościami i pracą. Wiszące na ścianach gabinetu zdjęcia chartów i koni świadczyły o jego pasji do wyścigów; na biurku stały fotografie jego atrakcyjnej żony i czworga dzieci, nie pozostawiając wątpliwości, jakie są w jego życiu priorytety.

Teraz prawdopodobnie Gary oglądał wyścigi chartów. Jadł kolację z żoną i przyjaciółmi, obstawiał wyniki i odpoczywał, myśląc o rodzinnej niedzieli.

Przesuwając w czytniku legitymację, Grace otworzył drzwi i wszedł w długi, cichy korytarz wyłożony szarym dywanem. Minał tablicę z napisem OPERACJA LIZBONA; poniżej była fotografia mężczyzny o charakterystycznej wschodniej urodzie, otoczona zdjęciami pokazującymi skalistą plażę w pobliżu Beachy Head.

Ciało tego niezidentyfikowanego mężczyzny zostało znalezione kilka tygodni temu pod klifem. Najpierw sądzono, że to jeden z kolejnych samobójców, ale patolodzy ustalili, że był już martwy, kiedy spadał.

Na drugiej ścianie, pod napisem OPERACJA KORMORAN, widniało zdjęcie ładnej nastolatki o ciemnych włosach; została zgwałcona i uduszona na peryferiach Brighton.

Grace przeszedł obok olbrzymiego pokoju, w którym detektywi sporządzali pierwsze wersje wypadków. Wreszcie doszedł do biura śledczego, centrum decyzyjnego we wszystkich ważniejszych wypadkach. W gabinecie pachniało nowością. Inne było nawet nastawienie ludzi, którzy tam pracowali. Pomimo matowych szyb w oknach dzięki białym ścianom panowała atmosfera lekkości, dobrej energii, tak bardzo różna od uciążliwego gwaru jego biura.

Atmosfera jak na filmach fantastycznych, jakby byto to co najmniej Centrum Badań Kosmicznych w Houston. Olbrzymie pomieszczenie w kształcie litery L podzielono na trzy części, w każdej stał olbrzymi stół z jasnego drewna, przy którym mogło usiąść nawet osiem osób. Obok ustawiono tablice: OPERACJA KORMORAN, OPERACJA LIZBONA, OPERACJA ZASPA ŚNIEŻNA; każda pokryta była zdjęciami miejsc zbrodni i karteczkami z istotnymi danymi. Kolejna tablica mogłaby nosić wdzięczny kryptonim OPERACJA SALSA; przypadkowa nazwa, którą komputer w dowództwie Scotland Yardu wyrzucił dla śledztwa w sprawie Michaela Harrisona.

Zazwyczaj nazwa nie miała nic wspólnego ze sprawą, choć zdawało się, że zmieniano te przypadkowe. Przypominał sobie, że swego czasu OPERACJA BIAŁY CZŁOWIEK dotyczyła śledztwa w sprawie Afroamerykanina, którego poćwiartowane ciało odnaleziono w bagażniku samochodu. I wtedy właśnie nazwę zmieniono. Ale z nazwą OPERACJA SALSA komputer przypadkowo trafił; Grace miał wyraźne uczucie, że zaangażował się w to śledztwo jak w jakąś piosenkę lub taniec.

W przeciwieństwie do innych biur, nie było tu żadnych osobistych przedmiotów na biurkach czy ścianach. Żadnych zdjęć rodzinnych, fotek ulubionych piłkarzy, zaproszeń na imprezy czy dowcipów rysunkowych. Każdy przedmiot w tym pokoju miał związek ze śledztwem. No, może z wyjątkiem garnuszka makaronu, który pochłaniał właśnie znużony inspektor Michael Cowan, siedzący na końcu jednego ze stołów.

Grace skierował się do stołu, przy którym siedział wpatrzony w ekran komputera Jason Piette z kubkiem coli w rękę, to jeden z najbardziej złośliwych detektywów, z jakimi kiedykolwiek Grace współpracował.

Przy każdym stole pracował tylko podstawowy zespół: prowadzący śledztwo inspektor, informatyk, zwykle był to niższy rangą policjant, analityk i maszynistka.

Grace przywitał się wylewnie z Michaeliem Cowanem.

- Jak się masz, Roy? Wyglądasz całkiem elegancko.
- Ubrałem się tak tylko dla was, chłopaki.
- No, no!
- Co to za gówno jesz? - zapytał Grace. - Masz pojęcie, co to zawiera?

Michael Cowan wznosił oczy do góry, uśmiechając się.

- Chemikalia, dziecinko, dzięki temu się trzymam.

Grace potrząsnął głową.

- Pachnie tu chińską kuchnią na wynos.

Cowan kiwnął głową w stronę białej tablicy z napisem OPERACJA LIZBONA.

- No, w każdej chwili możesz przejąć mój chiński problem. Odwołałem niezłą randkę, żeby tu być.

- Chętnie się z tobą zamienię.

Michael Cowan spojrzał na niego badawczo.

- Powiedz.
- Nie chciałbyś wiedzieć, wierz mi.
- Jest aż tak źle?
- Gorzej.



W blasku świateł Mark zobaczył leżące przy drodze wieńce. Niektóre położono na poboczu, inne oparto o drzewo, a reszta wisiała na żywopłocie. Było ich więcej niż wtedy, kiedy jechał tędy poprzednio.

Zwolnił, posuwając się w żółtym tempie, a dreszeczki wstrząsały jego ciałem, sięgając chyba aż do duszy. Po chwili wieńce zniknęły w ciemnościach. Josh, Pete, Luke, Robbo.

Gdyby samolot się nie spóźnił...

Przeszły go ciarki, nacisnął gaz. Telefon komórkowy mrugnął, a potem zaczął dzwonić. Na wyświetlaczu pojawił się numer Ashley.

Odebrał wolną ręką, zadowolony, że ją słyszy; tak bardzo potrzebował ludzkiego towarzystwa.

- Cześć.
- No i co? - Jej głos brzmiał tak chłodno jak wtedy, kiedy się rozstawali.
- Jadę tam.
- Dopiero teraz?
- Musiałem czekać, aż się ściemni. Myślę, że nie powinniśmy rozmawiać przez komórki. Mam przyjść do ciebie, kiedy wrócę?
- To byłoby naprawdę głupie, Mark.
- Tak. Ja... ja... a jak się ma Gili?
- Wściekła. A jak, myślisz, może się czuć?

- No tak.
- No tak? A ty dobrze się czujesz?
- Można tak powiedzieć.
- Jesteś trzeźwy?
- Oczywiście - odpowiedział zdenerwowany.
- Ale twój głos dziwnie brzmi.
- Bo nie czuję się dobrze, rozumiesz?
- Rozumiem, ale zrobisz to?
- Tak jak się umówiliśmy.
- I zadzwonisz do mnie później?
- Pewnie.

Rozłączył się. Mgła osadzała się na przedniej szybie. Wycieraczki przenikliwie piszczały, więc wyłączył je. Krzaki na skraju lasu wyglądały znajomo, zwolnił, by nie przegapić właściwego skreću.

Kilka chwil później przejechał obok pierwszej zapory dla bydła, a potem drugiej. Reflektory oświetlały drogę, samochód kołysał się w koleinach, kiedy Mark przyspieszał;jechał szybko, bo miał wrażenie, że drzewa napierają z obu stron i zerkają w jego lustro. Więc tak na wszelki wypadek...

Na jaki wszelki wypadek?

Był coraz bliżej. Głos dochodzący z radia dekoncentrował go, wyłączył je więc. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że jego oddech staje się szybszy, a pot spływa mu po skroniach i plecach. Nagle przednie koła wpadły do głębokiej kałuży, aż grudki błota rozprysnęły się na przedniej szybie. Włączył wycieraczki i zwolnił. Jezu, jak tam było głęboko; nie zdawał sobie sprawy z tego, że aż tak mocno padało od czasu, kiedy był tu ostatni raz. I wtedy - cholera. Och, cholera, nie!

Koła straciły przyczepność w błocie.

Z całych sił naciskał na pedał gazu, bmw aż drżało, przesuwało się kawałek bokiem i znowu się ślizgało.

O, Chryste, nie!

Nie mógł tu utkwic. Nie mógł. W jaki sposób, do cholery, wyjaśniłby, że znalazł się w tym miejscu i to o 22.30?

Oddychać głęboko...

Oddychał, w przerażeniu rozglądając się w ciemnościach, obserwując każdy cień. Wreszcie przerażony nacisnął centralny zamek, blokując drzwi, ale nie poczuł się lepiej. Włączył światło w samochodzie i popatrzył na kontrolkę. Były tam ustawienia na różne warunki drogowe; widział je setki razy, ale nigdy nie wysilił się, żeby sprawdzić, do czego służą.

Wyciągnął ze schowka instrukcję i zdesperowany przedzierał się przez spis treści, aż znalazł. Po chwili samochód przechylił się gwałtownie, a potem, na szczęście, ruszył do przodu. Jechał z równomierną prędkością, obserwując pojawiające się na drodze kałuże. Wreszcie skręcił w prawo, na drogę prowadzącą na polanę. Gdzieś z mroku wyskoczył królik. Spojrzał, potem kicnął do przodu, prosto pod koła. Nie miał pojęcia, czy go przejechał, czy nie, nie obchodziło go to; chciał tylko dotrzeć na miejsce.

Przed nim rozciągała się mała polanka pokryta mchem i trawą. Na szczęście falista płachta blachy zasypiana gałęziami była wciąż na swoim miejscu.

Zatrzymał wóz na względnie twardym kawałku ziemi, nie chciał ryzykować, że ugrzęźnie. Wyłączył silnik, ale zostawił włączone przednie światła. Założył kalosze, chwycił latarkę i wysiadł.

Otoczyła go cisza. Bojaźliwie wpatrywał się w ścianę lasu, ciągle mając przed oczami poruszające się nagrobne krzyże. Sen, mara... a może gdzieś tam za linią światła zapadał się w mrok i ziemię opuszczony cmentarz? Lekki szelest w leśnym podszyciu sprawił, że odwrócił się gwałtownie, kierując w tamtą stronę światło latarki. Wstrzymał oddech. Usłyszał trzask, potem szczęk, jak gdyby grzechoczącej monety w puszcze. Po chwili zza drzew wyszedł bażant.

Mark, niemal sparaliżowany z przerażenia, omiatał światłem teren wokół samochodu. Wreszcie zdecydował się otworzyć bagażnik i wyciągnął narzędzia. Przeniósł je w pobliże grobu.

Kilka chwil stał bez ruchu, gapiąc się na blachę, nasłuchiwał. Silnik samochodu cicho pracował. Z drzew spadały kropelki wody. Było cicho. Przerazająco cicho. Do blachy przyczepił się ślimak. To dobry znak. Pokrywa wyglądała tak, jakby przez lata nikt jej nie ruszał.

Pociągnął jeden koniec pokrywy. Grób objawił się jak ciemna rozpadlina. Poświecił latarką, wstał. Próbował zebrać się na odwagę.

Powoli, małymi krokami przesuwał się na skraj dołu, a potem wstrzymując oddech, skierował światło latarki w czarną czeluść.

Odetchnął.

Wszystko wyglądało tak, jak to pozostawił. Nienaruszona ziemia. Przez kilka chwil patrzył z poczuciem winy.

- Przykro mi, partnerze - wyszeptał. - Ja...

Ale nie było nic do powiedzenia. Nie zależało mu na zwracaniu na siebie uwagi, dlatego wrócił do samochodu i wyłączył światła. Tak na wypadek, gdyby ktoś był w lesie, w co zresztą wątpił. Ale nigdy nic nie wiadomo.

Prawie godzinę zajęło mu kopanie, zanim łopata uderzyła w drewno trumny. Ziemi było o wiele więcej, niż powinno, to prawda, dorzucił trochę tamtej nocy, ale aż tyle... Wreszcie zobaczył wieko i mosiężne śruby. Małeńka dziura, w której przedtem tkwiła rurka do oddychania, wydawała się nieco większa.

Odłożył łopatę, wziął śrubokręt i zabrał się do odkręcania śrub. Wcześniej tego nie widział, ale trumna ciasno przylegała do brzegów dołu i jedynym miejscem, na którym można było stanąć, było wieko. To uniemożliwiało z kolei jego zdjęcie.

Trzymając w zębach latarkę, a w dłoni śrubokręt, zsunął się na dno. Kiedy stanął na trumnie, zaczął się trząść. Co, do diabła, zobaczy? Wyjął z ust latarkę i zawołał cicho: „Michael”, a potem głośniejszym głosem „Michael? Halo? Michael?”. Następnie kilka razy uderzył śrubokrętem w wieko. A przecież gdyby Michael był żywy i przytomny, to słyszałby jego

kroki i drapanie łopaty na pokrywie trumny. Może jednak nie miał siły odpowiedzieć.

Jeśli nadal żył.

Jeśli. Minęły przecież cztery dni, a on nie miał dostępu powietrza. Znowu chwycił latarkę zębami. Musiał to zrobić. Musiał zrobić tę cholerną rzecz. Przyjechać, żeby wydostać ten cholerny palmtop. Bo pewnego dnia ktoś mógłby odkryć grób i poznać wszystkie wiadomości, a ten glina, Graves, czy jak tam on się nazywa, odnalazłby e-mail, który wysłał Michaelowi w poniedziałek, a w którym informował go, że przygotowali prawdziwą niespodziankę. Przekazał mu pewne wskazówki, niezbyt jasne dla Michaela, ale całkowicie zdradzające go przed tym gliną.

Wsunął ostrze śrubokrętu pod wieko, a potem uniósł je odrobinę, by móc wetknąć palec. Lewą ręką podtrzymywał wieko, a prawą położył śrubokręt na ziemi. Następnie podniósł wieko tak wysoko, jak tylko dał radę, nie zwracając uwagi na głębokie zarysowania wewnętrznej części pokrywy.

W ciemności zamigotała czarna woda, rozmokłe kawałki gazety pływały na jej powierzchni. W świetle latarki pojawiły się nagle ogromne, nagie piersi.

Mark krzyknął. Latarka wypadła mu z ust, plusnęła do wody i uderzyła w dno trumny, wydając głuchy odgłos.

W środku nie było nikogo.

Wiekło opadło z łomotem podobnym do wystrzału. Mark wypełził na górę, potknął się i upadł na błotnistą ziemię. Opadł na kolana, kręcił się w kółko, próbował przebić wzrokiem ciemność. Dyszał ciężko, zastanawiając się, w którą stronę uciekać. Do samochodu? Do lasu?

O, słodki Jezu. Chryste. Chryste.

Na czworakach wycofywał się od grobu i ponownie kręcił się dookoła. Czy Michael był gdzieś tu obok, obserwował go, gotowy, żeby uderzyć?

Gotowy oslepić go światłem latarki?

Poderwał się i pobiegł do samochodu. Szarpnął drzwi, wskoczył do środka i załało go światło automatycznie zapalające się we wnętrzu samochodu. - Żeby to szlag trafił - zaklął przestraszony. Trzasnął drzwiami, włączył zamek centralny, przekręcił kluczyk i ruszył. Docisnął pedał gazu. Samochód kołysał się, reflektory omiały ścianę drzew, a cienie to pojawiały się, to znikwały. Kręcił się w kółko, raz, drugi, wreszcie trzeci.

O, Jezu.

Co, do cholery, się stało?

No i nie miał tego cholernego palmtopa. Koniecznie musi tam wrócić.

Ale jak, do cholery?

Jak, do cholery, wy dostał się? I co, przykręcił potem wieko? Zasytał ziemią?

A jeśli nie?

Jeśli nigdy go tam nie było?

Tylko skoro go tam nie było, to czemu nie pojawił się na weselu?

Myśli kotłowały mu się w głowie. Chciał zadzwonić do Ashley, ale... wiedział, że ona z pewnością zadałaby mu jedno tylko pytanie: Czy odzyskałeś palmtopa?

Podjechał na brzeg grobu i czekał. Potem otworzył drzwi, wyskoczył, rzucił się na brzuch i bez zakasywania rękawów wsadził ręce do zimnej wody. Dotknął delikatnej satyny na dnie. Poczł miękkie ściany, a potem znowu dno. Znalazł latarkę. Nie działała. Jego dłonie dotknęły czegoś małego, metalowego. Wyciągnął. Wyglądało to jak zakrętka od butelki whisky.

Odwrócił się i ze strachem patrzył na otaczający go las, potem znów zanurzył ręce w trumnie, dokładnie ją przeszukując. Kawałek rozmokłej gazety owinął się wokół jego ręki. Poza tym nic. Kompletnie nic. Ta cholerna trumna była pusta.

Podniósł się, zakrył dół blachą i bez przekonania rozrzucił na niej trochę trawy. Wsiadł do samochodu, zatrzasnął drzwi, uruchomił centralny zamek, włączył silnik i ruszył w stronę polnego traktu. Z każdym metrem przyspieszał, nie zwracając uwagi na koleiny i kałuże, wreszcie wjechał na główną drogę.

Zmienił ustawienie biegów i pojechał w stronę Brighton, cały czas spoglądając w boczne lusterko i obawiając się każdego światła, które tylko pojawiły się za nim. Bardzo chciał zadzwonić do Ashley, ale był zbyt przerażony i nie wiedział, co miałby jej powiedzieć.

Gdzie, do diabła, był Michael?

Gdzie?

Gdzie?

Minął leżące na poboczu wieńce, spojrzął na jakąś pomarańczową lunę, na drogę i potem w lusterko. Czy wymyślił to sobie? Miał halucynacje? No, dalej, chłopaki, jaki jest ten wasz sekret? Czy wiecie coś, czego ja nie wiem? Zakopaliście pustą trumnę? W porządku, więc co zrobiliście Michaelowi?

Kiedy uspokoił się trochę, zaczął myśleć bardziej trzeźwo i starał sam siebie przekonać, że teraz to nieistotne. Michaela tam nie było. Nie było żadnego martwego ciała. Nikt nie mógł go o nic oskarżyć.

Trzymając kierownicę kolanami, ściągnął gumowe rękawiczki i rzucił je na podłogę przed fotelem pasażera. Tyle że teraz Michael był obecny wszędzie. Tak, to typowe dla niego. Michael dowcipniś. Czyżby to sam wszystko zaaranżował?

I nie przyszedł na ślub?

Szalone myśli przychodziły mu do głowy. Czyżby Michael zorientował się, że między nim i Ashley coś się dzieje? Czy to część jego zemsty? Znali się już tyle lat. Odkąd skończyli trzynaście lat. Michael był sprytny i być może domyślił się wszystkiego, chociaż on i Ashley zachowywali się niezwykle ostrożnie.

Wracał myślami do dnia, kiedy Ashley przysłała po raz pierwszy do biura w sprawie posady dla sekretarki. Kiedy weszła, taka elegancka, taka piękna, o niebo przewyższała pozostałe kandydatki. Po prostu startowała w innej lidze.

On wtedy właśnie rozstał się z dziewczyną, z którą był długo związany, i pewnie dlatego zainteresował się nią jak żadną inną wcześniej. I natychmiast zostali parą, a Michael niczego nie dostrzegł. Pod koniec jej drugiego tygodnia pracy zaczęli sypiać ze sobą. Po dwóch miesiącach ich sekretnej znajomości powiedziała, że Michael zaleca się do niej, że zaproponował jej randkę, i zapytała, co powinna zrobić?

Mark był wściekły, ale nie okazał tego. Odkąd znał Michaela, zawsze żył w jego cieniu. To Michael wyrывał najładniejsze dziewczyny na imprezach i to Michael tak zauroczył urzędnika bankowego, że dał mu pożyczkę na zakup przedsiębiorstwa nieruchomości, które przynosiło zyski, podczas gdy on, Mark, pracował za nędzną wypłatę w małym biurze rachunkowym. Kiedy postanowili razem założyć interes, Michael wyłożył gotówkę i zgarnął osiemdziesiąt procent udziałów. Obecnie ich interes wart był kilka milionów funtów, ale to Michael został głównym właścicielem.



Tamtego dnia, kiedy zjawiała się Ashley, po raz pierwszy jakaś kobieta spojrzała na niego, a nie Michaela.

A potem ten zasraniec zaprosił ją na randkę.

To, co wydarzyło się później, było pomysłem Ashley. Miała tylko poślubić Michaela, a potem doprowadzić do rozwodu. Chciała go po prostu umówić na spotkanie z prostytutką, mając w pogotowiu opłaconego fotografa. Przejęłaby wtedy połowę udziałów Michaela, co z dwudziestoma procentami Marka dałoby im większość. Władzę. Łatwizna. Zegnaj, Michaelu.

Zabójczo proste.

Ale nigdy nie planowali morderstwa.

Ashley otworzyła drzwi ubrana we frotowy szlafrok, a włosy luźno spływały jej na ramiona. Na widok ubłoconego Marka na jej twarzy pojawiły się niedowierzanie i wściekłość.

- Oszalałeś, przychodząc tutaj? Minęła przecież już północ!

- Musiałem. Nie mogłem ryzykować rozmowy telefonicznej. Zaskoczona jego desperackim tonem ustąpiła, ale najpierw rozejrzała się ostrożnie po ulicy.

- Nikt cię nie śledził?

- Nie.

Popatrzyła na jego nogi.

- Mark, coś ty do cholery robił? Spójrz na swoje buty!

Gapił się na brudne gumowce, potem zdjął je i wniósł do środka. Zamknęła drzwi i patrzyła na niego z obawą.

- Wyglądasz okropnie.

- Muszę się czegoś napić.

- Dość już dziś wypiełeś.

- Teraz jestem cholernie trzeźwy.

Pomogła mu zdjąć kurtkę.

- Czego się napijesz? Whisky?

- Poproszę. Zresztą może być cokolwiek.

- Musisz się wykapać - powiedziała, idąc w stronę kuchni. - Więc opowiedz mi, jak tam było? Strasznie? Masz palmtopa?

- Mamy problem.

Ashley obróciła się jak rażona piorunem.

- Problem?

Mark spojrział na nią bezradnie.

- Nie było go tam.

- Niebyło?

- Nie... on... ja nie wiem... on...

- Chcesz mi powiedzieć, że go tam nie było? Trumny też?

Mark opowiedział jej, co się stało. Ashley starannie zasłoniła okna, potem nalała mu whisky, a sobie zrobiła kawę. Usiedli naprzeciwko siebie na kanapach.

- Czy to możliwe, żebyś pojechał w złe miejsce?

- I co, były dwie różne trumny? Nie. Przecież to ja wybrałem miejsce. Mieliśmy go zostawić z pornosem i butelką whisky, i te dwie rzeczy tam są. Powiedzmy, że jest zakrętka od butelki.

- A wieko było przyśrubowane i zasypane ziemią? - Ścisnęła filiżankę w obu rękach.

Szlafrok rozsunał się jej na piersiach i widok biustu sprawił, że pożądał jej i to teraz, pomimo tego, co się stało, pomimo uczucia paniki. Chciał ją objąć i kochać się z nią.

- Tak... Było dokładnie tak jak we wtorek, kiedy ja...

- Zabrałeś wtedy rurkę do oddychania?

Przełknął łyk whisky. Uśmiechnął się do niej. Może zostałaby na godzinę albo dwie. Kochałby się z nią. Musiał się jakoś oderwać od tego koszmaru.

I właśnie wtedy jej twarz spochmurniała.

- Jesteś pewien, że był tam, kiedy zabierałeś rurkę?

- Oczywiście, do cholery, że był. Słyszałem, jak krzyczał. Chryste!

- Nie wydawało ci się?

- Miało mi się wydawać, że krzyczał?

- Byłeś w kiepskim stanie.

- Też byłabyś. Był w końcu moim partnerem w interesach. Moim najlepszym przyjacielem. Nie jestem cholernym mordercą... ja...

Spojrzała na niego cynicznie.

- Robię to tylko dlatego, że cię kocham, Ashley. - Wypił duży łyk whisky.

- Więc mógł być gdzieś tam, kręcić się w ciemności, obserwować. Prawda?

- Nie wiem. Jeśli nie było go w trumnie, to czemu nie przyszedł na ślub? Ale on lub ktoś inny próbował się z trumny wydostać. Widziałem ślady na wieku.

Na Ashley nie zrobiło to żadnego wrażenia.

- Może wiedział o nas. Tylko to przychodzi mi do głowy. Że, do cholery, wiedział o nas.

- Nie wiedział - powiedziała Ashley. - Nie miał pojęcia. Dużo rozmawiał ze mną o tobie, mówił, jak bardzo chciałeś się ustatkować z odpowiednią dziewczyną, mieć dzieci i że jego zdaniem nie byłeś w stanie związać się na poważnie.

- No, pięknie. Zawsze wiedział, jak naprawdę dodać mi otuchy.

- Nie było w tym nic złego, Mark. Naprawdę martwił się o ciebie.

- Bardzo go bronisz.

- W końcu jest moim narzeczonym.

- Śmieszne. - Mark postawił szklanekę na stole i ukrył twarz w dłoniach.

- Weź się w garść. Musimy myśleć logicznie.

Znów pokiwał głową.

- Więc Michael był tam w środową noc. Ty zabrałeś rurkę i zatkałeś dziurę, tak?

Mark nie skomentował tego.

- Wiemy, że on jest kawalarzem. Więc może jakoś wy dostał się z tej trumny, ale chciał, żeby wyglądało, jak gdyby był tam nadal?

Mark patrzył na nią z bezgranicznym podporządkowaniem.

- Świetny dowcip. Więc się wydostał i wie, że to ja zabrałem rurkę do oddychania. Więc musi też wiedzieć, dlaczego to zrobiłem.

- Mylisz się. Skąd miałby wiedzieć, że to byłeś ty? Przecież w lesie mógł być każdy.

- Przestań, Ashley, bądź realistką. Ktoś idzie przez las, potyka się o grób, w którym jest trumna, z której wystaje rurka do oddychania, i co? Usuwa tę rurkę i usypuje tonę ziemi na powierzchni trumny?

- Po prostu głośno się zastanawiam.

Mark wpatrywał się w nią i nagle przyszło mu do głowy, że Ashley i Michael wspólnie coś zaplanowali, żeby to on wpadł w pułapkę. Potem pomyślał o tych wszystkich dniach i wieczorach, które spędził z Ashley, przypomniał sobie słowa, które mu mówiła, sposób, w jaki się z nim kochała, ich plany i to, jak pogardliwie wyrażała się o Michaelu, i odrzucił podejrzenia.

- Jest też inne wytłumaczenie - zasugerowała. - Pozostali, Pete, Luke, Josh i Robbo, wiedzieli, że się spóźnisz. Być może faktycznie chcieli zrobić dowcip tobie i Michaelowi, tyle że żart spalił na panewce?

- W porządku. Nawet jeśli Michaela nie było w trumnie, kiedy tam byłem, nawet jeśli wydawało mi się, że słyszę jego krzyk, to w takim razie gdzie, do cholery, jest teraz? Gdzie był od wtorkowej nocy? Dlaczego nie odezwał się, nie przyszedł na ślub? Możesz mi wytłumaczyć?

- Nie. Chyba, że pozostali przygotowali niespodziankę i dla ciebie i jest on teraz związany lub zamknięty w jakimś innym miejscu.

- Albo uciekł?

- Nie uciekł - powiedziała Ashley. - Na pewno.

- Skąd masz pewność?

- Bo mnie kocha. Naprawdę kocha. Dlatego wiem, że nie uciekł. Zasypałeś dół jak trzeba?

Mark zawahał się, potem skłamał. Nie chciał przyznać się, że uciekł w panice.

- Tak.

- Więc albo musimy czekać, albo go odnajdziesz i załatwisz.

- Załatwię?

Jej wzrok mówił wszystko.

- Nie jestem zabójcą, Ashley. Mogłbym zrobić wiele rzeczy...

- Mogłbyś nie mieć wyboru, Mark. Pomyśl o tym.

- Nie mógłby mnie oskarżyć. Nie będzie nic pamiętać. - Zamilkł. Po chwili zapytał: - Mogę przeczekać tu u ciebie?

Podeszła do niego, zarzuciła mu ręce na ramiona i delikatnie masowała jego szyję. Potem pocałowała go.

- Chciałabym, żebyś został - wyszeptala - ale to byłoby szaleństwo. A gdyby Michael wrócił? Albo przyszła policja?

Mark odwrócił głowę i próbował pocałować ją w usta. Pozwoliła mu na szybkie muśnięcie i zaraz się odsunęła.

- Idź. Uciekaj! Znajdź Michaela, zanim on ciebie znajdzie.

- Nie mogę, Ashley.

- Możesz. Już to zrobiłeś we wtorek w nocy. Mogło się nie udać, ale udowodniłeś, że możesz to zrobić. Więc idź i zrób to jeszcze raz.

Podszedł do stojących przy drzwiach ubłoconych kaloszy, a Ashley podała mu przemoczoną, brudną kurtkę.

- Musimy być ostrożni i uważać na to, co mówimy przez telefon. Policja czuwa, być może rozmowy są nagrywane - powiedziała. - Dobrze?

- Dobra myśl.

- Pomówimy rano.

Mark otworzył ostrożnie drzwi, jak gdyby bał się, że stoi za nimi Michael z pistoletem lub nożem w ręce. Ale była tylko poświata latarni, nikły blask zaparkowanych samochodów i spokój miasta przerywany przez jazgot walczących ze sobą kotów.

Co dwa miesiące Roy Grace zabierał swoją chrześnicę Jaye Somers na niedzielną wycieczkę. Jej rodzice, Michael i Victoria, byli policjantami, jednymi z najbliższych przyjaciół jego i Sandy, a po jej zniknięciu bardzo go wspierali. Mieli czworo dzieci w wieku od dwóch do jedenastu lat i traktował ich jak rodzinę. Dzisiaj musiał jednak rozczarować Jaye; wyjaśnił dziewczynce, że będzie mógł spędzić z nią tylko kilka godzin, a potem musi wrócić do pracy i pomóc komuś, kto jest w potrzebie.

Nigdy nie uprzedzał jej, dokąd pojedą, a ona uwielbiała zabawę w zgadywanie przez pierwsze minuty jazdy.

- Myślę, że pojedziemy obejrzeć zwierzęta! - powiedziała Jaye.

- Tak sądzisz?

- Tak.

Była bardzo ładna. Miała długie blond włosy, buzię jak cherubinek i zaraźliwy śmiech. Ubrała się elegancko, jak zwykle zresztą, w zieloną sukienkę z białymi dodatkami i małe różowe adidas. Czasami zachowywała się niezwykle poważnie i Grace miał wrażenie, że to dorosła osoba, a nie dziecko.

- O czym myślisz?

- Mhm, pozwól, że się zastanowię. - Jaye pochyliła się do przodu, wybrała CD i przycisnęła klawisz. Pierwszy był album grupy Blue. - Lubisz Blue?

- Pewnie.

- Lubię też Scissors Sisters.
  - Lubisz?
  - Są super. Znasz ich?
- Grace przypomniał sobie, że Glenn też ich lubił.
- Oczywiście.
  - Z całą pewnością jedziemy obejrzeć zwierzęta.
  - A jakie zwierzęta, twoim zdaniem, zobaczymy?
- Kołysała rękami w rytm melodii.
- Żyrafy.
  - Chcesz zobaczyć żyrafy?
  - Żyrafy nie mają za dużo snów - poinformowała go.
  - Nie mają? Rozmawiasz z żyrafami na temat ich snów?
  - W szkole robimy projekt o zwierzęcych snach. Psy śnią bardzo dużo. Koty też.
  - Ale żyrafy nie?
  - Nie.
- Uśmiechnął się.
- W porządku, tylko skąd o tym wiesz?
  - Po prostu wiem.
  - A lamy?
- Wzruszyła ramionami.
- Był przyjemny wiosenny poranek, ciepłe słońce padało prosto na przednią szybę, Grace wyciągnął więc okulary przeciwsłoneczne ze schowka. Wyglądało na to, że zła pogoda już minęła. Jaye też była jak słoneczna pogoda, uwielbiał jej towarzystwo. Zwykle podczas tych kilku wspaniałych godzin spędzonych z nią zapominał o kłopotach.
- A co słyszać w szkole?
  - Takie tam rzeczy.
  - Jakie rzeczy?
  - Nudno jest.
  - Ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, mówiłaś, że w szkole jest fajnie.
  - Nauczyciele są głupi.



- Wszyscy?
- Z wyjątkiem pani Dean. Ona jest miła.
- Czego uczy?
- O snach żyraf - zachichotała.

Grace zatrzymał się w korku przed rondem.

- To wszystko, czego uczy?

Jaye milczała przez chwilę, a potem powiedziała nagle:

- Mama mówi, że powinieneś się znowu ożenić.
- Tak mówi? - odpowiedział zdziwiony.

Jaye zdecydowanie kiwnęła głową.

- A co ty o tym myślisz?
- Myślę, że byłbyś szczęśliwy, gdybyś miał dziewczynę.

Wjechali na rondo i Grace skręcił w drugi zakręt obwodnicy Brighton.

- No, kto wie?
- Dlaczego nie masz dziewczyny?
- Ponieważ... - zawahał się. - Widzisz... no wiesz... znalezienie właściwej osoby nie jest takie proste.

- A ja mam chłopaka - obwieściła.

- Masz? Opowiedz mi o nim.
- Nazywa się Justin. Chodzi do tej samej klasy. Powie-

dział, że chce się ze mną ożenić.

Grace spojrział na nią z ukosa.

- A ty chcesz go poślubić?

Energicznie potrząsnęła głową.

- On jest obrzydliwy!

- Jest twoim chłopakiem, chociaż jest obrzydliwy? To jaki to chłopak?

- Myślę, żeby to zakończyć - powiedziała śmiertelnie poważnie.

To był kolejny powód, dla którego Grace uwielbiał godziny spędzone z Jaye; czuł, że to go trzyma blisko świata młodych. Ale teraz przez chwilę czuł się zagubiony. Czy mając osiem lat, miał dziewczynę? Mowy o tym nie było.

Nagle zadzwoniła komórka. Odebrał, trzymając ją przy uchu; nie chciał używać aparatu głośnomówiącego, na wypadek złych wiadomości, które mogłyby zdenerwować Jaye.

- Roy Grace.

- Halo? Inspektor Grace? - powiedział młody kobiecy głos.

- Przy telefonie.

- Mówi Boutwood.

- Emma-Jane? Witam w zespole.

Jej głos brzmiał nerwowo.

- Dziękuję. Jestem na posterunku policji w Sussex. Nicholl poprosił mnie, żebym przyjechała, jest jakiś postęp w śledztwie.

- Proszę mi powiedzieć.

Jeszcze bardziej nerwowo relacjonowała:

- To nie jest dobra wiadomość. Jacyś turyści znaleźli ciało w lesie Ashdown Forest około dwóch mil od Crowborough.

Dokładnie w centrum podejrzanego terenu - pomyślał Grace.

- To młody mężczyzna dobrze po dwudziestce lub przed trzydziestką. Opis pasuje do Michaela Harrisona.

Patrząc na Jaye, Grace zapytał:

- W jakim jest stanie?

- Nie wiem. Doktor Churchman jest już w drodze. Nicholl pyta, czy będzie pan mógł przyjechać?

Grace znowu popatrzył na Jaye. Nie miał wyboru.

- Będę za godzinę.

- Dziękuję.

Kiedy się rozłączał, Jaye poinformowała go z powagą:

- Mama mówi, że nie wolno używać komórek, kiedy się prowadzi samochód. To jest bardzo niebezpieczne.

- Twoja mama ma rację. Jaye, przykro mi, ale muszę odwieźć cię do domu.

- Nie widzieliśmy jeszcze żyraf.

Włączył kierunkowskaz, skręcił przy drugim zjeździe i zawrócił.

- Przepraszam. Zaginął młody mężczyzna i ja muszę pomóc go odnaleźć.

- Mogę ci pomóc?

- Nie tym razem, Jaye, przepraszam.

Wziął telefon i wybrał numer domowy Jaye. Na szczęście jej rodzice byli w domu. Grace przedstawił Victorii przygotowaną wersję wydarzeń i obiecał, że zabierze Jaye w następną niedzielę. Z pewnością pojedą obejrzeć żyrafy.

Dziesięć minut później biegła w stronę drzwi frontowych, a na jej buzi malowało się rozczarowanie.

Czuł się podle.

Ublocony samochód policyjny stał na poboczu szosy, tuż przy drodze prowadzącej do lasu. Kierujący akcją policjant poprowadził Grace'a drogą zalaną wodą i pełną kolein. Jechali około mili. Samochód ledwie dawał radę pokonać błoto, miska olejowa wciąż zahaczała o ziemię, przednie koła ślizgały się i obracały, tracąc przyczepność. Błoto rozpryskiwało się na maskę i na przednią szybę. Grace klął, bo właśnie odebrał wóz z dość drogiej myjni. Po chwili coś ze zgrzytem otarło bok auta, a brzmiało to jak pociągnięcie gwoździem. Znowu zaklął. Był wściekły, że rozczarował Jaye, ale jeszcze bardziej zły z powodu odnalezienia ciała. Może to nie jest Michael Harrison, powtarzał sobie. Ale musiał przyznać, że trudno było uniknąć skojarzeń. Dokładnie w tej okolicy widziano Michaela Harrisona, a znalezione ciało odpowiadało wiekiem i wzrostem.

Nie brzmiało to dobrze.

Kiedy pokonali zakręt, zobaczył kilka samochodów i żółtą taśmę, którą otoczono teren zbrodni. Dwa radiowozy, biały van i zielony, poobijany, prawdopodobnie należące do przedsiębiorstwa pogrzebowego, a także sportowy kabriolet marki Lotus Elise, który należał do Nigela Churchmana, tutejszego patologa, który uwielbiał takie wozy.

Grace oczekiwał, że poczuje mdły odór śmierci, a tymczasem pachniało tu sosnami, kwiatami i ziemią. Zwykły

zapach lasu. Ktokolwiek to był, musiał umrzeć niedawno, pomyślał. Wsiadł z auta i mokasyny natychmiast zapadły mu się w bagnistą ziemię. Wyjął z bagażnika płaszcz ochronny i kalosze; ubrał się i poszedł w kierunku pracujących policjantów. Joe Tindall, także ubrany w ochronne ciuchy, trzymał w ręku kamerę.

- Cześć! Masz, widzę, cudowny weekend! - powiedział Grace.

- Obaj mamy. - Głos Tindalla brzmiał kwaśno. - Wiesz, że moja mama chciała, żebym został księgowym?

- Nie wyobrażam sobie ciebie jako zgreda przy kasie.

- A podobno większość księgowych prowadzi normalne życie.

- Co to znaczy normalne życie?

- Kiedy spędzasz niedziele w domu z żoną i dziećmi.

- Wszyscy moi znajomi, którzy mają dzieci - odpowiedział Grace - nie mogą się doczekać, żeby pozbyć się ich choć na jeden dzień. A zwłaszcza w niedzielę. - Poklepał kolegę po plecach. - Co w niedzielę dla jednych jest ulgą, dla drugich jest piekłem.

Tindall popatrzył na ciało ledwie widoczne w gęstym poszyciu leśnym.

- Dla niego ta niedziela z pewnością nie wypadła najlepiej.

- Istotnie, to może nie najlepsza uwaga w tych okolicznościach - powiedział Grace, podchodząc do trupa, obok którego klęczał Churchman. Patolog badał zwłoki, mówiąc do trzymanego w dłoni dyktafonu.

Zabity, młody, odrobinę otyły mężczyzna, miał krótkie, sztywne, jasne włosy, a ubrany był w kraciatą koszulę, dżinsy i brązowe buty. Leżał na plecach z otwartymi ustami i zamkniętymi oczami. Jego skóra miała kolor wosku. W prawym uchu tkwił złoty kolczyk. Okrągła twarz zachowała chłopięcy wyraz.

Grace próbował przypomnieć sobie Michaela Harrisona widzianego na zdjęciu: kolor włosów był ten sam, wzrost

i wiek też, ale Harrison wydawał się bardziej przystojny. Chociaż śmierć zmieniała ludzi, skóra marszczyła się, robili się jakby mniejsi.

Churchman spojrzał na Grace'a.

- Hej, Roy, jak się masz?

- W porządku, a ty?

Patolog wymownie wzruszył ramionami.

- Co mamy?

- Zbyt wcześnie, żeby coś powiedzieć. - Delikatnie podniósł głowę mężczyzny. Grace przełknął ślinę, widząc chmurę małych, żarłocznych muszek. Mężczyzna miał głębokie, nierówne wgniecenie w czaszce, pokryte splątanymi włosami i ciemną, zakrzepłą krwią.

- Otrzymał mocny cios tępym narzędziem - powiedział Churchman, a potem dodał ironicznie: - Nie było to korzystne dla jego zdrowia.

- Wiesz, dochodzę do wniosku, że robisz się coraz bardziej zjadliwy.

Churchman uśmiechnął się szeroko, traktując to jak komplement.

- Mówisz jak moja żona.

- Myślałem, że się rozwiedliście?

- Bo się rozwiedliśmy.

Przerwały im trzaski krótkofalówki; jeden z policjantów zdawał komuś raport. Grace ponownie spojrzał na ciało. Przyglądał się twarzy, ubraniu, taniemu zegarkowi na tanim pasku. Na prawym przegubie zmarłego dostrzegł bransoletkę z zielonych koralików. Tak, ciało znaleziono w miejscu sugerującym, że może to być Michael Harrison, ale czy rzeczywiście był to on?

- Nic przy nim nie znaleźliście? Żadnej karty kredytowej albo dokumentów?

- Nic.

Grace zastanawiał się, czy Harrison mógł się tak ubrać na wieczór kawalerski? Przecież był to facet z klasą, ten zaś

wyglądał na niezbyt eleganckiego gościa. Kimkolwiek był, nie zasługiwał na to, żeby tu leżeć z rozbitą głową, wydany na pastwę much.

- Możesz określić, jak długo tu leży?

- Przez noc. Nie dłużej. Nie ma jeszcze larw, nie ma przebarwień skóry, a biorąc pod uwagę wysoką temperaturę w ostatnich dniach i wilgotne powietrze, ciało natychmiast zaczęłoby się rozkładać. Był tu góra do dwudziestu czterech godzin, może nawet krócej.

Grace zaczął sobie przypominać wszystkich młodych mężczyzn w wieku od dwudziestu do trzydziestu lat, którzy zaginęli w ciągu ostatnich kilku tygodni. Znał te statystyki aż nazbyt dobrze. Corocznie w Anglii uznaje się za zaginionych ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Jednej trzeciej z nich nigdy się nie odnajdzie; niektórzy zmarli, a ich ciała były gdzieś dobrze ukryte, inni uciekli, a jeszcze inni zmienili tożsamość i wyjechali.

W tym przypadku czas zgonu pasował. Wygląd już mniej. Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

- Zabierzmy go do kostnicy - powiedział. - Musimy ściągnąć kogoś do identyfikacji.

Mark, owinięty tylko ręcznikiem, wyszedł spod prysznica i poszedł do szatni. Spocił się, choć mecz był wyjątkowo kiepski. Grał ze swoim coniedzielnym przeciwnikiem Tobiasem Kormindem, w połowie Duńczykiem, a w połowie Amerykaninem, bankierem w sprawach inwestycyjnych. Zwykle z nim przegrywał, ale rozgrywał chociaż jednego seta, dzisiaj był tak rozkojarzony, że zagrali jedynie dwa gemy.

Mark lubił Tobiasa, ponieważ nie należał on do przyjaciół Michaela. Poza tym był kreatywny i miał powiązania z bankowym światem Londynu; często udzielał Markowi mądrych rad, jak rozwinąć firmę, nie ograniczając się jedynie do Brighton, jak zbudować międzynarodowe imperium nieruchomości. Michael jednak nie słuchał takich rad, nie chciał zagrać na giełdzie. Chciał po prostu iść drogą, którą obrał, robiąc od czasu do czasu interes, a dopiero potem planować następny.

Tobias przyjaźnie poklepał Marka po plecach.

- Chyba byłeś mało skoncentrowany?
- Chyba tak, przepraszam.
- Rozumiem, okropne rzeczy zdarzyły się w tym tygodniu. Straciłeś w końcu czterech najlepszych przyjaciół, a twój partner w interesach zniknął. - Tobias stał nagi i energicznie wycierał głowę ręcznikiem. - A co robi policja? Musisz na nich naciskać. Pewnie mają dużo roboty, ale starają się tylko wtedy, kiedy się ich naciska.



Mark uśmiechnął się.

- Ashley to energiczna dziewczyna, robi im prawdziwe piekło.

- A jak ona się czuje?

- Trzyma się, tylko tyle. Wczoraj było jej ciężko, niektórzy ludzie, których nie zdążyła zawiadomić, przyszli jednak na ślub.

Tobias nie znał ani Michaela, ani Ashley, nie mógł więc nic dodać ponad:

- Wygląda to kiepsko, jeżeli nie pojawił się na ślubie.

Mark kiwnął głową. Otworzył szafkę i w tej samej chwili komórka, którą tam zostawił, zapiknęła dwa razy. Miał cztery wiadomości.

Przeprosił Tobiasa, odszedł na bok i wyświetlił pierwszą: matka pytała go, czy są jakieś wiadomości i przypominała o niedzielnym lunchu. Następna była od Ashley: „Mark? Mark? Och, pewnie jesteś na korcie, zadzwoń do mnie, jak otrzymasz tę wiadomość”. Kolejna także od Ashley: „To znowu ja”. I czwarta: „Mark, proszę cię, zadzwoń. To naprawdę pilne”.

Żegnając się z Tobiasem, czuł, że nogi ma jak z waty. Czyżby Michael wrócił?

Całą noc rozmyślał, jak Michael wy dostał się z trumny, co wiedział i co powiedziałby, gdyby się spotkali? Czy uwierzyłby, że Mark nie znał planów kumpli? Gdyby nie ten jeden e-mail! Mark i pozostali wysłali kilka wiadomości, dokuczając Michaelowi w sprawie wieczoru kawalerskiego, ale tylko ta jedna była dla niego zabójcza.

Zadzwoił do Ashley, bojąc się najgorszego. Odebrała roztrzęsiona, ale dziwnie oficjalna. Domyślił się, że to na wypadek, gdyby ktoś podsłuchiwał ich rozmowę.

- Ja... ja dokładnie nie wiem, o co chodzi - zaczęła. - Jaką godzinę temu zadzwoniła do mnie inspektor Emma-Jane jakaś... hm... - Chwilę milczała, a Mark słyszał szelest papieru. - Inspektor Boutwood. Pytała mnie, czy Michael nosił kolczyk. Powiedziałam, że na początku naszej znajomości nosił, ale namówiłam go, żeby zdjął, bo to do niego nie pasowało.

- Pamiętam - powiedział Mark.
- Sądzisz, że mógł go założyć na ten wieczór kawalerski?
- Możliwe. Wiesz, że zawsze lubił na imprezy ubierać się trochę dziwnie. Dlaczego pytasz?
- Znaleźli ciało w lesie niedaleko Crowborough, pasuje do opisu Michaela. - Zaczęła płakać. To było wspaniałe przedstawienie, jeżeli ktokolwiek ich podsłuchiwał.
- O Jezu! Są pewni, że to on?
- Z trudem powstrzymując łkanie, powiedziała:
- Nie wiem. Poproszono matkę Michaela, żeby pojechała do kostnicy zidentyfikować ciało. Zadzwoiła, żebym z nią pojechała. Chcą, żebyśmy były jak najszybciej.
- Chcesz, żebym przyjechał? Mogę was zawieźć.
- Jeśli mógłbyś... Ja... ja nie sądzę, żebym potrafiła prowadzić, a Gili jest załamana. O, Boże, Mark, to jest takie okropne. - I znowu zaczęła płakać.
- Ashley, będę tak szybko, jak zdołam. Najpierw pojedę po Gili, a potem po ciebie. Przyjadę za pół godziny.
- Ashley płakała tak głośno, że nie był pewien, czy w ogóle go słyszała.

Wracając do Brighton, Grace zadzwonił do Jaye i raz jeszcze przeprosił ją za odwołanie wycieczki.

- Jak nazywa się ten zaginiony chłopak? - zapytała.

Grace zawahał się, ale uznał, że nie zrobi jej krzywdy, odpowiadając.

- Michael.

- Dlaczego on się ukrywa, wujku Roy? Czy był niegrzeczny?

Uśmiechnął się. Dzieci widziały świat w prostszy sposób niż dorośli. Ale to było dobre pytanie. Pracując w policji tyle lat, nauczył się nigdy nie traktować niczego na podstawie pierwszego wrażenia; należało obejrzeć każdy kamyk, otworzyć wszystkie drzwi, zachować czujność. Nadal należało traktować Michaela jako potencjalną ofiarę albo kogoś, kto sam to wszystko zorganizował.

- Nie jestem pewny - odpowiedział.

- A co się stanie, jeżeli nie znajdziesz Michaela?

Niewinne pytanie, a jednak zrobiło na nim wrażenie.

- Myślę, że wszystko skończy się dobrze. - Nie chciał mówić na temat znalezionej ciała.

- A jeżeli nie? - upierała się. - Jak długo będziecie go szukać?

- Tak długo, jak to będzie konieczne.

- To może być długo, jeżeli dobrze się ukrył, prawda?

- Możliwe.

- A to znaczy, że nie zobaczymy żyraf przez kilka następnych lat?

Kiedy tylko skończył rozmowę z nią, zadzwonił do Emmy - Jane Boutwood.

- Czego dowiedziałas się na temat kolczyka?

- Swego czasu Michael Harrison nosił mały, złoty kolczyk, ale narzeczona poprosiła go, żeby go wyjął. Możliwe jednak, że założył go na wieczór kawalerski.

Niedobra wiadomość, pomyślał Grace.

- W porządku. Jeszcze jedno. Znamy numery telefonów Marka Warrena i Ashley Harper, muszę mieć bilingi - zawałał się na moment - od zeszłej soboty.

- Myślę, że to się dziś nie uda. Dopiero jutro rano. Już przed weekendem miałam problemy, by się czegoś dowiedzieć.

- Zrób, co się da.

- Spróbuję.

Dziesięć minut później, drugi raz w ciągu tego weekendu, Grace jechał w kierunku kostnicy w Brighton. Nawet w jasnym, majowym słońcu budynek wyglądał niezwykle ponuro, jak gdyby szary tynk wchłaniał promienie, które ośmielały się tu docierać.

Miał nadzieję, że znów zobaczy Cleo Morley. Bardzo na to liczył i kilka chwil później, ku jego zachwytowi, rzeczywiście otworzyła mu drzwi. Ubrana była jak zawsze w fartuch i białe buty; swoją drogą nigdy nie widział jej w innym stroju. Była chyba zadowolona, widząc go.

Wprowadziła go do swego biura o różowych ścianach.

- Herbatę? Kawę? Coś zimnego?

- A masz może kornwalijską herbatę ze śmietaną?

- Pewnie. Są też babeczki z dżemem truskawkowym i śmietaną.

- I ciasteczka tostowe?

- Oczywiście. - Odrzuciła blond włosy, nie odwracając od niego wzroku. Wyraźnie z nim flirtowała. - Więc to jest twój pomysł na odpoczynek w niedzielne popołudnie?

- Oczywiście. Nie wszyscy jeżdżą w niedzielne popołudnie na wieś.

- Cóż, większość ludzi woli wachać kwiaty i podziwiać naturę, a nie oglądać zwłoki.

- Naprawdę? - zdziwił się. - Wiedziałem, że coś jest ze mną nie tak.

- Ze mną też.

Zapadła cisza. Czajnik słabo syczał, para kapiała z plastikowego dziubka.

- Mówiłaś, że nie jesteś mężatką, a czy kiedykolwiek byłaś? - Postanowił skorzystać z okazji. - Masz rodzinę?

Spojrzała na niego ciepło.

- Chodzi ci o to, czy mam byłego męża, dwoje dzieci, psa i chomika?

- Coś w tym stylu. - Grace uśmiechnął się, ściskanie w żołądku ustąpiło.

- Mam złotą rybkę. Czy to się liczy jako rodzina?

- Rybkę? Ja też.

- Jak się nazywa?

- To jest on. Marlon.

Wybuchnęła śmiechem.

- To absurdalne imię dla złotej rybki.

- Na szczęście on o tym nie wie - odpowiedział Grace.

Potrząsnęła głową, szeroko się uśmiechnęła. Woda w czajniku zaczęła się gotować.

- Właściwie to jest szalone.

- A jak nazywa się twoja?

Przez kilka chwil prowokowała go wzrokiem, zanim powiedziała nieśmiało.

- Rybka.

- Rybka? - powtórzył Grace jak echo. - To ma być imię?

- Jej imię.

- W porządku. Cóż, łatwe do zapamiętania.

- Nie tak wyszukane jak Marlon.

- W porządku, podoba mi się. Bez wątpienia coś w tym jest. - A potem desperacko rzucił: - Sądysz, że mogłabyś umówić się ze mną na drinka w tym tygodniu?

- Z przyjemnością!

- Wspaniale. W porządku. Kiedy będzie dobrze... to znaczy... może jutro?

- Lubię poniedziałki.

- Wspaniale. Świetnie! Hm... - Gorączkowo zastanawiał się, gdzie by tu pójść. W Brighton było trochę fajnych barów, ale teraz nie mógł przypomnieć sobie ani jednego. Jakiś cichy bar? Może gwarny? Może do pubu, tak jak myślał na początku. - Gdzie mieszkasz?

- W dzielnicy Level.

- Znasz pub The Greys?

- Oczywiście.

- Co powiesz na spotkanie tam, na przykład o ósmej?

- Będę.

Czajnik zagwizdał i oboje się uśmiechnęli. Kiedy przygotowywała herbatę, zadzwonił dzwonek u drzwi. Wyszła otworzyć i wróciła w towarzystwie Nicholla.

- Dzień dobry, Roy - powiedział, witając się z szefem.

- Chcesz herbaty? Mają tu dzisiaj dobrą obsługę.

- Earl grey? - zapytała Cleo. - Zielona? Rumiankowa? Darjeeling?

Młody inspektor, zawsze bardzo poważny, popatrzył zmieszany i zapytał:

- A ma pani jakąś zwykłą herbatę?

- Już podaję jedną zwykłą - roześmiała się Cleo.

- Co załatwiłeś? - zapytał Grace.

- Gillian Harrison, matka Michaela Harrisona, jest już w drodze.

- Zrobiłam, co się dało, żeby zwłoki dobrze wyglądały - powiedziała Cleo.

Była w tym mistrzynią. Potrafiła tak przygotować ciało, że nawet mocno poranione i pokiereszowane wyglądało na

nietknięte i pełne spokoju, co było ważne dla najbliższych czy krewnych przychodzących w celu identyfikacji.

Poszli do małego pokoju, który pełnił podwójną funkcję. Tu odbywały się identyfikacje, była to też kaplica dla ludzi, którzy szukali w takiej chwili ukojenia.

Ciało mężczyzny leżało na stole, jego głowa spoczywała na poduszce, która sprytnie ukrywała wgniecenie w tyle jego czaszki. Cleo umyła jego twarz i ręce, oczyściła włosy i ubranie. Sprawiał wrażenie człowieka, który zwyczajnie uciął sobie drzemkę po wypiciu kilku piw w barze, stwierdził w duchu Grace.

- Emma-Jane pracuje nad sprawą połączeń telefonicznych - powiedział Nick Nicholl.

- Musimy wiedzieć, z której strony wiatr wieje, zanim podejmiemy dalsze decyzje - powiedział Grace. - Najpierw musimy się dowiedzieć, czy to w ogóle jest nasz poszukiwany.

W oddali rozległ się dzwonek do drzwi frontowych

- Myślę, że zaraz się to okaże - powiedziała Cleo i wyszła.

Chwilę później wprowadziła śmiertelnie bladą Gili Harrison i Ashley Harper z kamienną twarzą. Matka Michaela Harrisona wyglądała niechlujnie, jakby właśnie skończyła pracę w ogrodzie. Włosy miała rozczochrane, ubrana była w brudną wiatrówkę zarzuconą na białą podkoszulkę, brązowe spodnie z poliestru i zdarte pantofle. W przeciwieństwie do niej Ashley miała na sobie elegancki granatowy kostium i białą bluzkę.

Kobiety przywitały Grace'a, skłaniając tylko głowy, a on obserwował je uważnie. Cleo podprowadziła je do szyby, coś cicho powiedziała.

Gili Harrison, szlochając, odwróciła się.

Ashley potrząsnęła głową i także odwróciła się, obejmując pocieszającym ramieniem matkę swego narzeczonego.

- Jest pani całkowicie pewna, pani Harrison? - zapytała Cleo.

- To nie jest mój syn - szlochała Gili Harrison. - To nie on. Nie Michael, to nie on.

- To nie jest Michael - potwierdziła Ashley. Potem zatrzymała się przed Grace'em i raz jeszcze powiedziała: - To nie jest Michael.

Grace widział, że mówiły prawdę. Tyle że zaskoczył go wyraz twarzy Ashley Harper. Nie był to bowiem wyraz ulgi.



Dwie godziny później Grace, Glenn Branson, który właśnie wrócił z Solihull, Nick Nicholl, Bella Moy i Emma-Jane Boutwood siedzieli w swoim punkcie operacyjnym. Grace uśmiechnął się, żeby dodać otuchy Emmie-Jane, szczupłej, atrakcyjnej dziewczynie o skupionej twarzy. Głośno odczytywała raport, który jej podyktował po wyjściu z kostnicy. Tak właśnie lubił prowadzić śledztwo - zawsze na bieżąco wszystko zapisywać.

- Jest sobota, 29 maja, godzina 18.15 - czytała głośno. - Pierwsze sprawozdanie z operacji Salsa w sprawie zniknięcia dwudziestodwuletniego Michaela Harrisona. Piąty dzień od jego zniknięcia. Do tej pory ustalono...

Przez kilka minut Grace przypominał sobie wydarzenia, które doprowadziły do zniknięcia Michaela, potem zaczął je analizować.

- Dotąd nie mamy żadnych dowodów, że popełniono zbrodnię, chociaż mam pewne wątpliwości co do Marka Warrena, partnera w interesach, i jego narzeczonej Ashley Harper. Nie wierzę też Bradleyowi Cunninghamowi, wujowi Ashley, który pochodzi ponoć z Kanady. Mam przeczucie, że nie jest tym, za kogo się podaje. Ale to tylko przeczucie.

Zrobił przerwę, wypił kilka łyków wody i kontynuował.

- Środki, którymi dysponujemy: dostaliśmy dodatkowych policjantów. Prowadzimy poszukiwania w okolicy miejsca wtorkowego wypadku, przez kolejne dni

poszerzając rejon. Teraz, dzięki pomocy nurków z policji Sussex zostaną sprawdzone wszystkie najbliższe rzeki, jeziora i zbiorniki wodne. Poprosimy także o dalsze poszukiwania z helikoptera, pogoda poprawiła się, więc lepsza widoczność może coś zmienić.

Grace przeszedł do następnych punktów: narady będą odbywały się codziennie o 8.30 i krótkie o 18.30. Od piątku pomagają im też informatyk, a na najbliższy tydzień przewidziane jest nagłośnienie sprawy w telewizyjnym programie, naturalnie jeśli Michael Harrison się nie odnajdzie.

Próbki ziemi pobrane z samochodu Marka Warrena zostały poddane analizie i porównane z próbkami ziemi z ubrań i spod paznokci czterech nieżyjących mężczyzn. Raport wstępny Hilary Flowers powinien dotrzeć w poniedziałek.

Następnie Grace wyjaśnił, co go niepokoi w zachowaniu Marka Warrena i Ashley Harper, przedstawił też sprawę rachunku bankowego na Kajmanach.

Wreszcie, podsumowując, powiedział:

- Moim zdaniem możliwe są następujące scenariusze:

Pierwszy: Michael Harrison został gdzieś uwięziony i nie może sam się uwolnić.

Drugi: Michael Harrison nie żyje. Jest to efekt uwięzienia lub morderstwo.

Trzeci: Michael Harrison sam z własnej woli zniknął.

Potem zapytał, czy współpracownicy mają jakieś pytania. Glenn Branson zapytał, czy ciało znalezione w lesie ma jakiś związek ze sprawą Harrisona.

- Nie. Chyba że w lesie Ashdown Forest grasuje seryjny morderca, którego celem są dwudziestodziewięcioletni mężczyźni. Ale to mało prawdopodobne.

Mimo powagi sytuacji odpowiedź wzbudziła śmiech.

- Kto więc zajmie się sprawą tego mężczyzny? - zapytał Branson.

- Ci z wydziału wschodniego - odparł Grace. - My mamy dość swojej roboty.

- Roy, a może dobrze byłoby śledzić Ashley Harper i Marka Warrena? - zaproponował Branson.

Brał już pod uwagę zlecenie całodobowej obserwacji, ale wymagałoby to zaangażowania około trzydziestu ludzi, trzech zespołów pracujących na trzy zmiany. A to oznaczało też dodatkowe koszty. Grace wiedział z doświadczenia, że szefowie zatwierdzali obserwację tylko wtedy, kiedy naprawdę była niezbędna, na przykład podczas rozpracowywania handlarzy narkotyków lub gdy stawką było życie ludzkie. Chociaż jeżeli w najbliższym czasie niczego nie osiągną, może będzie musiał zwrócić się z taką prośbą.

- Owszem - powiedział - ale jeszcze z tym poczekajmy. Na razie chciałbym przyjrzeć się materiałowi filmowemu z kamer zainstalowanych w Brighton i Hove. Powiedzmy, tak od rana, aż do pierwszej w piątek. Mark Warren wyjeżdżał gdzieś swoim samochodem. Chciałbym wiedzieć dokąd. I jeszcze jedno. Michael Harrison trzyma jacht w Sussex. Trzeba sprawdzić, czy nadal tam jest. Wyszlibyśmy na durniów, organizując poszukiwania, gdyby się okazało, że zwiął własną łodzią.

Spojrzał na Emmę-Jane Boutwood.

- Nadal interesują nas ich telefony komórkowe. Wiesz już coś na ten temat?

- Jeszcze nie. Zacznę jutro z samego rana, dzisiaj nikt nie mógł mi pomóc.

Grace popatrzył na zegarek.

- Jutro muszę być o 10.00 w sądzie, może nie będę tam potrzebny przez cały dzień. Więc najpierw spotkamy się tu o 8.30. Naszym współpracownikiem w wydziale wschodnim jest inspektor Ian Bradley - zwrócił się do Bransona. - Właśnie zaczął pracę ze swoim zespołem, bądź dla niego uprzejmy, jeżeli będziesz z nim rozmawiał.

- Zadzwoń do niego za kilka minut.

Grace przeglądał raport, sprawdzając, czy nie pominął jakiejś sprawy. Potrzebował więcej informacji o Michaelu Harrisonie - o jego życiu prywatnym, jak mu się układało w

interesach, zwłaszcza z Markiem Warrenem. No i na temat Ashley Harper. Zerknął na zespół.

- Jest prawie 19.30. Sądzę, że powinniście iść do domu, odpocząć. Myślę, że czeka nas ciężki tydzień. Dzięki, że poświęciliście niedzielę.

- I co ci podpowiada twoja intuicja, Stary Mądry Człowieku? - zapytał Branson, kiedy szli na parking.

Grace włożył ręce do kieszeni i stwierdził:

- Myślałem, że jestem już bliski rozwiązania sprawy... a co mówi twoja intuicja?

- Człowieku! Dlaczego zawsze mi to robisz? Nie możesz po prostu odpowiedzieć na pytanie?

- Nie wiem.

- Cholera, czasami naprawdę mnie wkurzasz.

- Ach, więc to tak? Ty spędziłeś miły weekend z rodziną, zostawiając mi robotę, ale to ja jestem wkurzający.

- Miły weekend z rodziną. Tak nazywasz trzygodzinną jazdę autostradą tam i z powrotem z kłótniwą żoną i dwoma wrzeszczącymi dziećmi? Następnym razem ty zawieź ich do Solihull, a ja zostanę tutaj, robiąc to, co mi przydzielisz. Umowa?

- Umowa.

Branson nie miał jednak zamiaru odpuścić.

- No więc, co sądzisz o tej sprawie?

- To nie jest tak, jak się wydaje.

- To znaczy?

- Jeszcze nie mogę tego sprecyzować jaśniej. Ale mam jakieś podejrzenia wobec Marka Warrena i Ashley Harper.

- Podejrzenia?

- Bardzo poważne podejrzenia.

Grace przyjacielsko poklepał kolegę po plecach, wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku wyjazdu z parkingu. Wjechał na główną drogę. Słońce ciągle jeszcze było wysoko. Na kilka cudownych chwil jego myśli odwróciły się od śledztwa w stronę Cleo Morley.

Uśmiechnął się.

Mark, ubrany w sweter i dżinsy, chodził w tę i z powrotem po pokoju. W rękę trzymał szklanekę whisky. Nie mógł usiedzieć, nie potrafił też myśleć logicznie. Na wszelki wypadek zamknął drzwi. Balkon nie stwarzał zagrożenia, był nie do zdobycia, w końcu to szóste piętro, a Michael miał lęk wysokości.

Było już prawie ciemno, minęła 23.00. Wyglądało na to, że będzie to jeden z najdłuższych dni. Przez okno obserwował nerwowo łódź kołyszącą się na morzu.

Musiało minąć wiele tygodni funkcjonowania ich firmy, zanim dostali pożyczkę na kupno jachtu. Dzisiaj miał właśnie pojechać na przystań i popracować trochę przy łodzi; przy niej zawsze jest coś do zrobienia. Chociaż tak naprawdę ta łódź przysporzyła mu tylko nowych przykrych obowiązków. Nawet nie był pewien, czy lubi pływać. Morze po prostu go przerażało. Ale dla Michaela żeglowanie stanowiło sens życia. I to od zawsze. Jeżeli więc Mark chciał być jego partnerem w interesach, dzielenie się łodzią wchodziło w zakres ich współpracy. Oczywiście, mieli też sporo radości, mnóstwo dobrych dni żeglowania pod cudownym niebem, wiele długich wycieczek do Devon i Kornwalii, a czasami aż do francuskiego wybrzeża. Ale gdyby już nigdy miał nie wejść na jacht, wcale by mu to nie przeszkadzało.

Michael, gdzie, do cholery, jesteś?

Wypił whisky, usiadł na kanapie, potem się położył. Czuł się dziwnie. Dzisiaj właśnie Michael i Ashley powinni lecieć w podróż poślubną. Swoją drogą nie wiedział, jak by sobie z tym poradził. Przecież Ashley musiałaby się kochać z Michaielem i to niejednym razem, w końcu oczekiwałby tego podczas cholernego miesiąca miodowego. Powiedziała, że będzie udawać, ale jak mogłaby udawać w noc poślubną? Zresztą już przecież sypiali ze sobą, w końcu to była część planu. Tyle tylko że nie miała o Michaelu najlepszego zdania jako o kochanku.

A może kłamała?

Potrząsała kostkami lodu w szklance i znowu wypił spory łyk. Dzwonił do żon Pete'a, Luke'a, Josha i do ojca Robbo, rzekomo dowiedzieć się czegoś o pogrzebach, ale w rzeczywistości chciał sprawdzić, czy którekolwiek z nich nie wygadało się z czymś, co mogłoby go obciążyć. Albo przynajmniej dać jakąś wskazówkę.

Michael z pewnością znajdował się w trumnie w czwartek w nocy. Musiał być. Bez wątplenia. Więc był w czwartek, ale nie było go już wczorajszej nocy. Wieko zostało mocno przykręcone, a Michael w końcu to nie drugi Houdini.

Więc skoro Michael był w trumnie we wtorek i w czwartek, a nie było go teraz, to ktoś musiał go stamtąd wypuścić, a potem przykręcić wieko. Ale po co?

Dowcip Michaela?

A skoro wydostał się, to czemu nie przyszedł na ślub?

I tak wrócił do punktu wyjścia. Michael pewnie w czwartek nie leżał w trumnie, a on tylko wyobraził sobie jego głos. Podobnie jak cmentarz; mógł być tylko urojeniem. Powinien lepiej panować nad nerwami.

Musiał porozmawiać o tym z Ashley. Co będzie, jeżeli Michael wydostał się jakoś i odkrył ich plany?

Z pewnością będzie chciał się skontaktować. Tylko z kim?

Zastanawiał się, czy może pójść do Ashley. Martwił go jej cholernie oziębły stosunek do niego, zupełnie jakby to on był wszystkim winien. Wiedział, co mu powie.

Wstał i znowu zaczął chodzić po pokoju. Jeżeli Michael żyje i wydostał się z trumny, czego dowie się z e-maili na swoim palmtopie?

Nagle ogarnęło go przerażenie. Przeoczył jedną prostą rzecz. Michael zawsze zapisywał wiadomości z palmtopa na dysk komputera w ich biurze.

Podbiegł do biurka, włączył laptop i zalogował się. Zaklął. Cholerny serwer nie działał.

Maks Candille był niesamowicie przystojny - tak przynajmniej myślał o nim Grace, ilekroć się widzieli. Był trochę po dwudziestce, miał rozjaśnione włosy i niebieskie oczy, współczesny Adonis. Z pewnością mógłby być top modelem albo gwiazdą filmową, a tymczasem w swoim skromnym domku na przedmieściach Purley kreował swój dar, jak określał własną karierę. A jednak niezauważenie zaczynał stawać się medialną gwiazdą.

Ładny z zewnątrz dom z podrabianymi latarniami w stylu Tudorów, schludny trawnik i mały, umyty smart, zaparkowany na podjeździe, dawały jakieś wyobrażenie na temat charakteru właściciela. Wnętrze domu, przynajmniej parter, gdzie Grace siedział, pomalowane było na biało. Wszystko zresztą było białe - ściany, dywany, meble, smukłe współczesne rzeźby, obrazy, nawet dwa kręcące się po pokojach koty, miniaturowe wersje tygrysów. Naprzeciwko niego, na ozdobnym krześle w stylu rokoko, białym z białą, satynową tapicerką, siedział on, medium, ubrany w biały golf, białe dzinsy od Calvina Kleina i białe skórzane buty. Delikatnie trzymał małą filiżankę ziołowej herbaty i mówił łagodnym, zniewieściałym głosem.

- Wyglądasz na zmęczonego Roy. Pracujesz zbyt ostro?
- Przepraszam, że przychodzę tak późno - powiedział Grace, pijąc espresso przygotowane osobiście przez Candille'a.



- Świat dusz nie ma tych samych ograniczeń, co ludzki świat, Roy. Nie uważa się za niewolnika żadnego zegara. Spójrz! - Odstawił filiżankę, podniósł obie ręce, podciągnął rękawy, pokazując, że nie nosi zegarka. - Widzisz?

- Jesteś szczęściarzem.

- Jeżeli chodzi o czas, to Oskar Wilde jest moim bohaterem. Zawsze był niepunktualny. Pewnego razu, kiedy przyszedł wyjątkowo mocno spóźniony na proszony obiad, wściekła gospodyni, wskazując na zegar ścienny, powiedziała: „Panie Wilde, czy ma pan pojęcie, która jest godzina?”. A on jej odpowiedział: „Szanowna pani, błagam, proszę mi powiedzieć, skąd ta mała, bezduszna maszyna może wiedzieć, kiedy wschodzi wspaniałe, złote słońce?”.

Grace uśmiechnął się.

- Dobrze.

- Więc powiesz mi, co cię do mnie sprowadza, czy mam zgadnąć? Może jest to związane z tym ślubem? Jestem blisko?

- Ale nie ma za to nagrody, Maks.

Candille uśmiechnął się. Grace wysoko go cenił. Nie zawsze potrafił wszystko odgadnąć, ale w bardzo wielu sprawach pomógł. Mając wieloletnie doświadczenie, Grace nie wierzył, że jedno medium zawsze i we wszystkich sprawach może coś zdziałać, dlatego lubił pracować z kilkoma mediami, czasami nawet porównując ich opinie. Niestety, nikt z nich nie potrafił mu powiedzieć, co stało się z Sandy. Przez kilka miesięcy po jej zniknięciu odwiedził każde medium, które tylko odnalazł, bez względu na ich reputację. Kilka razy próbował z Maksem Candille'em, który okazał się wyjątkowo uczciwy. Już na pierwszym spotkaniu powiedział mu, że po prostu nie wie, gdzie ona jest i że nie jest w stanie nawiązać z nią kontaktu. Niektórzy ludzie pozostawiali za sobą ślady, różnego rodzaju wibracje, wyjaśnił Maks, inni nic. Zdaniem Maksa z Sandy było tak, jak gdyby nie istniała. I nie potrafił tego wyjaśnić. Nie potrafił powiedzieć, czy zatarła za sobą ślady czy też ktoś zrobił to dla niej. Nie wiedział, czy ona żyje, czy nie.

Wydawało się jednak, że w sprawie Michaela Harrisona był bardziej zdecydowany. Wziął bransoletę, którą Ashley dała Grace'owi, ale natychmiast oddał ją, jakby przedmiot go parzył.

- To nie należy do niego - powiedział zdecydowanie. - Z pewnością nie.

Grace zmarszczył brwi:

- Jesteś pewny?

- Tak, jestem pewny. Całkowicie.

- Dostałem ją od jego narzeczonej.

- W takim razie musisz zapytać i ją, i siebie, dlaczego ci to dała. To z pewnością nie należy do Michaela Harrisona.

Grace zawiązał bransoletę w chusteczkę higieniczną i schował do kieszeni. Maks Candille był człowiekiem emocjonalnym i nie zawsze precyzyjnym, ale jeśli połączyć jego komentarz na temat bransolety z tym, co powiedział Harry Frame, istotnie coś musiało być na rzeczy.

- A co możesz mi powiedzieć o Michaelu Harrisonie? - zapytał Grace.

Maks wstał, wyszedł z pokoju, zatrzymując się tylko po to, by posłać pocałunki kotom, a po chwili wrócił z gazetą „News of the World”.

- To jest moja ulubiona gazeta - poinformował Grace'a. - Lubię wiedzieć, kto z kim się pieprzy. To daleko bardziej interesujące niż polityka.

Grace też to lubił czasami czytać, ale teraz nie był pewien, czy powinien się z tym zdradzić.

Maks przerzucił kilka stron, a potem przytrzymał gazetę tak, że Grace mógł zobaczyć nagłówek: POŁOWANIE NA NIEOBECNEGO I NIEUSPRAWIEDLIWIONEGO NARZECZONEGO, a pod spodem zdjęcie Michaela Harrisona.

- Widzisz, nawet ty jesteś tutaj wymieniony: „Uważamy zniknięcie Michaela Harrisona za poważną sprawę - powiedział inspektor Roy Grace z policji w Sussex. - Zostaną zorganizowane poszukiwania na terenie, gdzie być może...”.

Ponownie popatrzył na Grace'a.

- Michael Harrison żyje - powiedział. - Z całą pewnością żyje.

- Naprawdę? Gdzie? Muszę go znaleźć, dlatego potrzebuję twojej pomocy.

- Widzę go w czymś małym i ciemnym.

- Czy to może być trumna?

- Nie wiem, Roy. Obraz jest zbyt rozmazany. Sądzę, że brakuje mu energii. - Zamknął oczy i powoli kręcił głową w lewą i prawą stronę. - Nie, nie ma jej za dużo, baterie są prawie rozładowane. Biedak.

- Co masz na myśli?

Medium ponownie zamknęło oczy.

- On jest słaby.

- Jak słaby?

- Niknie w oczach. Jego puls jest słaby, zbyt słaby.

Grace obserwował go i zastanawiał się, skąd to wie? Czy łączył się z nim jakoś poprzez fale w eterze? A może tylko zgadywał, miał przeczucie?

- Małe, ciemne miejsce. Czy to jest gdzieś w lesie? W mieście? Pod ziemią, nad ziemią? W wodzie?

- Nie widzę Roy. Nie mogę powiedzieć.

- Jak długo tam jest?

- Niedługo. Ale nie wiem, czy da radę to wytrzymać.

- Widzisz, i o to chodzi, Mike, nie wszyscy mają szczęśliwy dzień tego samego dnia. Więc nam, tutaj, przytrafiła się niecodzienna sytuacja. To jest twój szczęśliwy dzień i to jest mój szczęśliwy dzień. Jakie to będzie szczęście?

Michael był słaby. Dygotał w gorączce, bliski delirium. Rozglądał się, ale dookoła była tylko ciemność. Nie rozpoznawał głosu tego człowieka, który brzmiał jak połączenie akcentu australijskiego i południowolondyńskiego. Tamten mówił szybko, z jakąś nerwową modulacją. Czyżby to był Davey i jego kolejne wcielenie? Nie, raczej to nie on. Był zdezorientowany. Nie wiedział, gdzie jest.

W trumnie?

Czyżby już nie żył?

W głowie mu huczało, zaschło mu w gardle. Próbował otworzyć usta, ale wargi nie chciały się rozdzielić. Lód płynął w jego żyłach.

- Czy ja umarłem? - przeleciało mu przez myśl.

- Byłeś w okropnej, rozmokłej trumnie, a teraz jesteś w miłej, suchej, przytulnej chatce. Miałeś umrzeć. Teraz może nie umrzesz, ale chcę podkreślić, że to jest bardzo duże może!

Głos oddalił się w ciemnościach. Michael zatapiał się, jechał windą w dół, w dół, ściany rozplływały się. Chciał krzyknąć, ale usta nawet nie drgnęły. Coś je ścisnęło. I wszystko, co mógł zrobić, to chrząknąć w panice.

- Znasz historię kota Schrödingera, Mike? - Znowu ten głos, blisko, jak gdyby był w tej samej windzie.

Nadal jechali w dół. Ile jeszcze pięter? Chociaż czy miało to znaczenie?

- Uczylesz się fizyki, kiedy chodziłeś do szkoły?

Co to było? Gdzie jestem? Davey - próbował powiedzieć, ale udało mu się jedynie coś mamrotać.

- Jeżeli wiesz cokolwiek na temat nauk ścisłych, Mike, powinieneś wiedzieć o tym. Kot Schrödingera był w pudełku - jednocześnie martwy i żywy. Tak jak ty teraz, mój przyjacielu.

Michael czuł, że odpływa. Winda chwiała się jak na linach, ciemność ścigała się wokół niego, dookoła i dookoła. Zamknął oczy. Potem poczuł podmuch gorąca i zobaczył coś czerwonego przed powiekami. Otworzył oczy, a potem natychmiast zmrzył je przed oślepiającym blaskiem światła.

- Sądzę, że nie powinieneś teraz spać. Musisz być na nogach, Mike. Nie możesz umrzeć u mnie, miałbym wtedy dużo kłopotów. Dam ci więcej wody i glukozę, jedzenie trzeba wprowadzać powoli, trenowałem to, więc jesteś w dobrych rękach. Miałem trening w dżungli, więc wiem, jak przetrwać i pomóc innym przeżyć. Miałeś szczęście, że to ja przyszedłem. Tylko nie wolno ci spać. Będziemy tak sobie przez chwilę gawędzić, poznamy się trochę lepiej, może zaprzyjaźnimy się odrobinę, w porządku?

Michael ponownie próbował coś powiedzieć, ale znów wydobyło się z jego gardła tylko mamrotanie. Próbował przypomnieć sobie, co czuł, kiedy został wyciągnięty z trumny. Potem był w samochodzie, ale czy to działo się na wieczorze kawalerskim? Czy to był jeden z jego przyjaciół? Czyżby oni żyli? Mark? Chciał tylko zamknąć oczy i spać.

Zimna woda uderzyła go w twarz, oczy gwałtownie mu się otworzyły.

- Nie dam ci spać. Bez obrazy, chłopie. - Głos miał teraz bardziej akcent australijski.

Michael dygotał, woda otrzeźwiła go odrobinę. Próbował poruszyć rękami, żeby sprawdzić, czy nadal jest w trumnie, ale były bezwładne. Starał się ruszyć nogami, ale one też nie drgnęły, jakby były związane. Próbował podnieść głowę, żeby dotknąć wieka, ale miał siłę podnieść ją tylko o kilka cali.

- Zastanawiasz się pewnie, kim jestem i gdzie teraz się znajdujesz?

Michael zamknął oczy, bo światło go oślepiało. Wydał kolejne chrząknięcie.

- W porządku, Mike, nie próbuj odpowiadać, masz zaklejone taśmą usta. Zrobiłem to, ponieważ ja będę mówić, a ty będziesz słuchał aż do chwili, kiedy poczujesz się lepiej. Mamy taką umowę, okej? A więc po pierwsze, Mike, ja ustalam reguły obowiązujące w tym domu. Nie pytasz mnie, jak się nazywam i gdzie jesteśmy. Rozumiesz?

Michael chrząknął.

- Tak czy inaczej przypomnę ci to później. Widziałeś kiedyś film na podstawie książki Stephena Kinga „Misery”?

Michael usłyszał pytanie pomiędzy odpływającymi myślami, ale nie był pewny, czy było skierowane do niego, czy może do kogoś innego. „Misery”. Wydawało mu się, że pamięta. Kathy Bates. Próbował zapytać, czy Kathy Bates grała w tym filmie, ale wargi nawet nie drgnęły.

- Mhm - wymruczał.

- To był taki film, w którym James Caan został złapany przez swoją szaloną fankę, Kathy Bates, która strzaskała mu nogi młotem kowalskim, żeby nie mógł uciec. Ale to nie była wierna adaptacja powieści, wiesz o tym, Mike? Widziałeś o tym?

- Mhm.

- W powieści to ona ucięła mu jedną nogę, a potem przypalała go palnikiem. Trzeba być niezłym świrem, żeby tak robić, no nie, Mike?

Michael wpatrywał się w ciemności, usiłując dopasować do głosu jakąś twarz, ocenić, czy głos dochodzi z góry, z boku, czy może gdzieś z dołu.

- Zrobiłbyś tak, czy nie, Mike?  
- Mhm.  
- Słuchałem cię przez pięć dni, Mike. Ciebie i tego twojego kolegi, Daveya. Domyślałem się, że byłeś niezłe wkurzony rozmową z nim. Ja na twoim miejscu z pewnością byłbym. - Mężczyzna roześmiał się. - To znaczy, że przydarzyło ci się prawdziwe gówno: zostałeś uwięziony, a jedyną osobą na świecie, która wiedziała, że żyłeś, był jakiś pieprzony debil! - Milczał przez chwilę, a potem kontynuował: - Oczywiście byłem z tobą także ja, ale nie chciałem przeszkadzać. Zasadą tych, którzy zajmują się łamaniem szyfrów, jest nie przerywanie konwersacji. Tak czy inaczej to jest mój kod. Jak się teraz masz?

Michaelowi pulsowało w głowie, ciemność wirowała wokół niego coraz szybciej i szybciej.

- Na pewno masz się lepiej. Jeszcze kolejne dwadzieścia cztery godziny w tym grobie i mógłbyś tam zostać. Ale wyjdiesz z tego. Wyleczę cię, masz szczęście. Byłem w piechocie morskiej i wiem wszystko na temat przetrwania. Nie mógłbyś być w lepszych rękach, Mike. Trafiłeś najlepiej jak można. A to warte wielkich pieniędzy. Pieniądzy! - rozumiesz Mike?

- Mhm.

- Ale obawiam się, że będę potrzebował jakichś identyfikatorów, Mike. Rozumiesz, co to jest? Dowód, że to jesteś ty - nadażasz za mną?

Michael zmrugał oczy przed kolejnym błyskiem światła. Potem otworzył je i dostrzegł błysk stali.

- To trochę zaboli, ale nie musisz się martwić, Mike. Nie będę jak Kathy Bates, nie jestem szalony, nie zrobię z ciebie kaleki. Potrzebuję tylko autentycznych dowodów, to wszystko.

Nagle w lewym palcu wskazującym Michael poczuł ból nie do zniesienia. Wrzeszczał jakby w agonii; tornado powietrza dobyło się z tchawicy i przedarło przez srebrną taśmę izolacyjną niczym straszny jęk z zaświatów.

Roy Grace dotarł do Brighton krótko przed północą. Espresso, które przygotował Candille, odniosło chyba skutek, bo czuł się tak, jakby miał w sobie kosmiczną energię. Bez jakiegoś szczególnego powodu postanowił jeszcze trochę się przejechać i skręcił w ulicę tuż przed stacją Brighton, obok biura nieruchomości Harrisona i Warrena. Nagle zaskoczony zobaczył bmw Warrena stojące na ulicy. Zatrzymał się, wysiadł z auta i popatrzył w górę. Na trzecim piętrze paliły się światła. Nie zastanawiając się, wszedł na schodki i nacisnął przycisk domofonu.

Po kilku chwilach poprzez trzaski usłyszał nieufny głos Marka Warrena.

- Halo?

- Panie Warren, tu inspektor Grace.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem Mark Warren powiedział:

- Proszę. - Usłyszał ostre zgrzytnięcie zamka. Pchnął drzwi i wszedł do holu, w którym panował półmrok.

- To trochę niespodzianka, inspektorze - powiedział Mark Warren, otwierając drzwi recepcji; był błąd jak ściana i według Grace'a wyraźnie zaniepokojony.

- Przejeżdżałem akurat tędy, zobaczyłem światła i zastanawiam się, czy możemy uciąć sobie krótką pogawędkę. Myślę, że chciałby pan być na bieżąco.

- Mhm... tak, dziękuję.



Mark rzucił nerwowe spojrzenie za siebie, na drzwi prowadzące do biura, potem poprowadził Grace'a w stronę zimnej sali konferencyjnej, włączył światła i podsunął mu krzesło. Grace, zanim usiadł, zanurzył rękę w kieszeni i wyciągnął bransoletę, którą dała mu Ashley.

- Znalazłem to na klatce schodowej, może należy do kogoś, kto tu pracuje?

Mark gapił się jak zakłęty.

- Na klatce schodowej?

Grace kiwnął głową.

- Jest moja... ale ja... ja zupełnie nie wiem, jak się tam znalazła.

- Więc dobrze, że ją zauważyłem.

- Istotnie... dziękuję. - Mark wydawał się zakłopotany.

Grace popatrzył na zdjęcia wiszące na ścianach: magazyn na Shoreham Harbour, wysoki dom szeregowy i nowoczesny biurowiec na przedmieściach Londynu.

- To wasze inwestycje.

- Tak. - Mark kilka chwil bawił się bransoletą, a potem nałożył ją na przegub.

- Robi wrażenie - powiedział Grace, wskazując na fotografię. - Wydaje się, że nieźle prosperujecie.

- Dziękuję. Nieźle nam idzie.

Pamiętając o tym, jaką awanturę zrobiła mu Ashley z powodu złego traktowania inspektora na przyjęciu ślubnym, Mark dokładał teraz wszelkich starań, żeby być uprzejmym.

- Mogę zaproponować kawę lub coś innego do picia?

- Dziękuję - powiedział Grace. - Cóż, jesteście współwłaścicielami, pan i Michael?

- On miał większość.

- Aha. Wyłożył gotówkę?

- Tak... no, osiemdziesiąt procent, ja dołożyłem resztę.

Obserwując język jego ciała, Grace zapytał:

- I nie było z tego powodu żadnych problemów?

- Nie, dobrze się rozumieliśmy.

- Dobrze. W takim razie... - Grace stłumił ziewnięcie - rano rozpoczniemy dalsze poszukiwania. Być może już pan słyszał, że mieliśmy dzisiaj fałszywy alarm.

- To znalezione ciało. Kim on był?

- Jakiś miejscowy. Podobno trochę opóźniony. Kilku tu-tejszych policjantów go rozpoznało. Jego ojciec ma firmę, pomoc drogową, naprawia też auta po wypadkach i dlatego często współpracuje z drogówką.

- Biedny facet. Czy został zamordowany?

- Wydaje się, że tak - powiedział Grace. A potem, obserwując bacznie Marka, zapytał: - Czy to prawda, że pan i Michael Harrison macie konto bankowe na Kajmanach?

Mark nie sprawiał wrażenia zaskoczonego.

- Tak, mamy tam swoją filię, HW Międzynarodowe Nieruchomości.

- Z podziałem na osiemdziesiąt i dwadzieścia?

- Zgadza się.

Grace przypomniał sobie, że na tym rachunku był przynajmniej milion funtów. Więcej niż ładna sumka.

- Jaki rodzaj ubezpieczenia posiadacie pan i Michael? Czy macie polisę ubezpieczeniową na każdego z was, jako partnerów w interesach?

- Mamy tradycyjną umowę. Chce ją pan zobaczyć?

- Nie w tej chwili, ale z pewnych względów tak. Może mógłby pan posłać ją jutro faksem do mojego biura?

- Nie ma sprawy.

- Nie będę pana już niepokoił. Widzę, że jest pan zajęty. Często pracuje pan w niedzielę w nocy?

- Wtedy mogę nadrobić zaległości, bo telefony nie dzwonią.

Grace się uśmiechnął.

- Cóż, wiem coś o tym.

Mark poczekał, aż inspektor zniknie na klatce schodowej, potem zamknął drzwi i sprawdził, czy zasuwka jest zamknięta. Wrócił do biura, włączył komputer i zaczął czytać wszystkie wiadomości, które ściągnął z palmtopa Michaela. Usuwał te, które dotyczyły wieczoru kawalerskiego.

To samo przez kilka popołudniowych godzin robiła Ashley na laptopach Petera, Luke'a, Josha i Robbo; ich rodzinom powiedziała, że szuka jakichś wskazówek dotyczących miejsca pobytu Michaela.

Grace wsiadł do samochodu, ale nie ruszał. Patrzył w okno na trzecim piętrze i rozmyślał.

Nie lubił Marka Warrena. To kłamca i do tego coś bardzo go niepokoiło. Ashley Harper też oszukiwała. Umyślnie dała mu bransoletę, która nie należała do Michaela.

Ciekawe, jak bransoleta Marka Warrena znalazła się w jej domu?

- Jezu, och Jezu. - Michael płakał z bólu. Usiłował trzymać lewą rękę do góry, przynajmniej na tyle, na ile pozwalała taśma izolacyjna, którą był skrepowany. Krew broczyła z rany po obciętym palcu wskazującym. - Co to jest, co ty, do cholery, robisz.

- W porządku, Mike, wyluzuj!

W oślepiającym świetle widział małą, owłosioną dłoń, która trzymała jego rękę w żelaznym uścisku. Na przegubie dostrzegł duży zegarek. Kiedy wysilił wzrok, zobaczył też zarys głowy napastnika i dwoje oczu błyskających w otworach czarnej maski. I nagle coś białego pokryło ranę, jakby lód. Znowu zapłakał, bo ból był nie do zniesienia.

- Wiem, co robię, Mike, nie musisz się martwić. Nie będzie zakażenia. Chciałbym, żebyś nazywał mnie Vic. Rozumiesz? Vic.

- Whrrr - jęknął Michael.

- To dobrze, powinniśmy sobie mówić po imieniu. Jesteśmy partnerami w interesach, co nie? Więc powinniśmy być po imieniu.

Napastnik owinał krwawiący kikut palca bandażem, potem zrobił opaskę uciskową.

- Widzisz, Mike, ja tak patrzę na tę sprawę. Uratowałem ci życie, więc warto by zrobić coś w związku z tym, zgadza się? I z tego, co przeczytałem w gazetach i widziałem w telewizji, wiem, że jesteś majątym gościem. A ja nie.

Na tym polega różnica między nami. Chcesz trochę wody?

Michael kiwnął głową. Usiłował myśleć, ale paralizujący, pulsujący ból w palcu bardzo to utrudniał.

- Jeżeli chcesz pić, to będę musiał zdjąć taśmę z twoich ust. Zrobię to pod warunkiem, że nie będziesz krzyczał. Umowa, Mike?

Kiwnął głową.

- Dla mnie dane słowo to rzecz święta. Ty też jesteś tego zdania?

Michael kiwnął ponownie.

Ręka zbliżyła się. Michael miał wrażenie, że dosłownie zerwała skórę z jego twarzy. Broda i policzki piekły jak cholera. Mężczyzna pochylił się nad nim i wlał mu prosto do ust wodę mineralną z butelki. Była zimna, ale smaczna. Pił chciwie, rozlewając na brodę i szyję. Zakrzuszył się.

Po chwili atak kaszlu minął, poczuł ulgę. Wciągnął nosem zatęchłe powietrze, pachnące olejem silnikowym - jakby był na jakimś podziemnym parkingu. Patrząc tamtemu w oczy, wychrypiał:

- Gdzie jestem?

- Masz krótką pamięć, Mike. Mówiłem, żebyś nigdy nie pytał, gdzie jesteś i kim ja jestem.

- Ale ty sam... powiedziałeś... Vic... że to twoje imię.

- Tylko dla ciebie jestem Vic, Mike.

I nagle Michael poczuł, że bardziej boi się teraz niż wtedy, kiedy był w trumnie.

- Jak... jak mnie znalazłeś?

- Widzisz, Mike, spędzam cały tydzień w moim wozie kempingowym, sprawdzam przekaźniki telefonów komórkowych w całej południowej Anglii i firmy telefoniczne. Słucham starego kanału radiowego „Citizen's Band”, gawędzę z kilkoma kumplami na całym świecie. A kiedy nie mam z kim gawędzić, penetruję stacje radiowe, czasem wyłamuję policyjną paplaninę. Dzięki mojemu zestawowi mogę słuchać dowolnej rozmowy, jakiej zechcę... z komórek,

z czegokolwiek. Mówiłem ci, że służyłem w australijskiej piechocie jako spec od szyfrów. Michael kiwnął głową.

- Więc w środę siedziałem sobie wieczorem po pracy i nagle natknąłem się na kameralną pogawędkę. Ty i Davey. Posłuchałem, zarejestrowałem kilka późniejszych waszych rozmów. A potem były te informacje o wypadku, o trumnie. Więc włożyłem mój czarodziejski kapelusz od myślenia i tak się zastanawiałem - gdybym to ja miał zabrać najlepszego kolegę na włóczęgę po pubach, to po co zabrałbym trumnę? Może, żeby cię gdzieś ukryć? Taki chory dowcip. Więc popytałem trochę o ciebie i twoją firmę i ho, ho! Odkryłem, że wasze najnowsze plany dotyczą pewnego lasu, który kupiliście w zeszłym roku. A las jest akurat w tej okolicy, w której odbyła się rundka po pubach. Uznałem, że to podejrzany zbieg okoliczności. Okazało się, że twoi kumple zbyt nie wysilili. Nie chciało im się wieźć cię za daleko. Byłeś blisko drogi, można było do tego miejsca dojechać samochodem.

- Byłem w tym lesie?

- I nadal byś tam był, kolego. A teraz powiedz mi o forsie, którą ukryłeś na Kajmanach.

- O co ci chodzi?

- Mówiłem, że podsłuchałem policyjne pogawędki. Masz pieniądze na Kajmanach, zgadza się? Około miliona, tak przynajmniej zrozumiałem. Czy nie byłaby to rozsądna nagroda za uratowanie ci życia? Moim zdaniem nawet niewygórowana.

O godzinie 7.20 Grace dotarł już na posterunek w Sussex. Niebo było ciemnoniebieskie, poprzecinane delikatnymi smugami. Zapowiadał się bezdeszczowy dzień. Dobry na poszukiwania.

Posterunek miał jedną poważną wadę, każdy to przyznawał - nie miał stołówki. Wrzucił więc monetę do automatu i czekał, aż plastikowy kubek wypełni się białą kawą. Czuł się zmęczony. Przez całą noc przewracał się z boku na bok, włączał światło, robił notatki, znowu się kładł i zaraz wstawał. Wreszcie szare światło zaczęło przedostawać się przez zasłony, a wśród drzew rozśpiewały się ptaki.

Bransoleta. Bmw, które przyjechało na parking późno w nocy, i to pokryte błotem. Mark Warren pracujący w biurze w niedzielę o północy. Kanadyjski wujek Ashley Harper. Zachowanie Ashley Harper w kostnicy. Raport medycyny sądowej, który ma nadejść. Materiał zarejestrowany przez kamery.

Zerknął na stertę korespondencji z zeszłego tygodnia, z którą jeszcze się nie zapoznał. Włączył komputer i zobaczył niezliczoną wprost ilość e-maili w skrzynce pocztowej. A potem otworzyły się drzwi i usłyszał radosne:

- Dzień dobry, Roy.

Eleanor Hodgson, jego asystentka, którą poprosił, żeby przysłała wcześniej. W ręce trzymała kartkę papieru.

- Jak minął weekend? - zapytał.

- Wspaniale, w sobotę byłam na ślubie mojej siostrzenicy, a wczoraj byli u mnie krewni na obiedzie. A ty?

- Usiłowałam wczoraj pojechać za miasto.

- To dobrze! Potrzebujesz odpoczynku i świeżego powietrza. - Przyjrzała mu się badawczo. - Wyglądasz bardzo blado, wiesz?

- Mów mi jeszcze. - Wziął od niej kartkę, choć dobrze wiedział, co to jest - jego plan na ten tydzień. Odkąd pamiętał, co poniedziałek przygotowywała taki.

Kawa kusiała zapachem, ale była jeszcze zbyt gorąca. Przejrzał więc plan, wykreślając mniej istotne punkty; najważniejsza była sprawa, którą prowadził.

Rano miał stawić się w sądzie w związku ze sprawą Suresha Hossaina; tego nie mógł odwołać. Na 13.00 miał wyznaczoną wizytę u dentysty w Lewes; trzeba odwołać. O 15.00 zaplanowane spotkanie z detektywem z biura południowej Walii w sprawie znanego w Swansea łobuza, którego znaleziono martwego na wysypisku śmieci niedaleko Newhaven, z kijem bilardowym wetkniętym w oko; przełożyć. W środę miał się stawić w szkole policyjnej w Bramshill po wyniki badania DNA. W czwartek - to było podkreślone - spotkanie z drużyną krykietową na posterunku policji w Sussex. Miało to być doroczne walne zgromadzenie. Piątek na razie czysty, a na sobotę zaplanowane ćwiczenia ataku terrorystycznego w bazie Shoreham Harbour, w których nie musiał uczestniczyć.

Całkiem zwyczajny tydzień, gdyby nie sprawa sądowa i operacja Salsa.

Polecił Eleanor przełożyć wszystkie sprawy z wyjątkiem sądu, a potem przejrzał pocztę i podyktował najpilniejsze odpowiedzi. Przejrzał też e-maile, a ponieważ spieszył się, odpowiedzi także podyktował. Potem pojechał na ustaloną odprawę; o 8.30 odbyło się krótkie spotkanie w sprawie operacji Salsa. W ciągu nocy nic się nie zdarzyło, z wyjątkiem tego, czego dowiedział się od Maksa Candille'a, a co zachował dla siebie, i tego, co odkrył podczas nocnej wizyty w biurze nieruchomości.



Pozostało mieć nadzieję, że podczas wieczornej narady będzie już coś wiedział.

Jadąc do sądu, Grace zatrzymał się na stacji benzynowej, żeby kupić kanapkę, a o 9.50 dotarł na miejsce. Zapowiadał się długi dzień.

Poranne przesłuchania odbywały się za zgodą sądu z udziałem kamer, o co prosił oskarżyciel, więc Grace w każdej wolnej chwili wychodził na korytarz i omawiał z Eleanor najpilniejsze sprawy przez telefon, kilka razy rozmawiał też z Glennem Bransonem. Przerwa na lunch była zbyt krótka, więc zamiast do biura wpadł do dentysty na umówioną wizytę; na szczęście był to tylko przegląd i obyło się bez borowania, czego zawsze się bał.

Do sądu wrócił o 14.00. Poinformowano go jednak, że nie będzie już potrzebny do końca dnia, pojechał więc do biura. Postanowił załatwić najpilniejsze sprawy, by móc spokojnie zająć się operacją Salsa.

O godzinie 18.00 zjawił się na ustalonej odprawie swego zespołu i już w drzwiach wiedział, że coś się wydarzyło. Bella Moy przekazała mu nowinę.

- Rozmawiałam właśnie z Philem Wheelerem, ojcem tego zamordowanego, którego znaleziono wczoraj po południu.

- I co?

- Mówił, że nie wie, czy to ma znaczenie, ale podobno jego syn powiedział mu, że od środy rozmawiał kilka razy z Michaelem Harrisonem przez krótkofalówkę.

Ashley stanęła za Markiem siedzącym przed komputerem i usiłującym nadrobić zaległości w pracy. E-maile, które otrzymał od architekta i geodetów z biura planowania, uświadomiły mu, że są poważne problemy w związku z ambitnym projektem zbudowania dwudziestu domów w Ashdown. Objęła go za szyję, pochyliła się do przodu i wtuliła się w jego policzek. Poczul świeży zapach wody toaletowej i lekki, cytrusowy posmak jej włosów. Widząc łzy w jej oczach, podniósł ręce i dotknął jej policzków.

- Będzie dobrze - powiedział.
- Oczywiście. Nie robimy przecież nic złego, prawda?
- Prawda.

Pochyliła się do przodu i pocałowała go w czoło. Mark rzucił spojrzenie na otwarte drzwi; bał się, bał się każdej sekundy, w której ktoś mógł wejść. Znów go pocałowała.

- Kocham cię.
- Też cię kocham, Ashley.
- Naprawdę? Przez kilka ostatnich dni nie okazywałaś mi zbyt dużego zainteresowania.
- A ty? Czy ty mi okazywałaś?
- Zostawmy już to. - Przygryzała czule płatek jego ucha. Zaczęła rozpinąć mu koszulę, potem wsunęła pod nią dłoń i zaczęła drażnić jego brodawki. Prawie natychmiast poczuła

jego reakcję, usłyszała ostry oddech, jego klatka piersiowa naprężyła się. Wyszepiała mu prosto do ucha:

- Przeleć mnie.
- Tutaj?
- Tutaj i teraz.

Mark w panice popatrzył na zegarek.

- Sprzątaczką ma przyjść o szóstej trzydzieści... będą...

Ashley zdążyła już jednak rozpiąć mu spodnie. Jednym szarpnięciem zsunęła je w dół.

- Więc musi to być szybki numer, prawda? - Przerwała na chwilę i patrzyła z uznaniem w dół. - O, wygląda na to, że ktoś cieszy się na spotkanie ze mną!

Powoli osuwała się na podłogę, wędrując coraz niżej ustami po jego ciele.

Mark gapił się przez okno. Próbował stanąć jakoś bokiem, ale byłby się przewrócił, zaplątany w nogawkach spodni. A potem zaczął gorączkowo szukać guzików bluzki Ashley, wsunął ręce i rozpiął jej biustonosz. Za minutę już leżał na niej, czuł ją, a zapach kurzu unoszącego się z dywanu mieszał się z zapachami Ashley.

I wtedy usłyszeli ostre brzęczenie interkomu.

- Cholera! - powiedział zdenerwowany. - Kto to, do cholery, jest?

Ashley przytuliła go mocniej i paznokciami drapała po plecach.

- Zignoruj to.
- A jeżeli to Michael? Jeżeli sprawdza, czy ktoś tu jest?
- Jesteś taką oferma! - Odsunęła się, uwalniając go z objęć.

Ignorując jej słowa, Mark pokuśtykał do recepcji, w której zwykle urzędowała Ashley, i spojrzął na monitor interkomu. Przed drzwiami wejściowymi do budynku stał jakiś mężczyzna w kasku motocyklowym z paczką w ręku.

- Słucham?
- Paczka dla pana Warrena.

- Nie może pan tego zostawić po prostu w skrzynce?
- Nie, ponieważ potrzebny jest podpis.

Mark zaklął.

- Zaraz zejść.

Ubrał się i posłał Ashley całusa.

- Wróć za dwie sekundy.
- O mnie się nie martw - powiedziała bez uśmiechu. -

Dam sobie radę.

Paczka zaadresowana była na niego, ale nie znalazł informacji, skąd pochodziła. Podpisał kwitek, otrzymał kopię i wrócił na górę. Nie miał najmniejszego pojęcia, kto i co mu przesyła.

Pewnie to jakieś materiały z biura geodety. Po co jednak było wysłać je pocztą kurierską, jakby zwykła nie wystarczyła. Otworzy później. Teraz miał tylko jedno w głowie - nagą Ashley leżącą na podłodze. A on czuł się oszołomiony i ogromnie napalony.

I wystarczyło kilka sekund, a było już po wszystkim.

- Przepraszam - powiedział, opierając się na łokciu. -

Ja...

- Podniecił cię ten kurier na motorze? - roześmiała się.

- No co ty.

- Wielu mężczyzn jest gejami, chociaż nie zdają sobie z tego sprawy. No, wiesz, tacy motocykliści ubrani w skóry zawsze pociągają.

- O co ci chodzi?

- A jak myślisz? Zostawiasz mnie nagą, o krok od orgazmu i idziesz na dół, bo widzisz faceta w skórze. A potem ledwie mnie dotknąłeś, a już skończyłeś.

Odsunął się od niej i z posepną miną usiadł obok na podłodze.

- Przepraszam, po prostu tyle zważyło mi się teraz na głowę.

- A mnie nie?

- Widocznie lepiej radzisz sobie z tym niż ja.

- Nie wiem, z czym ty potrafisz sobie poradzić, Mark. Myślałam, że jesteś tym silnym facetem, a Michael tym słabym.

Pochylił się i ukrył twarz w rękach.

- Ashley, rozumiem cię, oboje jesteśmy zdenerwowani.  
- A nie powinieneś być zdenerwowany, przecież miałeś właśnie wspaniały orgazm.

- Okej, okej. Przepraszam. Chcesz, żebym się tobą zajął?  
Poderwała się na równe nogi.

- Zapomnij, nie jestem już w nastroju.

Ubierali się w milczeniu. W końcu Ashley przerwała ci-  
szę.

- Wiesz, co mówią, Mark? Podobno tylko jeden procent  
stosunków w związku to udany seks, a dziewięćdziesiąt  
dziewięć - nieudany.

- Sądziłem, że zazwyczaj mieliśmy dobry seks.

Sprawdziła szminkę w małym lusterku, jakby wybierała się  
na randkę.

- Też tak sądziłam.

Mark podszedł do niej i ją objął.

- Ashley, kochanie, nie gniewaj się, przepraszam. Jestem  
tak cholernie zestresowany. Powinniśmy wyjechać gdzieś na  
kilka dni.

- Pewnie, świetnie by to wyglądało, prawda?

- To znaczy, kiedy to wszystko się skończy.

Posłała mu groźne spojrzenie.

- A kiedy dokładnie to się skończy?

- Nie wiem.

Włożyła lusterko do torebki.

- Mark, kochanie, to się nigdy nie skończy. Przynajmniej  
dopóki Michael żyje. Oboje o tym wiemy. W czwartek w  
nocy, kiedy zabrałeś mu rurkę do oddychania, spaliliśmy za  
sobą mosty. - Cmoknęła go w policzek. - Do zobaczenia  
rano.

- Wychodzisz?

- Tak, wychodzę. Zawsze wychodzę o tej porze, czy coś  
w tym złego? Myślałam, że chcesz zachować pozory?

- Sądzę, że tak... to znaczy...

Patrzyła na niego przez chwilę.

- Weź się w garść, na miłość boską. Rozumiesz?

Kiwnął głową bez przekonania.

Przez następną godzinę pracował nad e-mailami, a potem, słysząc hałasujące sprzątaczkę, postanowił zabrać resztę roboty do domu. I wtedy przypomniał sobie paczkę. Otworzył. W środku coś było, jakiś mały, ciasno zapakowany przedmiot przytwierdzony taśmą do komórki. Co to może być?

Wyciągnął nożyczki, rozciął kawałek opakowania i usiłował zajrzeć, co jest w środku.

Najpierw pomyślał, że to żart, że to jeden z tych plastikowych palców, które można kupić w sklepach ze śmiesznymi rzeczami. A potem zobaczył krew.

- Nie - powiedział. Zakreśliło mu się w głowie. - Nie. NIE.

Z paczki wypadł, lądując bezszelestnie na dywanie, odcięty kawałek palca.

Mark cofnął się z obrzydzeniem. I wtedy zobaczył, że w środku jest też koperta.

Grace zjechał na wiejską szosę, minął znak informujący o sklepie, budkę telefoniczną i wreszcie zobaczył wysokie, siatkowe ogrodzenie, zwieńczone drutem kolczastym. Dwie bramy były szeroko otwarte; wyglądały tak, jakby nikt ich nie zamykał co najmniej od dziesięciu lat. Na jednej był napis: POWYPADKOWY SERWIS WHEELERA, na drugiej: UWAGA, PSY!

Nigdy jeszcze nie widział tak nędznego obejścia. Wałący się budynek i potwornie zagracone podwórze. Na środku stał ogromny samochód pomocy drogowej, a wszędzie widać było niezliczone wraki samochodów, jedne roztrzaskane, inne porzewiałe, wybebeszone ze wszystkiego, co tylko się dało.

Były tam też stosy kłoców drewna, drewniany stół na koźlach i zardzewiała piła tarczowa. Na rozpadającym się barakowozie widać było wyblakły napis: SPRZEDAŻ CHOINEK ŚWIĄTECZNYCH, a obok stał drewniany parterowy dom, który wyglądał, jakby miał się w każdej chwili zawalić.

Grace wjechał na plac i wyłączył silnik. Usłyszał groźne ujadanie psa, postanowił więc poczekać w samochodzie. A nuż pojawi się sfera. Zamiast tego otworzyły się drzwi domu i stanął w nich mężczyzna. Był po pięćdziesiątce, miał tłuste włosy, a spod wełnianej kamizelki wylewał mu się potężny brzuch. Na twarzy mężczyzny malowało się cierpienie.

- Pan Wheeler? - zapytał Grace; szczekanie psa było teraz głośniejsze i jeszcze groźniejsze.

- Tak.

Mężczyzna miał sympatyczną twarz, duże, smutne oczy i ogromne, brudne ręce. Pachniał ropą i smarem samochodowym.

Grace pokazał legitymację służbową.

- Inspektor Grace. Przykro mi z powodu pańskiego syna. Mężczyzna nie odezwał się, a potem nagle Grace zobaczył, że cały zaczął drżeć, pięści zacisnęły mu się, a łzy pociekły po policzkach.

- Wejdzie pan? - zapytał Phil Wheeler słabym głosem.

- Jeżeli może mi pan poświęcić kilka minut, byłbym wdzięczny.

Wnętrze domu wyglądało prawie tak samo jak podwórko, tyle tylko że jeszcze śmierdziało papierosami. Grace wszedł do obskurnego salonu, w którym był zestaw wypoczynkowy i duży, stary telewizor. Prawie każdy skrawek podłogi pokryty był czasopismami o tematyce motoryzacyjnej, numerami „Country and Western” i okładkami płyt winylowych. Na kredensie, między tanimi chińskimi bibelotami stało zdjęcie jasnowłosej kobiety, która trzymała ręce na ramionach małego chłopca stojącego przy skuterze. Obok zegar, który wskazywał dziesięć minut po siódmej. Grace spojrzął zdziwiony, czas się zgadzał.

Podnosząc z podłogi kilka okładek, Phil Wheeler powiedział:

- Davey lubił tę muzykę, puszczał ją cały czas, lubił zbierać... Przerwał i wyszedł z pokoju.

- Herbaty? - zawołał po chwili.

- Dziękuję - powiedział Grace niepewnie; kto wie, jak wygląda ta kuchnia.

Właściwie tę rozmowę mógł przeprowadzić któryś ze współpracowników, ale Grace jak zawsze wolał zrobić to sam.

Phil Wheeler wrócił do pokoju, zrzucił z kanapy kilka gazet i płyt, usiadł i wyciągnął puszkę tytoniu z kieszeni. Podważył wieczko paznokciem kciuka, sięgnął po bibułki i



zaczął zwijać papierosa. Grace nie mógł wprost oderwać od niego wzroku, zawsze fascynowała go ta czynność.

- Panie Wheeler, podobno pański syn mówił panu o rozmowach, które prowadził przez krótkofalówkę z zaginionym Michaeliem Harrisonem?

Phil Wheeler przesunął językiem po bibułce i skleił papierosa.

- Nie rozumiem, dlaczego ktoś chciał skrzywdzić mojego syna. Był najbardziej przyjazną osobą, jaką można sobie wyobrazić. - Trzymając niezapalonego papierosa, Wheeler przejechał dłonią po włosach. - Biedny dzieciak, rozumie pan, opóźniony, po zapaleniu mózgu. Był nierozgarnięty, ale wszyscy go lubili.

Grace uśmiechnął się z sympatią.

- Słyszałem, że miał wielu przyjaciół w drogówce.

- Był dobrym chłopcem.

- Rozumiem.

- Był moim życiem.

Grace czekał. Wheeler zapalił papierosa i kilka chwil później rozszedł się słodki zapach. Grace głęboko wciągnął woń papierosa. Podłe zadanie. Rozmowa z osobą pogrążoną w żałobie była jednym z najgorszych momentów jego pracy.

- Może mi pan powiedzieć coś o tych rozmowach?

Mężczyzna zaciągnął się, a kiedy mówił, dym wydobywał się z jego ust i nosa.

- Byłem nieźle na niego wkurzony. Nie wiem, czy to działa się w piątek, czy w sobotę. Nie wiedziałem, że ma tę cholerną krótkofalówkę. Przyznał się, że znalazł ją obok wraku tego wozu, który rozbił się we wtorek wieczorem. Zginęło w nim tych czterech facetów.

Grace kiwnął głową.

- Opowiadał o swoim nowym przyjacielu. Prawdę mówiąc, nie przywiązywałem do tego wagi. Davey żył, jakby to powiedzieć, w swoim własnym świecie, zawsze prowadził rozmowy z jakimiś ludźmi istniejącymi tylko w jego wyobrażeniach. - Położył papierosa na popielniczce, otarł oczy

pogniecioną chusteczką, pociągnął nosem. - Zawsze z kimś rozmawiał, czasami musiałem przerwać to, bo inaczej sam dostałbym świra.

- Czy pamięta pan, co mówił o Michaelu Harrisonie?

- Był bardzo podekscytowany. Myślę, że to był piątek. Powiedział mi, że mógłby być bohaterem. Bo widzi pan, on uwielbiał amerykańskie seriale policyjne, zawsze chciał zostać bohaterem. Chciał gdzieś iść, żeby kogoś znaleźć, ponieważ był jedyną osobą w świecie, która wiedziała o tym człowieku. Mówił, że zostanie bohaterem. Ale ja nie zwracałem na niego zbyt wielkiej uwagi, miałem ciężki dzień, musiałem przywieźć dwa rozbite auta i nie wiązałem jego mówienia z żadnym konkretnym wydarzeniem.

- Czy ma pan tę krótkofalówkę?

Potrząsnął głową.

- Davey musiał zabrać ją ze sobą.

- Czy Davey umiał prowadzić samochód?

- Nie. Lubił czasem kierować trakiem, pozwalałem mu na to na bezpiecznej drodze, rozumie pan, trzymał jedną rękę na kierownicy. Ale sam nigdy nie prowadził samochodu. Miał rower górski, to wszystko.

- Znalaziono go około sześciu mil stąd. Sądzi pan, że wybrał się ratować Michaela Harrisona? Żeby zostać bohaterem?

- W sobotę po południu musiałem odebrać samochód. Nie chciał jechać ze mną, powiedział, że ma bardzo ważną sprawę.

- Ważną sprawę?

Phil Wheeler smutno wzruszył ramionami.

- Wierzył, że dla kogoś może być ważny.

- Czy dowiedział się pan od syna czegokolwiek, gdzie mógłby być Michael Harrison?

- Nie, nie widziałem w tym żadnego sensu, więc nie zwracałem uwagi na to, co mówił.

- Czy mógłbym zobaczyć pokój pańskiego syna, panie Wheeler?

Phil Wheeler wskazał palcem gdzieś za Grace'a.

- To barakowóz. Davey lubił go. Może pan tam pójść, ale jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu... ja... - Wyciągnął chusteczkę.

- W porządku, rozumiem.
- Nie jest zamknięty.

Grace przeszedł przez podwórko w stronę barakowozu. Pies, gdzieś po drugiej stronie domu, znów zaczął szczekać. Na drzwiach wejściowych wisiało ostrzeżenie: JESTEM UZBROJONY.

Nacisnął klamkę i wszedł. Podłoga pokryta była skarpetkami, bielizną, koszulkami, papierkami po słodyczach. Grace dostrzegł też pojemnik po burgerze z rozmazanym na wierzchu zastygłym keczupem, narzędzia samochodowe, kołpaki, stare amerykańskie tablice rejestracyjne i kilka bejsbolówek. Odrzucający, zatechły smród spoconej skóry przypomniał mu szkolne przebieralnie.

Centralne miejsce zajmowało łóżko. Obok stał telewizor, który ciągle migotał niewyraźnym obrazem; leciał właśnie serial „Prawo i porządek”.

Rozglądał się dookoła. Na ścianach poprzyklejane były reklamy wydarte chyba z gazet. Wszystkie dotyczyły amerykańskich rzeczy - samochodów, broni, jedzenia, drinków i wakacji. Na biurku stał stary komputer firmy Dell, a obok niego pojemnik po rogalikach czekoladowych i zeszyt w linie, z notatkami sporządzonymi dziecięcym pismem. Grace przyjrzał się tym zapiskom i nagle zdał sobie sprawę, że był to prymitywny schemat. Obok dwóch równoległych linii nagryzmolone były słowa: A 26. PÓLNOCNY KROWBURG. PODWÓWNA SITKA DLA BODŁA. 2 MYLE. BAŁY DYMYK.

To była mapa.

A pod spodem zobaczył ciąg liczb: 077152136. Przypominało to numer komórki, próbował więc na nią zadzwonić, ale nikt nie odebrał.

Przez kolejne dwadzieścia minut przetrząsał całe pomieszczenie. Otworzył każdą szufladę, ale nie znalazł nic,

co by go zainteresowało. Zabrał strzęp papieru z mapą, wrócił do domu i pokazał go Philowi Wheelerowi.

- Czy Davey rozmawiał z panem na ten temat?
- Nie.
- Czy te wskazówki mówią coś panu?
- Podwójna siatka dla bydła, dwie mile, biały domek?

Nie, nic mi nie mówią.

- A ten numer? Czy zna go pan?

Spojrzał na numer, przeczytał każdą cyfrę głośno.

- Nie, nie znam takiego numeru.

Grace podziękował i jeszcze raz powiedział, że jest mu przykro z powodu śmierci syna.

- Proszę złapać tego drania, który to zrobił, detektywie. Proszę przynajmniej tyle zrobić dla mnie i Daveya. Zrobi pan to?

Grace obiecał zrobić, co w jego mocy.

Mark Warren był mokry od potu. Trzęsącą ręką usiłował włożyć klucz, przez moment myślał przerażony, że coś blokuje zamek. Otworzył drzwi, wszedł do środka i starannie zamknął za sobą. Zignorował leżącą pocztę, odłożył aktówkę, zerwał krawat i rozpiął guzik koszuli. Marynarkę i krawat cisnął na kanapę. Nalał sobie whisky, wrzucił do szklanki kilka kostek lodu i przełknął duży łyk.

Otworzył torbę, w której nosił laptopa, i wyciągnął otrzymaną dziś paczkę. Nie miał odwagi na nią patrzeć. Odłożył ją na lakowy stół na drugim końcu pokoju, potem wyjął kartkę, która była dołączona do przesyłki, łyknął whisky i usiadł.

Wiadomość była krótka, napisana na czystym arkuszu wielkości A4.

„Sprawdź odciski palca, a upewnisz się, że należy on do twojego przyjaciela i partnera w interesach. Co 24 godziny będę ucinął kolejny, dopóki nie zrobisz dokładnie tego, co ci każę zrobić”.

Bez podpisu.

Mark opróżnił szklankę. Po chwili dolał sobie alkoholu i przeczytał wiadomość raz jeszcze. I jeszcze raz. Gdzieś na ulicy rozległo się wycie syreny, aż dreszcz przeszedł mu po plecach. Nagle usłyszał dzwonek domofonu. Ogarnęła go panika. Miał nadzieję, że to Ashley. Próbował dzwonić do niej z biura, ale miała wyłączony telefon. Dzwonił też do niej

kilka minut temu, wciąż nie odbierała.

Ale to nie była Ashley, tylko człowiek, który zaczynał chyba zbyt dużo wiedzieć. Inspektor Grace. Przez moment zastanawiał się, czy go nie zignorować, nie pozwolić mu odejść, ale może miał jakieś wiadomości. Nacisnął więc przycisk elektronicznego zamka i kilka sekund później Grace pukał już do drzwi, Mark ledwie zdążył schować w szafie upiorną przesyłkę i list.

- Dobry wieczór - powiedział Mark. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie jest trzeźwy, dlatego podając dłoń Grace'owi, starał się zachować bezpieczną odległość, aby inspektor nie wyczuł alkoholu.

- Czy mogę wejść na kilka minut, a może jest pan zajęty?

- Nigdy nie jestem zbyt zajęty dla pana, inspektorze. Chętnie panu pomogę. Jakie ma pan wieści? Mogę podać coś do picia?

- Poproszę o szklanekę wody - powiedział Grace. Czuł, że zaschło mu w gardle.

Siedzieli naprzeciwko siebie w głębokich, skórzanych fotelach i Grace obserwował Marka przez chwilę. Mężczyzna był zdenerwowany, miał trochę nieskoordynowane ruchy, no i mocno pachniał alkoholem. Patrząc mu prosto w oczy, Grace zapytał:

- Co jadł pan dzisiaj na lunch?

Oczy Marka na moment pobiegły w lewą stronę, a potem powróciły na środek.

- Kanapkę z tuńczykiem, z żurawiną. Dlaczego pan pyta?

- Jedzenie jest istotne - powiedział Grace - zwłaszcza, jeżeli jest się zestresowanym. - Posłał Markowi uśmiech otuchy i wypił trochę wody z wysokiej, pięknej szklanki. - Mark, jest coś dziwnego i zastanawiam się, czy mógłbyś mi pan pomóc to wyjaśnić?

- Oczywiście... spróbuję.

- Kilka kamer nagrało należące do pana bmw jadące w zeszły czwartek nocą w stronę Brighton od Lewes. - Grace przerwał na chwilę, wyciągnął notatnik z kieszeni i zajrzał. -

Tak, zgadza się. Pierwszy raz dwadzieścia dziewięć minut po północy i drugi raz czterdzieści minut po północy. - Postanowił na razie nie wspominać o wynikach analizy ziemi, które otrzymał wcześniej. - Czyżbyś wybrał się pan na nocną przejażdżkę w stronę Ashdown Forest?

Obserwował oczy Marka: Będzie kłamał.

- Być może pojechałem - odparł Mark.

- Być może? Czy jeżdżenie w środku nocy po lesie nie jest trochę niezwykłą rzeczą? Nie pamiętałby pan tego?

- Dla mnie to nic niezwykłego - odparł Mark, chwytając szklanceczkę z whisky. - Widzi pan, to jest teren, na którym chcemy budować. Zatwierdzono już nasz plan budowy dwudziestu nowych domów w samym sercu lasu i pracujemy teraz nad szczegółami, bo działacze z ochrony środowiska ciągle piszą jakieś odwołania. Jeżdżę więc do tego lasu w dzień i w nocy, żeby sprawdzać czynniki środowiskowe. Muszę przygotowywać raport wspierający nasz wniosek.

Grace czuł, że wszystko nagle wymyka mu się z rąk. Właśnie zmarnował mnóstwo pieniędzy na analizy ziemi i teraz czuł się jak idiota. Dlaczego o tym nie wiedział? Dlaczego też nikt z zespołu o tym nie wiedział? Próbował się uspokoić i nadać jakiś kierunek myślom. Mark Warren nadal przypominał wrak człowieka, ale wygląda na to, że powodem jego zdenerwowania nie było zniknięcie współnika. Agresywne zachowanie podczas przyjęcia wskazywało na coś jeszcze innego, ale nie wiedział na co.

Nagle, po raz trzeci w ciągu dziesięciu minut, oczy Marka Warrena pobiegły gdzieś w przeciwną stronę pokoju, jak gdyby ktoś tam stał. Grace upuścił pióro na podłogę, a pochylając się po nie, także tam spojrzął. Zobaczył jedynie zestaw hi-fi, kilka cennych bibelotów i jakieś szafki.

- Czytałem o tym młodym człowieku znalezionym w lesie. To bardzo smutne - powiedział Mark.

- Może nawet zdarzyło się to na waszym terenie - powiedział Grace.

- A gdzie go znalezione?

Grace, patrząc mu w oczy, powtórzył słowa, które były na strzępku papieru w pokoju Daveya:

- Po skręceniu w drogę A26 za Crowborough, trzeba minąć biały domek, a potem podwójne ogrodzenie dla bydła... To byłby wasz teren?

Mark nie musiał odpowiadać. Jego oczy powiedziały wszystko.

- To mógłby być... być może... tak.

Grace zaczął wszystko rozumieć.

- Jeżeli wasi kumple mieli zamiar pochować żywcem kolegę w trumnie, wybór tego terenu byłby najsensowniejszy, prawda? Gdzieś w znanym miejscu?

- Cóż... tak przypuszczam...

- I wciąż upiera się pan, że nie miał pojęcia o pochowaniu Michaela Harrisona w trumnie?

Oczy Marka rozbiegały się.

- Nie miałem. Absolutnie nic nie wiedziałem.

- Cóż, dziękuję - powiedział Grace, szukając czegoś w notatniku. - Mam też pewien numer i zastanawiam się, czy mógłby mi pan pomóc, Mark?

- Spróbuję.

Grace przeczytał numer, który był zapisany na schemacie Daveya.

- 077152136 - powtórzył Mark. Jego oczy zdradziły włączenie trybu pamięci. - To przypomina numer komórki Ashley, choć brakuje kilku cyfr. Jej numer to 07771521368. Dlaczego pan pyta?

Grace dopił wodę i wstał.

- Został znaleziony w domu Daveya Wheelera, tego zamordowanego chłopaka. Obok tych wskazówek dotyczących drogi, o których mówiłem.

- Co takiego? Jak ten chłopak zdobył numer Ashley i skąd znał drogę na nasz teren?

- Także chciałbym to wiedzieć.



Kolejny raz oczy Marka pobiegły w drugi koniec pokoju. Czy chodziło o szafę? Coś było w środku? Ale co?

Grace tak bardzo nie wierzył Markowi i Ashley, że myślał tylko o zdobyciu nakazu rewizji ich mieszkań i biura. Ale to nie było proste. Sędzia domaga się przekonujących poszlak. Bransoleta, którą otrzymał od Ashley, to za mało. Tak naprawdę miał tylko przeczucia. Żadnych dowodów.

- Mark, czy na wasz teren łatwo jest trafić? Powiedzmy, mając te wskazówki - biały domek, ogrodzenie dla bydła?

- Trzeba przede wszystkim wiedzieć, gdzie skrócić. Skręt nie jest zaznaczony, jest tam tylko kilka słupków, bo nie chcieliśmy zwracać uwagi na to miejsce.

- Wygląda na to, że miejsce poszukiwań twojego partnera jest zupełnie niedaleko, prawda?

- Owszem.

- Współpracuję z policją w Crowborough, która już przeczesuje cały ten teren, ale wydaje mi się, że dobrze byłoby, gdyby pan tam pojechał, na pewno by pan nam pomógł. Czy zgodzi się pan, jeżeli zorganizuję transport, który zabierze pana w ciągu pół godziny?

- Oczywiście. Ale... jak długo będę potrzebny?

Grace zmarszczył brwi.

- No cóż, wszystko, czego potrzebuję, to wskazanie zjazdu z drogi i pokazanie, gdzie zaczynają się wasze tereny. Zajmie to może godzinę. Chyba że zechce pan dołączyć do poszukiwań?

- Pewnie... to znaczy... zrobię, co będę mógł.

Mark zamknął drzwi za Grace'em, pobiegł do łazienki, klęknął nad sedesem i wyrzygał się. Potem jeszcze raz. Wstał, przepłukał usta zimną wodą. Jego ubranie można było wykręcać z potu, a włosy przykleiły mu się do głowy. Przez lejącą się wodę, ledwie usłyszał dzwonek telefonu.

Zdażył podnieść słuchawkę, nim włączyła się automatyczna sekretarka.

- Halo?

- Mark Warren? - zapytał głos o australijskim akcencie.

Mark, sam nie wiedział dlaczego, ale natychmiast stał się czujny.

- To numer zastrzeżony. Z kim rozmawiam?

- Nazywam się Vic... jestem z twoim przyjacielem, Michałem... to on dał mi twój numer. Właściwie to on chciałby szybciułtko porozmawiać z tobą. Mam mu podać telefon?

- Tak. - Mark trzymał mocno słuchawkę przy uchu, drżał. I nagle usłyszał głos Michaela. Bez wątpienia był to Michael, ale wydał taki głos, jakiego Mark nigdy przedtem nie słyszał. To był ryk bólu, który zrodził się gdzieś w głębi jego duszy, a potem wybuchnął jakby w niedającej się znieść agonii.

Mark odsunął słuchawkę od ucha. Ryk ucichł, a potem znów usłyszał Michaela, który skomlał i znowu krzyczał:

- Nie, proszę, nie, nie, NIE, NIE, NIE!

A potem ponownie usłyszał głos Vica.

- Pewnie się zastanawiasz, co zrobiłem twojemu kole-dze, prawda, Mark? Nie martw się, znajdziesz to w jutrzej-szej poczcie.

- Czego chcesz? - zapytał Mark, nasłuchując, ale głosu Michaela już nie usłyszał.

- Żebyś przelał pieniądze z konta na Kajmanach na kon-to, które ci zaraz podam.

- To niemożliwe, nawet gdybym chciał to zrobić. Po-trzebne są dwa podpisy, Michaela i mój.

- Przecież masz w biurze podpisane przez was obu doku-menty, które dają pełnomocnictwo prawnikowi na Kajma-nach. Zrobiliście to w zeszłym roku podczas tygodniowego rejsu. Miałeś wtedy nadzieję na ustanowienie umowy wła-sności osobistej na wyspach Grenadyny, ale nic z tego nie wyszło. Tyle że zapomniłeś zniszczyć te dokumenty.

Skąd, do cholery, ten człowiek o tym wiedział?

- Chcę rozmawiać z Michaelem, ale nie chcę, żeby cier-piał. Chciałbym z nim pomówić, proszę.

- Na dziś wystarczy już tych rozmów. Teraz masz czas wszystko przemyśleć. Złapię cię później, znowu sobie po-gawędzimy... Aha, Mark, naturalnie ani słowa policji... to naprawdę by mnie wkurzyło.

Telefon zamilkł.

Mark natychmiast usiłować przywołać numer, z którego dzwonił, ale usłyszał automatyczny głos: „Nie ma takie-go numeru”. Wcale go to nie zdziwiło.

Zadzwoił do Ashley, na szczęście odebrała.

- Dzięki Bogu - powiedział. - Gdzie byłeś?

- O co ci chodzi?

- Usiłowałem cię złapać.

- Poszłam na masaż. Ktoś z nas musi zachować trzeźwy umysł, prawda? Potem wpadłam z wizytą do matki Michaela i teraz jestem w drodze do domu.

- Możesz tu przyjść... teraz... natychmiast?

- Bełkoczesz... piłeś?

- Coś się stało. Musimy porozmawiać.

- Porozmawiamy rano.
  - To nie może czekać.
- Rozkazujący ton jego głosu odniósł skutek.
- W porządku... tylko nie wiem, czy to jest dobry pomysł, żebym przyjeżdżała do ciebie... spotkajmy się w jakimś neutralnym miejscu... na przykład w barze lub restauracji?
  - Wspaniale, tam gdzie cały świat mógłby nas usłyszeć?
  - Będziemy mówili cicho, dobrze? To chyba lepiej, niż gdyby widziano mnie wchodzącą do twojego mieszkania.
  - Jezu, jesteś paranoiczką!
  - Ja? To ty się tak zachowujesz. Wybierz restaurację.

Mark myślał przez chwilę. Samochód policyjny miał go zabrać za pół godziny. Była 20.00. W poniedziałkowy wieczór w restauracjach nie powinno siedzieć zbyt dużo ludzi. Wybrał więc włoską restaurację niedaleko Teatru Królewskiego.

Tymczasem w restauracji było wyjątkowo tłoczno, ponieważ odbywał się właśnie Brighton Festival, o czym zapomniał. Większość stolików była zajęta, tak że został wciśnięty gdzieś za dwunastoosobowe hałaśliwe towarzystwo.

Wycieczka do Crowborough odbyła się bez niespodzianek. Dwóch młodych policjantów w nieoznakowanym samochodzie przez większą część drogi kłóciło się na temat piłkarzy, a wracając, gadali głównie na temat krykieta. Nim nie interesowali się w ogóle, narzekali, że powinni skończyć pracę, już pół godziny temu, więc spieszyli się. Mark uznał to za dobry znak.

Wskazał im skręt z szosy, potem siedział i czekał, a oni wezwali zespół poszukiwawczy. Po krótkiej chwili pojawiło się kilka policyjnych wozów. Mark wyjaśnił, jak daleko muszą jechać, ale nie przyłączył się do nich. Nie chciał być przy odnalezieniu grobu, a że znajdą go, to pewnie.

Teraz koniecznie musiał się napić. Zamówił piwo, a potem gapił się na menu, żeby oderwać się od uporczywych myśli. Kilka chwil później przyjechała Ashley.

- Wciąż pijesz? - Bez pocałunku usiadła naprzeciwko niego, pełnym dezaprobaty spojrzeniem obrzuciła hałaśliwe to-

warzystwo przy sąsiednich stolikach, potem położyła przed sobą różową elegancką torebkę.

Wygląda piękniej niż kiedykolwiek, pomyślał Mark. Była ubrana w modną bluzkę, pod którą wyraziście rysował się jej biust, a upięte włosy odsłaniały kark. Wyglądała świeżo, do tego pachniała wspaniałymi perfumami, które dobrze znał, choć nie potrafiłby ich nazwać.

Uśmiechając się, powiedział:

- Wyglądasz oszałamiająco.

Jej oczy rzucały niecierpliwe spojrzenia w poszukiwaniu kelnera.

- Dzięki, a ty wyglądasz do dupy.

- Dobrze wiesz dlaczego.

Ignorując jego słowa, uniosła rękę, a kiedy kelner przybiegł, tonem nieznoszącym sprzeciwu zamówiła san pellegrino.

- Masz może ochotę na wino? Ja też poproszę.

- Myślę, że powinienesz zamówić raczej wodę, ostatnio za dużo pijesz. Musisz przestać, musisz się opanować. Dobrze?

- Dobrze. Może.

Wzruszyła ramionami.

- Zresztą rób, co chcesz.

Mark wyciągnął rękę przez stół w jej kierunku, ale ona cofnęła dłoń. Siedziała sztywno, a ręce skrzyżowała stanowczym gestem na piersiach.

- Zanim zapomnę, jutro jest pogrzeb Pete'a. Nabożeństwo o 14.00 w kościele Dobrego Pasterza na Dykę Road. W środę Luke'a, nie znam jeszcze godziny, nie wiem też, kiedy Joshua i Robbo. No, a teraz co to straszne wydarzyło się, o czym musisz mi powiedzieć?

Kelner przyniósł jej wodę i przyjął zamówienie na kolację. Kiedy odszedł, Mark powiedział o przesyłce. Zszokowana kręciła głową.

- To nie może być prawda, Mark.

Mark schował owinięty palec w domu do lodówki, ale przyniósł ze sobą załączony list.

Ashley czytała go uważnie kilka razy, jakby z niedowierzaniem. Potem nagle w jej oczach pojawiła się złość i popatrzyła na niego oskarżycielsko.

- A to nie twoja sprawka, Mark?

Teraz z kolei Mark był zszokowany.

- Co? Myślisz, że ukryłem gdzieś Michaela i uciąłem mu palec? Może nie lubiłem go za bardzo, ale...

- Nie miałeś wyrzutów, pozwalając mu umrzeć w trumnie, udusić się z braku powietrza, ale nigdy nie zrobiłbyś mu tak paskudnej rzeczy, jak obcięcie palca? - W jej głosie brzmiała ironia. - No, dalej Mark, co to za bzdury?

Rozejrzał się dookoła zaniepokojony, bo podniosła głos, ale nikt nie zwrócił na nich uwagi.

Nie mógł uwierzyć, że tak na niego naskoczyła.

- Ashley, przestań, to nie ja. Jezu Chryste, co z tobą? Jesteśmy w jednej drużynie, ty i ja. Czy nie taka była umowa? Kochamy się, jesteśmy razem, prawda?

Złagodniała. Rozejrzała się, pochyliła do przodu, wzięła jego rękę, przyciągnęła do ust i delikatnie pocałowała.

- Kochanie - powiedziała szeptem. - Tak bardzo cię kocham, ale jestem zszokowana.

- Ja też.

- Sądzę, że każde z nas inaczej radzi sobie ze stresem, szokiem, rozumiesz mnie?

- Ale musimy zrobić coś dla Michaela.

Potrząsnęła głową.

- To jest idealna sytuacja, nie widzisz tego? Po prostu nic nie zrobimy! Ten facet, Vic, myśli, że ty przejmujesz się Michaeliem, bo jest twoim partnerem w interesach. - Uśmiechnęła się. - Nieprawdopodobna sytuacja!

- Nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego. - Wypił piwo, rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy kelner nie niesie dla nich wina. Potem opowiedział jej o telefonie od Vica i krzyku Michaela.

Słuchała w milczeniu.

- Chryste, biedny Michael... on... - Przygryzła wargę, a łza spłynęła jej po policzku. - To znaczy... o cholera, cholera. - Zamknęła oczy na kilka sekund, potem spojrzała prosto na Marka. - Jak... jak, do cholery... ten facet znalazł Michaela?

Widząc, jak bardzo jest zdenerwowana, Mark postanowił nie wspominać jej o wizycie Grace'a.

- Jedyne, co przychodzi mi teraz do głowy, to przypadek. Musiał potknąć się o grób, który nie był wystarczająco dokładnie ukryty... Chłopaki planowali zostawić go tam na godzinę, góra dwie. Dlatego słabo go zasypali i przypadkowy włóczęga mógł na niego trafić.

- Włóczęga - powiedziała ponuro. - Ten gość nie jest żadnym włóczęgą.

- Może kimś przypadkowym. Znalazł Michaela, a na podstawie wiadomości z gazet i telewizji domyślił się, że to ten bogaty gość, którego wszyscy szukają... Uznał to za życiową szansę. Zabrał go w jakieś inne miejsce i przysłał nam wiadomość w sprawie okupu i dowód, że ma Michaela.

Ashley zaczęła mówić, jękając się.

- Ale skąd... skąd... ty... my... ktokolwiek, to znaczy... skąd wiemy, że to jest palec Michaela?

- Jakies trzy tygodnie temu w sobotnie popołudnie Michael i ja pojechalismy reperować łódź, pamiętasz?

- Trochę.

- Drzwi przytrzasnęły wtedy Michaelowi wskazujący palec. Skakał, kłął, szukał kranu z zimną wodą. Kilka dni później pokazał mi ten palec; miał czarną obwódkę wokół paznokcia. - Przerwał na chwilę. - Palec, który mi przysłano, też ma taką czarną obwódkę. Rozumiesz?

Do stolika podszedł kelner i postawił przed Ashley talerz z sałatką, a przed Markiem zupę. Kiedy odszedł, Ashley powiedziała:

- Chcesz dzwonić na policję, Mark? Powiedzieć o tym inspektorowi?

Zastanawiał się nad tym. Jeżeli zawiadomią policję, a mężczyzna spełni groźbę i zabije Michaela, okazałoby się to dobrym rozwiązaniem.

- Michael musi mieć palmtopa. Jeżeli żyje, dowie się, że wiedziałem, gdzie ma być pochowany.

- Od wypadku w ogóle nie mówiliśmy o wyciągnięciu go żywego - powiedziała. A po chwili wahania dodała: - A może mówiliśmy?

Mark milczał. W jego umyśle, zazwyczaj tak uporządkowanym i skoncentrowanym, teraz panował chaos. Nigdy nie zamierzał zrobić krzywdy Michaelowi... to miał być tylko rewanż za jego żarty. Plan, który obmyślili z Ashley, nie przewidywał okaleczenia Michaela, z całą pewnością. Ashley miała go poślubić i otrzymać połowę udziałów w firmie. Wtedy ona i Mark mieliby wystarczającą ilość głosów, żeby przejąć kontrolę. Odwołaliby Michaela z rady nadzorczej, a on, nie mając większości, musiałby pozwolić im wykupić swoje udziały po zaniżonej cenie.

Dlaczego, do cholery, milczał, kiedy wrócił z Leeds i usłyszał o wypadku. Dlaczego? Dlaczego nic nie powiedział?

Oczywiście znał odpowiedź. Czysta zazdrość. Ponieważ nie był w stanie znieść myśli o wyjeździe Ashley na miesiąc miodowy z Michaelem... i ponieważ los sam podsunął rozwiązanie.

- Czy była, Mark? - Uporczywy głos Ashley przerwał jego myśli.

- Czy co było?

- Rany! Czy kiedykolwiek istniała kwestia, żeby wyciągnąć go żywego?

- Nie, oczywiście, że nie.

Wpatrywała się w niego.

Popatrzył w bok, a w uszach wciąż brzmiały mu okropne krzyki Michaela. Ashley, nie słyszałaś ich, myślał.



Michael leżał w czarnej jak asfalt ciemności, serce mu łomotało, w głowie huczało, mały palec pulsował, a ból nie do zniesienia przenikał go od jąder aż do brzucha. Nie wiedział, ile czasu minęło, odkąd ten zakapturzony drań przypiął do nich zaciskacz, a potem poraził go prądem. Ale ból był niczym w porównaniu ze strachem, który narastał w jego umyśle. Przypomniał sobie film „Milczenie owiec”, który oglądał kilka lat temu i po raz drugi zupełnie niedawno, z Ashley, w telewizji. Pamiętał dziewczynę, która została uwięziona na dnie studni przez seryjnego zabójcę obdzierającego ze skóry swoje ofiary. Nie potrafił się opanować, drżał. Próbował skupić myśli, zdeterminowany, żeby jakoś przeżyć.

Wrócić do Ashley. Poprowadzić ją do ołtarza. To wszystko, czego chciał.

Boże, jak za nią tęsknił.

Nie mógł poruszyć nogami i rękami. Oprawca nakarmił go gulaszem z puszki i chlebem, potem znowu zatkał mu usta taśmą izolacyjną; mógł oddychać, ale z trudem, tylko przez nos. Nagle spanikował, że i tego już nie może. Jeszcze raz pociągnął nosem, mocniej, głębiej. Serce przyspieszyło.

Starał się domyślić, gdzie jest. Miejsce śmierdziało stęchlizną, unosił się też nikły zapach oleju silnikowego. Leżał na twardej powierzchni i coś mocno wypchało się w jego kręgosłup, raniąc go z każdą minutą coraz mocniej. Pomimo

bólu czuł się silniejszy, o wiele silniejszy niż poprzednio. To dzięki jedzeniu. Nie zostanę tu i nie umrę, do cholery. Nie zrobiłem jeszcze wszystkiego w moim życiu, żeby tu skończyć. Nie ma mowy. W ogóle nie ma mowy, w ogóle nie ma mowy, nie, nie, nie, do cholery, nie.

Zmagał się z kajdanami. Oddychał głęboko, potem usiłował się skurczyć, a wreszcie oswobodzić. I poczuł coś. Odrobinę luzu. Znow rozciągnął ręce w tej ciasnocie, mocniej i mocniej. O słodki Jezu, mógł poruszyć prawą ręką. Tylko troszkę, ale mógł! Ciągnął krepujące go więzy, kurcząc się i rozciągając. Miał więcej luzu dla prawej ręki.

I jeszcze więcej!

Przekreślił się na bok, a potem na brzuch. W nozdrza uderzył go smród oleju silnikowego. Leżał twarzą w dół, ale nie miało to znaczenia, przynajmniej nie czuł bólu w kręgosłupie.

Poruszył ręką, zaczął macać dookoła i nagle dotknął czegoś.

O mój Boże!

To jego komórka.

Wyciągnął ją z tylnej kieszeni spodni.

Serce mało mu nie wyskoczyło z piersi. Była w trumnie, pod wodą. Czy jeszcze w ogóle działa?

Przesunął palcami po powierzchni, jakby pieścił kochankę. Odnalazł przycisk. Nacisnął. Słuchał.

Usłyszał bardzo słabe piknięcie, potem pojawił się niewyraźny błysk światła, wystarczający, by mógł zobaczyć strome ściany. Znajdował się w pomieszczeniu na dwa metry szerokim i może na półtora wysokim, zamkniętym czymś w rodzaju drzwi. Nagle poczuł się silniejszy, a jego umysł był znow bystry i skoncentrowany. Starał się poruszyć ręką, wyslizgnąć się z kajdan i podsunąć telefon do twarzy, ale bezskutecznie. Sznury okazały się zbyt ciasne.

Mimo to.

Musiał coś wykombinować.

Wiadomość.

Mógł spróbować wysłać wiadomość.

Myśl! Włączasz telefon i co się potem dzieje? Najpierw jest żądanie kodu pin. Używał prostego kodu 4444, był to jego szczęśliwy numer.

Przesunął palcami po przyciskach, numer 4 był daleko po lewej stronie, w drugim rzędzie. Nacisnął i usłyszał piknięcie; potem kolejne, kolejne, kolejne. Niewiarygodne! Komórka działała. Czy zdoła jednak wysłać wiadomość?

Następne działania wydawały się o wiele trudniejsze. Musiał przypomnieć sobie układ liter na klawiaturze. Na pierwszym klawiszu nie było żadnych liter. Na drugim litery ABC. Gorączkowo myślał: alfabet podzielony był na grupy po trzy litery, z wyjątkiem dwóch klawiszy, które miały po cztery litery. Które to były cyfry? Cholera, tak często posyłał wiadomości, że musi mieć to odcisnięte w mózgu.

To muszą być najmniej popularne litery w alfabecie: Q i X albo Z?

Przypominał sobie kolejność działań komórki. Przycisk menu po lewej stronie. Jedno naciśnięcie - wysyłanie wiadomości. Drugie napisanie wiadomości. Trzecie pusty ekran. A potem przyciskał, mając nadzieję, że wybiera prawidłowe litery: „Żyję. Zadzwoń na policję”.

Kolejne naciśnięcie i wysłanie wiadomości.

Potem numer telefonu.

Wystukał numer telefonu Ashley.

Kolejne naciśnięcie.

Usłyszał piknięcie potwierdzające wysłanie. Udało się!

Ale... nawet jeżeli wiadomość została wysłana, w jaki sposób pomoże Ashley czy policji? Jak, do diabła, będą w stanie go znaleźć na podstawie tej wiadomości? W ciągu kilku chwil pogrążył się w jeszcze większej ciemności niż ta, która go otaczała.

Odrzucił jednak myśl, żeby się poddać. Musi być jakie wyjście.

Palce przesunęły się po klawiszach, liczył 1-2-3-4-5-6-7-8-9.

Nacisnął 9-9-9. Potem przycisk wysyłania. Kilka chwil później usłyszał nikły dźwięk, a potem głos kobiety, także bardzo słaby.

- Pogotowie, który oddział wezwać?

Usiłował coś powiedzieć, ale wszystko, co udało mu się wydobyć z krtani, to słabiutkie chrząknięcie. Głos powtarzał:

- Halo? Kto dzwoni? Halo? Czy wszystko w porządku? Halo? Halo, jest tam kto? Czy możesz się przedstawić? Halo? Czy jesteś w potrzebie? Czy mnie słyszysz?

A potem nastąpiła cisza.

I znowu:

- Halo, czy jest tam ktoś?

Rozłączył się, a potem dzwonił jeszcze raz. Kolejny kobiety głos powtarzał te same słowa. Rozłączył się. Muszą się domyślić, jeżeli będzie tak dzwonił i dzwonił. Może zrozumieją?

Grace zamówił drugiego drinka dla Cleo Morley, a dla siebie dietetyczną colę. Jedna potężna whisky wystarczyła, zamierzał jeszcze wrócić do pracy i musiał zachować trzeźwość umysłu.

Siedzieli w rogu sali, a choć było pewnie z tuzin osób, pub wydawał się pusty.

Cleo wyglądała oszałamiająco. Jej błyszczące włosy spadały na ramiona. Ubrana była w zamszową marynarkę, beżową bluzeczkę bez rękawów, białe džinsy, które odsłaniały jej kształtne kostki i białe pantofelki.

Po wyjściu z mieszkania Marka Warrena Grace wrócił na posterunek, zrobił kopię schematu Daveya i rozesłał ją faksem do członków zespołu. Potem poszedł do pubu, spóźniony godzinę i dwadzieścia minut. Oczywiście nie miał czasu, żeby przebrać się i odświeżyć.

- Nigdy wcześniej nie widziałem cię w cywilnych ciuchach - zażartował.

- Czułbyś się bardziej komfortowo, gdybym przyszła ubrana w zielony fartuch i kalosze?

- Sądzę, że byłoby to oryginalne.

Uśmiechnięta uniosła szklanke.

- Na zdrowie!

Miała wspaniałą figurę. Podobały mu się jej oczy, mały, ładny nos, pełne usta, dołeczek w brodzie i szczupłe ciało. Pachniała też oszałamiająco. Zupełnie inaczej niż w pracy;

emanowała kobiecością, jej oczy skrzyły się i każdy facet w pubie dosłownie pożerał ją wzrokiem. Grace zastanawiał się, czy nadal przyglądaliby się jej tak pożądliwie, gdyby wiedzieli, czym się zajmuje całymi dniami.

- Dobrze cię widzieć.
- Ciebie też. No to opowiedz mi o swoim dniu.
- Nie chciałabyś tego słyszeć!

Pochyliła się bliżej. Czuł się doskonale i na chwilę wszystkie jego zmartwienia gdzieś odpłynęły.

- Chciałabym - powiedziała. - Chcę usłyszeć szczegółową relację z każdej minuty!

- A co powiesz na skróconą wersję? Wstałem, wziąłem prysznic, wyszedłem i spotkałem Cleo przy drinku. Wystarczy?

- W porządku, to na początek. A teraz opowiedz mi o szczegółach, które usunąłeś.

Opowiedział jej krótko, nie chcąc marnować czasu. Była 21.15 i za godzinę miał być na spotkaniu. W ogóle nie powinien przychodzić, powinien odwołać randkę, ponieważ miał tyle do zrobienia... ale, do cholery, czyż nie miał prawa do chwili przyjemności?

- To musiała być ciężka wizyta, taka rozmowa z kimś, kto jest w żałobie? - stwierdziła. - W ciągu siedmiu lat powinnam się już przyzwyczaić do widoku ludzi, którzy dowiedzieli się o śmierci bliskich, ale nadal za każdym razem boję się z nimi rozmawiać.

- Może to zabrzmieć bezdusznie - powiedział Grace - ale przesłuchanie w pierwszych godzinach daje największą szansę dowiedzenia się czegoś. Kiedy ludzie kogoś utracą, przeżywają szok. I często w takim stanie gotowi są mówić. Ale w ciągu następnych godzin rodzina i przyjaciele zaczynają napierać i wtedy zamykają się w sobie. Jeżeli chcemy dowiedzieć się czegoś użytecznego, wiem to z doświadczenia, musimy przesłuchać ich w ciągu pierwszych kilku godzin.

- Lubisz to, co robisz? - zapytała.

- Lubię. Z wyjątkiem sytuacji, kiedy popadam w konflikty z ograniczonymi ludźmi.

Cleo pochyliła się nad drinkiem.

- Roy, jest coś, o co chciałam cię spytać od dłuższego czasu. Oczywiście, czytałam też notatkę w gazecie, w zeszłym tygodniu. W jaki sposób zainteresowałeś się sprawami nadprzyrodzonymi?

Teraz on zainteresował się nagle zawartością szklanki. Dopiero po chwili odpowiedział.

- Kiedy byłem dzieckiem, mój wujek, brat ojca, mieszkał w Bembridge na wyspie Wight. Zwykle jeździłem do niego latem na tydzień i uwielbiałem to. Mieli dwóch synów, jeden był trochę starszy ode mnie, a drugi trochę młodszy. Właściwie wychowywałem się z nimi od szóstego roku życia. Czy kiedykolwiek byłeś w Cowes?

- Tak, wiele razy tata zabierał mnie na żagle podczas Cowe Week.

- O, taaatuuuś cię zabierał.

- Nie bądź złośliwy! Mów dalej.

- Mieli mały, szeregowy domek, ale naprzeciwko nich postawiono całkiem niezły dom, taką czteropiętrową rezydencję. Mieszkały tam dwie starsze, słodkie babcie, które zawsze siedziały w dużym oknie na najwyższym piętrze i machały do mnie za każdym razem, gdy tylko mnie widziały. Kiedy miałem czternaście lat, wuj sprzedał dom i wyemigrował do Nowej Zelandii. Nie jeździłem tam już na wakacje. Minęło osiem lat. Kiedy Sandy i ja pobraliśmy się, zabrałem ją na jedną z wycieczek w stylu „poznajemy naszych przodków” i pomyślałem, że będzie zabawnie, jeżeli pokażę jej Cowes i miejsce, gdzie spędziłem tyle szczęśliwych dni jako dziecko.

Kiedy dotarliśmy do domu wujka, ten piękny dom z naprzeciwka był akurat wyburzany, miał tam powstać apartamentowiec. Zapytałem robotników, co się stało z tymi starszkami. Nie wiedzieli, ale odesłali mnie do inwestora budowlanego, który mieszkał w Cowes przez całe życie i znał

prawie wszystkich. Powiedział, że od ponad czterdziestu lat nikt w tym domu nie mieszkał. Podobno właścicielkami były dwie starsze panie, siostry. Obie straciły mężów w czasie pierwszej wojny światowej. Wtedy stały się nierozłączne. Kiedy u jednej zdiagnozowano nowotwór, druga postanowiła, że nie chce żyć samotnie. Więc obie otruły się gazem, siedząc na oknie wykuszowym najwyższego piętra. Zdarzyło się to w 1947 roku.

Cleo siedziała przez kilka chwil, nie odzywając się.

- Nigdy nie widziałeś tych pań na zewnątrz?

- Nie... byłem tylko dzieckiem. Przypuszczam, że w tym czasie nigdy nie zdziwiło mnie to, że one zawsze są w tym oknie. Sądziłem, że wielu starszych ludzi po prostu nie wychodzi.

- A twoja ciocia i wujek?

- Rozmawiałem z nimi na ten temat później, dzwoniłem do nich, do Nowej Zelandii. Powiedzieli, że mieli zwyczaj machać do pustego okna, żeby sprawić mi przyjemność. Myśleli, że te dwie panie były wytworem mojej wyobraźni.

- Ale ty je widziałeś?

- Sprawdziłem w archiwach. Znalazłem ich zdjęcia, wyraźne. Nie mam żadnych wątpliwości, że to były te dwie starsze panie, do których machałem. No i ktoś machał do mnie każdego dnia przez dziesięć lat mojego dzieciństwa

- Niesamowite! To bardzo przekonująca historia. A jak ją wyjaśnisz?

Zauważył, że jej kieliszek był pusty.

- Drinka?

- Och, czemu nie! Ale teraz moja kolejka.

- Kazałem ci czekać przez godzinę i dwadzieścia minut, więc ja stawiam drinki. Nie ma dyskusji!

- W takim razie ja stawiam na kolejnej randce... zgoda?

Roześmiali się.

- Zgoda.

- No, dalej, jak to wyjaśnisz?



- Mam kilka teorii na temat duchów. To znaczy, uważam, że są różne typy duchów...

Przerwało mu piknięcie telefonu.

Przeprosił Cleo i odebrał.

- Słucham.

Dzwoniła Boutwood.

- Przepraszam, że pana niepokoję, ale coś się zdarzyło. Czy jest pan w drodze na posterunek?

Popatrzył na Cleo Morley i z bólem serca powiedział:

- Będę za piętnaście minut.

O 22.40 Grace wszedł do biura. Byli już wszyscy. Nick jadł chińskie żarcie na wynos, Bella przeżuwała jabłko, Emma-Jane siedziała przy komputerze, sącąc sok przez słomkę.

- Cześć, co się dzieje?
- Glenn popędził do domu... jakieś problemy z opiekunką, ale za chwilę wróci.
- Wspaniale! Więc co się wydarzyło?

Emma-Jane spojrzała na niego nerwowo; najmłodsza w zespole nie umiała jeszcze ocenić, kiedy żartuje, a kiedy się wkurza. Wołała być ostrożna.

- Na podstawie schematu, który pan nam przekazał, znaleziono trumnę w ukrytym grobie na terenie będącym własnością firmy Harrisona.

- Wspaniale! To fantastyczna wiadomość!

Nagle zdał sobie sprawę, że wszystkie oczy skierowane są na niego, i zrozumiał, że coś jest nie tak.

- No i?
- Obawiam się, że to nie jest dobra wiadomość. Nikogo tam nie było.
- Tylko pusta trumna? W normalnym grobie?
- Tak. - Zaczynała się coraz bardziej denerwować.
- Czy ktoś tam był... to znaczy, czy coś tam było?
- Jak się wydaje, na wieku trumny... od środka... były jakieś znaki.

- Jakie znaki?
- Wyraźnie ktoś próbował czymś drapać, ciąć... wy dostać się stamtąd.
- I Michaelowi Harrisonowi czy komukolwiek innemu to się udało?
- Wieko było otwarte... ale grób był przykryty falistą blachą, na którą ktoś rzucił gałęzie, jakby chciał to zakryć.  
Zdumiony Grace rozejrzył się.
- Więc z kim, do cholery, mamy do czynienia? Z Houdinim?
- To specjalnie nie ma sensu - dodał Nicholl.
- Ten gość, Michael Harrison, ma opinię żartownisia. Dlatego to może mieć sens - odparował z irytacją. Czuł się zmęczony i dlatego był opryskliwy; pragnął być teraz w pubie, gawędzić z ciepłą i uroczą Cleo Morley, a nie tu, rozważać dziwne sprawy.  
Nagle poczuł, że jest potwornie głodny. Nic nie jadł od lunchu, a wtedy zjadł tylko kanapkę. Wyszedł więc na korytarz, do automatu, i kupił podwójne espresso, butelkę wody mineralnej i batonik.  
Kiedy wrócił, Emma-Jane podała mu słuchawkę.
- Ashley Harper... nalega, mówi, że to pilne.
- Grace, słucham.
- Mówi Ashley Harper. - Jej głos brzmiał gorączkowo. - Właśnie dostałam SMS-a od Michaela. On żyje!
- Co napisał?
- „Żyję, zadzwoń na policję”. Sądzę, że tekst jest taki.
- Pani sądzi?
- Pisownia jest bardzo dziwna... ale SMS-y czasem mają dziwną formę, prawda?
- Tylko tyle napisał?
- Tak.
- Wysłał ze swojej komórki?
- Tak, to z jego numeru telefonu.
- Proszę zostać w domu, zaraz przyjadę.

Mark patrzył na swoje beznadziejne odbicie w zadymionym szkle lustra windy, która wiozła go na szóste piętro budynku Van Allen. Wszystko wydawało się takie porąbane. Niecały tydzień temu siedział w samolocie, wracając z Leeds, czytał artykuł o ferrari 365 i zastanawiał się, czy kupić wóz czerwony, czy srebrny, jaka powinna być skrzynia biegów. A teraz wydawało się to tak odległe. O co chodziło Ashley? Przez tyle miesięcy byli tak niewiarygodnie blisko, tak blisko, jak tylko ludzie mogą być. Mieli to samo poczucie humoru, te same zainteresowania, lubili tę samą kuchnię. Byli zakochani. Kochali się, ilekroć udało im się wyrwać cenne chwile, parę razy Michael niemal ich nakrył. Ashley była zadziwiająca; mądra, superinteligentna, kochająca i opiekuńcza. Nigdy nie spotkał kogoś takiego i nie mógł wyobrazić sobie życia bez niej.

Więc dlaczego teraz stała się taka cięta? W porządku, to głupota upić się na przyjęciu i być niegrzecznym wobec gliny. Ale ta cała mowa na temat zabójstwa! Nigdy nie planował morderstwa. Nigdy. A ona teraz mówiła o tym tak, jakby od początku o to chodziło.

Postępował zgodnie z jej planem, ale przecież nie chodziło o zamordowanie Michaela... tylko, o... o...

Nie o morderstwo. Stanowczo nie o morderstwo.

Morderstwo trzeba zaplanować, a to był przypadek, tragiczny zbieg okoliczności. Pochowanie Michaela, a potem ten wypadek.

Nie darzył Michaela sympatią. Michael zawsze i wszędzie był pierwszy: w szkole, w biegu na sto metrów, w każdej innej cholerniej rzeczy. Zdobywał bramki, pierwszy stracił dziewictwo... Kobiety zawsze jego wołały. A Markowi pozostawało stanie obok Michaela. W zatłoczonym barze, kiedy podchodziły fajne dziewczyny, Michael mówił: „To jest mój przyjaciel Mark!”. A one uśmiechały się „Cześć, Mark!” i odwracały się do niego plecami. To nie zdarzyło się raz. To zdarzało się za każdym razem.

Na początku tak samo było z Ashley. Na pierwszym spotkaniu, sześć miesięcy temu, to Michael, jak zwykle, przeprowadzał z nią rozmowę. Ashley wydawała się nim urzeczona i ledwie na Marka spojrzała. Później powiedziała, że tylko udawała, ponieważ tak desperacko potrzebowała tej pracy, a słyszała, że to Michael kontroluje firmę. W ciągu pierwszego miesiąca Mark obserwował zabiegi Michaela. Znał go wystarczająco dobrze, żeby odczytać znaki... flirtował z nią, pochlebiał jej, opowiadał o sobie, dokładnie w taki sam sposób, w jaki podrywał wszystkie kobiety. Mark miał niezły ubaw. Pierwszy raz zdarzyło się, że on poderwał dziewczynę, którą Michael adorował... I to było cudowne, po piętnastu latach przyjaźni przestał czuć się uzależniony od Michaela.

Ten plan był pomysłem Ashley, a Mark nie miał żadnych skrpułów. Tylko nie potrafił wyobrazić sobie ich wyjazdu na miesiąc miodowy. W głębi serca wiedział, że dlatego właśnie pojechał do lasu w zeszły czwartek i wyciągnął rurkę do oddychania.

Ale teraz miał pozwolić temu szaleńcowi torturować i okaleczać Michaela? Doprowadzić do jego śmierci? Nie był pewien, czy ma wystarczająco mocne nerwy.

Wszedł do mieszkania i usłyszał dzwonek telefonu. Rzucił się przez pokój, spojrzął na wyświetlacz - nie było żadnego numeru.

- Halo?

Ten sam australijski akcent.

- Hej, kolego, mówi Vic. Jestem ciekawy, co to za gliniarz wpadł z wizytą do ciebie? Mówiłem ci, żebyś nie rozmawiał z gliniarzami.

- Nie rozmawiałem - powiedział Mark. - To inspektor, który prowadzi śledztwo w sprawie zniknięcia Michaela... Nie miałem pojęcia, że przyjdzie.

- Nie wiem, czy wierzyć ci, przyjacielu, czy nie. Chcesz uciąć sobie pogawędkę z Mikiem czy dogadaliśmy się?

- Dogadaliśmy się.

- Więc zrobisz to, co ci powiem?

- Słucham.

- Pójdiesz teraz do biura, otworzysz sejf, wyciągniesz dokumenty podpisane przez ciebie i Michaela, te które dają pełnomocnictwo prawnikowi. Jeśli zapomniałeś, nazywa się Julis Grobbe i pracuje na Kajmanach, i przefaksujesz je do niego. W tym samym czasie zadzwonisz do niego i powiesz, żeby dokonał transferu miliona dwustu pięćdziesięciu trzech tysięcy siedemset dwunastu funtów z waszego konta na numer konta na Panamie, który już mu przefaksowałem. Zadzwonię do ciebie za godzinę sprawdzić, jak ci poszło. Jeżeli nie odbierzesz telefonu, wtedy twój kolega straci kolejną część ciała i to będzie go naprawę bolało. Kapujesz?

- Tak.

Milion dwieście pięćdziesiąt trzy tysiące siedemset dwaście funtów to było dokładnie tyle, ile Mark i Michael mieli na wspólnym rachunku.

Roy Grace i Glenn Branson siedzieli w zimnym salonie Ashley i studiowali napisaną wiadomość odebraną przez jej komórkę.

żyję, \*Ł zadzwonił na ponlicję

Ashley wykręcała nerwowo dłonie. Była blada, a w jej oczach szklily się łzy. Chyba gdzieś wychodziła, pomyślał Grace, patrząc na jej elegancki strój. Gdzie? Z kim?

Powinno mu być jej żal, wiedział o tym. Jej narzeczony zniknął, ślub został odwołany, a dzisiaj wieczorem, zamiast cieszyć się miesiącem miodowym, siedziała i płakała w swoim domu w Brighton. Ale wcale jej nie żałował, nie było mu przykro. Nie ufał jej.

- Próbowała pani oddzwonić?

- Tak, posłałam też wiadomość. Było połączenie, ale odzywała się poczta głosowa.

- To lepiej niż przedtem - powiedział Grace - kiedy od razu włączała się poczta głosowa.

Branson bawił się komórką; był lepszy w obsłudze takich gadżetów.

- To zostało wysłane z komórki Michaela Harrisona, z numeru 447973134621 - obwieścił. Potem nacisnął jakiś przycisk i przygryzał wargę, aby się skoncentrować. - Dzisiaj o godzinie 22.28.

Sprawdzili zegarki; ponad godzinę temu.

Dwadzieścia minut czekała, zanim zadzwoniła na policję, pomyślał Grace. Dlaczego?

Branson wybrał numer i trzymał telefon przy uchu, po chwili powiedział:

- Halo, Michael Harrison, tu inspektor Branson z wydziału policji w Brighton. Odpowiadam na pańską "wiadomość przesłaną Ashley Harper. Proszę zadzwonić do mnie lub posłać wiadomość na numer 0789965018. Powtarzam jeszcze raz numer 0789965018.

- Ashley, czy Michael wysyłał pani SMS-y?

Wzruszyła ramionami.

- Nie za wiele, ale tak... rozumieją panowie... krótkie miłosne teksty, coś w tym stylu. - Uśmiechnęła się i nagle ciepło, które pojawiło się na jej twarzy, sprawiło, że jakby ożyła.

Grace pomyślał, że mogłaby zmiękczyć teraz każde serce. Branson uśmiechnął się.

- Czy zawsze był kiepskim tekściarzem?

- Nie, zazwyczaj nie.

Grace ponownie wpatrywał się w słowa: żyję, \*Ł zadzwonił na policję

Zupełnie jakby pisało dziecko, a nie dorosły mężczyzna. Chyba że pisał w pośpiechu lub podczas jazdy autem.

- Czy to coś wam da? - zapytała Ashley.

Grace już miał jej powiedzieć, ale powstrzymał się. Nieznacznie stuknął nogę Bransona, żeby się nie odzywał.

- Obawiam się, że tak naprawdę niezbyt wiele. Z jednej strony to dobra wiadomość, bo wiemy, że żyje, ale jest też zła, że ma kłopoty. Jeżeli naturalnie nie jest to kawał.

Grace, który cały czas obserwował Ashley, zauważył jej rozbiegane oczy. Doszedł do wniosku, że od pierwszej chwili każdy jej ruch, każde słowo było przemyślane, poprzedzone chwilą namysłu. Zero spontaniczności.

- Nie myślcie chyba, że Michael robi jakiś kawał? - powiedziała niedowierzająco.



Grace dostrzegł w tym coś teatralnego, jakby wymuszonego. I wtedy powiedział jej o znalezieniu trumny... Ze szczegółami.

- Więc on uciekł... tak myślicie?

- Może - powiedział Grace. - A może nigdy go tam nie było.

- Więc to on drapał w wieko trumny?

- Myślę, że jest to jeden z możliwych scenariuszy. Ale niekoniecznie musi być prawdziwy.

- Och, proszę przestać! Ta wiadomość świadczy o jego desperacji, a wy siedzicie tutaj i opowiadacie jakąś teorię na temat kawału?

- Ashley - powiedział Grace spokojnie - nad sprawą pracuje cały zespół ludzi, prawie stu policjantów szuka go w terenie. Nagłośniliśmy sprawę w mediach... robimy wszystko, co możemy.

Nagle wyglądała na małą, zagubioną i przerażoną dziewczynkę. Potulnie spojrzała na nich szeroko otwartymi oczami i delikatnie otarła je chusteczką.

- Przepraszam. - Pociągnęła nosem. - Nie chciałam po wiedzieć, że nic nie robicie. Jesteście tacy wspaniali. Jestem po prostu... - Zaczęła drżeć, po policzkach pociekły jej łzy.

Grace wstał zmieszany.

- W porządku - powiedział. - Wychodzimy.

Zadzwoił, ale dopiero po pięciu próbach włączył się ten cholerny faks. Potem zdenerwowany źle włożył kartkę papieru, w efekcie aparat się zablokował. Stracił dziesięć cennych minut, próbując go odblokować, nie rozdzierając jednocześnie papieru.

Potem znów wskoczył do samochodu, co było głupie, biorąc pod uwagę ilość wypitego alkoholu, ale odległość między domem a biurem była zbyt duża, żeby iść piechotą, a nie chciał ryzykować, że nie złapie taksówki.

Kiedy wreszcie wpadł do mieszkania, niecałe trzy minuty przed wyznaczonym czasem, podbiegł do barku, nalał sobie whisky i przełknął. Czuł, że alkohol pali go w przełyku, potem w żołądku. Zamknął oczy.

Komórka piknęła. SMS.

Wyciągnął ją z kieszeni i gapił się na wyświetlacz.

Dobra robota kolego! Przekaz otrzymałem.

Ręce mu tak drżały, że z trudem trzymał telefon. Gdzie, do cholery, krył się ten człowiek? Usiłował znaleźć nadawcę wiadomości, ale był to numer, którego nie znał. Niezgrabnie napisał w odpowiedzi: Dogadaliśmy się teraz? SMS został wysłany.

Nie czuł działania whisky, silniejsze były nerwy. Chodził niepewnie po pokoju, kiedy komórka ponownie piknęła. Kolejny SMS.

Wyjdź na balkon, kolego. Spójrz w dół na ulicę!

Mark wszedł na balkon, minął leżaki, oparł ręce na balustradzie i spojrzał w dół. Słyszał muzykę z pobliskiego gejojskiego klubu, widział tyse głowy bramkarzy stojących przed wejściem. Chodnikiem szła jakaś para obejmująca się, dalej trzy podpite dziewczyny, które wpadały na siebie, chichocząc. Ulicą sunął nieprzerwany sznur samochodów.

Rozglądał się, usiłując odgadnąć, gdzie jest Vic, ale nadermnie. Wystukał więc: *Nie widzę cię.*

Kilka chwil później usłyszał kolejne piknięcie: *Jestem wprost za tobą!*

Ale zanim zdążył się odwrócić, jakaś silna ręka chwyciła go za pasek z tyłu, a druga za kołnierzyk koszuli i ułamek sekundy później obie jego stopy były już w powietrzu. Upuścił telefon, desperacko próbował chwycić balustradę balkonu, ale był zbyt wysoko i jego palce szarpały tylko powietrze.

Zanim w ogóle mógł krzyknąć, został wyrzucony za balkon.

Upadł z taką siłą, że kręgosłup trzasnął w kilku miejscach, a czaszka rozłupała się jak orzech kokosowy.

Rozległ się przeraźliwy krzyk jednej z pijanych dziewcząt.

Grace i Branson usłyszeli wiadomość przez policyjne radio, zanim dojechali jeszcze na posterunek w Sussex. Sprawa była oczywista, samobójca skoczył z budynku Van Allen przy Kemp Town od strony morza.

Spojrzeni na siebie. Grace wyjął ze schowka policyjnego koguta i przyczepił na dachu. Nacisnął pedał gazu. Siedem minut później musiał jednak zwolnić, bo wjechał w Marinę Paradę. Przed sobą widział morze błyskających niebieskich świateł, tłum ludzi i dwie karetki.

Wysiedli z samochodu i skierowali się w stronę tłumu. Dwóch umundurowanych policjantów rozciągało taśmę odgradzającą miejsce wypadku.

Mignęli legitymacjami służbowymi i poszli w kierunku dwóch sanitariuszy stojących nad leżącymi na ziemi zwłokami.

W żółtym świetle latarni Grace zobaczył twarz zabitego. Bez wątplenia był to Mark Warren.

- Co się stało? - zapytał jednego z policjantów.

- Ja... nie wiem, panie inspektorze. Właśnie próbowałem to ustalić. Ta pani szła ulicą z koleżankami, kiedy on upadł, prawie pod jej nogi... Ona jest teraz w karetce... w ciężkim szoku.

Grace zerknął na Bransona, a potem na ciało. W otwartych oczach Marka Warrena malowało się przerażenie.

Chryste. Jeszcze kilka godzin temu rozmawiał z nim. Mark zalatywał wtedy alkoholem i wydawał się strzępkim

nerwów. Nagle Grace pomyślał o Cleo, o tym, jak bardzo będzie zajęta w najbliższych godzinach w kostnicy, aby wyglądał przyzwoicie dla krewnych, którzy przyjdą zidentyfikować ciało.

- Czy ktoś wie, kto to jest? - odezwał się jakiś głos.
- Tak, znam go - odpowiedział inny głos. - Mieszkanie czterysta dwa... to mój pieprzony sąsiad!
- Też go znam - powiedział Grace, a potem poprawił się:  
- Znałem.

W drzwiach wejściowych budynku pojawił się Robert Allison, inspektor z posterunku policji w Sussex, którego Grace dobrze znał. Podeszli do niego.

- Roy! Glenn! Co tutaj robicie?
- Postanowiliśmy się trochę przewietrzyć.
- Jak widać, czasami to bywa niebezpieczne. - Allison kiwnął głową w stronę ciała. - Ten poszedł na balkon, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

- A co się stało?
- Jeszcze nie wiadomo.
- Znałem go - powiedział Grace. - Rozmawiałem z nim kilka godzin temu. O dwudziestej. Był partnerem w interesach tego młodego mężczyzny, który zaginął... ślubny kawał... a czterech jego kumpli zginęło we wtorek w wypadku.

Allison kiwnął głową.

- Zgadza się.
- Możemy wejść do jego mieszkania?
- Właśnie tam byłem, ci z zakładu pogrzebowego mają klucz. Chcecie, żebym poszedł z wami?
- Pewnie, czemu nie.

Kilka minut później Grace, Branson i Allison weszli do mieszkania, a pracownik zakładu pogrzebowego czekał na zewnątrz.

Grace obejrzał balkon, popatrzył w dół, na miejsce wypadku. Widział tłumek ludzi, dwie karetki, policyjne wozy, taśmę otaczającą kordonem miejsce wypadku.

Przypomniał sobie przyjęcie ślubne, podczas którego Mark zachował się wobec niego tak agresywnie. A dziś wieczorem już nie żył. Grace wiedział, że często ci, którzy przeżyli wypadek, mieli poczucie winy, że inni nie mieli takiego szczęścia. Wielu to zniszczyło. Ale czy Mark Warren wyskoczył z tego właśnie powodu?

Tamtej nocy wrócił do domu autem oblepionym błotem... Może pojechał na miejsce wypadku, bo czuł się winny? Być może. Tylko skąd ta cholerna agresja na ślubie? To nie pasowało do całości. Nie wierzył Markowi Warrenowi. Świadek, a nie wiedział nic o planach na wieczór kawalerski?

Mało prawdopodobne.

Wrócił do salonu.

- Rozejrzyjmy się trochę.

Podszedł do szafy, na którą spoglądał podczas ich rozmowy Mark. Nie było w niej nic ciekawego.

Przeszukiwał każdą szafkę, otwierał każde drzwi i każdą szufladę. Glenn Branson nie pozostawał w tyle. Wreszcie Grace zajrzał do lodówki: kartony chudego mleka, jogurty, sałata, kilka butelek burgunda i szampana, jakaś torebka na trzeciej półce.

Wyciągnął ją, zajrzał do środka i zmarszczył brwi. Ostrożnie położył zawartość na czarnym, marmurowym blacie kuchennego stołu.

- Jezu - jęknął Branson, gapiąc się na kawałek palca.

- No tak - powiedział Allison. - Teraz to zaczyna mieć sens. Popatrzcie, co znalazłem przy ofierze, kiedy szukałem dowodu tożsamości. - Wyciągnął złożoną kartkę papieru i podał Grace'owi.

Sprawdź odciski palców, a odkryjesz, że należą do twojego przyjaciela i partnera w interesach. Co 24 godziny będę ucinał więcej. Dopóki nie zrobisz dokładnie tego, co ci powiem.

- Sądzę, że to pozwala wyciągnąć dwa wnioski. Po pierwsze, to nie było samobójstwo. A po drugie, jeżeli moje założenie jest słuszne, będziemy mieli szczęście, jeśli odnajdziemy Michaela Harrisona żywego.

Telefon znowu dzwonił! Trzeci raz! Bezskutecznie usiłował go wyciszyć, żeby Vic się nie zorientował. Potem szukał po omacku klawiszy, wybierał numer 901 i za każdym razem słyszał ten przekłety głos. „Nie masz żadnej wiadomości”.

I nagle zmiana: „Masz jedną wiadomość. Halo, Michael Harrison, mówi inspektor Branson z wydziału policji w Brighton, odpowiadam na pańską wiadomość przesłaną Ashley Harper. Proszę zadzwonić do mnie lub posłać wiadomość na numer 0789965018. Powtarzam jeszcze raz numer 0789965018”.

To był najśłodszy dźwięk, jaki Michael kiedykolwiek słyszał.

Znowu szukał po omacku klawiszy, usiłując odpowiedzieć: „A estem przet\$ymywany...”.

Wtedy zobaczył oślepiające białe światło.

Via

- Widzę, że masz komórkę. Nic mi o tym nie powiedziałaś, Mikey. Niegrzeczny chłopiec, prawda? Myślę, że lepiej będzie, jak cię załatwię, zanim wpakujesz się w kłopoty.

- Urrrr - wycharczał Michael przez taśmę.

Poczuł, jak Vic wrywa mu z ręki telefon. A następnie usłyszał pełen wyrzutu głos:

- Nie grasz fair, Mike. Rozczarowałeś mnie. Powinieneś mi powiedzieć o telefonie. Naprawdę powinieneś.

- Urrrr. - Michael bełkotał, dygocząc w przerażeniu. Widział oczy błyskające tuż nad nim, były jasnozielone, jak u dzikiego kota.

- Chcesz, żebym cię znowu zranił? Tego chcesz, Mikey? Popatrzmy, do kogo dzwoniłeś. Sprawdzimy?

Kilka chwil później Michael ponownie usłyszał słaby głos policjanta z nagranej wiadomości.

- No pięknie. Jak słodko. Telefon do narzeczonej. Słodkie, ale niegrzeczne. Myślę, że nadszedł czas kary. Chciałbyś, żebym ci obciął kolejny palec... czy podłączył prąd do jąder?

- Ani jeeeeeeeeeeeeeeeeedno.

- Przykro mi chłopie, musisz wyraźniej mówić. Więc co chciałbyś? Mnie jest wszystko jedno... A tak przy okazji, twój kumpel Mark to niegrzeczny gnojek. Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć, że już nigdy nie powie ci „żegnaj”.

Michael zmrużył oczy. Nie rozumiał, o czym tamten mówi. Mark? Czyżby Mark gdzieś się wybrał?

- Masz coś do przemyślenia, Mikey. Chodzi o ten milion dwieście pięćdziesiąt trzy tysiące siedemset dwanaście funtów, które uciułałeś na Kajmanach. Te cholerne, dyskretne oszczędności.

Ileż ten człowiek wiedział o nim i o jego życiu. Czy chodziło mu o tę forszę? Dostanie pieniądze, każdego cholernego pensa, byleby tylko puścił go wolno. Próbował mu to powiedzieć.

- Urrrrrrrr. Immmmmghhwwwwwwit.

- Miło z twojej strony, Mikey, że próbujesz mi coś powiedzieć. Naprawdę doceniam twoje wysiłki. Ale widzisz, jest pewna rzecz. Ja tę forszę już mam. A to oznacza, że nie potrzebuję cię już więcej.



Krótko przed północą Grace dotarł na posterunek policji w Sussex. Po drodze nie rozmawiał z Bransonem, obaj pogrążeni byli w myślach.

Kiedy zatrzymali się na parkingu, Branson ziewnął.

- Myślisz, że moglibyśmy pójść przespać się trochę?

- Nie wytrzymujesz, młodzieńcze?

- A ty nadal tryskasz energią? Pracujesz pełną parą? Wiem, że kiedy przekroczy się pewien wiek, to potrzebuje się mniej snu. Wystarczy na ciebie popatrzeć.

Grace uśmiechnął się.

- Nie cieszy mnie perspektywa starości - powiedział Branson. - A Ciebie?

- Mówiąc uczciwie, nie myślę o tym. Kiedy widzę takiego gościa jak Mark Warren, leżącego bez życia na ziemi i przypominam sobie, że kilka godzin temu rozmawialiśmy, zaczynam doceniać życie z dnia na dzień.

Branson znowu ziewnął.

- Wracam do pracy - powiedział Grace - a ty możesz wynieść się do domu, jeżeli chcesz.

- Wiesz co, czasem jesteś strasznie wredny - powiedział Branson, wchodząc za nim do budynku.

Zastali tylko Emmę-Jane.

- Gdzie są pozostali?

- Myślę, że poszli do domu.

Grace popatrzył na jej zmęczoną twarz i lekko poklepał ją po ramieniu.

- Też powinnaś iść do domu, to był długi dzień.  
- Możesz mi dać jeszcze minutę, Roy? Mam coś, co myślę, zainteresuje cię... was obydwu.

- Ktoś chce kawę? - zapytał Grace. - Wodę? Colę?

- A stawiasz?

- Nie, skoro musimy pracować po godzinach, wliczymy to w fundusz reprezentacyjny.

- Więc poproszę colę dietetyczną - powiedział Branson. - Chociaż nie, chcę normalną colę, potrzebuję cukru.

- Chciałabym kawę - poprosiła Emma-Jane.

Kiedy wrócił, niosąc zamówione napoje, Emma-Jane wskazywała coś na ekranie komputera Bransonowi, który sprawiał wrażenie zaintrygowanego.

- Roy, chodź i popatrz na to!

Emma-Jane odwróciła się do Grace'a.

- Prosiłeś, żebym sprawdziła Ashley Harper...

- Owszem. Coś znalazłaś?

- Właściwie całkiem dużo.

- Opowiedz mi.

Przerzuciła kilka pokrytych schludnym pismem kartek, sprawdziła notatki.

- Zgodnie z informacją, którą mi podałeś, Ashley Harper urodziła się w Anglii, a jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym w Szkocji, kiedy miała trzy lata. Następnie była wychowywana przez rodzinę zastępczą w Londynie, a później przeprowadziła się z nimi do Australii. Kiedy miała szesnaście lat, pojechała do Kanady i zamieszkała z wujkiem i ciocią. Ciocia zmarła. Wujek nazywa się Bradley Cunningham... a imienia cioci nie znalazłam.

Około dziewięciu miesięcy temu Ashley Harper powróciła do Anglii. Mówiłeś, że poprzednio pracowała w handlu nieruchomościami w Toronto i że była to firma filia spółki Eaton.

Popatrzyła na Grace'a i Bransona, oczekując potwierdzenia.

- Tak, zgadza się - potwierdził Grace.
- No dobrze - powiedziała. - Dzisiaj rozmawiałam z dyrektorem personalnym filii Eaton w Toronto, to największy oddział sieci w Kanadzie. Nie zatrudniali żadnej Ashley Harper. Sprawdziłam, że w Kanadzie nie ma innej firmy, która byłaby częścią Eaton.
- Interesujące - powiedział Branson.
- A jeszcze bardziej interesujące jest to, że w żadnej księżce telefonicznej w Toronto ani w całym stanie Ontario nie ma żadnego Bradleya Cunninghama. Nie zdążyłam jeszcze sprawdzić reszty Kanady. Ale - przerwała i wypła trochę czekoladowej piany, która pokrywała wierzch jej cappuccino - mam koleżankę, dziennikarkę, która pracuje w szkockiej gazecie „Glasgow Herald”. Sprawdziła najważniejsze archiwa w Szkocji. Gdyby w wyniku wypadku została osierocona trzyletnia dziewczynka, byłaby jakaś wzmianka na ten temat, prawda?
- Raczej tak - powiedział Grace.
- Ashley twierdzi, że ma dwadzieścia osiem lat. Koleżanka sprawdziła wydarzenia sprzed dwudziestu pięciu lat, a potem z marginesem pięciu lat w obie strony. Nazwisko Harper nigdzie nie występuje.
- Może to być nazwisko przybranych rodziców - zasugerował Branson.
- Może - zgodziła się Emma-Jane - ale jeszcze sprawdzę.
- Grace patrzył z podziwem. Z każdą chwilą stawała się coraz pewniejsza tego, co robi. Takich policja potrzebowała. Była mądra, gotowa ciężko pracować.
- Szukałam też nazwiska Ashley Harper w sieci Holmesa, jak prosiłeś - powiedziała, zwracając się do Grace'a.
- Holmes-2 to była druga część kryminalnej bazy danych, która łączyła siły policyjne Zjednoczonego Królestwa i Interpolu i ostatnio coraz więcej sieci policji zagranicznych.
- Nazwisko Ashley Harper nie figuruje - powiedziała - ale teraz zaczyna się to ciekawsze. Biorąc pod uwagę inicjały „AH” i łącząc to z kategorią „nieruchomości”, Holmes

podał, co następuje: osiemnaście miesięcy temu młoda kobieta Abigail Harrington poślubiła w Lymn, Chesire, bogatego inwestora budowlanego Richarda Wonnasha. Trzy miesiące później zginął on podczas skoku, bo spadochron się nie otworzył. Cztery lata temu w Toronto w Kanadzie Alexandra Huron wyszła za mąż za inwestora w firmie nieruchomości Roba Kerwina. Pięć miesięcy po ślubie mężczyzna utonął; wypadek żaglówki na jeziorze Ontario. Siedem lat temu Ann Hampson poślubiła w Londynie dyrektora firmy nieruchomości Luke Warnera. Był kawalerem, miał duże udziały w porcie przeładunkowym, aż do wczesnych lat dziewięćdziesiątych, kiedy zbankrutował. W sześć miesięcy po ślubie otrął się spalinami w podziemnym parkingu w Wapping. Wypiła kolejny łyk kawy.

- Owszem, te same inicjały - powiedział Branson - ale czego to dowodzi?

- Wielu oszustów zmienia nazwiska, pozostawiając te same inicjały - powiedziała. - Czytałam o tym, będąc w szkole policyjnej. Samo w sobie istotnie niczego to nie dowodzi. Ale teraz będzie jeszcze lepiej. - Kliknęła po klawiaturze i nagle pojawiło się czarno-białe zdjęcie z gazety, na którym była młoda kobieta o krótkich włosach. To była twarz Ashley Harper lub jej sobowtóra.

- Zdjęcie pochodzi z „Evening Standard”, gdzie zamieszczono artykuł na temat śmierci Luke'a Warnera - powiedziała.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Grace i Branson studiowali fotografię.

- Cholera - powiedział wreszcie Branson. - Z pewnością przypomina Ashley.

Bez słowa kliknęła jeszcze raz. Wyskoczyło kolejne zdjęcie. Była na nim kobieta o jasnych, sięgających aż do ramion włosach. Jeszcze bardziej podobna.

- To pochodzi z „Toronto Star”, jest sprzed czterech lat. Artykuł dotyczy śmierci Roba Kerwina.

Grace i Branson patrzyli w osłupieniu.

- Następne jest z „Cheshire Evening Post”, sprzed osiemnastu miesięcy, a artykuł mówi o śmierci Richarda Wonnasha. „Abigail Harrington, piękna, pogrążona w żalu wdowa”.  
- Stuknęła w klawiaturę i pojawiło się kolorowe zdjęcie. Rude, krótko obcięte włosy. Twarz, bez cienia wątpliwości, należała do Ashley Harper.

- Do diabła! - wykrzyknął Branson.

Grace patrzył bez słowa, wreszcie powiedział:

- Dobra robota.

- Dziękuję... Roy.

Grace odwrócił się do Glenna Bransona.

- Jest czterdzieści minut po północy. Którego sędziego macie odwagę obudzić?

- Nakaz rewizji? - skrzywił się Branson.

- Pracowałeś cały dzień, prawda? - ignorując Bransona, Grace zwrócił się do Emmy-Jane. - Idź do domu i prześpij się.

- A co ze mną? Czy ja też mogę iść się przespać? - Branson ziewnął.

Grace poklepał go po ramieniu.

- Obawiam się, przyjacielu, że twój dzień właśnie się zaczął.

Kilka minut później Grace zadzwonił do bardzo zaspanej urzędniczki administracji sądowej, która dopytywała się, czy sprawa nie może poczekać do rana.

- Prowadzimy śledztwo w sprawie porwania i zachodzi podejrzenie zagrożenia życia. Potrzebuję nakazu rewizji i obawiam się, że to nie może czekać.

- Dobrze. Proszę się skontaktować z sędzią Quentin.

Grace uśmiechnęła się. Nie była to jego ulubiona sędzia; kilka miesięcy temu ścięła się w sądzie, bo odmówiła tymczasowego aresztowania podejrzanego. Jego zdaniem była jednym z najgorszych sędziów: żona bogatego maklera giełdowego, mieszkała w dorobkiewiczowskim domu, nie miała najmniejszego pojęcia o prawdziwym życiu, za to miała swój prywatny plan reorganizacji pracy policji. Będzie to dla niego najśłodsza przyjemność wyciągnąć ją z łóżka tylko po to, żeby podpisała nakaz rewizji.

Następne dziesięć minut Grace i Branson spędzili na dzwonieniu do ludzi i organizowaniu odprawy na godzinę 5.00. Potem Grace, litując się nad Bransonem, wysłał go do domu, żeby odpoczął kilka godzin. Wreszcie zadzwonił do Nicholla i kazał mu udać się przed dom Ashley Harper i uważnie wszystko obserwować.

O 2.00 nad ranem, z nakazem rewizji w ręce, pojechał do domu. Nastawił budzik na 4.15 i błyskawicznie zasnął.

Kiedy wyskoczył z łóżka, było jeszcze ciemno, a świergotanie budzących się ptaków przypomniało mu, że chociaż lato jeszcze się nie zaczęło, noce stawały się już coraz krótsze.

O 5.00, kiedy wrócił na posterunek w Sussex, mimo tylko dwóch i pół godziny snu czuł się nadzwyczaj żwawo. Bella i Emma-Jane już tam były, był też Ben Farr, brodaty sierżant, który miał prezentować dowody rzeczowe, no i Joe Tindall. Glenn Branson przyjechał kilka minut później.

Przy kawie Grace przedstawił sytuację, potem, krótko przed 6.00, wszyscy ubrani w kamizelki kuloodporne wyruszyli policyjnym vanem i drugim oznakowanym samochodem, który prowadził Branson.

Branson zatrzymał się obok nieoznakowanego wozu Nic-ka.

- Nic się nie działo - oznajmił Nicholl.
- W porządku - podziękował Grace.

Audi należące do Ashley Harper stało na swoim zwykłym miejscu przed domem. Nicholl miał nadal obserwować ulicę, oni pojechali kawałek dalej. Grace poprowadził całą grupę w stronę drzwi wejściowych domu Ashley. Zadzwo- nił.

Cisza.

Zadzwo nił ponownie, a po chwili jeszcze raz. Potem kiwnął na Bena Farra, który z impetem otworzył drzwi.

Pierwszy wszedł Grace.

- Policja! - krzyknął. - Halo! Policja!

Odpowiedziała im cisza. Weszli na górę.

- Halo! - krzyknął ponownie. - Panno Harper?

Cisza.

Otworzył drzwi do małej łazienki, potem do niewielkiej sypialni, która wyglądała tak, jakby nigdy nie była używana. Zawahał się, ale otworzył kolejne drzwi - w dużej sypialni stało podwójne łóżko, widać jednak było, że nikt w nim nie spał. Zupełnie jak w hotelowym pokoju - czysta, niezmięta pościel, duży telewizor, radio z budzikiem i kilka obrazów na ścianie.

Ani śladu Ashley Harper.

Więc gdzie, do cholery, była?

Czując narastającą panikę, Grace spojrział na Glenna Bransona. Obaj wiedzieli, że zostali przechytrzeni, ale jak? Przez chwilę myślał tylko o tym, że dostanie mu się nieźle od Alison Vosper, jeżeli okaże się, że dobijał się nocą o nakaz rewizji bez żadnego ważnego powodu.

A mogło być kilka powodów, dla których Ashley Harper nie było tutaj dziś w nocy. Przez moment czuł wściekłość na przyjaciela. Wszystkiemu winien był Glenn. To on zrobił go w tę cholerną sprawę. Przecież na początku to nie był jego problem. Tyle że teraz już tak.

Zastanawiał się, w jaki sposób mógłby uratować swój tyłek, jeśli nic nie znajdą. Śmierć Marka Warrena. Notatka. Palec w lodówce. Odkrycia Emmy-Jane. Nic tu nie pasowało. Mark Warren, taki wojowniczy podczas przyjęcia ślubnego i Bradley Cunningham, ugrzeczniony, elegancki.

- „Te spodnie wykończą mnie... Strój jest z wypożyczalni, ale chyba dali mi nieodpowiedni rozmiar”.

Grace wiedział, że Amerykanie i Kanadyjczycy inaczej określają zwykłe spodnie, a inaczej wieczorowe. Bradley Cunningham użył niewłaściwego słowa, a to mogłoby wskazywać, że nie jest tym, za kogo się podawał.

Tylko czy Alison Vosper to kupi.

- Sprawdźcie tu każdy centymetr - powiedział do ludzi. - Zajrzyjcie w każdą szparę. Dowiedzcie się, kto jest właścicielem tego mieszkania. Kto kupił telewizor, sprzęt hi-fi, audi, które stoi przed domem, dywany, wszystko. Chcę znać każdy cholerny szczegół na temat Ashley Harper. Chcę wiedzieć na jej temat więcej, niż ona sama wie. Czy wszyscy mnie rozumieją?

Po dwóch godzinach przeszukiwań nadal nikt nic nie wiedział. Zupełnie jakby Ashley Harper sprzątnęła mieszkanie superodkurzaczem. Nie było niczego oprócz mebli i zawartości lodówki - jogurtu, mleka sojowego, kilku rzodkiewek i do połowy opróżnionej butelki szkockiej wody mineralnej.

Glenn Branson podszedł do Grace'a, który wyciągał właśnie materac z dodatkowego łóżka.



- To jest dziwne... tak jakby wiedziała, że przyjdziemy.  
Wiesz, o co mi chodzi?

- W takim razie dlaczego my nie wiedzieliśmy, że ona wyjedzie?

- Ty znowu swoje. Kolejne pytanie.

- Tak, może dlatego, że ty zawsze zadajesz mi pytania, zamiast dawać cholerne odpowiedzi.

- Bez obrazy.

- Nie obrażam się.

- Więc gdzie, do cholery, ona jest?

- Z pewnością nie tutaj.

- To akurat wiem.

- Roy! Spójrz na to... nie wiem, czy ma to jakieś znaczenie? - Nicholl trzymał w ręku mały kawałek papieru.

Był to paragon z firmy Century Radio przy Tottenham Court Road, a na pokwitowaniu był wydruk: AR 5000 Cybernetyczny Skaner, 2437 funtów i 25 centów.

- Gdzie to znalazłeś?

- W kuble na śmieci na tyłach domu - z dumą odpowiedział Nicholl.

- Dwa tysiące czterysta trzydzieści siedem funtów za skaner? - zdziwił się Grace. - Jaki to musiał być skaner? I dlaczego ktoś wyrzucił paragon? Nawet jeśli nie mógłby odliczyć skanera od podatku, powinien zatrzymać paragon na wypadek, gdyby się zepsuł. Prawda?

- Na pewno - zgodził się Branson.

Grace popatrzył na datę na paragonie. Zeszła środa. Czas zakupu 14.25. We wtorek w nocy jej narzeczony zniknął, a ona w środę kupuje skaner za ponad dwa tysiące. To bez sensu, przynajmniej na razie. Spojrzał na zegarek - była 8.00.

- Nie wiem, o której otwierają Century Radio, ale musimy dowiedzieć się czegoś o tym skanerze.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Branson.

- Jeszcze nie wiem, zbyt dużo mam wątpliwości. Ale teraz muszę być w sądzie w Lewes.

- Spotkanie z twoim dobrym przyjacielem Sureshem Hossainem?
- Nie zniósłbym myśli, że mógłby mnie nie zobaczyć. Może jakieś śniadanie? Porządne śniadanie... z dodatkami?
- Cholesterol, człowieku, to śmierć dla twojego serca.
- Wiesz, co? W tej chwili wszystko jest niedobre dla mojego serca.

Kiedy Grace wszedł do ogromnej, gwarnej poczekalni sądowej, miał jeszcze mnóstwo czasu. Czuł się ociężały. Potężne śniadanie, które właśnie zjadł, zamiast dodać mu energii, sprawiło, że poczuł się senny. Marzył tylko o tym, by gdzieś się położyć. Dziwne, pomyślał, jeszcze tydzień temu ten proces sądowy zdominował jego życie, a teraz był na drugim planie. Liczyło się wyłącznie odnalezienie Michaela Harrisona.

Chociaż ta sprawa też bardzo się liczyła. Wyrok miał znaczenie dla wdowy i dzieci Raymonda Cohena, człowieka, zbitego na miazgę zaostrzoną pałą przez Hossaina lub jego bandziorów. Miał znaczenie dla każdego przyzwoitego obywatela w Brighton i Hove, ponieważ mieli prawo czuć się bezpiecznie. Musiał się skoncentrować, zebrać wszystkie siły.

Znalazł cichy kąt w poczekalni i przede wszystkim zadzwonił do Eleanor, żeby sprawdzić pocztę i e-maile. Potem zamknął oczy, wdzięczny, że może choć chwilę odpocząć.

Po kilku minutach wziął dwa głębokie oddechy, wstał i rozejrzał się dookoła. Za moment dowie się, czy będzie dzisiaj potrzebny, czy nie. Miał nadzieję, że będzie mógł zaraz wrócić na posterunek policji w Sussex. Rozejrzał się, szukając osoby, z którą musiał porozmawiać - Liz Reilly z biura prokuratora.

W pokoju było mnóstwo osób, kilku adwokatów i ich asystentów, w drugim końcu zauważył Liz pogrążoną w rozmowie z adwokatem, którego nie znał.

Stanął obok, a ona dała mu znak, żeby poczekał chwilę. Kiedy skończyła rozmawiać, wyglądała na podekscytowaną.

- Mamy jednego nowego świadka!

- Naprawdę? Kogo?

- Cali girl z Brighton. Zadzwoiła do nas wczoraj wieczorem. Powiedziała, że śledzi proces w gazetach i utrzymywała, że Suresh Hossain pobił ją podczas ich spotkania. Było to nocą 10 lutego w zeszłym roku w Brighton.

Tego samego dnia doszło do morderstwa, o które Suresh Hossain był oskarżony i w sprawie którego teraz toczył się proces.

- Hossain ma murowane alibi na tamtą noc. Był w Londynie na kolacji z dwoma przyjaciółmi. Obaj byli przesłuchani - powiedział Grace.

- Tak, ma, ale to pracownicy Hossaina. A ta dziewczyna nie. No i ona się boi. Nie zgłosiła się wcześniej, bo jej grożono. I tu jest problem, bo ona nie ufa policji. Dlatego zadzwoniła do nas, a nie na policję.

- Czy sądzisz, że można jej wierzyć?

- Można. Ale trzeba ją będzie objąć programem ochrony świadków.

- Z tym nie będzie żadnego problemu. - Grace zatarł ręce z zadowolenia. Miał ochotę uścisnąć Liz Reilly. To była cudowna wiadomość. Cudowna!

- Ale ktoś musi do niej pójść i przekonać ją, że policja jej nie zatrzyma, no wiesz, z powodu jej fachu.

- Gdzie ona teraz jest?

- U siebie w domu.

Grace spojrział na zegarek.

- Mógłbym do niej teraz wpaść. Czy to możliwe?

- Ale jedź nieoznakowanym samochodem.

- Dobrze, i zabiorę policjantkę, która z nią zostanie. Nie damy Hossainowi żadnej szansy, żeby ją dopadł.

- Jeśli zagrasz z nią ostrożnie, to wszystko może się wyjaśnić.

Nagle Grace zapomniał o zmęczeniu.

Tuż po dwunastej dotarł na posterunek. Ten świadek, Shelley Sandler, była niezła. Po dwudziestce, inteligentna, elokwentna i wrażliwa, będzie bardzo wiarygodna w sądzie. Byle nie spanikowała i nie zmieniła w ostatniej chwili zdania, jak to się często zdarza. Ale wydawało się, że chce za wszelką cenę odplacić się Hossainowi. Bardzo chce.

To była dobra wiadomość. Po kilku niepewnych dniach wreszcie wyglądało na to, że werdykt, którego oczekiwał Grace, jest sprawą przesądzoną.

Pracował już cały zespół, dodatkowo zjawili się też dwaj nowi asystenci.

Zaczął Nick Nicholl:

- W sprawie tego paragonu, który zabraliśmy z domu Ashely Harper.

- Tak.

- Mam informacje na temat tego skanera. - Podał kilka zadrukowanych stron.

Grace spojrział: „AR 5000 Odbiornik «Cybernetyczny Skaner» Niesamowity 10 KHz-26000 MHz Zakres Częstotliwości! AR 5000 - jego zaletą są granice działania, dostarcza znakomity, silny sygnał od punktu wyjścia, wysoka czułość i szeroki zasięg częstotliwości z ułatwieniem w postaci mikroprocesorów (...) - Cybernetyczny Skaner potrafi szybko odszukać i przejrzeć częstotliwości radiowe, a także tele-

fonię komórkową. Potrafi zanalizować i odszukać 45 kanałów na sekundę...".

Spojrzał na Bransona.

- Jesteś najlepszym komputerowcem, jakiego znam. Chyba już wiem, co to za urządzenie. Czy możesz to potwierdzić?

- To istne dzieło sztuki, skaner częstotliwości radiowej. To jedna z tych rzeczy, których używają radiowe świry z Citizen's Band, żeby szukać nowych przyjaciół i podsłuchiwać policję albo rozmowy przez komórki.

Grace kiwnął głową, a potem zapytał Emmę-Jane Boutwood:

- Czy mamy dowody, że Ashley Harper w swoim obecnym wcieleniu lub w poprzednich należała do Citizen's Band?

- Nie mamy - powiedziała.

Popatrzył na srebrną obudowę skanera. Było to duże srebrne pudło na nóżkach, z przodu potencjometr i ten sam szalenie trudny układ gałek i przycisków, które można znaleźć na jakimkolwiek skomplikowanym radiowym zestawie.

- Więc we wtorek w nocy znika jej narzeczony. W środę o 14.30 ona zasuwa do Londynu i nabywa skaner radiowy za dwa i pół tysiąca funtów. Jakieś dobre wytłumaczenia dlaczego? I skąd, do cholery, wiedziała, jak się to obsługuje?

- Była zdesperowana? - zapytał Nick Nicholl.

- Nie kupuję tego - odparł Grace.

- Z pewnością nie wiedziała, gdzie jest Michael - zasugerowała Bella Moy.

Grace kiwnął głową w roztargnieniu. To miało sens, ale jego zdaniem nie pasowało.

- Ale mogła wiedzieć, że Michael miał krótkofalówkę. Być może usiłowała się z nim porozumieć? - powiedziała Emma-Jane Boutwood. - Albo... a co powiecie na to - żeby podsłuchiwać, z kim on jeszcze będzie się porozumiewał?

Grace był pod wrażeniem.

- Tak, to dobra myśl. - Rozejrzał się wokół. - Jakieś inne teorie? Dobrze, zatrzymajmy się w tym miejscu. Co jeszcze ustaliliście?

- Po twoim wyjeździe z domu Ashley Harper Joe Tindall wziął się za deski podłogowe. Za komodą odkryliśmy koperkę pełną paragonów... mogły tam spaść przypadkowo albo ktoś je tam ukrył. Większość tych paragonów to nic interesującego, ale jeden powinieneś zobaczyć.

Był to paragon na 1500 funtów z przedsiębiorstwa na Maddox Street w Londynie, które nazywa się „Podboje we Dwoje”. Poniżej widniało wyjaśnienie „Dyskretne, czarujące kobiety i mężczyźni do towarzystwa na każdą okazję”. Widniały na nim dwie daty - poprzednia sobota, która w zamierzeniu miała być dniem jej ślubu, i poprzedni poniedziałek.

- Odwróć to - powiedział Nick Nicholl - i spojrz na drugą stronę.

Zobaczył odręcznie napisane nazwisko Bradleya Cunninghama.

Przypomniał sobie rozmowę z Ashley w jej domu, w piątkowy wieczór. Siedziała przygnębiona i opowiadała o wujku z Kanady. Mówiła „Bardzo się lubimy... wziął tydzień wolnego, żeby być na próbie w poniedziałek”.

- Podrobiła podpis wujka?

- Podrobiła o wiele więcej niż tylko wujka. Emma-Jane powie ci za chwilę - powiedział Glenn Branson. - Ale najpierw zerknij na to.

Podał mu kserokopię jakiegoś pisma. Był to transfer 1253 712 dolarów z banku na Kajmanach na rachunek w banku Banco Aliado na Panamie. Papier podpisany był przez Michaela Harrisona i Marka Warrena, a na górze widniała data z poprzedniego dnia i godzina 23.25.

Grace zmarszczył brwi i popatrzył na Bransona.

- To jakieś dwadzieścia minut przed tym, jak wyskoczył z balkonu.

- Tak, zgadza się.

Grace myślał o notatce, którą znaleziono w kieszeni Marka.

- Więc dokonał transferu pieniędzy, aby ratować przyjaciela, a potem się rzucił?

- Może mieli dług do spłacenia? Panama powiązana jest z Kolumbią... mafia kolumbijska... może wpakowali się w jakiś gówniany dług? Ktoś go spłacił i Mark Warren się zabił?

- To rozsądna teoria - powiedział Grace - ale tych dwóch gości całkiem dobrze prosperowało. Mieli tak ogromne przedsięwzięcie w Ashdown Forest... dwadzieścia domów... mogli zarobić na tym kilka milionów. Dlaczego miałyby się zabijać... dla kilku tysięcy funtów?

- Więc przetransferował forszę, a potem został zamordowany.

- To rozsądniejsza teoria - powiedział Grace. - Rozmawiałem przed chwilą z Cleo Morley z kostnicy. Patolog jest już w drodze. Będziemy mieli trochę więcej informacji.

Bella Moy poinformowała, że otrzymała informację z korporacji telefonicznej. W sieci zarejestrowano aktywność komórki Michaela pomiędzy 22.22 a 23.00 wczorajszej nocy i kilka wezwań na numer 999, ale za każdym razem operator nie słyszał nikogo, nikt też nie odpowiadał na jego pytania.

- A co zarejestrował przekaźnik telefonów komórkowych?

- Właśnie zmierzałam do tego, Roy. Mamy lokalizację najbliższego masztu, który zarejestrował telefony Michaela Harrisona.

- Gdzie to jest?

- To nie jest zbyt dobra wiadomość... To jest w centrum Newhaven, gdzie jeden przekaźnik obejmuje całe miasto.

- No, coś jednak wiemy - powiedział Grace. - Jakieś powiązanie z portem morskim na kanale?

- Postawiłam port w stan gotowości - powiedziała.

- W związku z kim?

- W związku z Ashley Harper czy też Alexandrą Huron... to nazwisko, którego używała w Kanadzie cztery lata temu.

Widać było, że chciała coś jeszcze dodać.

- Sprawdziłam też jej samochód. Był wynajęty na jej nazwisko w Hammersmith rok temu. Wszystkie rachunki są



zapłacone i prawdziwe. To samo dotyczy jej domu, był wynajęty, ale termin wynajmu upływał z końcem tego miesiąca.

- Żeby pasowało do daty ślubu? - powiedział Branson.

- Całkiem możliwe. Kazałam sprawdzić wszystkie firmy wypożyczające samochody. Nic nie znaleźliśmy na nazwisko Ashley Harper, ale tuż po północy Alexandra Huron w salonie Avis w Gatwick Airport wypożyczyła mercedesa. Posługiwała się kanadyjską kartą kredytową banku Toronto Dominion Bank. Urzędnik rozpoznał na zdjęciu Ashley Harper.

- Kamery... - zaczął Grace.

Glenn Branson uniósł rękę.

- Zajęliśmy się już tą sprawą. Sprawdziliśmy już prawie wszystkie kamery zainstalowane pomiędzy Gatwick i Newhaven, od momentu, kiedy wzięła samochód.

- Wyszła z domu około godziny przed twoim przyjazdem tam Nick - powiedział Grace do Nicholla.

- Tak.

- Wiemy, jak dostała się na lotnisko?

- Nie.

Grace milczał. Usiłował ustalić dokładny czas wczorajszego spotkania z Markiem Warrenem i późniejszego z Ashley. Wyjazd Marka Warrena do lasu, żeby pomóc zlokalizować grób. Transfer pieniędzy. Śmierć Marka Warrena. Ashley wypożycza auto pod innym nazwiskiem.

Już wiedział, o co chodziło w tej grze. Było to wystarczająco jasne. Wiedział też, że musi znaleźć Ashley. Nic innego nie miało znaczenia w tej chwili.

I musi ją znaleźć szybko.

Jeżeli już nie było za późno.

- Na Boga, kobieto, cztery zasrane walizki... co z tobą, Alex?

- O co ci chodzi?

- Nie pomogę ci taszczyć czterech zasranych walizek, o to mi chodzi.

- Więc zawołamy bagażowego.

- A jeżeli będziesz miała nadwyżkę bagażu?

- Należymy do Klubu Podróżników, a oni mają pozwolenie na większy bagaż. Zrelaksuj się.

- Pieprzony relaks. Dlaczego nie możesz po prostu zostawić tego gówna. W Sydney kupisz sobie nowe rzeczy... tam też mają sklepy, wiesz!

Ashley, ubrana w dżinsowy garnitur i buty na wysokich obcasach, stała pomiędzy walizkami w salonie małego domu w Newhaven, wyzywająco opierając ręce na biodrach i patrząc przez okno. Widok rozciągał się prawie na całe miasto i port. Obserwowała wychodzący w morze prom, który przeslizgiwał się właśnie obok falochronu portowego. Był szary, wilgotny dzień. Pociła się, co wprawiało ją w kiepski nastrój.

- Mają sklepy w Sydney? Naprawdę? Masz na myśli sklepy, gdzie można wejść i coś kupić?

- Odpieprz się, głupia krowo... nie mów tak do mnie, jakbym był jakimś pieprzonym służącym.

- To ty się odpieprz! Dlaczego miałabym to zostawić tutaj? To jest moje życie.

- Co masz na myśli, mówiąc: „To jest moje życie”?

Vic był niewiele wyższy od Ashley, chociaż zawsze sprawiał wrażenie wysokiego. Był silny i dobrze umięśniony. Ubierał się jak były wojskowy; teraz też miał na sobie wojskową kurtkę, czarny T-shirt, luźne spodnie w kolorze khaki i oczywiście wysokie czarne buty wojskowe.

- Uważasz, że Michael jest twoim życiem? A może Mark? Więc jeden i drugi pizduś byli twoim życiem, to miałaś na myśli? Czegoś tu nie rozumiem... myślałem, że to ja jestem twoim życiem, głupia suko.

- Też tak myślałam - powiedziała, starając się opanować łzy.

- Więc o co, kurwa, chodzi?

- O nic.

Chwycił ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

- Alex, uspokój się. Dobra, jesteśmy prawie w domu, wolni, tylko się uspokój w tej chwili.

- Jestem idealnie spokojna - powiedziała. - To ty jesteś podniecony.

Przytulił ją. Patrzył w jej zielone oczy, a potem czule odsunął kilka niesfornych kosmyków z czoła.

- Kocham cię. Tak bardzo cię kocham, Alex.

Objęła go za szyję i przez kilka chwil namiętnie całowała.

- Też cię kocham, Vic. Zawsze będę.

- I jak dotąd dobrze sobie radziłaś. Oszukałaś Marka i Michaela. I tylu facetów przedtem.

Cofnęła się wściekła, potykając się o walizkę.

- Jezu Chryste, co cię napadło?

- Co mnie napadło? Spieprzyliśmy tym razem, o to chodzi, kapujesz?

- Nie spieprzyliśmy, Vic, odnieśliśmy sukces.

- Marny milion funtów?

- Nie mogliśmy przewidzieć, co się stanie... tego wypadku.

- Powinniśmy to rozegrać inaczej. Mogłaś wyciągnąć Michaela, wyjść za mąż i wtedy mielibyśmy połowę pieniędzy, jego i Marka.

- Ale to zabrałoby nam kilka miesięcy, Vic... a może i lat. Wciąż coś tam planowali w tej swojej firmie. A tak mamy szybki sukces. I gdybyś nie przegrał tych cholernych pieniędzy, nie musielibyśmy tu być, prawda?

Spojrzał na zegarek.

- Musimy już iść, jeżeli chcemy zdążyć na samolot.

- Jestem gotowa.

- Nie masz pojęcia, jakie to wszystko jest dla mnie bolesne, Alex. A może masz? Co my robimy? Ja, pozostający na uboczu, i ty z Michaeliem, Markiem, a przedtem z tym dupkiem Richardem Chesire, nie wspominając Robba i Luke'a.

- Nie wierzę w to, co słyszę, Vic. Nigdy nie bzykałam się tak naprawdę z nikim... z wyjątkiem ciebie. Robiłam to, co robiłam, ale to była moja część umowy, zgadza się?

- Nie, nie zgadza się.

- Zawsze przygotowywałeś na zakończenie słodką zemstę, więc jaki masz problem? Poza tym w ten sposób uwolniłam nas od miesiąca miodowego z Michaeliem.

Niespokojnie popatrzył na zegarek.

- Pogadamy w aucie. Mam jeszcze jedną rzecz do załatwienia, zanim wyjedziemy. - Zataszczył jej walizki do przedpokoju, potem wrócił do salonu, przesunął kanapę w poprzek pokoju, uklęknął i ściągnął róg dywanu.

- Vic - powiedziała.

- Co?

- Nie możemy go tak po prostu zostawić?

- Zostawić go?

- Przecież on się nigdzie nie wybiera, prawda? Nie wyjdzie stąd. Nawet nie może mówić, sam tak powiedziałaś.

- Zamierzam z nim skończyć, oszczędzić mu nerwów.

- A dlaczego nie zostawić go i już? Nikt go nigdy nie znajdzie.

- Daj mi dziesięć sekund, a skręcę mu kark.

- Ale dlaczego?

Spiorunował ją wzrokiem.

- Jesteś słodka dla niego, suko, prawda?

Zaczerwieniła się.

- Nie jestem.

- Nigdy ci nie przeszkadzało, że pozbywałem się tych innych. Co ten Mikey ma w sobie takiego szczególnego?

- Nic specjalnego.

Położył dywan, przesunął kanapę z powrotem na miejsce.

- Masz w tym jakiś cel, Alex, żeby go nie zabijać. Dlaczego chcesz okazać cię litości temu małemu dupkowi, a nie skrócisz mu cierpień? Więc pozwolimy mu umrzeć z głodu w tych ciemnościach? I to cię uszczęśliwi?

Kiwnęła głową.

- Czytałeś dzisiejsze gazety?

- Nie. Ale czytałem wczorajsze, nie ma powodów do zmartwień. Dzisiejsze sprawdzimy na lotnisku, a potem i tak nie będziemy się martwić, prawda?

Pięć minut później mercedes był zapakowany, Vic zamknął drzwi wejściowe i schował klucz do kieszeni.

- Myślisz, że powinniśmy zostawić klucz w agencji?

- Kobieto, ten dom jest wynajęty jeszcze na pięć miesięcy. Chcesz, żeby ludzie zaczęli tu węszyć? Bo powiem ci, że za tydzień lub dwa nie będzie tu zbyt miło pachnieć.

Bez słowa zapinała pasy i obserwowała po raz ostatni dom. Doskonały dom. Stał na uboczu, najbliższy sąsiad mieszkał jakieś czterysta metrów dalej. Nie był ładny ani stylowy. Wzniesiony na nieużytkach, wyglądał jakby był połową bliźniaka, tyle że drugiej części nigdy nie dobudowano.

Vic włączył silnik. Za godzinę będą na lotnisku Gatwick, a jutro z powrotem w Australii. W domu. Krople deszczu spadły na przednią szybę. Vic obciął jej włosy, nie zdążyła bowiem pójść do fryzjera... dziś rano włożyła czarną, krótką perukę. Jeżeli będą szukać na lotnisku, to z pewnością Ashley Harper, ewentualnie Alexandry Huron.

A z pewnością nikt nie będzie szukał Anne Hampson; paszport na to nazwisko ważny był jeszcze przez dwa lata.

- Gdzie jest ten pieprzony hamulec? - Vic zdenerwował się.

- To jest ten uchwyt, musisz pociągnąć.

- Dlaczego, do cholery, wypożyczyłaś taki wóz? Dlaczego nie wzięłaś normalnego samochodu?

- Jaki samochód może być bardziej normalny niż mercedes?

- Taki z automatyczną skrzynią biegów.

- Na miłość boską!

Opuścił okno i krzyknął w kierunku domu:

- Cześć, pizdusiu, do zobaczenia na tamtym świecie. Tylko ty tam trafisz znacznie szybciej.

- Vic?

- No co? - Wściekle przyspieszył. - O co chodzi, już tęsknisz za kutasem swojego kochanka?

- Wiesz co? Jest większy niż twój!

Spoliczkował ją. Samochód skręcił na pobocze, potem wrócił na drogę, przechylając się gwałtownie na wybojach.

- Sprawia ci to przyjemność, że mnie bijesz?

- Jesteś zwykłą zdzirą.

Dojechali do skrzyżowania i skręcili w prawo, jadąc przez nowoczesną, rozwijającą się dzielnicę.

- Jesteś po prostu sadystą, wiesz o tym? Czujesz się z tym dobrze? Naprawdę czujesz się lepszy, znęcając się nad kimś takim jak Michael?

- A ty jesteś lepsza, kręcąc z nim i wiedząc, że pewnego dnia naprawdę wykręcisz mu numer? - Wściekły odwrócił się w jej kierunku. A potem wszystko stało się bardzo szybko. Snop światła reflektorów, ogromny huk, potężny wstrząs.

- O, cholera. Cholera, cholera, cholera! - Vic walił pięściami w kierownicę; poduszka powietrzna jak zużyty kondom wisiała sflaczała za jego głową.

- Wszystko w porządku? - zapytał Ashley.

Kiwnęła głową, patrząc na maskę samochodu. Była mocno pokiereszowana. W odległości dwóch metrów w poprzek drogi, pod dziwnym kątem stał biały saab.

Vic próbował otworzyć drzwi, ale były z tym jakieś problemy. Uderzył w nie całym ciężarem i zamki wreszcie puściły.

Drzwi od strony Ashley otworzyły się bez problemu. Odpięła pas i wysiadła. Trzęsła się jak galareta. Obok tamtego samochodu stała przerażona kobieta o siwych włosach. Trzymała się za złamany nos.

Vic oglądał uszkodzenia mercedesa. Prawe przednie koło zostało wgniezione w przedział silnikowy i wóz nie nadawał się do dalszej jazdy.

- Ty głupia, pieprzona dziwko! - Vic przekrzykiwał rycząący klakson mercedesa, wygrażając kobiecie z drugiego samochodu.

W tym momencie pojawił się na drodze kolejny samochód, a zaraz potem drugi jadący z naprzeciwka. W ich stronę biegł jakiś młody mężczyzna.

- Vic - krzyknęła zdenerwowana Ashley. - Musimy coś zrobić, na miłość boską!

- No pewnie, musimy coś zrobić. A co, kurwa, proponujesz?

- Roy! Telefon, na siódemce, odbierz! - zawołał Nick Nicholl. Grace nacisnął przycisk i podniósł słuchawkę.

- Roy Grace.

Dzwonił sierżant Owen Grundy z posterunku policji w Brighton.

- Dzwonię w sprawie tego mercedesa, na którego polujemy, numer rejestracyjny lima-julia-zero-cztery-ojciec-iks-pro-mień-lima?

- Słucham.

- Właśnie uczestniczył w wypadku drogowym w Newhaven. Pasażerami byli mężczyzna i kobieta. Porwali inny samochód i odjechali.

Grace wyprostował się.

- Wzięli jakichś zakładników?

- Nie.

- Macie opisy tych ludzi?

- Mało precyzyjne. Mężczyzna to krępy Europejczyk, około czterdziestki, ma krótkie włosy, a kobieta, około trzydziestki, ma krótkie, ciemne włosy.

- Znasz jakieś szczegóły na temat samochodu, który zabrali?

- To zielony land-rover frelander, numer rejestracyjny whisky-siedem-dziewięć-sześć-lima-alfa-jankes.

- A macie jakiś kontakt z tym samochodem?

- Jeszcze nie.



- Powiedz dokładnie, kiedy porwano ten samochód?
- Dziesięć minut temu.

Dziesięć minut. W ciągu dziesięciu minut można daleko odjechać. Podziękował sierżantowi, powiedział, że oddzwoni do niego w ciągu kilku minut i poprosił, żeby linia nie była zajęta. Potem szybko przekazał współpracownikom najnowsze informacje, a Nickowi przekazał szczegóły na temat samochodu.

- Nick, poinformuj o tym policję w Surrey, Kent, Hampshire, a także Met. Natychmiast.

Drogi wschodniej części Newhaven prowadziły do Eastbourne i Hastings, te na północ to były drogi szybkiego ruchu do Gatwick i Londynu, na zachód znajdowało się Brighton. Wielce prawdopodobne było, że pojedą na północ. Odwrócił się do Belli Moy.

- Bella, sprowadź helikopter. Zakładamy, że będą chcieli jak najszybciej uciec z tego obszaru. Niech helikopter lata w promieniu piętnastu mil na północ od Newhaven.

- W porządku.

- Potem zleć obserwację na wszystkich stacjach kolejowych w tej okolicy. To na wypadek, gdyby chcieli pozbyć się wozu i jechać pociągiem.

Wypił łyk wody.

- Emma-Jane, natychmiast zadzwoń do wydziału drogowego i sprowadź wozy policyjne na drogę A23. Potem powiadom policję w porcie Newhaven i na lotniskach Gatwick i Shoreham. Glenn, cały obszar wokół Newhaven ma być pod kontrolą. Musimy mieć pewność, że nie porzucili tego samochodu. Przygotuj też kilka wozów, mają być w pogotowiu.

- Już się tym zajmuję.

Grace poinformował przełożonych, że przejął dowodzenie. Po chwili przyszła kolejna wiadomość: samochód, który pasował do opisu, potrącił kilka innych wozów stojących na światłach, przejechał po chodniku, żeby zdążyć na most obrotowy w Newhaven, zanim się zamknie. Informacja była sprzed dwóch minut.

Kiedy uderzyli prawą stroną, Vic Delaney mocno nacisnął pedał hamulca. Jechali krętą, wiejską drogą, a uderzenie okazało się groźniejsze, niż przypuszczał. Przez moment pędzili wprost na topolę, podczas gdy on zmagał się z ciężką kierownicą. Ashley krzyknęła:

- Viiiiic!

Samochód przechylił się na prawo i zaczął gwałtownie skręcać. Tylne koła straciły przyczepność. Szarpnął kierownicą i nagle pędzili na następne drzewo. Źle wyważony samochód huśtał się jak ciężki worek, bagaże przewalały się z tyłu. Po chwili Vic odzyskał kontrolę nad samochodem.

- Zwolnij na miłość boską!

Przed nimi ciągnęła się potężna ciężarówka; siedzieli jej na ogonie, w żaden sposób nie mogli jej wyminąć.

- Cholera! - krzyknął, nerwowo naciskając klakson.

Wszystko szło źle. I to jest właśnie historia mojego życia, pomyślał. Kiedy był nastolatkiem, ojciec zapił się na śmierć. Krótco przed osiemnastymi urodzinami pobił kochanka swojej matki, który źle ją traktował, a matka po prostu wyrzuciła go z domu. Zaciągnął się więc do wojska, wierząc, że będzie to wspaniała przygoda, i w piechocie rzeczywiście poczuł się jak w domu. Tyle tylko że nabral ochoty na pieniądze. Na duże pieniądze. Lubił zwłaszcza eleganckie ciuchy, hazard i dziwki. Ale ponad wszystko uwielbiał świądomość, że ludzie go szanują, kiedy tak wchodzi do kasyna

w eleganckim garniturze. I to było lepsze niż darmowy wstęp do wojskowego kasyna na obiad z befsztykiem. Szczęśliwa passa w kasynach, jaką miał w drugim roku służby, zaowocowała potężnymi dochodami. Ale potem nieoczekiwanie dobra karta się odwróciła.

Wspólnie z kwatermistrzem Bruce'em Jackmanem odpowiadali za dostawy dla wojska; znalazł sposób na szybkie zdobycie pieniędzy - sprzedawał przez Internet broń, amunicję i sprzęt wojskowy. Kiedy zaczęto plotkować na ten temat, udusił Bruce'a Jackmana, potem powiesił go w jego pokoju, zostawiając kartkę świadczącą o tym, że było to samobójstwo. Od tego czasu nie mógł spać.

Życie było grą, a przeżycie czymś najtrudniejszym. Jego zdaniem ludzie popełniali błąd, próbując udawać, że są inni niż zwierzęta. Życie ludzkie także rządziło się prawami dżungli.

Nie znaczyło to, że nie można kogoś pokochać. Był więc głęboko, szaleńczo zakochany, wręcz zaślepiony miłością do Alex, i to od pierwszej chwili, kiedy tylko ją zobaczył. Miała w sobie wszystko: prawdziwą klasę, styl, oszałamiające piękno, wspaniałe ciało i była nieprzyzwoicie dobra w łóżku. Tego właśnie oczekiwał od kobiety. Albo jeszcze więcej. I była jedyną kobietą ambitniejszą od niego. Miała doskonałe opracowany plan, żeby osiągnąć wyraźnie określone cele: zbić za młodu fortunę, a potem spędzić resztę życia, korzystając z tego. Zabójczo proste.

Teraz jedyne, co musieli zrobić, to dostać się na lotnisko Gatwick i spieprzyć stąd jak najdalej.

W wozie śmierdziało spalinami z rury wydechowej potężnego traktora z przyczepą, który włókł się przed nimi jak zółw. Wychylił się, żeby sprawdzić, czy może go wyminąć, ale musiał się cofnąć, bo z przeciwnej strony pędziła ciężarówka. Był coraz bardziej zniecierpliwiony. Przesunął lewą rękę na kolano Ashley, odnalazł jej dłoń i uściśnął.

- Wszystko będzie dobrze, aniołku.

Odpowiedziała mu uściskiem.

Kątem oka dostrzegł niebieski błysk. Zimne uczucie strachu ścisnęło mu żołądek.

Nieustannie spoglądał we wsteczne lusterko. Asfalt, trawa, drzewa. I znów ta niebieska pulsująca plamka. Nie mylił się. Cholera. Za kilka sekund ich dogonią.

Po prawej stronie zobaczył odchodzącą od szosy szeroką dróżkę prowadzącą do jakiegoś gospodarstwa. Szarpnął kierownicą, skręcił tuż przed zbliżającym się radiowozem, wjechał na wyboistą drogę, wpadając w głębokie kałuże i koleiny. W lusterku widział światła policyjne; pędzili zbyt szybko i miał nadzieję, że ich zgubił.

- Dlaczego zjechałeś z drogi?

- Policja. - Przyspieszył. Czuł, że koła grzęzną, tracą przyczepność. Samochód gwałtownie chybotął się do przodu, a potem w dół. Minęli podwórze gospodarstwa; stały tam pusta przyczepa do przewozu koni, traktor i puste zagrody dla owiec.

- Dokąd prowadzi ta droga? - zapytała Ashley.

- Nie wiem, do cholery.

Wreszcie skręcił w lewo, na szosę wysypaną tłuczniem; minęli kilka domków, aż dotarli do ruchliwej drogi głównej. Vic otworzył okno; ociekał potem.

- To jest droga A27... która prowadzi do A23... prosto na Gatwick - powiedział.

- Wiem. Ale nie możemy przecież jechać główną drogą.

Nagle usłyszeli warkot helikoptera. Vic wystawił głowę i popatrzył w górę. Ciemnoniebieski kształt nadlatywał wprost na nich. Kiedy ich okrążył, huk stawał się z każdą sekundą głośniejszy. Bez trudu mogli odczytać biały napis POLICJA.

- Dranie.

Drogą ciągnął nieprzerwany sznur samochodów i szybka jazda była ryzykowna. Skręcił w lewo, ostro przyspieszył

tuż przed jaguarem, który zaczął migać światłami i trąbić; zignorował jednak te sygnały. Czuł narastającą panikę. Nagle samochody zaczęły zwalniać. O kurwa, robił się korek! Wychylił się odrobinę w prawo i zobaczył, co jest tego powodem. Przed nimi stała blokada policyjna.

- Właśnie staranowali blokadę w Beddingham - poinformował Jim Robinson - i teraz jadą drogą A27. Niedługo dojadą do ronda, gdzie mogą skręcić w prawo, w stronę Lewes, lub w lewo, w stronę wsi Kingston.

- Mamy kogoś na rondzie?

- Motocykl jest już w drodze... może dojedzie tam na czas.

- Motocykl jest bez sensu. Musimy ich zablokować. Dobrze, że mają nie najlepszy wóz, może uda się ich złapać. Potrzebne są cztery samochody. Skąd będzie najbliższe?

- Dwa jadą w stronę skrzyżowania przy drodze A23, jeden jest w drodze z Lewes, przewidywany czas przejazdu cztery minuty. Kolejny jedzie z Shoreham, powinien dotrzeć do skrzyżowania dróg A23 i A27 za trzy minuty. Kolejne dwa są gotowe tu, na posterunku w Sussex, i jeden nadjeżdża z Haywards Heath.

- Czy helikopter ma ich w polu widzenia?

- Krąży tuż nad nimi.

Grace zamknął na chwilę oczy, wyobrażając sobie tamtą drogę. Przestępcy popełnili błąd, wjeżdżając na trasę, którą codziennie dojeżdżał do pracy, bo znał ją lepiej niż jakąkolwiek inną. Jechali wozem terenowym, a to umożliwiło im zjazd gdzieś w bok, bez obawy ugrzęźnięcia w podmokłej z powodu ostatnich deszczy ziemi. Mogli pojechać przez jakieś gospodarstwo i po prostu umknąć.

- Czy możemy skierować tam kilka wozów terenowych?  
Niech ustawiają je blisko skrzyżowania A23 i A27.

Popatrzył na zegarek - 13.45, dzień powszedni. Powstanie niezły korek, ludzie się wściekną. Prasa wielokrotnie już opisywała policję urządzającą pościgi samochodowe za przestępcami, w trakcie których zginęło kilku niewinnych ludzi. Musiał więc zorganizować ten pościg tak, by nikt nie ucierpiał. Najlepszym wyjściem byłoby ich zablokować, jeden samochód z przodu, drugi z tyłu i po jednym po bokach, by zmusić ich do zmniejszenia prędkości. Klasyczne szczęśliwe zakończenie.

Tyle że dawno już przestał wierzyć w bajki.

Gnali w dół krętą szosą, a wskazówka prędkościomierza dawno przekroczyła setkę; w oddali Vic zobaczył skrzyżowanie z drogą A23. W ciągu sekundy musi podjąć decyzję. Od kilku minut, słysząc towarzyszący im huk helikoptera, myślał tylko, jak by teraz postąpił, gdyby był gliną.

Lotniska z pewnością były obstawione. Porty też. Ale została jedna możliwość, której gliny prawdopodobnie nie wzięły pod uwagę... prawdopodobnie, ponieważ nawet o niej nie wiedzieli. Ale żeby się tam dostać, musiałyby zgubić ten cholerny helikopter. A mógł to zrobić tylko w jednym miejscu, kilka kilometrów stąd.

Minął skrzyżowanie. Szosa pięła się teraz do góry. Po prawej stronie rozciągał się wiejski krajobraz Downland, a po lewej rozległe przedmieścia Brighton i Hove. Przed nimi było miejsce, do którego zmierzał - port Shoreham. Ale pierwszy przystanek miał być gdzie indziej.

- Dlaczego jedziesz tą drogą, Vic? - nerwowo zapytała Ashley. - Myślałam, że jedziemy do Gatwick.

Nie odpowiedział. Przed nimi jechała czterodrzwiowa toyota, którą prowadził jakiś starszy mężczyzna. Wóz także był leciwy. Doskonały!

Jechał prosto do tunelu. Drogę znał na pamięć. Minęli znak zakazu wyprzedzania i wjechali w mrok, pędząc ponad setką. Vic gwałtownie skręcił na środkowy pas, nacisnął na



hamulec i obrócił samochód w stronę zbliżającej się toyoty. Włączył migacze.

- Vic... co do cholery...

Zignorował ją. Patrzył w lusterko, obserwując mijające ich wozy. I wtedy pojawiła się toyota. Vic był spięty, wiedział, że wszystko trzeba dobrze obliczyć. Tamten zasygnalizował, że chce go ominąć, ale z naprzeciwka, trąbiąc, pędziło porsche. Toyota, ostro hamując, wróciła na swój pas.

Idealnie!

Vic szarpnął ręczny hamulec tak mocno, jak tylko zdołał.

- Zapnij się! - krzyknął, potem zwolnił hamulec i przy spieszył.

Usłyszeli pisk opon i toyota uderzyła w nich, ale była to niegroźna stłuczka. Ledwie ją poczuli.

- Wyskakuj! - wrzasnął Via

Wyskoczył, podbiegł, by ocenić uszkodzenia toyoty. Nieźle, przód lekko wgnieciony i rozbity główny reflektor, ale nie zauważył wycieku oleju czy wody.

- Bierz te cholerne torby! - krzyczał do Ashley, która zaskoczona szła w jego kierunku. - Bierz te pieprzone walizki, kobieto!

Szarpnął i otworzył drzwi toyoty. Kierowca był nawet starszy, niż mu się wydawało; miał około osiemdziesiątki, na twarzy plamy wątrobowe, cienkie włosy i okulary o soczewkach jak dna butelek.

- Hej, co... co ty sobie myślisz... co... - bełkotał starszek.

Vic odpiął jego pas. Widział, że za nimi zatrzymał się jakiś samochód, zdjął więc mężczyźnie okulary, żeby go zdezorientować.

- Zaprowadzę pana do karetki.

- Nie potrzebuję cholernejszej...

Vic wyciągnął go z auta, zarzucił sobie na ramię i zaniósł na tylne siedzenie land-rovera. Brzuchaty mężczyzna w średnim wieku, kierowca forda, biegł w stronę Vica.

- Biedny facet, chyba z nim źle.

Z łoskotem minęła ich ciężarówka, a potem dwa motocykle.

- Na miłość boską, Vic, pomóż mi, nie radzę sobie z tym cholernymi walizkami! - krzyczała Ashley.

- Zostaw te cholerstwa!

- Ale w jednej są wszystkie moje papiery...

Vic zobaczył, że brzuchaty mężczyzna dziwnie patrzy na Ashley, więc bez zastanowienia po prostu powalił go jednym ciosem i bezwładnego oparł o przód samochodu.

Wrzucili torbę Vica i dwie walizki Ashley do toyoty, wskoczyli do wozu i pośpiesznie wyjechali na prawy pas. Vic zerknął w lusterko, potem przyspieszył na tyle, na ile ten niewątpliwie zdezelowany wóz pozwalał, kierując się ku wyjazdowi z tunelu.

Ashley patrzyła na niego zdumiona.

- To było fantastyczne posunięcie.

- Widzisz gdzieś ten pieprzony helikopter? - zapytał, mrużąc oczy, kiedy tylko opuścili tunel.

Okręciła się, wyciągając szyję do góry i wyglądając, najpierw przez przednią szybę, a potem przez tylną.

- Nie leci za nami! - wykrzyknęła. - Krąży nad wjazdem do tunelu... poczekaj... no świetnie... zawraca!

- Pieprzony!

Vic skręcił z autostrady w pierwszy zjazd i wkrótce dotarli na przedmieścia Aouthwick. Minie kilka minut, nim policja się zorientuje we wszystkim, a może będą mieli szczęście i ten stary palant nie będzie pamiętał numeru rejestracyjnego swego wozu.

- Okej, więc dokąd, do cholery, jedziemy Vic?

- Do miejsca, którego policja z pewnością nie obstawiła.

- To znaczy?

- Michael i Mark mają łódź, zgadza się? Niezły jacht, byłeś na nim?

- Tak, byłem kilka razy.

- Jest wystarczająco duży, żeby przepłynąć kanał, zgadza się?

- Gość, od którego go kupili, przepłynął na nim Atlantyk.  
- To dobrze. Ty i ja wiemy, jak się żeglują.  
- Owszem. - Ashley pamiętała wakacje w Australii i Kanadzie, wynajmowali wtedy jacht i żeglowali samotnie. Były to jedyne szczęśliwe i spokojne chwile w jej życiu.  
- Więc teraz wiesz, gdzie jedziemy. Chyba że masz lepszy pomysł?

- Weźmiemy ich łódź?
- Wypłyniemy po zmroku.

Jechali teraz ruchliwą drogą, a po obu stronach ciągnęły się domki. Kiedy zbliżyli się do czerwonego światła, zwolnili. Po obu stronach jezdni widać było liczne sklepy. I nagle zrzędała mu mina. W lusterku zobaczył pulsujące światło, a z tyłu rozległ się ostry dźwięk syreny. Usłyszał krótki sygnał, by zmniejszyć prędkość, a potem policjant na motorze dał mu znak, aby zjechał na bok.

Docisnął gaz do dechy i ruszył, mijając w pędzie witryny sklepowe.

- Cholera - krzyknęła Ashley.

Kilka chwil później policjant znowu był obok nich, nakazując zjazd na pobocze. Vic bez wahania skręcił kierownicą w prawo i z całej siły uderzył w motocykl. W lusterku mignął mu tylko koziołkujący w powietrzu gliniarz.

Ostro skręcił w boczną uliczkę. Usłyszał hałas przewalających się na tylnym siedzeniu walizek. Przyspieszył. Znowu zaczynało padać, gorączkowo szukał włącznika wycieraczek. Dojechali do skrzyżowania; z którego widać było kościół.

- Wiesz, gdzie jesteśmy?  
- Przystań nie może być daleko - powiedział uspokajająco. Jechał dalej przez labirynt cichych ulic, aż dotarli do wąskiej, ale gwarnej głównej arterii.  
- Tam! - Vic wskazał punkt przed nimi. - Tam jest port!  
Dojechali do skrzyżowania z główną drogą prowadzącą do wybrzeża.

- Gdzie stoi ten jacht?

- W przystani klubu. Musisz skręcić w lewo.

Zatrzymał się, by przepuścić jadący szybko autobus i wtedy znów dostrzegł w lusterku błysk światła. Nie wierzył własnym oczom - policjant na motorze. Czyżby ten sam cholerny gliniarz, którego dopiero co zwalił z motoru? Przemknął przed autobusem, aż opony zapiszczały, ale kilka chwil później, jakby znikąd, pojawiło się czarne bmw z kogutem na dachu. Zajechało mu drogę i zmusiło do ostrego hamowania. Nad tylnym zderzakiem błyszczał czerwony napis: STAC. POLICJA.

W panice zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i ruszył w kierunku ronda, jadąc zygzakiem między samochodami. Motocyklista był tuż za nim, słychać było wycie syren. Nie zastanawiając się, nacisnął klakson i wjechał na chodnik. Przechodnie uskakiwali mu z drogi. Ominął samochody i wjechał na rondo. Droga w prawo prowadziła do centrum miasta, w lewo - do mostu nad rzeką.

Skręcił w lewo. Motocyklista cały czas siedział mu na ogonie. Vic przyspieszył na tyle, na ile pozwalała mu toyota. Zbliżyli się do rzeki. Był odpływ. Środkiem błotnistej dna płynęła wąska strużka. Na obu brzegach stały przycumowane łodzie, większość sprawiała wrażenie niezdolnych do pływania.

Po drugiej stronie mostu droga była wprawdzie czysta, ale bmw zbliżało się w błyskawicznym tempie. Nagle motocyklista wyprzedził ich, usiłując zmusić do zatrzymania się.

- Myślałem, że już dostaliście niezłą lekcję - mruczał Vic.

Przyspieszył, usiłując staranować policjanta, ale ten był zbyt szybki i sprytnie uciekał do przodu, jakby przewidując każdy ruch Vica.

Vic desperacko usiłował znaleźć wyjście. Po lewej stronie ciągnęły się garaże i szereg sklepów, a dalej chyba duża dzielnica mieszkaniowa. Po prawej widział płaski obszar lotniska Shoreham, z którego startują zwykle prywatne samoloty i te należące do kilku mniejszych linii lotniczych. Zbliżali się do bramy. Bez ostrzeżenia skręcił w prawo, w wąską drogę. Po lewej miał betonową ścianę, a po prawej otwartą przestrzeń lotniska; w oddali widać było hangary,

przed którymi stały małe samoloty i helikoptery. Gdyby udało mu się choć na kilka minut pozbyć gliniarzy, mogliby porwać jeden z tych małych samolotów. Wystarczyłoby podjechać do niego i uprowadzić pilota.

Jakby odgadując jego myśli, bmw zbliżyło się, zmuszając do uderzenia w betonowy mur. Kiedy samochód zaczął trzeć o ścianę, sypiąc gradem iskier, Ashley krzyknęła.

- Vic, na miłość boską, zrób coś!

Z całych sił trzymał kierownicę. Wiedział, że nie mają szans. Przed nimi otwierał się tunel. Domyślił się, co zechce zrobić kierowca bmw... wjedzie tam przed nim, a potem zablokuje go. Bez wahania nacisnął hamulec. Bmw mignęło tylko obok. Natychmiast skręcił na płytę lotniska. Ale motocyklista ciągle jechał za nim, a kilka minut później pojawiło się też bmw. Skierował się w stronę pierwszego rzędu samolotów; szaleńczo manewrując między nimi, próbował zgubić gliniarzy i dostrzec jakiegoś kręcącego się obok maszyny pilota. I wtedy nagle bmw mocno walnęło go od tyłu, popychając do przodu. Ashley, mimo iż była w pasach, uderzyła głową w przednią szybę. Krzyknęła.

Bmw przyspieszyło. Wjechał na pas startowy. Widział zbliżający się do lądowania samolot. Docisnął pedał gazu, przejechał na drugą stronę pasa startowego, prosto w cień samolotu. I wtedy przez chwilę nie widział ani motocyklisty, ani bmw w lusterku! Jechał z maksymalną prędkością, samochód gwałtownie przechylał się, czuł smród przepalanego oleju. Przed nimi wznosiło się ogrodzenie, a za nim dostrzegł jakąś wąską drogę.

- Musimy uciec i ukryć się, Via Nie wymkniemy się im.

- Wiem - warknął. Nie widać było żadnej bramy. - Gdzie jest ten pieprzony wyjazd?

- Po prostu przejeźdź przez siatkę.

Na pełnym gazie staranował ogrodzenie i wpadł na drogę. Po prawej stronie ciągnęły się nadrzeczne błota, po lewej

lotnisko. Motocykl i samochód pędziły tuż za nim, z przeciwnej strony nadjeżdżał mercedes. Vic nie zwalniał.

- Zjeżdżaj na bok!

W ostatniej chwili mercedes zjechał na pobocze.

Wąską drogą, prawie dróżką jechali w stronę skrzyżowania. Po lewej stronie, obok jakiegoś domu, stała ciężarówka, która całkowicie blokowała drogę.

Skręcił w prawo i przyspieszył, cały czas obserwując pościg w lusterku. Dróżka była zbyt wąska dla bmw, ale motocykl trzymał się tuż za nimi. Vic ominął ciężarówkę i pędził dalej. Zbliżali się do drewnianego mostu. I wtedy pojawili się przed nimi dwaj mali chłopcy na rowerach; jechali samym środkiem drogi.

- Cholera! Cholera! - krzyczał Via Hamował, trąbił, ale nie miał czasu, żeby się zatrzymać, ani miejsca, żeby ich ominąć. Ashley wrzeszczała histerycznie.

Samochód obracał się w prawo, w lewo, w prawo... Uderzył w barierę mostu, odbił się od niej, przeleciał na drugą stronę, wystrzelił jak bila, wykonał pół piruetu w powietrzu, potem przewrócił się na dach, odbił się, przełamał barierę jak zapalkę i poleciał w dół. Bagażnik otworzył się i walizki leciały obok samochodu prosto na bagnistą łąkę, delikatną i zdradliwą jak ruchome piaski.

Motocyklista zeskoczył z motoru i utykając, podbiegł do wyłamanej bariery. Spojrzał w dół.

Zobaczył tylko podwozie toyoty wystające z czarnego błota. Patrzył na rurę wydechową, na tłumik, na cztery wirujące koła i nagle wokół pojawiły się pęcherzyki, bulgoczące i pękające z sykiem niczym wrzątek w kotle, a kilka chwil później błoto z przeraźliwym mlaśnięciem pokryło całkowicie samochód. I tylko kilka baniek wypłynęło jeszcze na powierzchnię. A potem już nic.

Zbliżający się przyptływ utrudniał ich wysiłki. Teren wokół miejsca, w którym utonął samochód, otaczała policja. Powiększający się tłum gapiów usiłował coś dostrzec z oddali. Na brzegu stały wóz strażacki, dwie karetki i pół tuzina radiowozów, a także specjalny wóz techniczny.

Na moście ustawiono dźwig, mimo obaw, że stara drewniana konstrukcja nie wytrzyma. Grace obserwował wyciąganie auta. Nurkowie ciężko się napracowali, żeby założyć na toyotę haki. Przejaśniło się i słońce próbowało przedrzeć się przez chmury.

Gęste błoto uniemożliwiała nurkom zejście głębiej i można było mieć jedynie nadzieję, że okna w samochodzie były zamknięte i dzięki temu pasażerowie jeszcze żyją.

Dwie walizki, które znaleziono w porzuconym land-roverze, zawierały tylko kobiece ciuchy; ani jednego świstka papieru, który mógłby dać wskazówkę, gdzie znajduje się Michael Harrison. Grace liczył, że ten samochód wyjawia tajemnicę.

Stojący obok Glenn Branson powiedział:

- Wiesz, co mi to przypomina? Oryginalną wersję „Psychozy” z 1960 roku. Kiedy za pomocą kołowrotu wyciągali z jeziora samochód z ciałem Janet Leigh. Pamiętasz?

- Pamiętam.

- To był niezły film. Ale remake już do niczego.

Minęło kilka minut, zanim zamocowano haki i zaczęto wyciągać wóz. Silnik dźwigu ryczał tak, że Grace i Branson ledwie słyszeli bulgotanie błota.

Toyota powoli wynurzała się na powierzchnię. Bagażnik był otwarty. Po szybach ściekało błoto. Dach i boki samochodu były wgniecione.

Kiedy błoto opadało, zobaczyli najpierw sylwetki, a potem twarze pasażerów.

Dźwig wyciągnął samochód na brzeg i położył na dachu. Kilku strażaków i policjantów odłączyło haki i powoli postawili samochód na kołach.

Grace podszedł do auta i zajrzał do środka. Chociaż twarz kobiety pokrywało błoto i miała o wiele krótsze włosy, nie mieli wątpliwości, że to Ashley Harper.

Ale kim był mężczyzna, który siedział za kierownicą?

- Sprawdź ją, zobacz, co ma przy sobie - powiedział Grace do Bransona.

Sam przeszukał ubranie mężczyzny. W kieszeni marynarki znalazł gruby, skórzany portfel, a w nim australijski paszport. Zdjęcie się zgadzało. Mężczyzna nazywał się Victor Bruce Delaney i miał czterdzieści dwa lata. W rubryce wskazującej osoby, które należy zawiadomić w razie wypadku, wpisana była pani Alexandra Delaney mieszkająca w Sydney.

Glenn Branson otarł z błota żółtą torebkę i wyciągnął brytyjski paszport na nazwisko Anne Hampson. Na zdjęciu rozpoznali Ashley Harper, tyle że z krótkimi, czarnymi włosami.

Poza kartami kredytowymi nic więcej nie znaleźli. Żadnej wskazówki, skąd jechali ani dokąd się wybierali.

- Mamy problem - powiedział Branson.  
- Mamy. - Grace wstał i odwrócił wzrok.  
- Jak, do cholery, znajdziemy teraz Michaela Harrisona?  
- Mam pomysł, ale tobie pewnie się nie spodoba - odezwał się po chwili.

Branson popatrzył na niego spode łba:

- W tym momencie nic mi się za bardzo nie podoba.



Półtorej godziny później Grace pomagał Harry'emu Frame'owi zapiąć pasy. Frame trzymał na kolanach rozłożoną mapę Newhaven, a w prawej ręce metalowy pierścionek zawieszony na nitce. Grace postanowił jechać z medium sam. Nie chciał żadnych negatywnych wibracji, wiedział bowiem, że energia Harry'ego Frame'a była bardzo wrażliwa.

- Więc przyniosłeś coś, jak prosiłem?

Grace wyciągnął z kieszeni pudełko i podał je. W środku były złote spinki do mankietów.

- Te z całą pewnością należą do Michaela Harrisona - powiedział Grace. - Zabrałem je z jego mieszkania, kiedy tu jechałem.

- Doskonale.

Jechali do Newhaven, a Harry Frame cały czas trzymał spinki w zamkniętej dłoni.

- Powiedziałeś Newhaven?

- Ten samochód z wypadku wcześniej był w Newhaven. I stamtąd też pochodziły sygnały telefoniczne z komórki Michaela Harrisona. Pomyślałem, że moglibyśmy tam pojechać, może coś uchwycisz. Dobry pomysł?

- Już coś chwytam. Wiesz, jesteście blisko. Z całą pewnością - powiedziało medium.

Grace jechał zgodnie z poleceniami, co jakiś czas zwalniał. Ślady opon, plama oleju na drodze i kilka połyskujących odłamków szkła wskazały, gdzie mercedes miał

wypadek; potem skręcił w prawo, w dzielnicę małych, nowoczesnych domków, wreszcie zjechał na pobocze i zatrzymał się.

- W porządku - powiedział. - Tutaj zdarzył się dziś rano ten wypadek.

Nagle wahadełko zaczęło kołysać się nad mapą. Harry wziął kilka głębszych oddechów, mocno zacisnął powieki i po kilku chwilach powiedział:

- Jedź, Roy. Jedź prosto. Powoli.

Ruszyli.

- Jesteśmy coraz bliżej! Zdecydowanie. Widzę skręt w lewo... będzie za chwilę... może to nie ta droga, tylko ścieżka.

I rzeczywiście wkrótce zobaczyli ścieżkę wysypaną tłucznem. Jechali przez wymiatane wiatrem nieużytki.

- Skręć w lewo, Roy!

Grace spojrzął na Harry'ego, ciekaw, czy przypadkiem nie oszukuje i nie podgląda, ale jeżeli zerkał na cokolwiek, to tylko na mapę leżącą na jego kolanie. Jechali w stronę jakiegoś brzydkiego domu, widocznego na grzbiecie wzgórza.

- Widzę dom. Michael Harrison jest w środku - powie dział Frame, a podekscytowanie sprawiło, że jego głos brzmiał piskliwie.

Grace zatrzymał się. Wahadełko kręciło się coraz szybciej. Harry Frame, który miał nadal oczy zamknięte, zaczął trząść się gwałtownie, jakby rażony prądem.

- Tutaj?

Bez otwierania oczu Harry Frame potwierdził:

- Tutaj.

Grace wysiadł z samochodu i podszedł do bramy. Patrzył na zaniedbany trawnik i zarośnięte kwietniki. Było coś dziwnego w tym domu, chociaż nie potrafiłby sprecyzować co.

Przeszedł dróżką wyłożoną kamiennymi płytkami, pomiędzy którymi wyrastały chwasty. Podszedł do drzwi i zadzwonił. Cisza. Próbował jeszcze raz. Nadal bez odpowiedzi.

Zrobił rundę wokół domu, zajrzał do wszystkich okien. Widział stare, zniszczone meble, jakby od lat już tu nikt nie mieszkał. I wtedy zauważył na kuchennym stole stos gazet.

Spojrzał na zegarek. Właśnie minęła 18.00. Wiedział, że powinien mieć nakaz rewizji, ale to zajęłoby kilka godzin, a z każdą minutą zmniejszały się szanse na znalezienie Michaela Harrisona żywego.

Ufał Harry'emu. Wiele razy miał rację, chociaż zdarzały się i pomyłki.

Cholera.

Co powiedziałyby Alison Vosper, gdyby został przyłapany na włamaniu do tego domu?

Nie miał jednak zbyt wiele czasu na zastanawianie się. Czas nie pracował na korzyść Michaela Harrisona.

Cegłą rozbił szybę w kuchennym oknie, potem owinął rękę chusteczką, usunął pozostałe kawałki szkła, sięgnął do klamki, otworzył i wślizgnął się do środka.

- Halo! - krzyczał. - Halo! Jest tu kto?

Miejsce było obskurne. W kuchni nie znalazł nic, poza kilkoma gazetami z wczorajszą datą. Ani śladu czyjejś obecności. Sprawdził wszystkie pokoje na dole. Salon był zapuszczony, na ścianach wisiało kilka nędznych obrazków. Na wykładzinie zauważył ślady, jakby ktoś często przesuwiał kanapę. W ciemnej jadalni stał dębowy stół i cztery krzesła, a na ścianie wisiała makatka z napisem „Boże, błogosław temu domowi”.

Piętro wyglądało równie ponuro i obskurnie. Znajdowały się tam trzy sypialnie, wszystkie łóżka rozebrane do gołych materacy, a na nich leżała stara, pożółkła pościel bez poszewek. Była też mała łazienka z piecykiem gazowym, brudną umywalką i wanną.

W najmniejszym pokoju nad łóżkiem zobaczył wejście na poddasze. Ustawił na łóżku krzesło, stanął na nim i otworzył klapę. Ku jego zaskoczeniu paliło się tam światło, więc dostrzegł mały zbiornik na wodę, stary odkurzacz i jakiś zwinięty dywanik.

Otwierał wszystkie szafy i szafki. Znalazł bieliznę pościelową i ręczniki, puszki z kawą i herbatą. Nic więcej. Niczego co mogłoby wskazywać na obecność Michaela Harrisona.

Nigdzie.

Sprawdził też szafy w przedpokoju, szukając wejścia do piwnicy, choć wiedział, że nie wszystkie domy je miały. Musi sprawdzić, kto jest właścicielem posesji i kiedy ostatnio ktoś tu mieszkał. Może właściciele zmarli? Może sprzątaczką przychodziła tu okazjonalnie?

Ale która sprzątaczką czyta wszystkie angielskie gazety?

Grace przeszedł na tyły domu i zajrzał do pojemników na śmieci. Podniósł pokrywę pierwszego i natychmiast sytuacja się zmieniła. Były tam skorupki jajek, zużyte woreczki herbaty, pusty karton po chudym mleku, na którym widniała dzisiejsza data i pudełko lazanii z aktualną datą ważności.

Obszedł dom dookoła i stanął przed wejściem, usiłując zrozumieć, co mu nie pasowało. I nagle zrozumiał. Tam, gdzie było okno, na prawo od drzwi wejściowych, powinien być garaż. Teraz jasno to widział; kolor cegieł nie pasował do reszty domu. Z jakiegoś powodu ktoś przerobił go na salon.

Przypomniawszy sobie czasy dzieciństwa. Jego ojciec zawsze majsterkował. Lubił naprawiać samochód, zmieniać olej, ustawiać hamulce. Twierdził, że w ten sposób nie daje się oskubać mechanikom. W garażu spędził wiele szczęśliwych godzin dzieciństwa. Pomagał ojcu naprawiać kolejne fordys, brudził się olejem i smarem, wojował z pajakami.

Przypomniawszy sobie linie na wykładzinie, pozostawione jakby po przesuwaniu kanapy. Wrócił do domu i poszedł prosto do salonu. Odsunął stół, potem przesunął kanapę zgodnie z tymi śladami. Jeden koniec wykładziny był trochę podwinięty. Ukląkł, szarpnął i bez trudu podniósł. Zbyt łatwo. Ale zamiast kurzu zobaczył coś grubego, co nie przypominało dywanu, który można by podłożyć. Dokładnie wiedział, co to było. Materiał wygłuszający.

Jego podekscytowanie rosnęło. Uniósł ciężki, szary materiał i zobaczył ogromną płytę ze sklejki. Z trudem wsunął palce pod spód, podważył ją i przesunął na bok.

Przeraźliwy fetor.

Odór ciała i ludzkich odchodów.

Wstrzymał oddech. Bał się, bo nie wiedział, co może znaleźć tam na dole. Wytężył wzrok i zobaczył leżącego na podłodze człowieka, który miał związane ręce i stopy, a usta zaklejone taśmą izolacyjną.

Najpierw pomyślał, że ten ktoś nie żyje. A potem nagle mrugnęły oczy. Przestraszone oczy.

O słodki Jezu, on żył! Grace poczuł nieopisaną radość.

- Michael Harrison?

- Mnhhhh.

- Inspektor Grace z policji w Sussex - powiedział, zeskakując na dół. Zapomniał o smrodzie, najważniejsze to sprawdzić, w jakim stanie jest mężczyzna.

Klęknął i delikatnie odkleił taśmę z jego ust.

- Czy ty jesteś Michael Harrison?

- Tak - wychrypiął. - Wody... Proszę...

Grace ostrożnie uściskał jego rękę.

- Zaraz przyniosę, potem cię stąd wyciągnę. Wszystko będzie dobrze.

Wyszedł na górę, pospieszył do kuchni i odkręcił kran. Nim napełnił wodą szklanekę, zadzwonił po karetkę. Potem znowu wskoczył do garażu.

Przechylił naczynie do ust Michaela. Ten pił łapczywie, potem popatrzył na Grace'a i zapytał:

- Jak się ma Ashley?

Grace łagodnie uśmiechnął się.

- Jest bezpieczna - powiedział.

- Dzięki Bogu.

Grace ponownie uściskał jego rękę.

- Chcesz więcej wody?

Michael kiwnął głową.

- Przyniosę więcej, a potem porozcinam taśmę.
  - Dzięki Bogu, że jest bezpieczna - wyszeptał Michael. -
- Ona jest wszystkim, o czym myślałem, wszystkim...
- Ktoś kiedyś będzie musiał powiedzieć Michaelowi, ale nie on, nie teraz i nie tutaj.
- Poza tym nie wiedział, jak zacząć.

## **podziękowania**

Pisanie zawsze uważane jest za pracę samotniczą, ale dla mnie to wysiłek całego zespołu i mam wielki dług wdzięczności wobec ludzi, którzy wielkodusznie poświęcili mi swój czas i wiedzę w wielu dziedzinach. W szczególności chcę wyróżnić mojego dobrego przyjaciela, inspektora Dave'a Gaylora z policji w Sussex, który udzielił mi wskazówek odnośnie mojej powieści; nieustrudzenie wracał do rękopisu na kilku etapach, udzielał informacji na temat różnych wydziałów policji w Sussex- nigdy nie napisałbym tej książki bez jego pomocy. Chciałbym podziękować wielu policjantom z Sussex, którzy byli dla mnie serdeczni i pomocni, a szczególnie sierżantowi Keithowi Hallettowi z Sussex, inspektorowi Williamowi Warne'owi i starszemu oficerowi śledczemu Stuartowi Leonardowi.

Chciałbym także podziękować doktorowi Nigelowi Kirksamowi, który związany jest z Membership Exam of Royal College of Pathologists w Brighton i Hove oraz jego zespołowi. Dziękuję mojemu filmowemu i telewizyjnemu współpracownikowi Jamesowi Simpsonowi, Carin Coleman, która zachowywała się jak nieoficjalny wydawca i udzieliła mi kilku kapitalnych rad, Peterowi Wingate'owi Saulowi, sierżantowi policji, i koronerowi Peterowi Deanowi, a także Helen Shen-ston za to, że karmiła mnie i dodawała mi odwagi w ciągu najbardziej mrocznych dni.

Chcę także podziękować mojej nowej agentce, Carole Blake, za jej zaufanie i fantastycznemu zespołowi wydawnictwa Macmillan. Szczególnie dziękuję Davidowi Northowi i Geoffowi Duffieldowi oraz mojemu wydawcy Stewowi Bierwerthowi, który jest prawdziwym skarbem. I, jak zawsze, mojemu wiernemu psu Bertie i od niedawna psiemu przyjacielowi Phoebe - oboje tolerują moje pisanie, aczkolwiek z pewną dozą niechęci, jako nużące przerywniki pomiędzy wyjściami na spacer. Ale nade wszystko dziękuję za niekończącą się wiarę we mnie mojej ukochanej Helen.

Peter James Sussex,